

LEIGH BARDUGO

SZTURMI GROM

ШТУРМ И ГРОМ

Ekscytująca, romantyczna, pełna przygód opowieść fantasy.

Rick Riordan, autor bestsellerów

PAPIER  WYKSIEŻYC

Leigh Bardugo

Szturm i Grom

TRYLOGIA GRISZA Tom 2

Przełożyła: Anna Pochłódka-Wątorrek

Tytuł oryginalny: Siege and Storm

Mapa Keith Thompson

Wydanie oryginalne 2013

Wydanie polskie 2014



GRISZOWIE

Żołnierze Drugiej Armii

Mistrzowie Nauki Małej

KORPORALNICY

(Zakon Żywych i Umarłych)

ETEREALNICY

(Zakon Przyzywaczy)

MATERIALNICY

(Zakon Fabrykatorów)



WYSPA
WĘDROWNA
LEFLIP

JELKA
(WIDELEC)

KOSTNY SZLAK
VILKI (POZ)

WEDDLE

ΠΩΟΖΙΕΜΣΚ



ZATOKA CZERWONA



ZATOKA EAMESA

SZRIFTPORT
BRÓDKA
EAMESA
KOFTON



KETTERDAM

KERCZ

POMOST

ΚΟΛΟΝΙΕ ΠΟΛΥΒΡΗΙΩΝ



KENST HJERTE
(ARCHIPELAG ZŁAMANEGO SERCA)

ISEHVEE

ELLING

OVERUT

FJERDA

AVFALLE

ELBIEN
(ŁOKCIE)

DJERHOLM

HALMHEHÐ

ZMARZLIŃA

ARKESK

ULEŃSK

CZERŃAST

PIEMORZE

CYBEJA

НОВО-
КРИБИРСК

PETRAZOJ

RAVKA

OS
KERVG

RIEVOST

BALAKIREV

KRIBIRSK

OS ALTA

КЕРАМЗИП

POLICŃAJA

SIKURSK

KARJEVA

SIKURZOJ

BHEZ JU

KOBA

SZU HAN

AHMRAŃ JEP

Mojej matce,
która wierzyła nawet wtedy,
kiedy mnie brakowało wiary.

PRZEDTEM

Chłopak i dziewczyna marzyli niegdyś o okrętach - dawno temu, na długo przed tym, nim ujrzeli Morze Prawdziwe. Były to wehikuły opowieści, zaczarowane statki o masztach ciosanych z wonnych cedrów i żaglach utkanych ze szczerozłotej nici przez dziewice. Załogi stanowiły białe myszki, które śpiewały piosenki i szorowały pokład różowymi ogonkami.

„Verrhader” nie był zaczarowanym okrętem. Był to kerczański statek handlowy, wyładowany po brzegi prosem i melasą. Cuchnął niemytym ciałem oraz surową cebulą, która według marynarzy miała ich uchronić przed szkorbutem. Załoga pluła, przeklinała i grała w karty o racje rumu. Chleb, jaki chłopak i dziewczyna otrzymali, był robaczywy, a zamiast w kajucie spali w ciasnej komórce, którą z konieczności dzielili z dwojgiem innych pasażerów oraz beczką solonego dorsza.

Nie przeszkadzało im to. Przyzwyczaili się do dźwięku dzwonka, który wydzwaniał godziny, do krzyków mew, niepojętego bełkotania po kerczańsku. Okręt stanowił ich królestwo, a morze to była fosa, która chroniła ich przed nieprzyjaciółmi.

Chłopakowi życie na pokładzie statku przychodziło z taką łatwością jak wszystko inne. Nauczył się wiązać węzły i naprawiać żagle, a kiedy zagoiły się jego rany, wraz z załogą śmigał po linach. Porzucił buty, by bosy i nieulekle wspinać się po

takielunku. Marynarze nadziwić się nie mogli, jak umie wypatrzyć delfiny, ławice płaszczyk, jaskrawe, pasiaste ryby tygrysy, jak tuż przed tym, jak z fal wyłoni się szeroki, nierówny grzbiet wieloryba, chłopak wyczuwa, gdzie zwierz wychynie na powierzchnię. Mawiali, że gdyby mieli choć trochę jego farta, już dawno byłiby bogaci.

Dziewczyna budziła w nich niepokój.

Trzeciego dnia na morzu kapitan poprosił ją, żeby w miarę możliwości nie wychodziła na pokład. Winą obarczył żeglarski zabobon. Twierdził, że marynarze sądzą, iż kobieta na statku sprowadzi na nich złe wiatry. Było to prawdą, ale marynarze mogliby przychylnie przyjąć roześmianą, radosną dziewczynę, taką, która by żartowała albo spróbowała swych sił w grze na flażolecie.

Ta dziewczyna stała przy relingu cicho i bez ruchu. Zaciskała dłonie na szalu, który owijał jej szyję, zastygła niczym galion wyrzeźbiony z jasnego drewna. Ta dziewczyna krzyczała przez sen i budziła drzemiących na bocianim gnieździe.

Dziewczyna zatem całe dnie błąkała się po ciemnym wnętrzu statku. Liczyła beczki melasy, analizowała kapitańskie mapy. Nocami wślizgiwała się w opiekuńcze ramiona chłopaka i stali razem na pokładzie, wypatrując wśród bezkresnego morza gwiazd konstelacji: Łowcy, Bakalarza, Trzech Głupich Synów, jasnych szprych Kołowrotka, Pałacu Południa o sześciu krzywych iglicach.

Starła się, by został tam z nią jak najdłużej. Opowiadała historie, zadawała pytania. Wiedziała bowiem, że kiedy zaśnie, zacznie śnić. Niekiedy śniły jej się zniszczone skify o czarnych żaglach i pokładach śliskich od krwi, ludzie krzyczący w ciemności. Gorsze jednak były sny o bladym księżcu, który

przyciskał usta do jej szyi, kładł dłonie na obroży otaczającej jej szyję i przyzywał jej moc feerii jasnego słońca.

Kiedy śnił się jej on, budziła się drżąca, czując, jak echo mocy w niej wibruje, a światło rozgrzewa jej skórę.

Chłopak ścisnął ją mocniej, mruzczał ciche słowa, by utulić ją do snu.

- To tylko koszmar - szeptał. - Sny ustana.

Nie rozumiał. Teraz tylko w snach mogła bezpiecznie używać swojej mocy. Wypatrywała ich z utęsknieniem.

W dniu, kiedy „Verrhader” przybił do brzegu, chłopak i dziewczyna stali przy relingu razem i patrzyli na zbliżający się ład Nowoziemska.

Wpłynęli powoli do przystani przez sad steranych masztów i podwiązanych żagli. Cumowały tam gibkie słupy i niewielkie dżonki ze skalistych wybrzeży Szu Hanu, zbrojne statki wojskowe i szkunery turystyczne, tłuszczy kupcy i wielorybnicy z Fjerdy. Nad pękatą więzienną galerią, płynącą do kolonii na południu, powiewała czerwono wykończona flaga, która ostrzegała, że na pokładzie są mordercy. Dziewczyna dałaby sobie rękę uciąć, że kiedy ją mijali, słyszała szcęk łańcuchów.

„Verrhader” przybił do brzegu w swoim miejscu. Opuszczono trap. Dokerzy i załoga przywitali się okrzykami, rozwiązali sznury, przygotowali ładunek.

Chłopak i dziewczyna powiedli wzrokiem po dokach, wypatrując w tłumie błysku szkarłatu Sercodarców albo błękitu Przyzywaczy, promienia słońca odbitego od rączkańskiej broni.

Nadszedł czas. Chłopak chwycił ją za rękę. Dłoń miał szorstką i stwardniałą od dni pracy na linach. Gdy pod nogami poczuli deski podestu, mieli wrażenie, że ziemia się pod nimi zapada i osuwa im się spod stóp.

Marynarze zawołali ze śmiechem:

- *Vaarwel, fentomen!*

Chłopak i dziewczyna poszli przed siebie, stawiając pierwsze, niepewne kroki w nowym świecie.

„Proszę” - modliła się w myślach dziewczyna do wszystko jedno jakich Świętych. „Proszę, żebyśmy byli tu bezpieczni. Żebyśmy znaleźli dom”.

1.

Spędziliśmy w Kofton już dwa tygodnie, a ja wciąż się gubiłam. Miasto było położone w głębi lądu, na zachód od wybrzeża i z dala od przystani, w której przybiliśmy do brzegu. Niebawem udamy się jeszcze dalej - hen na bezdroża nowoziemczańskiego pogranicza. Może wtedy zaczniemy się czuć bezpieczni.

Zerknęłam na niewielką mapkę, którą sobie wyrysowałam, i cofnęłam się. Mal i ja spotykaliśmy się codziennie po pracy i razem wracaliśmy do gospody, dzisiaj jednak zupełnie pobłądziłam, kiedy zboczyłam z drogi, by kupić nam coś na obiad. Placki z cielęciną i jarmużem, wepchnięte do mojej sakwy, pachniały bardzo osobliwie. Sprzedawca twierdził, że to ziemczański specjał, ale ja żywiłam pewne wątpliwości. Nie miało to wielkiego znaczenia. Ostatnio wszystko było dla mnie bez smaku.

Mal i ja przybyliśmy do Kofton, żeby zarobić na wyprawę na zachód. Było to centrum handlu *jurda*, otoczone polami pełnymi małych, pomarańczowych kwiatuszków, które ludzie żuli na korce. W Ravce ten środek pobudzający uchodził za zbyt kowny, ale niektórzy marynarze z „Verrhadera” używali go, by nie zasnąć na długich wartach. Nowoziemczanie lubili wtykać zasuszone

kwiaty między wargi a dziąsła. Nawet kobiety nosiły je w haftowanych sakiewkach przypiętych do nadgarstka. Każda witryna sklepowa, jaką mijałam, reklamowała inną odmianę: Jasnoliść, Cień, Dhoka, Tęgacz. Widziałam, jak ślicznie ubrana dziewczyna w halkach pochyła się i wypluwa potok rdzawego soku prosto do jednej z mosiężnych spluwaczek, które stały przy drzwiach każdego sklepu. Zrobiło mi się niedobrze. Do tego akurat ziemczańskiego zwyczaju chyba nie przywyknę.

Z westchnieniem ulgi skręciłam na główny trakt miasta. Teraz przynajmniej wiedziałam, gdzie jestem. Kofton wciąż nie wydawał mi się całkiem realny. To miasto miało w sobie coś surowego i niedokończonego. Większość ulic nie była wybrukowana i cały czas wydawało mi się, że pudełkowate budynki o lichych, drewnianych ścianach lada moment się przewrócą. A mimo to wszystkie miały szklane okna. Kobiety ubierały się w aksamit i koronki. Witryny sklepowe były pełne słodczy, bibelotów i rozmaitych cudeniak, a nie strzelb, noży i cynowych garnków. Tutaj nawet żebracy nosili buty. Tak wyglądał kraj, który nie był obłązony.

Mijając tawernę, kątem okna dostrzegłam błysk szkarłatu. *Korporalnicy*. Z bijącym gwałtownie sercem natychmiast zrobiłam krok wstecz, wciskając się w cień między budynkami. Odruchowo sięgnęłam po pistolet przy biodrze.

„Najpierw sztylet” - powtórzyłam sobie i wysunęłam ostrze z rękawa. „Staraj się nie zwracać na siebie uwagi. Pistolet, jeśli musisz. Moc w ostateczności”. Nie pierwszy raz zatęskniłam za rękawiczkami wykonanymi przez Fabrykatorów, które musiałam zostawić w Ravce. Rękawiczki te wyściełane były lusterkami, dzięki którym mogłam z łatwością oślepić przeciwników w walce wręcz - była to też miła alternatywa wobec przekrojenia kogoś na pół Cięciem. Gdyby jednak wypatrzył mnie Korporalnik-Sercodarca, mogłam nie mieć w tej kwestii wyboru. Byli to

hołubieni żołnierze Darklinga, którzy mogli zatrzymać bicie mojego serca albo zgnieść płuca bez jednego choćby ciosu.

Czekałam, ściskając rękojeść sztyletu śliską od potu dłonią. W końcu odważyłam się wyrzucić zza rogu. Zobaczyłam wózek po brzegi wyładowany beczkami. Woźnica się zatrzymał, żeby porozmawiać z jakąś kobietą. Jej córka podskakiwała obok niecierpliwie i kręciła się w kółko w ciemnoczerwonej spódnicy.

To tylko mała dziewczynka. Ani jednego Korporalnika w zasięgu wzroku. Osunęłam się znów na budynek i nabrałam powietrza głęboko, aby się uspokoić.

„Nie zawsze tak będzie” - przekonywałam samą siebie. „Im dłużej będziesz wolna, tym będzie łatwiej”.

Pewnego dnia obudzę się ze snu wolnego od koszmarów, przejdę ulicą bez lęku. Dopóki to nie nastąpi, dopóty nie rozstaję się ze swoim marnym sztyletem i żałuję solidnego ciężaru grisaickiej stali.

Przepchnęłam się z powrotem na tętniącą życiem ulicę i ciaśniej, bardziej kurczowo owinęłam szyję szalem. Wyrobiłam sobie taki nerwowy nawyk. Pod szalem znajdowała się obroża Morozova - najsilniejszy wzmacniacz w historii i mój jedyny znak rozpoznawczy. Bez obroży byłam tylko jednym z wielu brudnych, niedożywionych ravczańskich uchodźców.

Nie byłam pewna, co zrobię, kiedy zmieni się pogoda. W lecie nie będę mogła chadzać w szalikach i płaszczach z wysokim kołnierzem. Ale może wtedy Mal i ja będziemy już daleko od tłocznych miast i niepożądanych pytań. Będziemy sami pierwszy raz, odkąd uciekliśmy z Ravki. Na myśl o tym przeszył mnie nerwowy dreszcz.

Przeszłam przez ulicę, wymijając wozy oraz konie. Cały czas przeczesywałam wzrokiem ciżbę, bo byłam pewna, że lada moment zobaczę, jak otacza mnie oddział Griszów albo

opryczników. Chyba że będą to szuhańscy najemnicy, fjerdańscy zabójcy albo żołnierze ravszańskiego króla - a może Darkling we własnej osobie. Tylu ludzi mogło na nas czyhać. „Czyhać na mnie” - poprawiłam się. Gdyby nie ja, Mal wciąż byłby tropicielem w Pierwszej Armii, a nie dezertorem, który salwował się ucieczką.

Przed oczyma stanęło mi nieproszone wspomnienie: czarne włosy, oczy jak z kwarcu, ekstaza na twarzy Darklinga, kiedy rozpętał potęgę Fałdy. Zanim ja wyrwałam mu zwycięstwo.

W Nowoziemsku łatwo było o wieści, żadne z nich jednak nie były pomyślne. Rozeszły się pogłoski, że Darkling jakimś cudem przeżył bitwę w Fałdzie, że przyczaił się, by zebrać siły, zanim znów się zamachnie na ravszański tron. Nie chciałam wierzyć, że to możliwe, ale wiedziałam, że nie należy go lekceważyć. Inne opowieści były równie niepokojące: że Fałda przelewa się przez swoje brzegi, spychając uchodźców na wschód i zachód; że ludzie otaczają kultem postać Świętej, która potrafi przyzwać słońce. Nie chciałam o tym myśleć. Mal i ja zaczęliśmy nowe życie. Ravkę zostawiliśmy za sobą.

Przyśpieszyłam kroku i wkrótce dotarłam na plac, gdzie spotykaliśmy się z Malem co wieczór. Wypatrzyłam go, jak opiera się o brzeg fontanny i rozmawia z kolegą z Ziemska, którego poznał w pracy w magazynie. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywa... Może Żep? Żef?

Wyposażona w cztery wielkie kurki fontanna była bardziej użyteczna niż urodziwa. Dziewczęta i służba przychodziły prać ubrania w jej dużej niecce. Ale praczki nie zwracały obecnie większej uwagi na pranie. Wszystkie gapiły się na Mała. Ciężko było się nie gapić. Włosy mu urosły - nie były już po wojskowemu krótkie - i kręciły się lekko na karku. Krople wody z fontanny zwilżyły mu koszulę, która przylegała teraz do jego opalonej podczas długich dni na morzu skóry. Odrzucił głowę

w tył, śmiejąc się z czegoś, co powiedział kolega. Sprawiał wrażenie, jakby nie widział ukradkowych uśmiechów, posyłanych w jego stronę.

„Pewnie jest do tego tak bardzo przyzwyczajony, że już nie zauważa” - pomyślałam z irytacją.

Kiedy mnie spostrzegł, uśmiechnął się szeroko i pomachał. Praczki odwróciły się w moją stronę, po czym wymieniły między sobą spojrzenia pełna niedowierzania. Wiedziałam, co widzą: chuderławą dziewczyną ze strąkami matowych, brązowych włosów i z ziemistą cerą, o palcach pomarańczowych od pakowania *jurdy*. Nigdy nie było we mnie nic, na czym można by zawiesić oko, a wiele tygodni bez używania mocy zemściło się na mnie. Nie dojadłam i nie sypiałam dobrze. Koszmary też nie poprawiały sytuacji. Na twarzach kobiet malowało się to samo pytanie: co taki chłopak jak Mal robi z taką dziewczuchą jak ja?

Wyprostowałam się i starałam się nie zwracać na nie uwagi, a Mal objął mnie ramieniem i przytulił.

- Gdzie byłaś? - zapytał. - Zaczynałem się już martwić.

- Zaszła mi drogę banda wściekłych niedźwiedzi - wymamrotałam mu w ramię.

- Znowu się zgubiłaś?

- Sama nie wiem, skąd ci do głowy przychodzą takie pomysły.

- Pamiętasz Żesa, prawda? - skinął głową w stronę przyjaciela.

- Jak się masz? - zapytał Żes łamanym raveczańskim i podał mi rękę. Miał nadmiernie poważną minę.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparłam po ziemczańsku. Nie odwzajemnił mojego uśmiechu, lecz poklepał mnie po ręce delikatnie. Zdecydowanie Żes był dziwakiem.

Rozmawialiśmy chwilę dłużej, ale wiedziałam, że Mal widzi, iż zaczynam się czuć nieswojo. Nie lubiłam spędzać zbyt wiele

czasu na otwartej przestrzeni. Pożegnaliśmy się, a Żes, zanim odszedł, rzucił mi kolejne ponure spojrzenie, pochylił się i wyszeptał coś do Mała.

- Co mówił? - zapytałam, kiedy patrzyliśmy, jak oddala się na drugi koniec placu.

- Hmm? A, nic. Wiesz, że masz pyłek na brwiach? - wyciągnął rękę i delikatnie go strzepnął.

- Może tak chciałam.

- Mój błąd.

Kiedy odepchnęliśmy się od fontanny, jedna z praczek się pochyliła. Biust praktycznie wylewał jej się z sukienki.

- Jeśli znudzą ci się kiedyś skóra i kości - zawołała do Mała - to mam coś, co cię skusi.

Znieruchomiałam. Mał obejrzał się przez ramię. Powoli zmierzył ją wzrokiem.

- Nie - odparł stanowczo. - Nie masz nic takiego.

Dziewczyna zaczerwieniła się brzydko ze złości, a inne zaczęły drwić, wyśmiewać się i chlapać ją wodą. Porwałam się na wyniosłe uniesioną brew, ale trudno było powstrzymać głupawy uśmiech na ustach.

- Dzięki - mruknęłam, kiedy przechodziliśmy przez plac w stronę naszej gospody.

- Za co?

- Za obronę mojego honoru, tłumoku. - Przewróciłam oczami.

Wciągnął mnie w cień pod daszkiem. Poczułam momentalny przyływ paniki, kiedy myślałam, że zauważył kłopoty, ale objął mnie i przycisnął usta do moich.

Kiedy w końcu się odsunął, policzki miałam rozpalone, a kolana miękkie.

- Chciałbym, aby było jasne - powiedział - że niespecjalnie mnie interesuje bronienie twojego honoru.

- Zrozumiano - wydusiłam, licząc w duchu, że nie sapię nedorzecznie.

- Poza tym - zauważył - muszę wykraść każdą dostępną minutę, zanim wrócimy do Jamy.

Jamą nazywał Mal naszą gospodę. Była przepełniona, brudna i nie dawała nam za grosz prywatności, ale mało kosztowała. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, jak zawsze pewny siebie, i wciągnął mnie z powrotem w strumień ludzi na ulicy. Pomimo wyczerpania stapałam lżej. Nadal nie przyzwyczaiałam się do myśli, że jesteśmy razem. Przeszedł mnie kolejny dreszczyk. Na pograniczu nie będzie ciekawskich lokatorów ani niechcianych wtargnięć. Tętno mi skoczyło - sama nie wiem, czy z nerwów, czy z ekscytacji.

- No to co mówił Żes? - zapytałam ponownie, kiedy przestało mi się tak mieszać w głowie.

- Powiedział, że powinienem się tobą dobrze opiekować.

- Tyle?

Mal chrząknął.

- Mówił też... że będzie się modlił do Boga Pracy, żeby uleczył twoją przypadłość.

- Że co?

- Możliwe, że mu mówiłem, że masz wole.

Potknęłam się.

- Słucham?

- Musiałem mu jakoś wytłumaczyć, dlaczego zawsze tak ściskasz ten szalik.

Opuściłam dłoń. Bezwiednie znowu to robiłam.

- Więc powiedziałaś mu, że mam wole? - wyszeptałam z niedowierzaniem.

- Coś musiałem powiedzieć. A to cię czyni całkiem tragiczną postacią. Wiesz, ładna dziewczyna, ogromny przerost.

Walnęłam go mocno pięścią w ramię.

- Aua! Ej, w niektórych krajach wole uważa się za ostatni krzyk mody.

- A eunuchów też tam lubią? Bo da się załatwić.

- Jaka żądza krwi!

- Robię się marudna przez to moje wole.

Mal się roześmiał, ale zauważyłam, że trzymał dłoń na pistolecie. Jama znajdowała się w niezbyt atrakcyjnej części Koftonu, a my mieliśmy przy sobie sporo gotówki - zarobek, który oszczędzaliśmy, aby zacząć nowe życie.

Jeszcze tylko parę dni i będziemy mieli dość, by opuścić Kofton, a wraz z nim hałas, zapyłone powietrze, ciągły strach. Będziemy bezpieczni w miejscu, gdzie nikogo nie obchodzi, co się dzieje z Ravką, gdzie Griszów jest niewielu, a o Przyzywaczce Słońca nikt nigdy nie słyszał.

„I Przyzywaczka Słońca nikomu nie jest potrzebna”. Myśl ta popsuła mi nastrój, lecz nachodziła mnie coraz częściej. Co po mnie w tym obcym kraju? Mal potrafił polować, tropić, obchodzić się z bronią. Ja w całym swoim życiu dobra byłam tylko w byciu Griszą. Brakowało mi przyzywania światła, a z każdym dniem, kiedy nie korzystałam ze swojej mocy, traciłam siły i podupadłam na zdrowiu. Męczyło mnie samo to, że szłam przy boku Mała, i uginałam się pod wagą sakwy. Byłam tak słabowita i niezdarna, że z trudem utrzymywałam posadę pakowaczki *jurdy* w jednej z hal. Zarabiałam w ten sposób marne grosze, ale upierałam się, że będę pracować, że spróbuję pomóc. Czułam się jak w dzieciństwie: zaradny Mal i Alina do niczego.

Odepchnęłam tę myśl od siebie. Może nie byłam już Przyzywaczką Słońca, ale nie byłam też tą żalostną małą dziewczynką. Znajdę sposób, żeby się do czegoś przydać.

Widok naszej gospody niespecjalnie poprawił mi humor. Budynek miał dwie kondygnacje i wniebogłosy wołał o świeże malowanie. W oknie wisiała tabliczka, na której w pięciu językach reklamowano gorące kąpiele i łóżka bez pluskiew. Zaznałam wanny oraz łóżka i mogłam stwierdzić, że tabliczka kłamała w każdej wersji językowej. Ale i tak z Malem przy moim boku nie było tam tak źle.

Weszliśmy po schodach na zapadający się ganek, a stamtąd do karczmy, która zajmowała większość parteru. Po kurzu oraz jazgocie ulicy wewnątrz wydawało się chłodne i ciche. O tej porze przy poplamionych stolikach siedziało zazwyczaj kilku robotników, którzy przepijali bieżący zarobek, dzisiaj jednak było pusto. Tylko gburowaty gospodarz stał za barem.

Był imigrantem z Kerczu i odniosłam silne wrażenie, że nie lubił Ravezan. A może po prostu miał nas za złodziei. Pojawiliśmy się dwa tygodnie wcześniej brudni i obdarci, bez bagażu i środków na zapłacenie za nocleg - poza złotą wsuwką, którą zapewne jego zdaniem ukradliśmy. Ale i tak ją zabrał w zamian za dwa łóżka w pomieszczeniu, które dzieliliśmy z sześcioro innymi lokatorów.

Kiedy zbliżyliśmy się do baru, z własnej inicjatywy walnął klucz na ladę i pchnął go w naszą stronę. Do klucza przywiązany był kawałek kurzej kości. Kolejny czarujący drobiaźdek.

Sztywnym kerczańskim, który podłapał na pokładzie „Verrhadera”, Mał poprosił o dzbanek gorącej wody do mycia.

- Ekstra - bąknął gospodarz. Był to przysadzisty mężczyzna o rzadkich włosach i poplamionych na pomarańczowo zębach -

efekt żucia *jurdy*. Zauważyłam, że się poci. Choć nie było tego dnia specjalnie gorąco, nad górną wargą zbierała mu się wilgoć.

Obejrzałam się na niego, kiedy szliśmy w stronę schodów po przeciwnej stronie opustoszałej karczmy. Stał ze skrzyżowanymi ramionami i wciąż się nam przyglądał, mrużąc oczy. Coś w wyrazie jego twarzy mnie denerwowało. Zawahałam się u podnóża schodów.

- Ten gość naprawdę nas nie lubi - powiedziałam.

Mal już wchodził na górę.

- Za to nasze pieniądze mu nie przeszkadzają. A my już za parę dni się stąd wyniesiemy.

Stłumiłam niepokój. Całe popołudnie byłam nerwowa.

- No dobra - bąknęłam, idąc za Malem - ale tak na wszelki wypadek - jak się mówi „jesteś osłem” po kerczańsku?

- Jer ven azel.

- Naprawdę?

Mal się zaśmiał:

- Przeklinanie to podstawowa rzecz, jakiej uczą cię marynarze.

Piętro gospody było w znacznie gorszym stanie niż powszechnie dostępne pomieszczenia na dole. Dywan był spłowiały i wytarty, a w ciemnym korytarzu cuchnęło kapustą oraz tytoniem. Drzwi do prywatnych pokoi były pozamykane i nie dochodził zza nich najmniejszy hałas. Panowała dziwna cisza. Może nikogo nie było.

Światło wpadało do środka tylko przez brudne okno na końcu korytarza. Kiedy Mal otwierał drzwi kluczem, spojrzałam przez wymazaną szybę na przejeżdżające poniżej wózki i powozy. Po przeciwnej stronie ulicy pod jednym z balkonów stał jakiś mężczyzna. Przyglądał się gospodzie. Poprawiał sobie kołnierz i obciągał rękawy, jak gdyby ubrania były nowe i nie całkiem

dobrze leżały. Nasze oczy przelotnie się spotkały, po czym szybko odwrócił wzrok.

Poczułam nagle ukłucie strachu.

- Mal - szepnęłam i wyciągnęłam do niego rękę.

Było jednak za późno. Drzwi otworzyły się z impetem.

- Nie! - krzyknęłam. Uniosłam ręce do góry gwałtownie i światło buchnęło na korytarz oślepiającą kaskadą. Nagle złapano mnie brutalnie i uwięziono moje dłonie za plecami. Kopałam i miotałam się, ale zaciągnięto mnie do pokoju.

- Spokojnie - z kąta dobiegł chłodny głos. - Nie chciałbym z konieczności przedwcześnie wypatroszyć twojego kolegi.

Czas jakby zaczął biec wolniej. Zobaczyłam sfatygowane wewnątrz z niskim sufitem, pękniętą miednicę na poobijanym stole, kurz wirujący w smukłym promieniu światła, lśniąca krawędź ostrza przy gardle Mala. Rozpoznałam grymas człowieka, który trzymał nóż. Ivan. Byli też inni, mężczyźni, kobiety. Wszyscy mieli na sobie dopasowane płaszcze i bryczesy, jakie nosili ziemczkańscy kupcy oraz robotnicy, ale rozpoznałam niektóre twarze z czasów, jakie spędziłam w Drugiej Armii. Byli to Griszowie.

Za nimi, spowity w cień, rozparty na rozklekotanym krześle jak na tronie, siedział Darkling.

Przez krótką chwilę w pokoju panowały cisza i bezruch. Słyszałam oddech Mala, szelest stóp. Usłyszałam, jak mężczyzna na dole na ulicy wykrzykuje powitanie. Nie mogłam przestać się wpatrywać w dłonie Darklinga - jego długie, blade palce spoczywały swobodnie na oparciu krzesła. Przemknęło mi przez myśl głupio, że nigdy go nie widziałam w zwyczajnym ubraniu.

Potem przygniotła mnie świadomość sytuacji. Tak to się ma skończyć? Bez walki? Bez jednego strzału czy okrzyku? Z gardła wydarł mi się jęk czystej furii i frustracji.

- Zabierz jej pistolet i przeszukaj ją, czy nie ma innej broni - rzekł Darkling łagodnie. Poczułam, jak kojący ciężar broni palnej opuszcza moje biodro, jak sztylet wysuwa się z pochwy na nadgarstku. - Każę im cię puścić - powiedział, kiedy skończyli. - Wiedz jednak, że jeśli chociaż uniesiesz ręce, Ivan zabije tropiciela. Daj znak, że rozumiesz.

Kiwnęłam głową sztywno.

Uniósł palec i jego ludzie mnie puścili. Zatoczyłam się do przodu i zastygłam w bezruchu na środku pokoju, zaciskając pięści.

Mogłam przeciąć Darklinga w pół swoją mocą. Cały ten przeklęty przez Świętych budynek mogłam przepołowić. Ale nie zdążyłabym, nim Ivan poderżnąłby Malowi gardło.

- Jak nas znalazłeś? - spytałam chrapliwie.

- Pozostawiacie za sobą bardzo kosztowne ślady - powiedział i nieśpiesznie rzucił coś na stół. Wylądowało obok miednicy z brzękiem. Rozpoznałam jedną ze złotych spinek, które Genia wplotła mi we włosy wiele tygodni wcześniej. Opłaciliśmy nimi przeprawę przez Morze Prawdziwe, wóz do Koftonu, nasze nędzne, nie całkiem wolne od pluskiew łóżka.

Darkling wstał, a po pokoju rozszedł się dziwny przestach. Jak gdyby każde z Griszów nabrało powietrza i wstrzymywało oddech w oczekiwaniu. Czułam ich lęk, a to z kolei również we mnie zasiało trwogę. Podwładni Darklinga zawsze traktowali go z podziwem i szacunkiem, ale to było coś nowego. Nawet Ivan wyglądał nieswojo.

Darkling stanął w świetle i zobaczyłam na jego twarzy niewyraźny maswerk blizn. Uleczył je Korporalnik, lecz wciąż były widoczne. *Czyli wilkry pozostawiły po sobie ślad.* „Dobrze” - pomyślałam z mściwą satysfakcją. Niewielkie to było pocieszenie, ale przynajmniej nie był tak doskonały jak niegdyś.

Przyglądał mi się w bezruchu:

- Jak ci służy życie w ukryciu, Alino? Nie wyglądasz najlepiej.

- Ty też nie - odparłam. Nie chodziło wyłącznie o te blizny. Znużenie spowijało go jak elegancki płaszcz, ale było widoczne. Pod oczyma miał lekkie cienie, a wyraziste kości policzkowe odznaczały się mocniej od zapadniętych policzków.

- Niewielka to cena - powiedział z półuśmiechem.

Przeszedł mnie dreszcz. „Cena za co?”

Wyciągnął rękę, a ja najwyższym wysiłkiem woli się nie wzdrygnęłam. On jednak chwycił tylko koniec mojego szalika. Pociągnął delikatnie i rozwiązał szorstką wełnę, która zsunęła mi się z szyi i opadła na podłogę.

- Widzę, że znów udajesz, że jesteś czymś mniej, niż jesteś w istocie. Nie do twarzy ci w tych pozorach.

Poczułam skurcz niepokoju. Przecież ledwie parę minut temu sama pomyślałam coś podobnego.

- Dziękuję za troskę - mruknęłam.

Przesunął palcami po obroży.

- Jest równie moja jak twoja, Alino.

Odgoniłam jego dłoń, a wśród Griszów rozszedł się szmer niepokoju.

- To trzeba było mi jej nie zakładać na szyję - warknęłam. - Czego chcesz?

Oczywiście wiedziałam, czego chce. Wszystkiego - Ravki, świata, potęgi Fałdy. Jego odpowiedź nie miała znaczenia. Musiałam go tylko zagadać. Liczyłam się z nadejściem takiej chwili i się na nią przygotowywałam. Nie pozwolę mu znowu się pojmać. Zerknęłam na Mała w nadziei, że rozumie, co zamierzam.

- Chcę ci podziękować - rzekł Darkling.

- Podziękować? - Tego się nie spodziewałam.

- Za dar, który od ciebie otrzymałam.

Bezwiednie prześlizgnęłam oczyma po bliznach na jego bladym policzku.

- Nie - powiedział ze słabym uśmiechem - nie za to. Choć stanowią dobrą pamiątkę.

- Czego? - zapytałam, ciekawa wbrew sobie.

Jego spojrzenie przypominało szary krzemień.

- Że z każdego można zrobić głupca. Nie, Alino, twój dar jest o wiele większy.

Odwrócił się. Znowu spojrzałam szybko na Mała.

- W odróżnieniu od ciebie - ciągnął Darkling - pojmuję wdzięczność i pragnę ją wyrazić.

Uniosł dłonie. Na pomieszczenie runęła ciemność.

- Nie! - krzyknęłam.

Mał wbił Ivanowi łokieć w bok. W tej samej chwili uniosłam rękę. Jasność wystrzeliła i oślepiło otaczających nas ludzi. Skoncentrowałam swoją moc, wyostrzyłam ją w kosę z czystego światła. Miałam jeden jedyny cel. Nie zamierzałam zostawić Darklinga przy życiu. Wpatrywałam się w kłębiącą się ciemność, szukając go. Coś jednak było nie tak.

Niezliczone razy wcześniej widziałam, jak Darkling używa swojej mocy. Teraz było inaczej. Cienie wirowały i ślizgały się wokół kręgu mojego światła, kręciły się coraz szybciej, wiły się, furkotały, brzęczały jak rój głodnych owadów. Napierałam na nie swoją mocą, ale się wyginały i wykręcały, nie przestając się zbliżać.

Mał był przy mnie. Jakoś zdobył nóż Ivana.

- Nie oddalaj się - powiedziałam. Lepiej zaryzykować i zrobić dziurę w podłodze, niż sterczeć bezczynnie. Skupiłam się

i poczułam, jak wibruje we mnie potęga Cięcia. Uniosłam rękę... a coś wyszło z ciemności.

„To sztuczka” - pomyślałam, kiedy to coś się do nas zbliżało. „To na pewno jakieś złudzenie”.

Był to stwór wykuty z cienia, o twarzy pustej, bez własnych rysów. Jego ciało zdawało się drżeć i rozmazywać, by na powrót przybrać formę. Ramiona, nogi, długie dłonie zakończone czymś podobnym do szponów, szerokie bary zwieńczone parą skrzydeł, które rozwijały się, kotłowały i przekształcały jak czarna plama. Przypominało to wilkra, ale sylwetkę miało bardziej ludzką. I nie bało się światła. Nie bało się mnie.

„To sztuczka” - powtarzałam sobie w panice. „To niemożliwe”. Było to pogwałcenie wszystkiego, co wiedziałam o mocy Griszów. Nie potrafimy tworzyć materii. Nie umiemy tworzyć życia. Ale ten stwór szedł w naszą stronę, a Griszowie Darklinga kulili się pod ścianą z najprawdziwszego przerażenia. Właśnie to napawało ich takim lękiem.

Stłamsiłam strach i z powrotem skupiłam swoją moc. Machnęłam ręką, tworząc lśniący, bezkompromisowy łuk. Światło przecięło kreaturę. Przez moment wydawało mi się, że jej to nie powstrzyma. Potem zamigotała - rozbłysła jak chmura, w którą trafił piorun, i rozpadła się wniwecz. Zdążyłam poczuć maleńki przypływ ulgi, lecz wtedy Darkling uniósł dłoń i w miejsce poprzedniego pojawił się kolejny potwór, a potem następny, i jeszcze następny.

- Oto dar, który od ciebie otrzymałem - rzekł Darkling. - Dar, na który zapracowałem w Fałdzie. - Jego twarz jaśniała świadomością potęgi i jakąś straszliwą radością. Widziałam w niej też wysiłek. Jakkolwiek by nazwać to, co robił, wiele go to kosztowało.

Mal i ja przysunęliśmy się do drzwi, cofając się przed napierającymi stworami. Nagle jeden z nich ze zdumiewającą prędkością wystrzelił do przodu. Mal zamachnął się nożem. Kreatura znieruchomiała, zamigotała, a potem złapała go i odrzuciła na bok jak dziecięcą laleczkę. To nie było złudzenie.

- Mal! - krzyknęłam.

Zaatakowałam cięciem i kreatura spaliła się doszczętnie, ale natychmiast rzucił się na mnie kolejny potwór. Chwycił mnie i zadrżałam z odrazy. Miałam wrażenie, że pełzają mi po ramionach tysiące owadów.

Stwór podniósł mnie i zobaczyłam, jak bardzo się myliłam. Jednak miał usta - ziejącą, zmiennokształtną dziurę, która się rozchyliła i ukazała nieskończone rzędy zębów. Poczułam je wszystkie, kiedy to coś wgrzyzło się w mój bark.

Nie zaznałam wcześniej niczego takiego jak ten ból. Odbijał się on echem po moim wnętrzu, mnożył się, rozdzierał mnie na oścież i drapał w kości. Z wielkiej odległości usłyszałam, jak Mal wykrzykuje moje imię. Usłyszałam własny wrzask.

Stwór mnie wypuścił. Upadłam na podłogę bezwładnie. Leżałam na plecach, wciąż czując wibrujące, nieskończone fale bólu. Widziałam sufit z plamą wilgoci, istotę z cienia unoszącą się na wysokości, bladą twarz Mała, który klęczał przy mnie. Widziałam, jak jego wargi układają się w moje imię, ale go nie słyszałam. Traciłam już przytomność.

Na koniec usłyszałam głos Darklinga - tak wyraźny, jak gdyby leżał tuż obok mnie, przyciskając usta do mojego ucha, szepcząc, by nikt poza mną nie dosłyszał: „Dziękuję”.

2.

Znowu ciemność. Coś we mnie wrze. Stukam światła, lecz nie mogę go dosięgnąć.

Otwieram oczy. Widzę grymas na twarzy Ivana.

- Ty to zrób - mamrocze do kogoś.

Potem pochyła się nade mną Genia, piękniejsza niż kiedykolwiek, nawet w utyłanej czerwonej kefcie. Czy ja śnię?

Przykłada mi coś do ust.

- Pij, Alino.

Próbuję odtrącić kubek, ale nie mogę poruszyć rękoma.

Ktoś zaciska mi nos, przemocą rozchyła usta. Do gardła splywa mi jakiś bulion. Kaszlę i się krztuszę..

- *Gdzie jestem? - próbuję się odezwać.*

Słysząc inny głos, zimny i czysty:

- *Uśpij ją z powrotem.*

Jadę na dwukółce z Aną Kuyą, wracamy z wioski. Kościstym łokciem kłuje mnie w żebro, kiedy podskakujemy na wybojach drogi, która doprowadzi nas do domu w Keramzinie. Mal siedzi po jej drugiej stronie, śmieje się i pokazuje palcem wszystko, co mijamy.

Wjeżdżamy na ostatnie wzgórze. Gruby kucyk mozoli się pod górę, potrząsając potarganą grzywą. W połowie drogi mijamy mężczyznę i kobietę, idących poboczem. On gwizdże i macha do rytmu laską. Kobieta wlecze się za nim z pochyloną głową, niosąc na plecach bryłę soli.

- Czy oni są bardzo biedni? - pytam Anę Kuyę.

- Nie tak jak inni.

- To czemu on nie kupi osiołka?

- Niepotrzebny mu osiołek - odpowiada Ana Kuya. - Ma żonę.

- Ja się ożenię z Aliną - oznajmia Mal.

Wózek ich mija. Mężczyzna zdejmując czapkę i pozdrawia nas wesoło.

Mal odkrzykuje radośnie, macha i się uśmiecha, prawie podskakuje na siedzeniu.

Ja oglądam się przez ramię, wyciągam szyję, by popatrzeć na kobietę, która z trudem idzie %a mężem. To ledwie dziewczę, ale oczy ma stare i zmęczone.

Anie Kui nic nie umyka.

- Taki jest los młodych wieśniaczek, które nie mogą korzystać z laski księcia. Właśnie dlatego musisz być wdzięczna i co noc się za niego modlić.

Szczęk łańcuchów.

Zmartwiona twarz Genii.

- Nie możemy dalej jej tego robić, to niebezpieczne.

- Nie mów mi, jak mam robić swoje - warczy Ivan.

Darkling w czerni spowity w cień. Pode mną rytm morza. Uświadamiam sobie raptownie - jesteś na statku.

Proszę, niech to okaże się sen.

Znów jestem w drodze do Keramzina, obserwuję pochylony kark kucyka, który znośnie człapie pod górę. Kiedy oglądam się za siebie, dziewczyna uginająca się pod bryłą soli ma moją twarz. Obok mnie na wózku siedzi Baghra.

- Wół czuje jarzmo - mówi - lecz czy ptak odczuwa ciężar skrzydeł?

Oczy ma czarne jak smoła. „Bądź wdzięczna” - mówią. „Bądź wdzięczna”. Strzelają lejce.

- Pij!

Znowu bulion. Tym razem się nie opieram. Nie chcę się znowu dławić. Kładę się na plecach, opadają mi powieki, odpływam, za słaba na walkę.

Dłoń na moim policzku.

- Mal - udaje mi się wydusić.

Dłoń znika.

Nicość.

- Wstawaj. - Tym razem nie rozpoznaję głosu. - Wybudź ją.

Otwieram powieki powoli. Czy ja wciąż śnię? Pochyliła się nade mną chłopak: rude włosy, złamany nos. Przypomina mi nazbyt szczwanego lisa z innej opowieści Any Kui. Lis był szczwany, więc wydostał się z pułapki, lecz za głupi, by zrozumieć, że z drugiej się nie wymknie. Za nim stoi inny chłopak, lecz ten to olbrzym - jeden z największych ludzi, jakich w życiu widziałam. Jego złote oczy są po szuhańsku skośne.

- Alina - mówi lis. Skąd wie, jak się nazywam?

Drzwi się otwierają i widzę kolejną obcą twarz. Dziewczyna ma krótkie, ciemne włosy i takie same złote oczy jak olbrzym.

- Idą - mówi.

Lis klnie.

- Uśpij ją z powrotem.

Olbrzym się zbliża. Ciemność nadciąga.

- Prosię, nie...

Za późno. Ciemność mnie schwyciła.

Ja, dziewczyna, wspinam się mozolnie pod górę. Buty chlupoczą mi w błocie, a plecy bolą od ciężaru soli. Kiedy już mi się wydaje, że nie zdołam zrobić ani jednego kroku więcej, czuję, jak unoszę się w powietrze. Sól osuwa mi się z pleców i patrzę, jak roztrzaskuje się na powierzchni drogi. Unoszę się coraz wyżej. Pod sobą widzę dwukólkę, jej troje pasażerów, którzy patrzył na mnie z rozdziawionymi ze zdumienia ustami. Widzę, jak mój cień przesuwają się po nich, po drodze i po jałowych, zimowych polach, czarna sylwetka dziewczyny uniesionej przez własne, rozpostarte skrzydła.

Najpierw wiedziałam, że prawdziwe jest bujanie okrętu, skrzywienie takielunku, uderzenia wody o kadłub.

Kiedy próbowałam się obrócić, ramię przeszył mi ostry ból. Jęknęłam i zerwałam się, otwierając oczy, zupełnie przytomna, z galopującym sercem. Poczulałam falę mdłości i musiałam pomrużyć, żeby przestało mi się ćmić przed oczyma. Znajdowałam się w schludnej kajucie i leżałam na wąskiej koi. Przez bulaj wlewało się światło dnia.

Na brzegu mojego łóżka siedziała Genia. Czyli mi się nie przyśniła. A może teraz śniłam? Pokręciłam głową, by pozbiierać myśli, a w nagrodę znowu zrobiło mi się niedobrze. Przykra woń unosząca się w powietrzu nie pomagała mi na żołądek. Zmusiłam się, by zrobić długi, niepewny wdech.

Genia miała na sobie czerwoną keftę haftowaną na niebiesko. Nie widziałam wcześniej tego zestawu u żadnego innego Griszy. Szata była brudna i nieco znoszona, lecz Genia włosy miała ułożone w idealne pukle i wyglądała śliczniej niż jakakolwiek królowa. Przysunęła mi cynowy kubek do ust.

- Pij - powiedziała.
- Co to jest? - zapytałam nieufnie.
- To tylko woda.

Próbowałam wziąć od niej kubek i uzmysłowiłam sobie, że mam skute nadgarstki. Uniosłam ręce niezdarnie. Woda miała lekki metaliczny posmak, ale byłam bardzo spragniona. Upiłam łyczek, zakaszlałam, a potem piłam chciwie.

- Pomału - powiedziała i odsunęła mi dłonią włosy z twarzy - bo się pochorujesz.

- Jak długo? - zapytałam, zerkając na Ivana, który przyglądał mi się, opierając się o drzwi. - Jak długo byłam nieprzytomna?

- Nieco ponad tydzień - powiedziała Genia.

- Tydzień?

Wpadłam w panikę. Cały tydzień Ivan spowalniał mi tętno, żebym traciła przytomność.

Zerwałam się z koi i zakręciło mi się w głowie. Przewróciłabym się, gdyby Genia mnie nie podtrzymała. Siłą woli odpędziłam zawroty głowy, straciłam jej ręce i zatoczyłam się w stronę bulaja, po czym wyrzałam przez zaparowane okrągłe szkło. Nic. Nic tylko sine morze. Nie było przystani. Nie było nabrzeża. Nowoziemsk było daleko stąd. Walczyłam ze wzbierającymi łzami.

- Gdzie jest Mal? - zapytałam. Kiedy nikt nie odpowiedział, obróciłam się. - Gdzie jest Mal? - zażądałam od Ivana odpowiedzi.

- Darkling chce cię widzieć - powiedział. - Masz dość sił, by iść, czy mam cię nieść?

- Daj jej chwilę - powiedziała Genia. - Niech coś zje, umyje sobie chociaż buzię.

- Nie. Weźcie mnie do niego.

Genia zmarszczyła czoło.

- Nic mi nie jest - upierałam się. Właściwie to było mi słabo, kręciło mi się w głowie i byłam przerażona.

Nie zamierzałam jednak kłaść się z powrotem na tej koi, a potrzebne mi były informacje, a nie jedzenie.

Kiedy wyszliśmy z kajuty, uderzyła w nas ściana smrodu. Nie był to zwykły odór okrętu, złożony z woni zęzy, ryb i ciał, jaki zapamiętałam z podróży na pokładzie „Verrhadera”, lecz coś znacznie gorszego. Zakrztusiłam się i zacisnęłam usta. Nagle byłam zadowolona, że nic nie jadłam.

- Co to?

- Krew, kości, wytapiane sadło - odparł Ivan. Znajdowaliśmy się na pokładzie wielorybnika. - Człowiek się przyzwyczaja.

- Ty się przyzwyczajasz - odparowała Genia, marszcząc nos.

Doprowadzili mnie do luku, który wiódł na pokład nad nami. Ivan wdrapał się po drabinie, a ja wygramoliłam się prędko za nim, bo śpieszno mi było, by wydostać się z mrocznych trzewi statku oraz uwolnić się od tej woni gnicia. Trudno było się wspinać z rękoma skutymi żelazem i Ivan szybko stracił cierpliwość. Złapał mnie za nadgarstki i wciągnął do góry. Wdychałam zimne powietrze głęboko i mrugałam w ostrym świetle.

Wielorybnik toczył się z łoskotem pod pełnymi żaglami, gnany przez troje Griszów-Szkwalników, którzy stali przy masztach z uniesionymi rękami i w błękitnych keftach łopoczących im wokół nóg. Eterealnicy - Zakon Przyzywaczy. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej byłam jedną z nich.

Członkowie załogi okrętu mieli na sobie samodziałowe ubrania i wielu z nich było boso, aby lepiej zachować równowagę na śliskim podkładzie. „Nie mają mundurów” - zauważyłam. Czyli nie byli z wojska. Nie widziałam też, by statek miał jakąś banderę.

Pozostałych Griszów Darklinga łatwo było dojrzeć pośród załogi, nie tylko ze względu na ich jaskrawe kefty, lecz także dlatego, że stali wzdłuż relingu beczynnie, wpatrując się

w morze albo rozmawiając, podczas gdy zwykli żeglarze pracowali. Widziałam nawet Fabrykatorkę w purpurowej kefcie, która czytała oparta o zwój lin.

Kiedy mijaliśmy dwa ogromne kotły z kutego żelaza usytuowane na pokładzie, poczułam solidny powiew tego smrodu, który na dole był tak silny.

- Sagany do wytapiania oleju - wyjaśniła Genia. - Podczas tej wyprawy ich nie używano, ale smród nigdy nie słabnie.

Kiedy szliśmy wzdłuż pokładu, zarówno Griszowie, jak i członkowie załogi wbili w nas wzrok. Kiedy mijaliśmy bezanmaszt, podniosłam oczy i zobaczyłam ciemnowłosą dziewczynę oraz chłopaka z mojego snu. Wysoko nad nami, zwisali z olinowania jak drapieżne ptaki, obserwując nas dwiema parami złotych oczu.

Czyli to w ogóle nie był sen. Byli w mojej kajucie.

Ivan przywiódł mnie na dziób statku, gdzie czekał Darkling. Stał odwrócony do nas plecami, wpatrując się w błękitny horyzont nad bukszprytem. Czarna kefta kłębiła się wokół niego jak atramentowy wojenny sztandar.

Genia oraz Ivan uklonili się i zostawili nas samych.

- Gdzie jest Mal? - wycharczałam. Gardło wciąż miałam zdarte.

Darkling się nie odwrócił, lecz pokręcił głową i rzekł:

- Przynajmniej jesteś przewidywalna.

- Przykro mi, że cię nudzę. Gdzie on jest?

- Skąd wiesz, że żyje?

Przewróciło mi się w żołądku.

- Bo cię znam - odparłam z pewnością siebie, której nie czułam.

- A gdyby nie żył? Rzuciłabyś się do morza?

- Tylko gdybym mogła cię z sobą pociągnąć. Gdzie on jest?

- Obejrzyj się za siebie.

Obróciłam się gwałtownie. Daleko, po drugiej strony górnego pokładu, przez splątane liny i takielunek zobaczyłam Mala. Otaczały go straże złożone z Korporalników, lecz koncentrował się na mnie. Obserwował nas, czekał, aż się odwrócę. Zrobiłam krok do przodu. Darkling złapał mnie za ramię.

- Ani kroku dalej - rzekł.

- Pozwól mi z nim porozmawiać - powiedziałam błagalnie. Nienawidziłam tonu desperacji we własnym głosie.

- Nie ma szans. Wy dwoje macie przykry zwyczaj postępować głupio i uważać to za heroizm.

Darkling uniósł dłoń, a straże zaczęły wyprowadzać Mala.

- Alina! - krzyknął Mal, a potem jęknął, kiedy strażnik trzepnął go mocno po twarzy.

- Mal! - zawołałam, kiedy pomimo oporu wciągali go pod pokład. - Mal!

Wyrwałam się z rąk Darklinga i rzuciłam przez ściśnięte gniewem gardło:

- Jeśli zrobisz mu krzywdę...

- Nie zrobię mu krzywdy - powiedział. - Przynajmniej póki może być dla mnie użyteczny.

- Ma mu się nic nie stać.

- Jak na razie nic mu nie grozi, Alino. Ale nie wystawiaj mnie na próbę. Jeśli któreś z was zrobi coś niestosownego, ucierpi drugie. Jemu powiedziałem to samo.

Zacisnęłam oczy, starając się stłumić własną furię i rozpacz. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Skinęłam potakująco.

Darkling znowu pokręcił głową.

- Z wami dwojgiem jest tak łatwo. Ja kłuję jego, a krwawisz ty.

- A ty nie umiesz tego ani trochę pojąć, prawda?

Wyciągnął dłoń i postukał w obrożę Morozova, muskając palcami skórę mojej szyi. Nawet ten leciutki dotyk otworzył łączność między nami i zwielokrotniona potęga rozbrzmiała we mnie jak dzwon.

- Rozumiem, ile trzeba - powiedział cicho.

- Chcę go widywać - wykrztusiłam. - Codziennie. Chcę wiedzieć, że jest bezpieczny.

- Oczywiście. Nie jestem okrutny, Alino. Jedynie ostrożny.

Niewiele brakowało, a zaśmiałabym się w głos.

- Czy to dlatego jednemu ze swoich potworów kazałeś mnie ugryźć?

- Nie dlatego - odparł, patrząc mi w oczy spokojnie. Spojrzał na mój bark. - Boli?

- Nie - skłamałam. Po ustach przemknął mu cień uśmiechu.

- Będzie lepiej - powiedział. - Ale tej rany nie da się nigdy w pełni uleczyć. Nawet przez Griszę.

- Te stwory...

- Nisztoje.

Nic-stwory. Zadygotałam na myśl o klekocie i szmerze, z jakim się przemieszczały, o rozwartych jamach ich ust. W barku poczułam pulsowanie.

- Co to takiego?

Jego usta się przekrzywiły. Subtelny azur blizn na jego twarzy był ledwie widoczny, jak duch mapy. Jedna z blizn przebiegała niebezpiecznie blisko prawego oka. Prawie je utracił. Objął mój policzek dłonią, a kiedy się odezwał, mówił głosem niemal tkliwym.

- To dopiero początek - szepnął.

Zostawił mnie na dziobie. Skóra wciąż tętniła mi od dotyku jego palców, a w głowie kotłowało mi się od pytań.

Zanim zdążyłam je uporządkować, pojawił się Ivan i zaczął mnie ciągnąć po górnym pokładzie.

- Wolniej - zaproponowałam, ale on tylko szarpnął mnie znów za rękaw. Straciłam równowagę i runęłam na kolana, waląc nimi boleśnie o pokład. Ledwie zdążyłam wysunąć skute ręce, by nie walnąć o pokład twarzą. Skrzywiłam się, bo wbiła mi się drzazga.

- Ruchy - rozkazał Ivan. Podniosłam się z wysiłkiem. Szturchnął mnie końcem buta i znowu straciłam równowagę, bo kolano mi się wysunęło. Ponownie padłam na pokład z głośnym hukiem. - Mówię - „ruchy”.

Wtedy duża dłoń mnie uniosła i delikatnie postawiła na nogach. Kiedy się odwróciłam, z zaskoczeniem ujrzałam olbrzymia i ciemnowłosą dziewczynę.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

- To nie twoja sprawa - odparł Ivan gniewnie.

- Ona jest więźniem Sturmhonda - odparła dziewczyna. - Należy ją należycie traktować.

Sturmhond. Brzmiało znajomo. Czy to zatem jego statek? Załoga? Wspominano o nim na pokładzie „Verrhadera”. Był ravenańskim korsarzem oraz przemytnikiem, osławionym za sprawą tego, że przebił się przez fjerdańską blokadę i zbił ogromny majątek, napadając statki nieprzyjaciela. Nie pływał jednak pod banderą z podwójnym orłem.

- Jest więźniem Darklinga - powiedział Ivan - a do tego zdrajczynią.

- Może na łodzi - odparowała dziewczyna. Ivan zaczął trajkotać po szuhańsku - nie zrozumiałam go. Olbrzym się tylko roześmiał.

- Mówisz po szuhańsku jak turysta - orzekł.

- A my nie będziemy słuchać twoich rozkazów w żadnym języku - dodała dziewczyna.

Ivan uśmiechnął się półgębkiem:

- Czyżby? - Drgnęła mu dłoń, a dziewczyna złapała się za pierś i przyklęła.

W okamgnieniu olbrzym rzucił się na Ivana z paskudnym, wygiętym ostrzem. Ivan nieśpiesznie strzepnął drugą ręką i olbrzym się skrzywił. Ale się nie zatrzymał.

- Zostaw ich w spokoju - zaoponowałam, bezradnie szarpiąc kajdany. Mogłam przywołać światło ze związanymi nadgarstkami, ale nie miałam jak go skupić.

Ivan nie zwracał na mnie uwagi. Zaciśnął dłoń w pięść. Olbrzym stanął w miejscu i upuścił miecz. Pot zrosił mu czoło. Ivan wyciskał mu życie z serca.

- Nie podskakujmy, ye *zho* - zbeształ Ivan.

- Zabijesz go! - zawołałam w panice. Wbiłam Ivanowi bark w bok, próbując go przewrócić.

W tej chwili dwukrotnie rozległ się donośny trzask.

Ivan zamarł, a uśmieszek znikł z jego twarzy. Za nim stał wysoki chłopak, mniej więcej w moim wieku, może parę lat starszy - rude włosy, złamany nos. Szczwany lis. W rękę miał odbezpieczony pistolet, a lufę wbijał Ivanowi w kark.

- Jestem dobrym gospodarzem, rzeźniku, ale w każdym domu panują pewne zasady.

Gospodarz. Czyli to musi być Sturmhond. Wyglądał za młodo jak na jakiegokolwiek kapitana.

Ivan opuścił ręce.

Olbrzym nabrał powietrza z sykiem. Dziewczyna się podniosła, wciąż trzymając się za pierś. Oboje ciężko dyszeli, a oczy gorzały im nienawiścią.

- Grzeczny facet - powiedział Sturmhond do Ivana. - Teraz odprowadzę więźnia do kajuty, a ty zmykaj i zajmij się... tym czymś, cokolwiek robisz, kiedy wszyscy inni pracują.

Ivan skrzywił się gniewnie:

- Nie myślę...

- Ewidentnie. Po co więc teraz się za to zabierać?

Ivan pokraśniał ze złości:

- Ty nie...

Sturmhond pochylił się ku niemu. Po lekkim tonie nie było już śladu, a wcześniejszą swobodę zastąpiło coś ostrego jak miecz:

- Mam gdzieś, kim jesteś na łądzie. Na tym okręcie stanowisz wyłącznie balast. Chyba że wystawię cię za burtę - wówczas będziesz przynętą na rekiny. Lubię rekiny. Po ugotowaniu twarde, ale zawsze to jakieś urozmaicenie. Miej to na uwadze, kiedy następnym razem najdzie cię ochota, żeby grozić komuś na pokładzie tego statku.

Cofnął się o krok i rzucił z wcześniejszą wesołością:

- Idźże, przynęto na rekiny. Zmykaj do swojego pana.

- Nie zapomnę ci tego, Sturmhond - warknął Ivan.

Kapitan przewrócił oczami.

- Przecież o to właśnie chodzi.

Ivan odwrócił się na pięcie i odmaszerował. Sturmhond schował broń do kabury i odezwał się do mnie z miłym uśmiechem:

- Zdziwiające, jak łatwo na statku robi się tłok, prawda? - Wyciągnął rękę i poklepał olbrzyma oraz dziewczynę po ramionach. - Dobrze się spisaliście - powiedział cicho. Oni wciąż

patrzyli na Ivana. Dziewczyna zaciskała pięści. - Nie chcę kłopotów - ostrzegł kapitan. - Zrozumiano?

Olbrzym i dziewczyna spojrzeli na siebie nawzajem, po czym skinęli głowami z niechęcią.

- Dobrze - rzekł Sturmhond. - Wracajcie do pracy. Zabiorę ją pod pokład. - Znowu skinęli głowami. Potem ku mojemu zdumieniu każde z nich skłoniło mi się, zanim wyszli.

- Są rodziną? - zapytałam, patrząc, jak odchodzą.

- Bliźnięta - odparł. - Tolia i Tamar.

- A ty jesteś Sturmhond.

- W lepsze dni - odpowiedział. Na biodrach miał parę pistoletów i był ubrany w skórzane bryczesy oraz jaskrawy, turkusowy surdut z krzykliwymi, złotymi guzikami i ogromnymi mankietami. Taki strój byłby na miejscu na sali balowej albo na scenie w operze, ale nie na pokładzie okrętu.

- Co robi pirat na wielorybniku? - zapytałam.

- Korsarz - poprawił mnie. - Mam kilka statków. Darkling chciał wielorybnik, więc mu zorganizowałem.

- Czyli ukradłeś.

- Pozyskałem.

- Byłeś w mojej kajucie.

- Wiele kobiet o mnie śni - rzucił lekko, prowadząc mnie po pokładzie.

- Widziałam cię, kiedy się przebudziłam - upierałam się. - Muszę...

Uniósł dłoń:

- Nie strzęp sobie języka po próżnicy, śliczności.

- Przecież nawet nie wiesz, co chciałam powiedzieć.

- Zamierzałaś mnie zjednywać, powiedzieć mi, że potrzebujesz mojej pomocy, nie możesz mi zapłacić, ale serce masz czyste... to, co zwykle.

Zamrugałam. Dokładnie taki miałam zamiar.

- Ale...

- Próżny trud, strata czasu, szkoda na to pięknego popołudnia - rzekł. - Nie lubię, kiedy maltretuje się więźniów, ale nic więcej mnie nie obchodzi.

- Ty...

Pokręcił głową:

- W dodatku słynę z obojętności na rzewne historie. Jeśli więc w twojej historii nie ma gadającego psa, to ja nie mam ochoty jej wysłuchiwać. Jest?

- Czy co jest?

- Czy jest w niej gadający pies.

- Nie - fuknęłam. - Jest w niej przyszłość królestwa i wszystkich jego mieszkańców.

- Szkoda - powiedział, wziął mnie pod ramię i poprowadził do luku na rufie.

- Wydawało mi się, że pracujesz dla Ravki - rzuciłam gniewnie.

- Pracuję dla najbardziej nabitej kabzy.

- Więc sprzedasz swój kraj Darklingowi za trochę złota?

- Nie, za dużo złota - odparł niefrasobliwie. - Zapewniam, że tani nie jestem.-Wskazał dłonią luk: - Ty przodem.

Z pomocą Sturmhonda dotarłam do kajuty, gdzie czekało dwoje Griszów, aby mnie zamknąć. Kapitan skłonił się i opuścił mnie bez słowa.

Usiadłam na koi i wsparłam głowę na rękach. Sturmhond mógł strugać wariata do woli. Wiedziałam, że był w mojej kabinie,

i musiał mieć jakiś powód. A może po prostu chwytałam się każdego strzępka nadziei.

Kiedy Genia przyniosła tacę z obiadem, leżałam zwinięta w kłębek na koi i patrzyłam w ścianę.

- Powinnaś jeść - powiedziała.

- Daj mi spokój.

- Od dąsów robią się zmarszczki.

- A od kłamstw kurzajki - powiedziałam cierpko.

Zaśmiała się, weszła do środka i odstawiła tacę. Podeszła do bulaja i przejrzała się w szkło.

- Może powinnam zostać blondynką - powiedziała. - Korporalnicka czerwień strasznie się gryzie z moimi włosami.

Zerknęłam na nią przez ramię:

- Dobrze wiesz, że mogłabyś się ubrać w zaschnięte błoto, a i tak przyćmiłabyś każdą dziewczynę w promieniu dwóch kontynentów.

- Prawda - przyznała z uśmiechem. Nie uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Westchnęła i wbiła wzrok w czubki butów. - Brakowało mi ciebie - powiedziała.

Zaskoczyło mnie, jak bardzo jej słowa mnie zraniły. Mnie też jej brakowało. Czułam się przez to jak idiotka.

- Byłaś kiedyś moją przyjaciółką? - zapytałam.

Przysiadła na brzeжку koi.

- Czy to robi różnicę?

- Lubię wiedzieć, jaka dokładnie byłam głupia.

- Uwielbiałam być twoją przyjaciółką, Alino. Ale nie żałuję tego, co zrobiłam.

- Po tym wszystkim, co on zrobił?

- Wiem, że uważasz go za potwora, ale on stara się robić to, co dobre dla Ravki i dla nas wszystkich.

Odepchnęłam się łokciami. Tak długo żyłam ze świadomością kłamstw Darklinga, że łatwo było zapomnieć, jak niewiele osób wiedziało, czym on naprawdę jest.

- Genia, on stworzył Fałdę.

- Czarny Heretyk...

- Nie ma żadnego Czarnego Heretyka - wyjawiałam prawdę, którą Baghra odsłoniła przede mną wiele miesięcy temu w Małym Pałacu. - Winą za Fałdę obarczył przodka, ale był i jest tylko jeden Darkling, a zależy mu wyłącznie na władzy.

- To niemożliwe. Darkling całe życie stara się uwolnić Ravkę od Fałdy.

- Jak możesz tak mówić po tym, co zrobił w Novokribirsku? - Darkling użył mocy Niemorza i zniszczył całe miasto. Była to demonstracja sił, której celem było zastraszenie jego wrogów oraz inauguracja jego rządów. A ja mu to umożliwiłam.

- Wiem, że miał miejsce... incydent.

- Incydent? Zabił setki, może tysiące ludzi.

- A ludzie na skifie? - powiedziała cicho.

Nabrałam powietrza gwałtownie i położyłam się. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w deski nad głową. Nie chciałam pytać, ale wiedziałam, że to zrobię. To pytanie prześladowało mnie długie tygodnie i morskie mile oceanu.

- Czy... ktoś jeszcze przeżył?

- Oprócz Ivana i Darklinga?

Kiwnęłam głową i czekałam.

- Dwoje Inferników, którzy pomogli im uciec - odparła. - Paru żołnierzy Pierwszej Armii wróciło, wydostała się też

Szkwalniczka Nathalia, ale kilka dni później zmarła w wyniku odniesionych ran.

Zamknęłam oczy. Ilu ludzi było na pokładzie tego skifu? Trzydziestu? Czterdziestu? Zrobiło mi się niedobrze. Słyszałam krzyki, wycie wilków. Czułam woń prochu i krwi. Poświęciłam tych ludzi, by ratować życie Mala, by odzyskać wolność, a ostatecznie okazało się, że zginęli na darmo. Znowu byliśmy we władzy Darklinga, który był potężniejszy niż kiedykolwiek.

Genia położyła dłoń na mojej dłoni.

- Zrobiłaś, co musiałaś, Alino.

Zaśmiałam się szorstko i wyrwałam dłoń.

- Tak ci mówi Darkling, Geniu? Czy dzięki temu jest łatwiej?

- Nie, tak naprawdę to nie. - Spuściła wzrok i zaczęła układać fałdki swojej kefty. - On mnie wyzwolił, Alino - powiedziała. - Co mam robić? Wracać do pałacu? Do króla? - Pokręciła głową zawzięcie. - Nie. Dokonałam wyboru.

- A inni Griszowie? - spytałam. - Niemożliwe, żeby wszyscy stanęli po stronie Darklinga. Ilu pozostało w Ravce?

Genia znieruchomiła.

- Nie wydaje mi się, aby było mi wolno o tym z tobą rozmawiać.

- Geniu...

- Jedz, Alino. Spróbuj odpocząć. Niedługo dotrzemy do lodu.

Lód. Czyli nie wracamy do Ravki, lecz podróżujemy na północ.

Wstała i otrzepała keftę. Mogła sobie żartować z jej koloru, ale ja wiedziałam, ile ona dla niej znaczy. Stanowiła dowód, że Genia naprawdę jest Griszą - ma opiekę, jest w łaskach, już nie jest służką. Przypomniała mi się tajemniczą choroba, która zmoęła króla tuż przed przewrotem Darklinga. Genia jako jedna z niewielu Griszów miała dostęp do rodziny królewskiej. Wykorzystała to, by zasłużyć na prawo do noszenia czerwieni.

- Geniu - odezwałam się, kiedy była przy drzwiach. - Jeszcze jedno pytanie.

Zatrzymała się z ręką na zasuwie.

Wydawało się to tak mało istotne, niemądre, by mówić o tym po upływie tak długiego czasu. A jednak męczyło mnie to od dawna.

- Listy, które pisałam do Malu w Małym Pałacu. Mówi, że ich nie dostał.

Nie odwróciła się do mnie, ale widziałam, jak opadły jej ramiona.

- Nie zostały wysłane - szepnęła. - Darkling powiedział, że musisz zostawić dawne życie za sobą.

Zamknęła drzwi. Słyszałam, jak je rygluje.

Długie godziny spędzone wspólnie z Genią na rozmowach, zaśmiewaniu się, picciu herbaty, przymierzaniu sukienek. Cały czas mnie okłamywała. Najgorsze w tym było to, że Darkling miał rację. Gdybym nadal kurczowo trzymała się wspomnień o Malu i miłości, jaką do niego czułam, możliwe, że nigdy nie opanowałabym swojej mocy. Ale Genia o tym nie wiedziała. Ona po prostu postąpiła zgodnie z rozkazem, a mnie pękało serce. Nie wiem, co to było, ale przyjaźń raczej nie.

Obróciłam się na bok, czując łagodne kołysanie statku. Czy to takie uczucie być kołysanym do snu w ramionach matki? Nie pamiętałam. Ana Kuya czasem nucila pod nosem, kiedy szła przez dom w Keramzinie, gasząc światło i zamykając dormitoria na noc. Innych kołysanek Mal i ja nie zazналиśmy.

Gdzieś nad głową usłyszałam, jak żeglarz przekrzykuje wiatr. Rozległ się dźwięk dzwonka na zmianę warty. „Żyjemy” - powiedziała sobie. „Już raz mu uciekliśmy. Uciekniemy znowu”. Na niewiele się to jednak zdało i w końcu poddałam się i przestałam hamować łyzy. Sturmhond został opłacony. Genia wybrała Darklinga. Mal i ja byliśmy zdani sami na siebie jak

zawsze, bez przyjaciół i sprzymierzeńców, otoczeni bezlitosnym morzem. Choćby nawet udało nam się wymknąć, tym razem nie było dokąd uciekać.

3.

Niespełna tydzień później wypatrzyłam pierwsze kry. Byliśmy na dalekiej północy gdzie morze było ciemniejsze, a lód wyrastał z głębin w postaci niebezpiecznych kolców. Mimo że był początek lata, wiatr był przeszywający. O poranku sznury były sztywne od przymrozku.

Długie godziny spędzałam, chodząc tam i z powrotem po kajucie oraz wpatrując się w bezkresne morze. Co rano wyprowadzano mnie na pokład, gdzie mogłam rozprostować nogi i popatrzeć na Maa z daleka. Darkling zawsze stał przy relingu, mierzył wzrokiem horyzont i czegoś wypatrywał. Sturmhond oraz jego załoga trzymali się na dystans.

Siódmego dnia przepłynęliśmy między dwoma wyspami z kwarcowych piaskowców. Pamiętałam je z czasów, gdy byłam kartografką - Jelka i Vilki, Widelec i Nóż. Znajdowaliśmy się na Kostnym Szlaku - rozległym ścieku, gdzie niezliczone okręty się rozbiły o nienazwane wyspy, które wylaniały się z mgieł. Na mapach oznaczano Szlak czaszkami marynarzy, potworami z rozdziawionymi gębami, syrenami o białych jak lód włosach i oczach czarnych jak u fok. Tylko najbardziej doświadczeni fjerdańscy łowcy się tu zapuszczali w poszukiwaniu skór i futer, ryzykując życiem dla bogatych zdobyczy. Co jednak my chcieliśmy zdobyć?

Sturmhond rozkazał zwinąć częściowo żagle i sunęliśmy wolno przez mgłę. Statek spowijała nerwowa cisza. Przyglądałam się

szalupom wielorybnika, półkom z harpunami wykończonymi grisaicką stalą. Nietrudno było się domyślić, do czego miały służyć. Darkling poszukiwał jakiegoś wzmacniacza. Analizowałam zastęp Griszów, zastanawiając się, kogo Darkling wyróżni jednym ze swoich „darów”. Zrodziło się we mnie straszliwe podejrzenie.

„To obłąd” - przekonywałam samą siebie. „Nie waży się tego próbować”. Lecz ta myśl nie podniosła mnie na duchu. Zawsze ważył się na wszystko.

Następnego dnia Darkling rozkazał przyprowadzić mnie do siebie.

- Dla kogo? - zapytałam, kiedy Ivan mnie odstawił obok relingu po sterburcie.

Darkling wpatrywał się tylko w fale. Pomyślałam, czy by go nie wypchnąć za burtę. Pewnie, ma setki lat, ale czy umie pływać?

- Powiedz mi, że nie rozważasz tego, co myślę. Powiedz mi, że wzmacniacz ma być dla jakiejś innej głupiej, łatwowiernej dziewczyny.

- Dla kogoś mniej upartego? Mniej samolubnego? Mniej złąknionego mysiego życia? Uwierz mi - rzekł - chciałbym, by tak było.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Grisza może mieć tylko jeden wzmacniacz. Sam mi tak mówiłeś.

- Ze wzmacniaczami Morozova jest inaczej.

Zamarłam ze zdumienia.

- Jest drugi taki jak jeleń?

- One miały być wykorzystywane razem, Alino. Są wyjątkowe tak jak my.

Pomyślałam o książkach z dziedziny griszaickiej teorii, które czytałam. Każda jedna mówiła to samo: moc Griszy nie może być bezkresna, należy ją ująć w karby.

- Nie - powiedziałam. - Nie chcę tego. Chcę...

- Ty chcesz - zakpił Darkling. - Ja chcę patrzeć, jak twój tropiciel powoli kona z moim nożem w sercu. Chcę, by morze pochłonęło was oboje. Ale nasze losy się splotły, Alino, i żadne z nas nic na to nie poradzi.

- Oszalałeś.

- Wiem, że czerpiesz przyjemność z tej myśli - powiedział. - Ale wzmacniacze trzeba połączyć. Jeśli mamy liczyć na kontrolę nad Fałdą...

- Nie można kontrolować Fałdy. Trzeba ją zniszczyć.

- Ostrożnie, Alino - uśmiechnął się lekko. - To samo pomyślałem o tobie. - Skinął na Ivana, który czekał w dyktowanej szacunkiem odległości. - Przyprowadź chłopaka.

Serce stanęło mi w gardle.

- Czekaj. Mówiłeś, że nie zrobisz mu krzywdy.

Nie zwracał na mnie uwagi. Rozejrzałam się dookoła jak głupia. Jak gdyby ktokolwiek na tym przeklętym przez Świętych statku miał wysłuchać moich błagań. Sturmhond stał u steru i przyglądał się nam beznamiętnie. Złapałam Darklinga za rękaw:

- Umawialiśmy się. Nic nie zrobiłam. Mówiłeś...

Darkling spojrział na mnie chłodnymi oczyma w kolorze kwarcu i słowa zamarzyły mi na ustach.

Chwilę później pojawił się Ivan z Malem. Przyprowadził go do relingu. Mał stanął przed nami ze związanymi rękoma, mrużąc oczy w świetle słońca. Tak blisko siebie nie byliśmy od wielu

tygodni. Był blady oraz zmęczony, ale wydawał się cały i zdrowy. Na jego nieufnej twarzy malowało się pytanie, na które nie miałam odpowiedzi.

- Dobrze, tropicielu - rzekł Darkling. - Trop.

Mal powiódł wzrokiem od Darklinga ku mnie i z powrotem.

- Co mam tropić? Jesteśmy na środku oceanu.

- Alina mówiła mi kiedyś, że mógłbyś z kamieni zrobić króliki. Osobiście przepytalem załogę „Verrhadera”. Twierdzili, że na morzu masz równie wybitne zdolności. Zdawali się sądzić, że jakiś fartowny kapitan bardzo się wzbogaci na twoich umiejętnościach.

- Chcesz, żebym tropił wieloryby? - Mal zmarszczył brew.

- Nie - odparł Darkling. - Chcę, żebyś zapolował na węża morskiego.

Wpatrywaliśmy się w niego, zszokowani. Niewiele brakowało, a byłabym się zaśmiała.

- Szukasz smoka? - zapytał Mal z niedowierzaniem.

- Smoka lodowego - rzekł Darkling. - Rusała.

Rusał. Według opowieści wąż morski to przeklęty książę, który musi przybierać postać gada i strzec lodowatych wód Kostnego Szlaku. To drugi wzmacniacz Morozova?

- To baśń - Mal wypowiedział to, co sama myślałam. - Bajka dla dzieci. On nie istnieje naprawdę.

- W tych wodach od lat widuje się węża morskiego - odparł Darkling.

- Jak również syreny i białe selkie. To mit.

- Jak jelen? - Darkling uniósł brew.

Mal zerknął na mnie. Leciutko pokręciłam głową. Niezależnie od tego, co Darkling robi, my mu w tym nie pomożemy.

- Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć. - Mal spojrział w fale.

- Ze względu na nią mam nadzieję, że to nieprawda.

- Darkling wyjął z keyty smukły nóż. - Bo każdego dnia, kiedy nie znajdziemy węża morskiego, będę zdierał jej kawałek skóry. Powoli. Potem Ivan będzie ją leczył, a następnego dnia zrobimy to od nowa.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

- Nie zrobisz jej krzywdy - powiedział Mal, ale w jego głosie pobrzmiwał lęk.

- Nie chcę jej skrzywdzić - rzekł Darkling. - Chcę, żebyś zrobił to, o co proszę.

- Jelenia szukałem miesiącami - powiedział Mal desperacko. - Do teraz sam nie wiem, jak nam się udało.

Podszedł do nas Sturmhond. Tak bardzo się skupiałam na Malu i Darklingu, że prawie o nim zapomniałam.

- Nie pozwolę torturować dziewczyny na moim pokładzie - oznajmił.

Darkling popatrzył na korsarza chłodno:

- Pracujesz dla mnie, Sturmhond. Rób, co do ciebie należy, bo inaczej będziesz miał ważniejsze zmartwienia niż zapłata.

Po okręcie przeszła paskudna fala wzburzenia. Członkowie załogi Sturmhonda mierzyli wzrokiem Griszów, i nie wyglądali przyjaźnie. Genia przyciskała dłoń do ust, ale słowem się nie odezwała.

- Daj tropicielowi trochę czasu - rzekł Sturmhond cicho. - Tydzień, przynajmniej kilka dni.

Darkling przejechał palcami po moim ramieniu. Odsunął rękaw i odsłonił nagie, białe ciało.

- Może zacznę od jej ręki? - zapytał. Opuścił rękaw, a potem musnął wierzchem dłoni mój policzek. - Czy od twarzy? - Skinął głową na Ivana - Przytrzymaj ją.

Ivan chwycił mnie za tył głowy. Darkling podniósł nóż. Kątem oka widziałam, jak ostrze odbija światło.

Próbowałam się odchylić, ale Ivan mnie unieruchomił. Klinga dotknęła mojego policzka. Nabrałam powietrza z przestachem.

- Przestań! - krzyknął Mal.

Darkling czekał.

- Zrobię... zrobię to.

- Mal, nie - powiedziałam z odwagą, której nie czułam.

Mal przełknął ślinę i powiedział:

- Ustawcie kurs na południowy zachód. Z powrotem.

Zastygłam w bezruchu. Czy on coś widział? Czy po prostu próbuje mnie ochronić przed cierpieniem?

Darkling przekrzywił głowę na bok i przyjrzał mu się bacznie.

- Sądzę, że nie ośmieliłbyś się ze mną igrać, tropicielu.

Mal skinął głową ostro:

- Zrobię to. Znajdę go. Tylko... tylko daj mi trochę czasu.

Darkling schował nóż do pochwy. Wypuściłam powietrze powoli, starając się powstrzymać dreszcz.

- Masz tydzień - rzekł, odwrócił się i zniknął w luku. - Przyrowadź ją - zawołał do Ivana.

- Mal... - zaczęłam mówić. Ivan złapał mnie za ramię. Mal uniósł spętane ręce i wyciągnął je ku mnie. Przelotnie zetknęliśmy się palcami. Potem Ivan zaciągnął mnie do luku.

Schodziliśmy głębiej w zawilglę trzewia statku. Miałam mętlik w głowie. Gramoląc się za Ivanem, próbowałam zrozumieć wszystko, co się właśnie wydarzyło.

Darkling powiedział, że nie zrobi Malowi krzywdy dopóty, dopóki będzie go potrzebować. Sądziłam, że chce go wykorzystać, by zapewnić sobie moje posłuszeństwo, teraz jednak jasno było widać, że chodzi o coś więcej. Czy Mal naprawdę uważa, że da radę znaleźć węża morskiego, czy gra na czas? Sama nie wiedziałam, co by było lepsze. Perspektywa tortur nie napawała mnie entuzjazmem, ale co będzie, jeśli faktycznie znajdziemy lodowego smoka? Co by oznaczał drugi wzmacniacz?

Ivan wciągnął mnie do przestronnej kabiny, która wyglądała jak kwatery kapitana. Sturmhond pewnie tłoczy się z resztą załogi. Do jednego z kątów wsunięto łóżko, a łukowata ściana od rufy miała rząd okien o grubych szybach. Rozmyte światło padało przez okna na biurko, za którym zasiadł Darkling.

Ivan się uklonił i wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

- On z trudem wytrzymuje w twoim towarzystwie - odezwałam się, nie oddalając się od drzwi. - Boi się tego, czym się stałeś. Wszyscy się tego boją.

- Czy ty się mnie boisz, Alino?

- Tego właśnie pragniesz, prawda?

Darkling wzruszył ramionami:

- Strach to potężny sojusznik. Lojalny.

Zawsze kiedy, jak teraz, obserwował mnie tak chłodno i badawczo, miałam poczucie, że czyta mnie jak słowa na kartce, jak gdyby przesuwając palcami po tekście i zdobywał jakąś tajemną wiedzę, której ja sama mogłam się zaledwie domyślać. Starłam się nie wiercić, ale żelazo na nadgarstkach mnie ocierało.

- Chciałbym cię uwolnić - powiedział cicho.

- Uwolnić, obdrzeć ze skóry. Tyle możliwości. - Nadal czułam jego nóż na policzku. Westchnął.

- To była groźba, Alino. Przyniosła oczekiwany skutek.

- Czyli byś mnie nie pocałował?

- Tego nie powiedziałem. - Głos miał przyjemny i rzeczowy jak zawsze. Równie dobrze mógłby grozić, że mnie pokroi, albo zamawiać obiad.

W przyćmionym świetle cienkie linie jego blizn były ledwie widoczne. Wiedziałam, że powinnam siedzieć cicho, zmusić go, by pierwszy się odezwał, ale czułam przemożną ciekawość.

- Jak przeżyłeś?

Przesunął dłonią po wyrazistej linii policzka.

- Okazuje się, że wilkrom nie smakuje moje ciało - powiedział prawie obojętnie. - Zwróciłaś uwagę, że nie żywią się sobą nawzajem?

Zadygotałam. To były jego stworzenia, tak jak to coś, co zatopiło zęby w moim barku. Skóra w tym miejscu wciąż tętniła.

- Podobne wzywa podobne.

- Nie jest to doświadczenie, które chciałbym przeżyć powtórnie. Dostyc już mam miłosierdzia wilkrów. Twojego także.

Przeszłam przez pokój i stanęłam przed biurkiem.

- To dlaczego chcesz mi dać drugi wzmacniacz? - zapytałam z desperacją, rozpaczliwie szukając argumentu, który jakoś przemówiłby mu do rozumu. - Może zapomniałeś, ale próbowałam cię zabić.

- I ci się nie udało.

- Niech żyją drugie podejścia. Dlaczego próbujesz sprawić, bym była silniejsza?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Bez wzmacniaczy Morozova Ravka przepadnie. Są one pisane tobie, tak samo jak mnie jest pisane rządzić. Inaczej być nie może.

- Cóż za wygodny dla ciebie układ.

- Układna to ty nie byłaś, Alino. - Uniósł brew.

- Nie można łączyć wzmacniaczy. We wszystkich książkach piszą...

- Nie we *wszystkich* książkach.

Z frustracji chciało mi się wyć.

- Baghra mnie ostrzegła. Mówiła, że jesteś arogancki i zaślepiony przez ambicję.

- Czyżby? - Głos miał lodowaty. - Jakie inne zdrady szeptała ci do ucha?

- Że cię kocha - odparłam gniewnie. - Że wierzy, iż można cię odkupić.

Odwrócił wzrok, ale zdążyłam na jego twarzy dostrzec spazm bólu. Co on jej zrobił? I ile go to kosztowało?

- Odkupienie - mruknął. - Zbawienie. Pokuta. Osobliwe pomysły mojej matki. Może trzeba było zwracać baczniejszą uwagę. - Sięgnął dłonią do biurka i wyjął cienką, czerwoną książkę. Podniósł ją, a złote litery na okładce zamigotały w świetle: *Istorii Sanktja*. - Wiesz, co to jest?

Zmarszczyłam czoło. *Żywoty Świątych*. Jak przez mgłę wróciło wspomnienie - dawno temu w Małym Pałacu Apparat dał mi egzemplarz książki. Wrzuciłam ją do szuflady w toalecie i więcej mi w myślach nie powstała.

- To książeczka dla dzieci - powiedziałam.

- Czytałaś ją?

- Nie - przyznałam. Niespodziewanie zaczęłam tego żałować - Darkling przyglądał mi się nazbyt uważnie. Co takiego ważnego było w starym zbiorze religijnych sztychów?

- Zabobony - powiedział, zerkając na okładkę. - Propaganda wieśniaków. Tak przynajmniej sądziłem. Ilia Morozov był

dziwnym człowiekiem. Trochę podobnym do ciebie - pociągało go to, co zwykle i słabe.

- Mal nie jest słaby.

- Przyznaję, jest utalentowany, ale żaden z niego Grisza. Nigdy nie będzie ci równy.

- Jest mi równy z nawiązką - fuknęłam.

Darkling pokręcił głową. Gdybym nie była na to za mądra, pomyślałabym, że jego twarz wyraża litość.

- Wydaje ci się, że znalazłaś w nim rodzinę. Wydaje ci się, że znalazłaś przyszłość. Ale ty staniesz się potężna, a on się zestarzeje. Przeżyje krótkie życie otkazacji, a ty będziesz patrzeć, jak umiera.

- Zamknij się.

Uśmiechnął się.

- Śmiało, tup nogą, walcz ze swoją prawdziwą naturą. A kraj tymczasem cierpi.

- Przez ciebie!

- Przez to, że zawierzyłam dziewczynie, która nie znosi myśli o tym, na co ją stać. - Wstał i obszedł biurko. Pomimo gniewu zrobiłam krok wstecz i uderzyłam w stojące za mną krzesło.

- Wiem, co czujesz, kiedy jesteś z tropicielem - powiedział.

- Wątpię.

Machnął ręką lekceważąco.

- Nie, nie chodzi o to nedorzeczne rzewne pragnienie, z którego wciąż jeszcze nie wyrosłaś. Znam prawdę w twoim sercu. Samotność. Narastającą świadomość własnej różnicy. - Pochylił się ku mnie. - Towarzyszący jej ból.

Próbowałam zamaskować wrażenie, jakie zrobiła na mnie szokująca celność jego słów.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziałam, ale moje własne słowa brzmiały fałszywie.

- To nigdy nie minie, Alino. Będzie tylko gorzej, niezależnie od tego, za iloma szalikami się schowasz ani ile nakłamiesz, niezależnie od tego, jak szybko i daleko będziesz uciekać.

Chciałam się odwrócić, ale chwycił mnie za podbródek i zmusił, bym na niego spojrzała. Stał tak blisko, że czułam jego oddech.

- Nie ma nikogo takiego jak my, Alino - szepnął. - I nigdy nie będzie.

Odsunęłam się od niego gwałtownie, przewracając krzesło. Prawie straciłam równowagę. Waliłam w drzwi zakutymi w żelazo pięściami, wzywając Ivana. Darkling się przyglądał.

Ivan przyszedł dopiero na rozkaz Darklinga.

Jak przez mgłę docierały do mnie ręce Ivana na plecach, odór korytarza, marynarz, który nas przepuścił, a potem cisza mojej wąskiej kajuty, ryglowane za mną drzwi, koją, dotyk szorstkiego materiału, kiedy wtuliłam twarz w pościel, z dygotem próbując wyrzucić z pamięci słowa Darklinga. Śmierć Mała. Długie życie przede mną. Ból odmienności, który nigdy nie ustanie. Każde źródło lęku przenikało mnie i zatapiało kolczaste szpony w moim sercu.

Wiedziałam, że jest biegłym kłamcą. Potrafił udąć każdą emocję, zagrać na każdej ludzkiej słabostce. Nie mogłam jednak negować tego, co czułam w Nowoziemsku, ani zaprzeczyć prawdzie tego, co pokazał mi Darkling: mój smutek, moja własna tęsknota odbijały się w jego posępnych szarych oczach.

Na pokładzie wielorybnika zapanowała inna atmosfera. Członkowie załogi byli nerwowi i czujni, bo zniewaga wyrządzona kapitanowi wciąż stała im przed oczyma. Griszowie szemrali między sobą, zestresowani powolnym rejssem po wodach Kostnego Szlaku.

Każdego dnia na rozkaz Darklinga wyprowadzano mnie na pokład i stawiano obok niego na dziobie. Mał był pilnie strzeżony na drugim końcu okrętu. Niekiedy słyszałam, jak wykrzykuje do Sturmhonda położenie, albo widywałam, jak wskazuje jakieś głębokie bruzdy ponad powierzchnią na wielkich lodowcach szelfowych, które mijaliśmy.

Patrzyłam na nierówne złobienia. Mogły to być ślady szponów, mogło to być zupełnie nic. Widziałam jednak w Cybei, na co Mała stać. Kiedy tropiliśmy jelenia, pokazywał mi połamane gałęzie, zdeptaną trawę - ślady, które wydawały się jednoznaczne, kiedy zwrócił na nie moją uwagę, ale które chwilę wcześniej były niewidoczne. Załoga wydawała się sceptyczna. Griszowie jawnie okazywali pogardę.

O zmroku, po upływie kolejnego dnia, Darkling wiódł mnie po pokładzie i sprowadzał przez luk tuż przed Malem. Nie wolno nam było rozmawiać. Próbowałam patrzeć mu w oczy, milcząco dać mu do zrozumienia, że nic mi nie jest, ale widziałam, jak narastają jego furia i desperacja, a ja nie mogłam go pocieszyć.

Pewnego razu, kiedy potknęłam się przy luku, Darkling mnie złapał i przycisnął do siebie. Mógł mnie puścić, ale zwlekał. Nim zdążyłam się odsunąć, musnął dłonią moje plecy.

Mał rzucił się w jego stronę i tylko dzięki griszaickim strażnikom nie zaatakował Darklinga.

- Jeszcze trzy dni, tropicielu.

- Zostaw ją w spokoju - warknął Mał.

- Dotrzymuję naszej umowy. Wciąż nie spotkała jej żadna krzywda. Ale może nie tego się obawiasz?

Po Malu znać było, że nerwy ma zszargane do granic. Był blady, usta miał zaciśnięte, przeżył mięśnie, zmagając się z pętami. Nie mogłam tego znieść.

- Nic mi nie jest - powiedziałam łagodnie, narażając się na nóż Darklinga. - Nie może mnie skrzywdzić. - Było to kłamstwo, ale miło się je wypowiadało.

Darkling powiódł wzrokiem ode mnie do Mala, a ja ujrzałam przeblask tego ponurego, przepastnego pęknięcia, które się w nim kryło.

- Nie martw się, tropicielu. Dowiesz się, kiedy umowa przestanie obowiązywać. - Zepchnął mnie pod pokład, ale zdążyłam usłyszeć, co powiedział do Mala na pożegnanie: - Zadbam o to, byś słyszał, kiedy będzie dzięki mnie krzyczała.

Tydzień mijał powoli. Szóstego dnia Genia obudziła mnie wcześniej. Kiedy się rozbudziłam, zorientowałam się, że ledwie świta. Przeszył mnie strach. Może Darkling postanowił skrócić okres wytchnienia i zrealizować pogrożki. Genia jednak uśmiechała się promiennie.

- Znalazł coś! - zapięła, podskakując w miejscu, prawie tanecznie pomagając mi wstać. - Tropiciel mówi, że jesteśmy niedaleko!

- Na imię mu Mal - bąknęłam i odsunęłam się od niej. Zignorowałam jej zszokowaną minę.

„Czy to może być prawda?” - zastanawiałam się, wiedzona przez Genię na górę. Czy też Mal po prostu liczył na to, że zyska na czasie?

Wyszliśmy na przyćmione światło poranka. Na pokładzie tłoczyli się Griszowie. Patrzyli na wodę, podczas gdy Szkwalnicy kierowali wiatrem, a załoga Sturmhonda operowała żaglami.

Mgła była gęstsza niż poprzedniego dnia. Unosiła się ciężko nad wodą i pełzała wilgotnymi smugami po kadłubie okrętu. Ciszę zakłócały jedynie wytyczne Mała oraz rozkazy wykrzykiwane przez Sturmhonda.

Kiedy wpłynęliśmy na rozległą połąć otwartego morza, Mał zwrócił się do Darklinga:

- Myślę, że jesteśmy blisko.

- Tak myślisz?

Mał skinął głową.

Darkling zastanawiał się chwilę. Gdyby Mał próbował zyskać na czasie, jego wysiłki byłyby skazane na porażkę, a cena byłaby wysoka. Po nieznośnie długim czasie Darkling kiwnął głową w stronę Sturmhonda.

- Zwinąć żagle - rozkazał korsarz, a marynarze zrobili to posłusznie. Ivan dotknął ramienia Darklinga i wskazał na południe.

- Statek, soverenie moj.

Zmrużyłam oczy, próbując wypatrzeć maleńką plamkę.

- Płyną pod banderą? - zapytał Darkling Sturmhonda.

- To pewnie rybacy - rzekł Sturmhond. - Ale na wszelki wypadek będziemy ich mieli na oku. - Skinął na jednego z członków załogi, a ten wspiął się na grotmaszt z lunetą w rękę.

Przygotowano szalupy i w przeciągu kilku chwil opuszczono je na wodę po prawej burcie, po brzegi wypełnione ludźmi Sturmhonda i jeżące się harpunami. Griszowie Darklinga zebrali się przy relingu, by obserwować płynące łodzie. We mgle miarowe uderzenia wiosel o fale wydawały się głośniejsze.

Zrobiłam krok w stronę Mała. Wszyscy koncentrowali się na ludziach w wodzie. Tylko Genia patrzyła na mnie. Zawahała się, a potem z rozmysłem się odwróciła i dołączyła do pozostałych przy relingu.

Mał i ja spoglądaliśmy przed siebie, ale staliśmy tak blisko, że stykaliśmy się ramionami.

- Powiedz mi, że jesteś cała i zdrowa - mruknął chrapliwie.

Pokiwałam głową i przełknęłam gulę w gardle.

- Nic mi nie jest - powiedziałam cicho. - On tam jest?

- Nie wiem. Może. Kiedy tropiłem jelenia, parę razy wydawało mi się, że jesteśmy niedaleko... Alina, jeśli się mylę...

Odwróciłam się, nie zważając na to, kto nas widzi i jaka spotka mnie kara. Mgła unosiła się znad wody i pełzała po pokładzie. Popatrzyłam na niego, chłonąc każdy szczegół jego twarzy: intensywny błękit tęczy, łuk ust, bliznę wzdłuż policzka. Zauważyłam, jak nim po olinowaniu śmiga Tamar z latarnią w rękę.

- To wszystko nie z twojej winy, Mał. Nie z twojej.

Opuścił głowę i wsparł czoło na moim.

- Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

Oboje wiedzieliśmy, że jest wobec tego bezradny, lecz prawda była zbyt bolesna, więc powiedziałam tylko:

- Wiem.

- Tak tylko mówisz, żeby mnie ugłaskać - uśmiechnął się leciutko.

- Trzeba się z tobą bardzo cackać.

Pocałował mnie w czubek głowy.

- Wykaraskamy się z tego, Alino. Zawsze się nam udaje.

Położyłam zakute w żelazo ręce na jego piersi i zamknęłam oczy. Byliśmy sami na środku morza lodu, więził nas człowiek, który potrafił dosłownie tworzyć potwory, a jednak ja wierzyłam. Wtuliłam się w niego i pierwszy raz od wielu dni ośmieliłam się żywić nadzieję.

Rozległ się okrzyk:

- Dwa punkty od dziobu po prawej burcie!

Odwrociliśmy się jak jeden mąż i znieruchomiałam.

Coś poruszało się we mgle - migotliwa, falująca biała sylwetka.

- Święci - szepnął Mal.

W tej chwili grzbiet stworzenia wyłonił się z fal. Cielsko przecięło wodę pulsującym łukiem, a opalizujące łuski na grzbiecie węża roztoczyły niezliczone tęcze.

Rusał.

4.

Rusał był stworzeniem rodem z ludowej opowieści, z bajki, postacią zmyśloną zamieszkującą skraje map. Nie było jednak miejsca na wątpliwości. Lodowy smok istniał naprawdę, a Mal go znalazł, tak samo jak wcześniej znalazł jelenia. Czułam się nieswojo, jak gdyby wszystko działo się zbyt szybko - jakbyśmy gnali na złamanie karku ku czemuś, czego nie rozumieliśmy.

Moją uwagę przykuł okrzyk z szalup. Na łodzi znajdującej się najbliżej węża morskiego stał mężczyzna i zamierzał się harpunem. Lecz biały ogon smoka przeciął powietrze, rozdzielił fale i uderzył z trzaskiem, tworząc wezbraną ścianę wody, która naparła na kadłub łodzi. Łódź zachybotwała niebezpiecznie

i w ostatniej chwili odzyskała równowagę. Mężczyzna z harpunem usiadł gwałtownie.

„Dobrze” - pomyślałam. „Walcz z nimi”.

Wtedy z drugiej łodzi poszybowały harpuny. Pierwszy chybił i z niegroźnym pluskiem wpadł do wody. Drugi wbił się w skórę węża morskiego.

Stwór wierzgnął, miotając ogonem tam i z powrotem, po czym uniósł się jak wąż, wynurzając cielsko z wody. Przez moment wisiał w powietrzu: półprzezroczyste płetwy przypominające skrzydła, błyszczące łuski, wściekłe, czerwone oczy. Krople wody oderwały się od grzywy, olbrzymie szczęki się rozwarły, ukazując różowy język i rzędy lśniących zębów. Zaatakował najbliższą łódź z głośnym trzaskiem rozszczepianego drewna. Smukła łódź rozpadła się na dwie części, a ludzie powpadali do morza. Smok schwycił gębą marynarza za nogi i mężczyzna zniknął z wrzaskiem pośród fal. Zajadle machając rękoma, pozostali członkowie załogi płynęli przez zakrwawioną wodę w kierunku ocalałej szalupy, gdzie wciągnięto ich na pokład.

Zerknęłam w górę, na takielunek wielorybnika. Szczyty masztów otulała teraz mgła, lecz wciąż widziałam światło latarni Tamar, które paliło się stale na szczycie grotu.

Następny harpun trafił do celu i nagle wąż morski zaczął śpiewać. Był to najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam - chór głosów wznoszących się w żalostnej, bezsłownej pieśni. „Nie” - uświadomiłam sobie. „To nie jest pieśń”. Wąż morski krzyczał, wił się i miotał wśród fal, ścigany przez szalupy, starając się strącić harpuny z wygiętymi końcówkami. „Walcz” - błagałam w myślach. „Kiedy cię pojmie, już nigdy cię nie wypuści”.

Widziałam jednak, że smok zwalniał, poruszał się coraz niezdarniej, jego krzyk się załamywał i nabierał żalobnego tonu, muzyka posępniała i gasła.

Jakaś cząstka mnie żałowała, że Darkling tego po prostu nie skończy. Dlaczego tego nie robił? Dlaczego nie użył na wężu Cięcia i nie związał go ze mną, jak to uczynił z jeleniem?

- Sieci! - zawołał Sturmhond. Mgła jednak była tak gęsta, że nie byłam pewna, skąd dobiega jego głos. Z okolicy relingu po sterburcie usłyszałam dudnienie.

- Rozproszyc mgłę - rozkazał Darkling. - Tracimy szalupę.

Usłyszałam, jak Griszowie się nawołują, a potem poczułam podmuch wiatru Szkwalików w połach płaszcza.

Mgła się uniosła, a mnie opadła szczeka. Darkling wraz ze swymi Griszami stał po sterburcie, skupiając uwagę na szalupie, która zdawała się wiosłować w kierunku przeciwnym do okrętu. Lecz po bakburcie nie wiedzieć skąd pojawił się inny statek - smukły szkuner o lśniących masztach i pod banderą, na której widniał czerwony pies na turkusowym polu, a poniżej - w barwach bladoniebieskiej i złotej - ryczański podwójny orzeł.

Znowu usłyszałam dudnienie, a na relingu wielorybnika od bakburty zobaczyłam stalowe bosaki. „Haki abordażowe” - pojęłam.

A potem wszystko zaczęło dziać się jednocześnie. Skądś dobiegł skowyt przypominający wycie wilka do księżyca. Na pokład wielorybnika ponad relingiem wdarli się ludzie z pistoletami w uprzężach na piersi i kordelasami z dłońmi. Wydzielali się i ujadali jak wataha dzikich psów. Widziałam, jak Darkling się odwraca, a na jego twarzy malują się furia i konsternacja.

- Co tu się do diabła dzieje? - powiedział Mal. Zasłonił mnie i zaczęliśmy się przesuwac w stronę mizernej ochrony, jaką oferował bezanmaszt.

- Nie wiem - odparłam. - Coś bardzo dobrego albo bardzo, ale to bardzo złego.

Staliśmy plecy w plecy. Ja wciąż miałam dłonie skute, on nadal spętane. Nie mogliśmy się bronić w walce, która rozgorzała na pokładzie. Dookoła rozbrzmiewały strzały w pistoletów. Powietrze rozjarzyło się ogniem Inferników.

- Do mnie, ogary! - zakrzyknął Sturmhond i runął w wir walki z szablą w dłoni.

Szczekający, skowyczący, warczący ludzie atakowali Griszów Darklinga ze wszech stron - nie tylko zza relingu szkunera, lecz także z olinowania wielorybnika. Ludzie Sturmhonda. Sturmhond obrócił się przeciwko Darklingowi.

Korsarz ewidentnie postradał rozum. Tak, Griszowie byli mniej liczni, ale przewaga liczebna nie miała znaczenia w starciu z Darklingiem.

- Patrz! - krzyknął Mal.

W wodzie pod nami ludzie w ocalałej szalupie pojмали miotającego się węża morskiego. Podnieśli żagiel i płynęli na rzeźwym wietrze - nie w stronę wielorybnika, lecz wprost do szkunera. Silny podmuch, który ich napędzał, zdawał się pochodzić znikąd. Przyjrzałam się baczniej. W szalupie jeden z członków załogi stał z uniesionymi rękoma. Nie było wątpliwości - dla Sturmhonda pracował Szkwalnik.

Nagle czyjaś ręka opasała mnie w talii i uniosła. Świat wywrócił się do góry nogami. Przerzucono mnie przez masywne ramię i zaczęłam wrzeszczeć.

Podniosłam głowę, wierzgając w uścisku ręki, która przypominała stalową obręcz, i zobaczyłam, jak Tamar biegnie w stronę Mala z połyskującym nożem w dłoni.

- Nie! - zaryczałam. - Mal!

Uniósł dłonie, żeby się bronić, ale ona tylko przecięła mu więzy.

- Biegiem! - krzyknęła, rzuciła mu nóż i wyjęła miecz z pochwy przytroczonej do biodra.

Tolia ścisnął mnie mocniej i pognął po pokładzie. Tamar i Mal byli tuż za nami.

- Co wy wyprawiacie? - zakwiczałam. Głowa obijała mi się o plecy olbrzyma.

- Biegnijże! - odparła Tamar i usiekła Korporalnika, który zastąpił jej drogę.

- Nie mogę biec - odkrzyknęłam. - Twój dumny brat przerzucił mnie przez ramię jak szynkę!

- Chcesz być uratowana czy nie?

Nie zdążyłam odpowiedzieć.

- Trzymaj się - rzekł Tolia. - Skaczemy.

Zacisnęłam oczy, przygotowując się na upadek do lodowatej wody. Lecz Tolia zrobił zaledwie parę kroków, gdy nagle stęknął i przyklęknął na jednym kolanie. Puścił mnie, przewróciłam się na pokład i poturlałam niezdarnie na bok. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam nad sobą Ivana oraz Infernika w błękitnej szacie.

Ivan wyciągał rękę. Miażdżył Tolii serce, a tym razem Sturmhonda tu nie było i nie mógł go powstrzymać.

Infernik zbliżał się do Tamar i Mala z krzesiwem w dłoni. Ręką już kreślił płomienny łuk. „Nawet się na dobre nie zaczęło” - pomyślałam żałośnie. Lecz w następnym momencie Infernik znieruchomiał i jęknął. Płomienie zamarły w powietrzu.

- Na co czekasz? - warknął Ivan.

W odpowiedzi Infernik wydał z siebie tylko zduszony syk. Wytrzeszczył oczy. Wpijał palce w gardło.

Tamar trzymała miecz w prawej ręce, lecz lewą dłoń zaciskała w pięść.

- Niezła sztuczka - powiedziała, odtrącając krzesiwo unieruchomionego Infernika. - Też jedną znam. - Uniosła ostrze i przeszła bezradnego, duszącego się Infernika paskudnym cięciem.

Infernik upadł na pokład. Oszołomiony Ivan wpatrywał się w Tamar, która stała nad martwym ciałem z mieczem ociekającym krwią. Musiał stracić koncentrację, bo w tej chwili Tolia podniósł się z kolan z przerażającym rykiem.

Ivan zacisnął pięść i skupił się na nowo. Tolia się skrzywił, lecz nie padał. Potem olbrzym wysunął dłoń, a twarz Ivana wykrzywił spazm bólu i osłupienia.

Powiodłam wzrokiem od Tolii do Tamar i zaświtało mi, że byli Griszami. Sercodarcami.

- Podoba ci się, maluszkę? - zapytał Tolia, idąc w stronę Ivana. Ivan wyciągnął drugą rękę z rozpaczą. Drżał i widziałam, że z trudem łapie oddech.

Tolia zachwiał się lekko, lecz nie ustawał.

- Teraz się przekonamy, kto ma silniejsze serce - zawarczał.

Zbliżał się powoli, jak gdyby zmagając się z silnym wiatrem. Twarz zrosił mu pot, zęby wyszczerzył w dzikiej ucieście. Zastanawiałam się, czy obaj z Ivanem nie padną trupem.

Wtedy palce wyciągniętej ręki Tolii zacisnęły się w pięść. Ivan zadygotał. Oczy zaszyły mu bielmem. Pęcherzyk krwi zakwitł i pękł mu na ustach. Padł na pokład.

Jak przez mgłę docierał do mnie kotłujący się wokół chaos. Tamar zmagająca się ze Szkwalnikiem. Dwóch innych Griszów skoczyło na Tolię. Usłyszałam wystrzał i zorientowałam się, że Mał zdobył pistolet. Ja jednak widziałam tylko zwłoki Ivana.

Nie żył. Prawa ręka Darklinga. Jeden z najpotężniejszych Sercodarców Drugiej Armii. Przetrwał Fałdę i wilkry, a teraz nie żył.

Z zamyślenia wyrwał mnie cichy szloch. Genia stała nad Ivanem, przyciskając dłoń do ust.

- Geniu... - zaczęłam.

- Powstrzymać ich! - Krzyk dobiegł z drugiego końca pokładu. Obróciłam się i zobaczyłam, że Darkling mocuje się z uzbrojonym marynarzem.

Genia drżała. Włożyła rękę do kieszeni kefty i wyjęła pistolet. Tolia rzucił się na nią.

- Nie! - powiedziałam i stanęłam między nimi. Nie miałam zamiaru się przyglądać, jak zabija Genię.

Ciężki pistolet zadrżał w jej dłoni.

- Geniu - powiedziałam cicho - naprawdę zamierzasz mnie zastrzelić? - Rozejrzała się dookoła gwałtownie, nie wiedząc, w co mierzyć. Dotknęłam jej rękawa. Wzdrygnęła się i wymierzyła do mnie z pistoletu.

Powietrze rozdarł huk jak uderzenie gromu. Wiedziałam, że Darkling się wyzwolił. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, jak przetacza się ku nam fala ciemności. „To koniec” - pomyślałam. „Już po nas”. Ale zaraz potem spostrzegłam przebłysk światła i usłyszałam wystrzał. Nawał ciemności rozproszył się i znikł. Zobaczyłam, jak Darkling ściska się za ramię. Twarz wykrzywił mu grymas furii i cierpienia. Z niedowierzaniem pojęłam, że go postrzelono.

Sturmhond pędził w naszą stronę z pistoletami w rękach.

- Biegiem! - krzyknął.

- Chodź, Alino! - zawołał Mal, łapiąc mnie za ramię.

- Geniu - powiedziałam desperacko - chodź z nami.

Ręka trzęsa się jej tak bardzo, że myślałam, iż pistolet jej wypadnie. Łzy zalewały jej policzki.

- Nie mogę - załkała urywanym głosem. Opuściła broń. - Idź, Alino. Po prostu idź.

W następnej chwili Tolia znowu przerzucił mnie przez ramię. Bezskutecznie waliłam go po szerokich plecach.

- Nie! - wydarłam się. - Czeka!

Nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi. Tolia z rozpędu przeskoczył reling. Lecieliśmy do lodowatej wody, a ja z wrzaskiem próbowałam się przygotować na nura. Zamiast tego zdecydowanie szkwalniczy wiatr uniósł nas i odstawił na pokładzie atakującego szkunera z dudnieniem, od której zatrzęsły mi się wszystkie kości. Zaraz pojawili się też Tamar i Mał, a tuż za nimi Sturmhond.

- Daj znak - ryknął Sturmhond i skoczył na równe nogi. Rozległ się przesywający gwizd.

- Privjet - zawołał do kogoś z załogi, kogo nie rozpoznałam - ilu mamy?

- Ośmiu poległo - odparł Privjet. - Czterech zostało na wielorybniku. Ładunek nadciąga.

- Niech to Święci - zaklął Sturmhond. Popatrzył na wielorybnik, walcząc z sobą. - Muszkietery! - krzyknął do ludzi na topselu szkunera. - Osłaniać ich!

Muszkietery zaczęli strzelać w pokład wielorybnika. Tolia cisnął Malowi strzelbę, a drugą przerzucił sobie przez ramię. Wskoczył na olinowanie i zaczął się wspinać. Tamar wyjęła pistolet z olstra na biodrze. Ja nadal leżałam na pokładzie kompromitująco. Kajdany wciąż sprawiały, że moje ręce były bezużyteczne.

- Wąż morski zabezpieczony, kapitanie! - krzyknął Privjet.

Dwóch kolejnych ludzi Sturmhonda sforsowało reling wielorybnika, przeleciało na szkuner, machając opętańczo rękami, i wylądowało bezładnie na pokładzie.

Jeden mocno krwawił z rany na ramieniu. Potem huk gromu rozległ się ponownie.

- To on! - krzyknęła Tamar.

Czerń wezbrała, pokryła szkuner, pochłonęła wszystko na swej drodze.

- Uwolnij mnie! - zawołałam błagalnie. - Pozwól mi pomóc!

Sturmhond rzucił Tamar klucze i zagrzmiął:

- Zrób to!

Tamar złapała mnie za nadgarstki i zaczęła grzebać kluczem, kiedy zalała nas ciemność.

Byliśmy ślepi. Usłyszałam czyjś krzyk. Nagle zapięcie puściło. Kajdany się rozpięły i upadły na pokład z głuchym brzękiem.

Uniosłam ręce i światło rozgorzało w ciemności, spychając czerń z powrotem nad wielorybnik. Wśród członków załogi Sturmhonda rozległo się radosne wołanie, ale zamarło im ono na ustach, kiedy powietrze wypełnił inny odgłos - przenikliwy, przeszywająco zły pisk, skrzypienie z impetem otwieranych drzwi, które na zawsze powinny były zostać zamknięte. Rana w moim barku zakłuła ostro. Nisztoje.

Odwróciłam się do Sturmhonda.

- Musimy się stąd wydostać - oznajmiłam. - Natychmiast.

Zawahał się, bijąc się z myślami. Dwóch spośród jego ludzi wciąż znajdowało się na wielorybniku. Jego twarz przybrała zdecydowany wyraz.

- Podnosić żagle! - zakrzyknął. - Szkwalnicy... na wschód!

Zobaczyłam, jak szereg marynarzy stojących przy masztach unosi ręce, a potem usłyszałam łopot żagli, gdy płótno wydał silny wiatr. Właściwie to ilu Griszów ma korsarz w swej załodze?

Lecz Szkwalnicy Darklinga ustawili się na pokładzie wielorybnika i uderzali w nas własnymi podmuchami. Szkuner zachwiał się niepewnie.

- Działa na bakburcie! - ryknął Sturmhond. - Salwa burtowa! Na mój znak!

Usłyszałam dwa przeraźliwe gwizdy. Okrętem zatrzęsł ogłuszający huk, potem następny i jeszcze następny. Działa szkunera zrobiły ogromną dziurę w kadłubie wielorybnika. Ze statku Darklinga dobiegły krzyki popłochu. Szkwalnicy Sturmhonda wykorzystali przewagę i szkuner ruszył przed siebie.

Kiedy dym z armat się rozwiął, zobaczyłam, jak czarno odziana postać staje na relingu unieruchomionego wielorybnika. W naszą stronę pognąła kolejna fala ciemności, ta jednak była inna. Kotłowała się nad powierzchnią wody, jak gdyby parła do przodu, szponami wpijając się w podłoże. Towarzyszył jej niesamowity chrzęst tysięcy rozjuszonych owadów.

Ciemność pieniała się jak morski bałwan rozbity o skałę. Zaczęły się z niej wyłaniać poszczególne kształty. Mal przy mnie wymamrotał modlitwę i złożył się do strzału. Ja skupiłam swoją moc i zaatakowałam Cięciem, wypalając ciemną chmurę, starając się zniszczyć nisztaje, zanim przybiorą kompletne kształty. Nie mogłam jednak powstrzymać ich wszystkich. Nadciągnęły jęczącą hurmą czarnych zębów i szponów.

Załoga Sturmhonda otworzyła ogień.

Nisztaje dotarły do masztów szkunera, wirowały wokół żagli, zdejmując marynarzy z takielunku jak owoce. Potem ześlizgiwały się na pokład. Mal strzelał raz po raz, żeglarze dobyli szabel, ale kule i ostrza zdawały się zaledwie spowalniać postęp potworów.

Ich cieniste ciała pulsowały i odtwarzały się, a one same nieustannie nadciągały.

Szkuner wciąż parł do przodu, zwiększając odległość od wielorybnika. Zbyt wolno. Usłyszałam ten przeraźliwy jazgot i w naszą stronę ruszyła kolejna fala zmiennokształtnej, oślizgłej ciemności. Już teraz wyłaniały się z niej skrzydlate ciała - odsiecz dla żołnierzy-cieni.

Sturmhond też to zobaczył. Wskazał jednego ze Szkwalników, którzy nadal przyzywali wiatr w żaglach.

- Piorun! - krzyknął.

Wzdrygnęłam się. Niemożliwe, by mówił poważnie. Szkwalnikom nie wolno nigdy przyzywać piorunów. Było to nazbyt nieprzewidywalne, zbyt niebezpieczne - a do tego na otwartym morzu? Na pokładzie drewnianego okrętu? Ale Griszowie Sturmhonda się nie zawahali. Szkwalnicy klasnęli, pocierając dłonie. Ciśnienie opadło gwałtownie. Zatkanęło mi uszy. Powietrze pulsowało elektrycznością.

Ledwie zdążyliśmy paść na pokład - niebo przeszyły zygzaki błyskawic. Nowa fala niszczy rozproszyła się w chwilowej konsternacji.

- Dalej! - zakrzyknął Sturmhond. - Szkwalnicy pełną mocą!

Mal i ja walnęliśmy w reling, gdy szkuner ruszył do przodu. Smukły statek zdawał się frunąć nad falami.

Spostrzegłam, że od strony wielorybnika piętrzy się kolejna czarna kipiela. Zerwałam się na nogi i nastawiłam na kolejny atak, zbierając siły.

Napaść jednak nie nadeszła. Wyglądało na to, że są granice potęgi Darklinga. Wydostaliśmy się poza jego zasięg.

Pochyliłam się nad relingiem. Wiatr i kropelki wody kłuły mnie w odsłoniętą skórę. Statek Darklinga i jego potwory niknęły

z pola widzenia. Z piersi wyrwało mi się coś pomiędzy śmiechem a szlochem.

Mal mnie objął, a ja ścisnęłam go mocno. Czułam jego mokrą koszulę na policzku, słuchałam galopującego serca, kurczowo uczepliłam się niewiarygodnej prawdy, że wciąż żyliśmy.

Potem - pomimo przelanej krwi i utraconych przyjaciół - załoga szkunera zaczęła wiwatować. Pokrzykiwali, ryczeli, ujadali i warczeli. Na olinowaniu Tolia uniósł strzelbę jedną ręką i odrzucił głowę w tył, emitując triumfalny skowyt, od którego dostałam gęsiej skórki.

Mal i ja odsunęliśmy się od siebie. Patrzyliśmy, jak dookoła nas członkowie załogi wyją i się śmieją. Wiedziałam, że oboje myślimy o tym samym. W co myślimy się wpakowali?

5.

Opadliśmy na reling i osunęliśmy się na deski. Siedzieliśmy obok siebie, skonani i oszołomieni. Wymknęliśmy się Darklingowi, ale znajdowaliśmy się na obcym okręcie, gdzie otaczało nas stado rozbestwionych Griszów poprzebieranych za marynarzy i wyjących jak wściekłe psy.

- Nic ci nie jest? - zapytał Mal.

Pokiwałam głową. Rana na ramieniu paliła jak ogień, ale nic mi się nie stało, a całe moje ciało wibrowało, bo znów użyłam swojej mocy.

- Ty? - zapytałam.

- Ani draśnięcia - odparł z niedowierzaniem.

Statek unosił się na falach z pozornie niemożliwą prędkością, napędzany przez Szkwalników i - jak się domyślałam -

Pływowladnych. Kiedy przerażenie i gorączka bitwy ustąpiły, zauważyłam, że jestem przemoczona do suchej nitki. Zęby zaczęły mi szczekać. Mal objął mnie ramieniem, a w którymś momencie ktoś z załogi przykrył nas kocem.

W końcu Sturmhond wydał rozkaz, by się zatrzymać i zwinąć żagle. Szkwalnicy oraz Pływowladni opuścili ręce i padli na siebie nawzajem, kompletnie wyczerpani. Od mocy jaśniały im twarze i gorzały oczy.

Szkuner zwalniał, aż w końcu zaczął kołysać się łagodnie w - zdawałoby się - obezwładniającej ciszy.

- Trzymać wartę - nakazał Sturmhond, a Privjet posłał marynarza na wanty z lunetą. Mal i ja pomału się podnieśliśmy.

Sturmhond przeszedł wzdłuż szeregu wycieńczonych Eterealników, klepiąc Szkwalników i Pływowladnych po plecach, rozmawiając po cichu z kilkorgiem spośród nich. Widziałam, jak kieruje rannych marynarzy pod pokład, gdzie, jak przypuszczałam, zajmie się nimi pokładowy lekarz, a może Korporalnik-Uzdrowiciel. Wyglądało na to, że korsarz zatrudnia Griszów wszelkiej maści.

Potem Sturmhond ruszył w moją stronę, wyjmując nóż, który miał przy pasku. Uniosłam ręce, a Mal stanął przede mną i wymierzył Sturmhondowi z lufy z pierś. Natychmiast usłyszałam szczęk wyciąganych mieczy i odbezpieczanych pistoletów. Załoga dobyła broni.

- Spokojnie, Orecev - rzekł Sturmhond, zwolniwszy kroku. - Zadałem sobie właśnie sporo trudu i wiele mnie kosztowało, byś znalazł się na moim pokładzie. Szkoda by było, gdyby cię teraz podziurawiono. - Podrzucił nóż i podał mi go, ręką w moją stronę. - To na bestię.

Wąż morski. W bitewnej gorączce prawie zapomniałam.

Mal się zawahał, po czym ostrożnie opuścił strzelbę.

- Odłożyć broń - polecił Sturmhond załodze. Schowali pistolety oraz miecze. Sturmhond skinął na Tamar: - Wciągnijcie go.

Na rozkaz Tamar grupka marynarzy wychyliła przez reling od strony sterburty i rozwiązała skomplikowany system sznurów. Powoli dźwignęli cielsko węża morskiego ponad krawędź szkunera. Stwór padł na pokład, wciąż borykając się słabo ze srebrzystą siecią. Wierzgnął zażarcie i kłapnął ogromnymi zębami. Wszyscy odskoczyliśmy.

- Jeśli dobrze rozumiem, musisz to być ty - rzekł Sturmhond i ponownie podał mi nóż. Mierzyłam korsarza wzrokiem, zastanawiając się, ile może wiedzieć o wzmacniaczach, a zwłaszcza o tym konkretnie wzmacniaczu. - Śmiało - powiedział. - Musimy ruszać. Okręt Darklinga jest unieruchomiony, ale długo tak nie będzie.

Ostrze w dłoni Sturmhonda lśniło matowo w słońcu. Griszaicka stal. Jakoś mnie to nie zdziwiło. A jednak się wahałam.

- Straciłem właśnie trzynastu porządných ludzi - rzekł Sturmhond cicho. - Nie mów mi, że to wszystko na darmo.

Spojrzałam na węża morskiego. Leżał na pokładzie, miotany drgawkami. Powietrze poruszało jego skrzelami, czerwone oczy miał zamglone, lecz wciąż pełne furii. Pamiętałam ciemne, spokojne spojrzenie jelenia, cichy popłoch jego ostatnich chwil.

Jeleń tak długo istniał w mojej wyobraźni, że kiedy wreszcie wyszedł spośród drzew na zaśnieżoną polanę, wydawał się niemal znajomy, znany. Wąż morski był obcy, stanowił bardziej mit niż fakt - pomimo smutnej oraz namacalnej rzeczywistości jego okaleczonego ciała.

- Tak czy owak nie przeżyje - rzekł korsarz.

Schwyciłam rękojeść noża. Wydawał mi się ciężki. „Czy to miłosierdzie?” Na pewno nie było to takie samo miłosierdzie, jakie okazałam jeleniowi Morozova.

Rusał. Przeklęty księżę, strażnik Kostnego Szlaku. W opowieściach wabił samotne panny, by siadły mu na grzbiecie, a on unosił je, roześmiane, nad falami, aż znaleźli się za daleko od brzegu, by wezwać pomoc. Wtedy nurkował i ciągnął je pod powierzchnię do swojego podwodnego pałacu. Dziewczęta marniały, bo nie było tam nic do jedzenia oprócz koralu i pereł. Rusał płakał i śpiewał żalobną pieśń nad ich ciałami, a potem wracał na powierzchnię po następną królową.

„To tylko opowieści” - powtórzyłam sobie. „To nie jest księżę, tylko cierpiące zwierzę”.

Wąż morski dyszał ciężko. Kłapał szczękami bezsensownie w powietrzu. Z pleców wystawały mu dwa harpuny, a z ran płynęła wodnista krew. Ścisnęłam nóż. Nie byłam pewna, co robić, gdzie wbić ostrze. Drżała mi ręka. Wąż morski rzeził i wzdychał żałośnie - nikłe echo tego magicznego chóru.

Mał podszedł do przodu.

- Skończ z tym, Alino - powiedział chrapliwie. - Na wszystkich Świętych.

Wyjął mi nóż z rąk i rzucił go na pokład. Złapał mnie za rękę i przyłożył je do drzewca jednego z harpunów. Jednym, czystym pchnięciem wbiliśmy go głęboko.

Wąż morski zadygotał, a potem zastygł. Na pokładzie zebrała się kałuża jego krwi.

Mał spojrział na swoje ręce, po czym wytarł się w podartą koszulę i się odwrócił.

Tolia i Tamar podeszli bliżej. Czułam, jak przewraca mi się w żołądku. Wiedziałam, co teraz musi nastąpić. „To nieprawda” - usłyszałam wewnętrzny głos. „Możesz odejść. Zostawić to”. Znów miałam wrażenie, że sprawy toczą się zbyt szybko. Ale nie mogłam po prostu wrzucić takiego wzmacniacza z powrotem do

morza. Smok poświęcił już życie. A uzyskanie wzmacniacza nie oznaczało jeszcze, że będę go używać.

Łuski węża morskiego były w kolorze opalizującej bieli i roztaczały delikatne tęcze. Tylko pojedynczy pasek, zaczynający się pomiędzy oczami i wiodący po krawędzi jego czaszki do miękkiej grzywy, składał się ze złotych łusek.

Tamar wysunęła sztylet z paska i z pomocą Tolii zdarła łuski. Nie pozwoliłam sobie na odwrócenie wzroku. Kiedy skończyli, podali mi siedem doskonałych łusek, wciąż mokrych od krwi.

- Pochylmy głowy nad tymi, którzy dzisiaj polegli - rzekł Sturmhond. - Dobrzy marynarze. Dobrzy żołnierze. Niech morze poniesie ich do bezpiecznej przystani, a Święci przyjmą ich na bardziej gościnnym brzegu.

Powtórzył *Marynarską modlitwę* po kerczańsku, a potem Tamar wymruczała słowa w języku szuhańskim. Przez chwilę staliśmy na kołyszącym się statku z pochylonymi głowami. Łzy ugrzęzły mi w gardle.

Jeszcze więcej ludzi zginęło i kolejna zaczarowana, pradawna istota zniknęła, a jej ciało zostało zbezczeszczone przez griszaicką stal. Położyłam dłoń na migotliwej skórze węża morskiego. W dotyku była chłodna i śliska. Czerwone oczy były zasnutte bielmem i puste. Zacisnęłam w dłoni złote łuski, czując, jak ich krawędzie wbijają mi się w ciało. Jacy Święci czekają na stwory takie jak ten?

Minęła dłuższa chwila. W końcu Sturmhond mruknął:

- Niech ich Święci przyjmą.

- Niech ich Święci przyjmą - odparła załoga.

- Musimy ruszać - rzekł Sturmhond cicho. - Kadłub wielorybnika został uszkodzony, ale Darkling ma Szkwalników i paru Fabrykatorów, a jeszcze może się okazać, że te jego potwory mogą się nauczyć posługiwać młotkiem i gwoździem. Nie

ryzykujemy. - Zwrócił się do Privjeta: - Niech Szkwalnicy chwilę wypoczną, zdaj mi sprawę ze zniszczeń, a potem stawiajmy żagle.

- Da, kapitanie - odparł Privjet zwięźle. Zawahał się: - Kapitanie... ludzie mogą zapłacić nieźle pieniądze za smocze łuski, niezależnie od tego, w jakim kolorze.

Sturmhond zmarszczył czoło, lecz potem skinął głową szorstko.

- Bierzcie, co chcecie, a potem uprzątnijcie pokład i ruszajmy. Współrzędne znasz.

Kilku członków załogi rzuciło się na ciało węża morskiego, by odciąć łuski. Na to patrzeć nie mogłam. Odwróciłam się do nich plecami, czując ucisk w żołądku.

Sturmhond podszedł do mnie:

- Nie osądzaj ich zbyt surowo - powiedział, oglądając się przez ramię.

- To nie ich osądzam - odparłam. - Ty tu jesteś kapitanem.

- A oni muszą napełnić kiesy, wykarmić rodziców i rodzeństwo. Straciliśmy właśnie niemal połowę załogi, a nie zgarnęliśmy obfitego łupu, który złagodziłby ten cios. Nie żebyś ty nie była urodziwa.

- Co ja tu robię? - zapytałam. - Dlaczego nam pomogłeś?

- Taka jesteś pewna, że rzeczywiście wam pomogłem?

- Odpowiedz na pytanie, Sturmhond - wtrącił Mal, dołączając do nas. - Po co polować na węża morskiego, skoro chciałeś tylko przekazać go Alinie?

- Nie polowałam na węża, tylko na ciebie.

- To dlatego wznieciłeś bunt przeciwko Darklingowi? - zapytałam. - Żeby dorwać mnie?

- Nie bardzo się da wzniecić bunt na własnym statku.

- Jak zwał, tak zwał - rzuciłam ze zniecierpliwieniem. - Po prostu się wytłumacz.

Sturmhond odchylił się i podparł łokciami o reling, obserwując pokład.

- Gdyby Darkling pofatygował się zapytać... czego na szczęście nie uczynił... wytłumaczyłbym mu, że kiedy wynajmuje się człowieka, którego honor jest na sprzedaż, problem polega na tym, że zawsze może się znaleźć ktoś, kto da więcej.

Popatrzyłam na niego z osłupieniem.

- Zdradziłeś Darklinga dla pieniędzy?

- „Zdrada” to za mocne określenie. Ledwo faceta znam.

- Oszalałeś - powiedziałam. - Wiesz, co potrafi. Żaden łup nie jest tyle wart.

Sturmhond uśmiechnął się szeroko:

- To się jeszcze okaże.

- Darkling będzie cię ścigał po kres twych dni.

- Cóż, wobec tego ciebie i mnie będzie coś łączyć, prawda? Poza tym lubię mieć potężnych wrogów. Czuję się przez to istotny.

Mał skrzyżował ramiona i przyjrzał się korsarzowi:

- Nie umiem się zdecydować, czy jesteś szalony, czy głupi.

- Mam tyle wspólnych cech - rzekł Sturmhond - że niekiedy trudno wybrać.

Pokręciłam głową. Korsarz stracił rozum.

- Skoro Darklinga przelicytowano, to kto cię najął? Dokąd nas zabierasz?

- Najpierw udziel mi odpowiedzi na pytanie - powiedział Sturmhond i sięgnął do surduta. Wyciągnął z kieszeni niewielką czerwoną książeczkę i rzucił mi ją.

- Dlaczego Darkling to ze sobą nosił? Nie sprawia na mnie wrażenia specjalnie religijnej osoby.

Złapałam książeczkę i obróciłam okładką do góry, ale wiedziałam, co to jest. Złote litery błyszczały w słońcu.

- Ukradłeś to? - zapytałam.

- To i wiele innych dokumentów z jego kajuty. Choć znowuż... skoro gwoli ścisłości była to moja kajuta... nie jestem pewien, czy można to nazwać kradzieżą.

- Gwoli ścisłości - zauważyłam z irytacją - kajuta należy do kapitana wielorybnika, któremu ukradłeś okręt.

- Też racja - przyznał Sturmhond. - Jeżeli z tym całym Przyzywaniem Słońca ci się nie ułoży, rozważ karierę adwokata. Wydajesz się mieć odpowiednio małostkowe usposobienie. Powinienem jednak zwrócić uwagę, że to akurat należy do ciebie.

Wyciągnął rękę i otworzył książkę. Po wewnętrznej stronie okładki napisane było „Alina Starkov”.

Próbowałam nie zmienić się na twarzy, ale w głowie miałam nagle mętlik. To były moje *Istории Sanktja*, ten sam egzemplarz, który wiele miesięcy temu Apparat dał mi w bibliotece Małego Pałacu. Po mojej ucieczce z Os Alty Darkling na pewno kazał przeszukać mój pokój, ale dlaczego wziął tę książeczkę? I dlaczego tak się dopytywał, czy ją czytałam?

Przekartkowałam tom. Edycja była pięknie ilustrowana, choć jak na pozycję dla dzieci okropnie drastyczna. Niektórych spośród Świętych przedstawiono, kiedy dokonywali cudów albo uczynków miłosierdzia. Święty Feliks pośród gałęzi jabłoni. Święta Anastazja wyzwala Arkensk od wyniszczającej zarazy. Jednak na większości stron ukazywano Świętych w czasie męczeństwa: Święta Lizabeta z otwartymi wnętrzościami i ćwiartowana, ścięcie Świętego Lubova, Święty Ilia w Kajdanach. Zastygłam. Tym razem nie udało mi się zamaskować reakcji.

- Ciekawe, prawda? - powiedział Sturmhond. Popukał długim palcem w kartkę. - Jeśli się nie mylę, właśnie to stworzenie pojaliśmy.

Nie dało się ukryć - za Świętym Ilią w wodach jeziora bądź oceanu pluskał się charakterystyczny kształt węża morskiego. Ale to nie wszystko. Jakimś cudem udało mi się nie sięgnąć ku obroży, którą miałam na szyi.

Zamknęłam książkę i wzruszyłam ramionami.

- Bajka jak inne.

Mal spojrzał na mnie z ukosa z zaskoczeniem. Nie wiedziałam, czy zobaczył, co widniało na szychu.

Nie chciałam oddawać *Istorii Sanktja* Sturmhondowi, ale już i tak odnosił się do mnie podejrzliwie. Zmusiłam się więc, by podać mu książkę, a w głębi duszy liczyłam, że nie zwróci uwagi, jak drży mi dłoń.

Sturmhond przyjrzał mi się, po czym się podniósł i strząsnął mankiety.

- Zatrzymaj ją. W końcu jest twoja. Jak z pewnością zauważyłaś, żywię głęboki szacunek dla własności prywatnej. Poza tym będziesz się musiała czymś zająć w drodze do Os Kervo.

Mal i ja oboje drgnęliśmy.

- Zabierasz nas do Ravki Zachodniej? - zapytałam.

- Zabieram was na spotkanie z moim klientem... tyle mogę wam powiedzieć.

- Kim on jest? Czego ode mnie chce?

- Jesteś pewna, że to mężczyzna? Może wiozę cię do fjerdańskiej królowej.

- A wieziesz?

- Nie. Zawsze jednak mądrze jest zachować otwarty umysł.

Westchnęłam z frustracją.

- Odpowiadasz czasem na pytania wprost?

- Ciężko stwierdzić. Ach, widzisz, znowu to zrobiłem.

Odwrociłam się do Mała z zaciśniętymi pięściami.

- Zabiję go.

- Odpowiedz na pytanie, Sturmhond - warknął Mał.

Sturmhond uniósł brew.

- Powinniście wiedzieć dwie rzeczy - powiedział, a tym razem w jego głosie pobrzmiwała stal. - Po pierwsze, kapitanowie nie lubią, jak się im rozkazuje na ich własnych statkach. Po drugie, chciałbym zawrzeć z wami umowę.

Mał parsknął.

- A niby czemu mamy ci ufać?

- Nie macie zbytńskiego wyboru - odparł Sturmhond miło. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że moglibyście zatopić ten okręt i skazać nas wszystkich na wodne odmęty, lecz mam nadzieję, że zaryzykujecie z moim klientem. Wysłuchajcie tego, co ma wam do powiedzenia. Jeśli jego propozycja nie będzie wam odpowiadać, przysięgam, że pomogę wam uciec. Zabiorę was, dokądkolwiek na świecie będziecie sobie życzyć.

Własnym uszom nie wierzyłam.

- Więc zadarłeś z Darklingiem, a teraz zrobisz kolejną wolte i zdradzisz również nowego klienta?

- Bynajmniej - odparł Sturmhond, szczerze urażony.

- Klient zapłacił mi za to, żeby sprowadzić was do Ravki, a nie za to, by was tam zatrzymać. To kosztowałyby ekstra.

Popatrzyłam na Mała. Uniósł ramię i rzekł:

- To łgarz, a do tego pewnie wariat, ale ma rację. Nie mamy wyboru.

Potarłam skronie. Już czułam, że głowa mnie rozboli. Byłam zmęczona i skołowana, a to, jak Sturmhond się wypowiadał, budziło we mnie chęć odstrzelenia kogoś. Najchętniej jego. Uwolnił nas jednak od Darklinga, a kiedy Mal i ja opuścimy jego okręt, być może uda nam się uciec samodzielnie. Póki co nie mogłam dalej wybiegać myślą.

- Dobrze.

Sturmhond się uśmiechnął.

- Dobrze wiedzieć, że nas wszystkich nie potopisz. - Skinął ręką na majtka, który kręcił się w pobliżu:

- Idź po Tamar i powiedz jej, że będzie dzieliła kwaterę z Przyzywaczką - poinstruował. Potem wskazał Mala:

- On może spać u Tolii.

Nim Mal zdążył zaoponować, Sturmhond go ubiegł:

- Tak jest na tym okręcie. Dopóki nie dopłyniemy do Ravki, oboje możecie swobodnie się poruszać po „Volkvołnym”, ale zaklinam was, byście nie igrali z moją szcudrobliwą naturą. Na tym statku panują pewne zasady, a moja cierpliwość ma swoje granice.

- To tak jak moja - wycodził Mal przez zęby.

Położyłam mu dłoń na ramieniu. Czułabym się bezpieczniej, gdybyśmy mieli wspólną kwaterę, ale to nie był czas na sprzeczki z korsarzem.

- Oduść sobie - powiedziałam. - Nic mi nie będzie.

Mal spojrzał spode łba, po czym obrócił się na pięcie, odmaszerował na drugi kraniec pokładu, a wreszcie znikł wśród uporządkowanego chaosu lin i żagli. Zrobiłam krok za nim.

- Lepiej zostaw go samego - powiedział Sturmhond. - Ten typ potrzebuje mnóstwo czasu na rozpamiętywanie i samobiczowanie. W przeciwnym razie robi się marudny.

- Czy ty cokolwiek traktujesz poważnie?

- Najrzadziej jak się da. Życie bywa wówczas takie nużące.

Pokręciłam głową.

- Ten klient...

- Nie trać czasu na pytania. Nie muszę chyba mówić, że oferentów było wielu. Odkąd zniknęłaś z Fałdy, jest na ciebie bardzo wysoki popyt. Oczywiście, większość ludzi sądzi, że nie żyjesz. To nieco zbija cenę. Postaraj się nie brać tego do siebie.

Spojrzałam na drugi koniec pokładu, gdzie załoga przerzucała truchło węża morskiego przez reling.

Pracując z wysiłkiem, przeturlali je za burtę szkunera. Uderzyło w wodę z głośnym pluskiem. Tak szybko Rusał przepadł, pochłonięty przez morze.

Rozległ się przeciągły gwizd. Członkowie załogi rozpierzchli się na swoje pozycje, a Szkwalnicy zajęli miejsca. Kilka sekund później żagle rozkwitły jak wielkie białe kwiaty. Szkuner znów ruszył, biorąc kurs na południowy zachód - do Ravki, do domu.

- Co zrobisz z tymi łuskami? - zapytał Sturmhond.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Mimo mej olśniewającej urody nie jestem takim śliczniutkim głuptaskiem, na jakiego wyglądam. Darkling chciał, żebyś nosiła łuski węża morskiego.

„To dlaczego go nie zabił?” Kiedy Darkling zamordował jelenia i umieścił obrożę Morozova na mojej szyi, związał nas na zawsze. Zadrzałam, wspominając, jak sięgnął przez tę więź i przejął kontrolę nad moją mocą, podczas gdy ja bezradnie stałam. Czy łuski smoka dałyby mu tę samą władzę? A jeśli nie, to dlaczego nie skorzystał z okazji?

- Ja już mam wzmacniacz - powiedziałam.

- I to potężny, jeśli wierzyć opowieściom.

Najpotężniejszy wzmacniacz w historii świata. Tak powiedział mi Darkling, tak więc sądziłam. Ale co jeśli kryje się w nim coś więcej? Jeśli ledwie musnęłam powierzchnię mocy jelenia? Pokręciłam głową. Czyste szaleństwo.

- Wzmacniaczy nie można łączyć.

- Widziałem książkę - odparł. - Wygląda mi na to, że można.

Czułam ciężar *Istorii Sanktja* w kieszeni. Czy Darkling się obawiał, że poznam sekrety Morozova z kart książeczki dla dzieci?

- Nie rozumiesz, co mówisz - powiedziałam Sturmhondowi. - Żaden Grisza nigdy nie związał się z drugim wzmacniaczem. Ryzyko...

- Tego słowa lepiej przy mnie nie używać. Mam skłonność i przesadne zamiłowanie do ryzyka.

- Nie takiego ryzyka - zauważyłam ponuro.

- Szkoda - mruknął. - Jeśli Darling nas doścignie, wątpię, by ten okręt i ta załoga przetrwały kolejną bitwę. Drugi wzmacniacz mógłby wyrównać szanse. Albo jeszcze lepiej - zapewnić nam przewagę. Doprawdy nie cierpię sprawiedliwej walki.

- Mógłby też mnie zabić, zatopić statek albo stworzyć nową Fałdę Cienia, albo coś jeszcze gorszego.

- Ty to masz tendencję to czarnowidztwa.

Wsunęłam palce do kieszeni i zlokalizowałam wilgotne krawędzie łusek. Miałam tak mało informacji, a moja wiedza z zakresu griszaickiej teorii była w najlepszym wypadku fragmentaryczna. Jednak ta zasada zawsze wydawała się dosyć jednoznaczna: jeden Grisza, jeden wzmacniacz. Pamiętałam słowa z jednego z pokrętnych tekstów filozoficznych, które musiałam czytać: „Dlaczego Grisza może posiadać tylko jeden wzmacniacz? Zamiast tego odpowiem na inne pytanie: Cóż jest

nieskończone? Wszechświat i ludzka chciwość”. Musiałam się zastanowić.

- Dotrzymasz słowa? - zapytałam w końcu. - Pomożesz nam uciec? - Nie wiedziałam, po co zawracam sobie głowę pytaniem. Jeśli zamierza nas zdradzić, na pewno nam o tym nie powie.

Spodziewałam się, że zripostuje jakimś żartem, więc byłam zaskoczona, gdy rzekł:

- Tak ci śpieszno, by znów opuścić ojczyznę?

Znieruchomiałam. „A kraj tymczasem cierpi”. Darkling oskarżył mnie, że porzuciłam Ravkę w potrzebie. Mylił się co do wielu rzeczy, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że w tej akurat kwestii miał rację. Pozostawiłam ojczyznę na pastwę Fałdy Cienia, słabego króla i zachłannych tyranów pokroju Darklinga oraz Apparata. Jeśli wierzyć plotkom, teraz Fałda się powiększa, a Ravka rozpada. Przez Darklinga. Przez obrożę. Przeze mnie.

Uniosłam twarz do słońca, czując powiew morskiego powietrza na skórze, i powiedziałam:

- Śpieszno mi do wolności.

- Póki Darkling żyje, póty nie będziesz wolna. Twój kraj też nie. Wiesz o tym.

Rozważałam ewentualność, że Sturmhond jest chciwy albo głupi, lecz do głowy mi nie przyszło, że tak naprawdę może być patriotą. W końcu był Ravczaninem, a nawet jeśli jego wyczyny napchały mu kabzę, prawdopodobnie zdziałały dla kraju więcej dobrego niż cała mizerna ravczańska marynarka wojenna.

- Chcę mieć wybór - wyjaśniłam.

- Będziesz go miała - odparł. - Słowo łgarza i zbira. - Ruszył przez pokład, lecz zatrzymał się i obrócił do mnie: - Co do jednego masz słusność, Przyzywaczko. Darkling to potężny wróg. Lepiej pomyśl, jak zdobyć potężnych sprzymierzeńców.

Najbardziej na świecie pragnęłam wyjąć z kieszeni egzemplarz *Istorii Sanktja* i postudiować ilustrację ze Świętym Ilią przez godzinę, ale Tamar już na mnie czekała, by zaprowadzić mnie do swojej kwatery.

Szkuner Sturmhonda w niczym nie przypominał ani solidnego statku kupieckiego, na pokładzie którego przyплыliśmy z Malem do Nowoziemska, ani topornego wielorybnika, który niedawno opuściliśmy. Był smukły, mocno uzbrojony i pięknie zbudowany. Tamar mi powiedziała, że Sturmhond przejął szkuner od ziemczańskiego pirata, który jeden po drugim atakował ryczańskie okręty w pobliżu portów na południowym wybrzeżu. Korab tak bardzo przypadł Sturmhondowi do gustu, że zrobił z niego swój okręt flagowy i nazwał „Volkvoľny” - Wilk Fal.

Wilki. Sturmhond - ogar burz. Czerwony pies na banderze. Przynajmniej wiedziałam już, dlaczego załoga bezustannie wyje i ujada.

Każdy centymetr powierzchni szkunera był wykorzystany. Załoga nocowała na pokładzie bateryjnym. W przypadku potyczki hamaki można było szybko schować, a armatę wepchnąć na miejsce. Miałam rację, że skoro na pokładzie znajdowali się Korporalnicy, lekarz był niepotrzebny. Kwaterę lekarza i apteczkę przekształcono w lokum dla Tamar. Kajuta była maleńka - ledwie mieściły się tam dwa hamaki i skrzynia. Przy ścianach rozstawione były kredensy pełne nieużywanych smarowideł oraz maści, arszeniku, tynktury ołowiano-antymonowej.

Ostrożnie usiadłam na jednym z hamaków, wspierając stopy na podłodze. Dojmująco świadoma czerwonej książeczki w moim płaszczu, obserwowałam, jak Tamar otwiera swój kufer i się rozbraja: zdejmuje uprząż z piersi, na której miała pistolety, odpina dwa smukłe toporki od paska, wyciąga sztylet z buta, a drugi z pochwy przypiętej do uda. Chodząca zbrojownia.

- Żal mi twojego przyjaciela - powiedziała, wyjmując z kieszeni coś na kształt łożyska kulkowego zawiniętego w skarpetę. Walnęło o dno kufra z donośnym hukiem.

- Dlaczego? - zapytałam, rysując koło na deskach czubkiem buta.

- Mój brat chrapie jak pijany niedźwiedź.

Roześmiałam się.

- Mal też chrapie.

- No to będą mogli stworzyć duet. - Zniknęła i wróciła po chwili z wiadrem. - Pływowladni napelnili beczki na deszczówkę - powiedziała. - Jeśli chcesz, to się umyj.

Na ogół słodka woda stanowiła na pokładzie okrętu luksus, ale pewnie z Griszami wśród załogi nie było potrzeby jej racjonować.

Zanurzyła głowę w wiadrze i zmierzwiła krótkie, ciemne włosy.

- Przystojny ten tropiciel.

- Co ty nie powiesz. - Przewróciłam oczami.

- Nie w moim typie, ale przystojny.

Brwi poszybowały mi do góry. Z doświadczenia wiedziałam, że Mal jest zasadniczo w typie każdego. Nie zamierzałam jednak zadawać Tamar osobistych pytań. Jeśli Sturmhond jest niegodny zaufania, to samo dotyczy jego załogi, a ja nie potrzebowałam się przywiązywać do żadnego z nich. Dostałam nauczkę od Genii, a jedna rozbita przyjaźń mi wystarczała. Zamiast tego powiedziałam:

- Wśród załogi Sturmhonda są Kerczanie. Nie wierzą w przesady o dziewczynie na pokładzie?

- Sturmhond robi wszystko po swojemu.

- A nie... narzucają ci się?

Tamar uśmiechnęła się szeroko z błyskiem białych zębów na debrzowej skóry. Popukała w lśniący ząb rekina, który nosiła na szyi, i domyśliłam się, że to wzmacniacz.

- Nie - odpowiedziała po prostu.

- Aha.

W okamgnieniu wyjęła z rękawa kolejny nóż.

- To też się przydaje - oznajmiła.

- Jak udaje ci się wybrać? - powiedziałam słabowicie.

- Zależy, jaki mam nastrój. - Potem podrzuciła nóż i podała mi go. - Sturmhond wydał rozkaz, żeby zostawić cię w spokoju, ale na wypadek gdyby ktoś po pijaku okazał się zapominalski... Umiesz o siebie zadbać, prawda?

Pokiwałam głową. Nie chadzałam z trzydziestoma nożami pochowanymi w różnych miejscach, ale zupełnie bezradna nie byłam.

Ponownie zanurzyła głowę, a potem powiedziała:

- Na pokładzie grają w kości, a ja mam ochotę na mój przydział. Możesz ze mną pójść, jeśli masz ochotę.

Nie przepadałam za hazardem ani za rumem, ale i tak mnie korciło. Całe moje ciało tętniło po tym, jak użyłam mocy przeciwko nisztjom. Byłam niespokojna i pierwszy raz od wielu tygodni dosłownie wygłodniała. Pokręciłam jednak głowę przecząco.

- Nie, dzięki.

- Jak wolisz. Muszę odebrać parę długów. Privjet obstawiał, że nie wrócimy żywcem. Słowo daję, że kiedy przeskoczyliśmy reling, wyglądał jak żałobnik na pogrzebie.

- Założył się, że zginiecie? - zapytałam zszokowana.

Zaśmiała się.

- Nie mam do niego żalu. Zmierzyć się z Darklingiem i jego Griszami? Wszyscy wiedzieli, że to samobójstwo. Ostatecznie załoga ciągnęła losy, żeby ustalić, komu przypadnie ten zaszczyt.

- A ty i twój brat po prostu macie pecha?

- My? - Tamar zatrzymała się w drzwiach. Włosy miała wilgotne, a światło lampy odbijało się od uśmiechu godnego Sercodarczyni. - My niczego nie ciągnęliśmy - przekroczyła próg.

- Zgłosiliśmy się na ochotnika.

Dopiero późno w nocy miałam okazję porozmawiać z Malem na osobności. Sturmhond zaprosił nas na kolację do swojej kwatery. Dziwne to było przeżycie. Posiłek podał steward - służący o nienagannych manierach, o wiele lat starszy niż wszyscy pozostali na statku. Od dawna nie jedliśmy tak dobrze: świeży chleb, pieczony wątlusz, marynowane rzodkiewki i słodkie, schłodzone wino, od którego zakręciło mi się w głowie po zaledwie paru łykach.

Apetyt mi dopisywał, jak zawsze po tym, gdy używałam swojej mocy, ale Mal jadł mało, a mówił jeszcze mniej, dopóki Sturmhond nie wspomniał o ładunku broni, który wiózł do Ravki. Wtedy się ożywił i resztę posiłku spędzili, omawiając oręż, granaty i ekscytujące sposoby na wysadzanie różnych rzeczy w powietrze. Nie mogłam nawet udawać, że ich słucham. Podczas gdy oni trajkotali o powtarzalnych strzelbach stosowanych na ziemczańskich pograniczach, ja mogłam myśleć wyłącznie o łuskach w mojej kieszeni i o tym, co zamierzam z nimi zrobić.

Czy ośmielę się objąć w posiadanie drugi wzmacniacz? Odebrałam życie wężowi morskemu, co oznaczało, że jego moc należy do mnie. Jeśli jednak łuski działały jak obroża Morozova, to mogłam również udzielić komuś potęgi smoka. Mogłam dać łuski któremuś z Sercodarców Sturmhonda, może nawet Toli,

spróbować przejąć nad nim kontrolę, tak jak kiedyś Darkling przejął władzę nade mną. Być może uda się zmusić korsarza, by popłynął z nami do Nowoziemska. Musiałam jednak przyznać, że nie tego pragnęłam.

Upiłam łyczek wina. Musiałam porozmawiać z Malem.

Chcąc pomyśleć o czymś innym, skupiłam się na oznakach prestiżu w kajucie Sturmhonda. Wszędzie lśniące drewno i wypolerowany mosiądz. Na biurku poniewierały się mapy, fragmenty rozczłonkowanego sekstantu oraz cudaczne rysunki przedstawiające jakby skrzydła mechanicznego ptaka z zawiasami. Stół błyszczał od kerczańskiej porcelany i kryształu. Wina miały etykiety w języku, którego nie rozpoznałam. „Sama grabież” - uświadomiłam sobie. Sturmhondowi się powiodło.

Jeśli zaś chodzi o samego kapitana, skorzystałam z okazji i pierwszy raz naprawdę mu się przyjrzałam. Przypuszczałam, że był ode mnie starszy o cztery czy pięć lat, a w jego twarzy było coś bardzo dziwnego. Podbródek miał nazbyt spiczasty, oczy - mętnozielone, włosy w osobliwym odcieniu rudego. Nos wyglądał, jak gdyby go złamano i wiele razy źle nastawiono. W pewnej chwili złapał mnie na tym, że się mu przyglądam, i mogłabym przysiąc, że odwrócił twarz od światła.

Kiedy wreszcie opuściliśmy kajutę Sturmhonda, było już po północy. Zagnałam Mala w ustronne miejsce na pokładzie przy dziobie. Zdawałam sobie sprawę, że nad nami na marsie stoją na warcie marynarze, ale nie wiedziałam, kiedy nadarzy się okazja, by być z nim sam na sam.

- Lubię go - mówił Mal, zataczając się lekko od wina. - To znaczy za dużo gada i pewnie guziki z butów by ci ukradł, ale to nie jest zły gość, a poza tym chyba dużo wie o...

- Przymkniesz się wreszcie? - szepnęłam. - Chcę ci coś pokazać.

Mal popatrzył na mnie mętным wzrokiem.

- Czemu tak niegrzecznie.

Zignorowałam go i wyjęłam z kieszeni czerwoną książeczkę.

- Patrz - powiedziałam, otworzywszy na odpowiedniej stronie i rzucając światło na pełną uniesienia twarz Świętego Ilii.

Mał zastygł w bezruchu.

- Jeleń - powiedział. - I Rusał. - Przyglądałam się, jak studiuje ilustrację, i zobaczyłam, kiedy sobie to uświadomił. - Święci - szepnął. - Jest i trzeci.

6.

Święty Ilii stał boso na brzegu ciemnego morza. Ubrany był w potargane strzępy purpurowej szaty, ręce miał wyciągnięte i dłonie zwrócone ku górze. Na jego twarzy malował się ten błogi, spokojny wyraz, jaki miały bodaj wszystkie twarze Świętych na obrazach, na ogół tuż przed tym, jak ich zamordowano w jakiś przeraźliwy sposób. Na szyi miał żelazną obręcz, która była wcześniej połączona grubymi łańcuchami z ciężkimi okowami wokół jego nadgarstków. Teraz zerwane łańcuchy leżały po jego bokach.

Za Świętym Ilii wśród fal pluskał się wijący biały wąż.

U jego stóp leżał biały jeleń i spoglądał na nas ciemnymi, spokojnymi oczyma.

Nie skupialiśmy jednak uwagi na żadnym z tych stworzeń. W tle za lewym ramieniem Świętego znajdowały się góry, a wśród nich - ledwie widoczny z oddali - ptak okrążał strzelisty, kamienny łuk.

Mal przesunął palcem po jego długich sterówkach, odmalowanych w bieli i tym samym odcieniu złota, co aureola Świętego Ilii.

- Niemożliwe - powiedział.

- Jeleń istniał naprawdę. Podobnie jak wąż morski.

- Ale z tym jest... inaczej.

Miał rację. Ognisty ptak nie przynależał do jednej konkretnej opowieści, lecz do tysięcy. Znajdował się w sercu każdego ravnckiego mitu, stanowił inspirację dla niezliczonych sztuk i ballad, powieści oraz oper. Granice Ravki ponoć wyznaczył przelot ognistego ptaka. Jej rzeki płynęły jego łzami. Stolicę ufundowano podobno w miejscu, gdzie spadło na ziemię ptasie pióro. Młody wojownik je podniósł i wziął z sobą na bitwę. Żadna armia nie mogła mu się przeciwstawić, a on został pierwszym królem Ravki. Tak mówiła legenda.

Ognisty ptak to była Ravka. Nie było mu pisane zostać strąconym przez strzałę tropiciela, aby jego kości ku własnej chwale mogła nosić jakaś sierota-parwienuszką.

- Święty Iliia - rzekł Mal.

- Iliia Morozov.

- Święty Grisza?

Dotknęłam palcem kartki - obroży i pary kajdan na przegubach Morozova.

- Trzy wzmacniacze. Trzy stworzenia. A my mamy dwa z nich.

Mal pokręcił głową zdecydowanie, zapewne po to, by rozproszyć opary wina. Zniemacka zamknął książkę. Przez moment sądziłam, że rzuci ją do morza, ale potem mi ją zwrócił.

- Co my mamy z tym zrobić? - zapytał. Jego głos brzmiał niemal gniewnie.

Głowiłam się nad tym całe popołudnie, cały wieczór, przez całą nieskończoną kolację, raz po raz błędząc palcami w stronę łusek węża morskiego, jak gdybym nie mogła się doczekać, aż je poczuję.

- Mal, Sturmhond ma wśród załogi Fabrykatorów. Uważa, że powinnam użyć łusek... A ja uważam, że może mieć rację.

Mal obrócił głowę gwałtownie.

- Co?

Przełknęłam ślinę nerwowo i brnęłam do przodu:

- Potęga jelenia nie wystarczy. Nie w walce z Darklingiem. Nie do zniszczenia Fałdy.

- I twoim rozwiązaniem jest drugi wzmacniacz?

- Na razie.

- Na razie? - przecesał dłonią włosy. - Święci - zaklął. - Ty chcesz mieć wszystkie trzy. Chcesz zapolować na ognistego ptaka.

Nagle poczułam się niemądra, zachłanna, nawet odrobinę nedorzeczna.

- Na ilustracji...

- To tylko obrazek, Alino - szepnął zawzięcie. - Rysunek wykonany przez jakiegoś nieżyjącego mnicha.

- A jeśli to coś więcej? Darkling mówił, że wzmacniacze Morozova są inne, że należy ich używać łącznie.

- Czyli teraz słuchasz rad morderców?

- Nie, ale...

- Poczyniłaś jeszcze jakieś inne plany z Darklingiem, kiedy zaszyliście się razem pod pokładem?

- Nie zaszyliśmy się razem! - odpowiedziałam ostro. - On tylko próbował zaleźć ci za skórę.

- Cóż, udało się. - Zacisnął pięść na relingu, aż pobiełały mu kostki. - Pewnego dnia pošlę strzałę w kark tego łajdaka.

Usłyszałam echo głosu Darklinga. „Nie ma nikogo takiego jak my”. Odepchnęłam jego słowa na bok i położyłam dłoń na ramieniu Mala.

- Znalazłeś jelenia i znalazłeś węża morskiego. Może pisane ci znaleźć także ognistego ptaka.

Zaśmiał się w głos - smętnie, ale z ulgą zauważyłam, że z barwy głosu znikła gorycz.

- Jestem dobrym tropicielem, Alino, ale nie aż tak dobrym. Musimy od czegoś zacząć. Ognisty ptak może być gdziekolwiek na świecie.

- Poradzisz sobie. Wiem, że sobie poradzisz.

W końcu westchnął i położył dłoń na mojej.

- Nic nie pamiętam o Świętym Ilii.

Nie było w tym nic dziwnego. Świętych były setki, po jednym na każdą malutką wioskę i zaścianek w Ravce. Poza tym w Keramzinie religię uważano za zajęcie dla wieśniaków. Do cerkwi chadzaliśmy tylko raz czy dwa razy do roku. Zawędrowałam myślami w stronę Apparata. Dał mi *Istorii Sanktja*,, lecz nie miałam pojęcia, jaki zamiar mu przyświecał ani czy w ogóle znał sekret, jaki się w nich krył.

- Ja też nie - powiedziałam. - Ale ten łuk musi coś oznaczać.

- Poznajesz go?

Kiedy pierwszy raz popatrzyłam na sztych, łuk wyglądał prawie znajomo. Ale podczas szkolenia na kartografkę oglądałam nieprzeliczone książki z mapami. W mojej pamięci rozmazywały się doliny oraz zabytki z Ravki i spoza niej. Pokręciłam głową.

- Nie.

- Oczywiście, że nie. To by było zbyt łatwe. - Wypuścił powietrze powoli, a potem przysunął mnie do siebie i wpatrzył się w moją twarz w świetle księżyca. Dotknął obroży na mojej szyi. - Alino, skąd wiemy, co te rzeczy zrobią z tobą?

- Nie wiemy - przyznałam.

- Ale ty i tak ich pragniesz. Jelenia. Węża morskiego. Ognistego ptaka.

Pomyślałam o fali euforii, jaka płynęła z użycia mojej mocy podczas bitwy przeciwko hordzie Darklinga; o tym, jak moje ciało musowało i tętniło, kiedy władałam Cięciem. Jakie by to było uczucie, gdyby tę moc podwoić? Potroić? Od tej myśli zawirowało mi w głowie.

Podniosłam oczy na rozgwieżdżone niebo. Noc była aksamitnoczarna i usiana klejnotami. Głód zaatakował mnie nagle. „Pragnę ich” - pomyślałam. Całego tego światła, całej tej potęgi. „Pragnę tego wszystkiego”.

Obleciał mnie niespokojny dreszcz. Przesunęłam kciukiem po grzbiecie *Istorii Sanktja*. Czy przez chciwość widziałam to, co chciałam zobaczyć? Być może taka sama chciwość kierowała Darklingiem wiele lat temu - chciwość, która zmieniła go w Czarnego Heretyka i rozdarła Ravkę w pół. Nie mogłam jednak uniknąć prawdy, że bez wzmocniaczy nie dam mu rady. Mał i ja mieliśmy niewiele możliwości.

- Potrzebujemy ich - powiedziałam. - Wszystkich trzech. Jeśli kiedykolwiek chcemy przestać uciekać. Jeśli kiedykolwiek chcemy być wolni.

Mał przesunął palcami po mojej szyi, łuku policzka. Cały czas patrzył mi przy tym w oczy. Miałam wrażenie, jak gdyby szukał tam odpowiedzi, ale kiedy wreszcie się odezwał, rzekł tylko:

- Dobrze.

Pocałował mnie raz delikatnie, a chociaż starałam się to zignorować, w dotyku jego ust była żalobna nuta.

Nie wiedziałam, czy nie mogłam się doczekać, czy też po prostu bałam się, iż stracę odwagę, lecz nie bacząc na późną porę, poszliśmy do Sturmhonda tej nocy. Korsarz przyjął naszą prośbę ze zwykłym u siebie dobrym humorem, a Mal oraz ja wróciliśmy na pokład i czekaliśmy pod bezanmasztem. Parę minut później pojawił się kapitan z Materialniczką u boku. Włosy miała zaplecione w warkocze i ziewała jak rozespane dziecko, więc nie imponowała wyglądem, ale skoro Sturmhond twierdził, że to jego najlepsza Fabrykatorka, musiałam uwierzyć mu na słowo. Tolia i Tamar przyszli wraz z nimi, niosąc latarnie, aby ułatwić Fabrykatorce pracę. O ile przeżyjemy cokolwiek, co się ma wydarzyć, o tyle wszyscy na pokładzie „Volkvołnego” dowiedzą się o drugim wzmacniaczu. Nie podobało mi się to, ale nie mogłam na to nic poradzić.

- Dobry wieczór państwu - rzekł Sturmhond, klaszcząc dłońmi. Zdawał się nie dostrzegać naszego ponurego nastroju. - Idealna noc na to, by zrobić dziurę we wszechświecie, prawda?

Spojrzałam na niego wilkiem i wyjęłam łuski z kieszeni. Wypłukałam je w wiadrze z wodą morską i połyskiwały złościście w świetle rzucanym przez lampę.

- Wiesz, co robić? - zapytałam Fabrykatorkę.

Kazała mi się odwrócić i pokazać jej tył obroży. Ja widziałam to miejsce tylko przelotnie w lustrze, lecz wiedziałam, że powierzchnia musi być niemal idealna. Palcami nigdy nie udało mi się wykryć ani śladu szwu tam, gdzie David połączył dwie części poroża.

Podalam łuski Malowi, który przekazał jedną z nich Fabrykatorce.

- Jesteście pewni, że to dobry pomysł? - zapytała. Przygryzała usta tak agresywnie, że wydawało mi się, iż krew się jej puści.

- Oczywiście, że nie - odparł Sturmhond. - Wszystko, co godne zachodu, zaczyna się jako zły pomysł.

Fabrykatorka wzięła łuskę z palców Mała i przyłożyła mi ją do nadgarstka, po czym wyciągnęła rękę po kolejną. Pochyliła się nad robotą.

Najpierw poczułam ciepło promieniujące z łusek. Ich brzegi zaczęły się rozpadać, a następnie formować na nowo. Stopiły się z sobą jedna po drugiej, spojone w rząd zachodzących na siebie elementów, tworząc rosnącą obręcz wokół mojego nadgarstka. Fabrykatorka pracowała w milczeniu, minimalnie przesuwając dłonie. Tolia i Tamar trzymali lampy stabilnie. Ich twarze były tak nieruchome i poważne, że sami mogliby się znajdować na ikonach. Nawet Sturmhond zamilkł.

Nareszcie dwa końce bransolety prawie się stykały i pozostała tylko jedna łuska. Mał wpatrywał się w nią, trzymając ją w dłoni.

- Mał? - zagadnęłam.

Nie spojrział na mnie, lecz dotknął palcem odsłoniętej skóry na moim przegubie, tam, gdzie biło mi tętno - i gdzie domknie się obręcz. Potem podał ostatnią łuskę Fabrykatorce.

W kilka chwil było po wszystkim.

Sturmhond popatrzył na błyszczącą manelę z łusek.

- Cóż - mruknął. - Sądziłem, że koniec świata będzie bardziej widowiskowy.

- Odsuńcie się - powiedziałam. Grupka powlokła się w stronę relingu. - Ty też - zwróciłam się do Mała. Niechętnie posłuchał.

Zauważyłam, że Privjet się nam przygląda zza steru. Nad nami zaskrzypiały liny - wartownicy wyciągali szyję, by lepiej widzieć.

Zrobiłam głęboki wdech. Musiałam być ostrożna. Bez gorąca, tylko światło. Wytarłam wilgotne dłonie w płaszcz i rozłożyłam ramiona. Ledwie wydałam zew, a już światło gnało w moją stronę.

Nadciągało ze wszech stron, z miliona gwiazd, ze słońca wciąż schowanego za horyzontem. Nadciągało z nieubłaganą prędkością i wściekłą determinacją.

- Och Święci - zdążyłam wyszeptać. Potem światło jarzyło się przeze mnie i noc rozpadła się na części. Niebo wybuchło promiennym złotem. Powierzchnia wody błyszczała jak olbrzymi brylant, odbijając przeszywające, białe odpryski słonecznego światła. Pomimo moich najlepszych chęci powietrze migotało od żaru.

Przymknęłam oczy, by osłonić je przez jasnością, i próbowałam się skupić, odzyskać panowanie. Usłyszałam w głowie szorstki głos Baghry, jej żądanie, bym zaufała swojej mocy: „To nie jest zwierzę, które się płoszy albo decyduje, czy przyjść, kiedy je wołasz”. Ale nic podobnego wcześniej nie zaznałam. To było zwierzę, istota Nieskończonego ognia, dysząca z siłą jelenia i furią węża morskiego. Krążyła we mnie, zapierając mi dech w piersiach, rozbijając mnie, rozpuszczając moje granice, aż odczuwałam jedynie światło.

„Za dużo” - pomyślałam z desperacją. Zarazem w głowie miałam jedno: „Więcej”.

Z oddali usłyszałam krzyki. Czułam, jak żar wzbiera wokół mnie, unosi mój płaszcz, spala mi włoski na ramionach. Nie obchodziło mnie to.

- Alina!

Poczułam, jak statek się kołysze, a morze zaczyna buzować i syczeć.

- Alina! - Nagle opasały mnie ramiona Mała, ciągnęły mnie z powrotem. Zgniatał mnie w uścisku, zaciskając oczy, by ochronić je przed otaczającą nas jasnością. Poczułam woń morskiej wody, potu, a pod nimi jego znajomy zapach - Keramzin, trawa na łące, ciemnozielone serce lasów.

Przypomniały mi się moje ramiona, moje nogi, ucisk na żebra, a on trzymał mnie coraz mocniej, na powrót składając mnie w całość. Rozpoznałam swoje usta, zęby, język, serce oraz te dwie nowe rzeczy, które stanowiły część mnie: obrozę i obręcz. Kość i oddech, mięsień i ciało. Były moje.

„Czy ptak czuje ciężar swoich skrzydeł?”

Zrobiłam wdech, poczułam, jak wraca rozum. Nie musiałam brać mocy w posiadanie. To ona lgnęła do mnie, jak gdyby była wdzięczna za to, że wraca do domu. Jedną, olśniewającą eksplozją wypuściłam światło. Jasne niebo zaczęło pękać, wpuszczając ciemność z powrotem, a wszędzie dookoła padały iskry jak z gasnących fajerwerków, niczym sen o lśniących płatkach zdmuchniętych z tysięcy kwiatów.

Żar zelżał. Morze się uspokoiło. Ściągnęłam ostatnie skrawki światła i splotłam je w łagodny blask, który wibrował nad pokładem statku.

Sturmhond i pozostali kucali przy barierce z ustami rozdziawionymi z podziwu lub lęku. Mał przygniatał mnie do piersi i wciskał twarz w moje włosy, dysząc szorstko.

- Mał - odezwałam się cicho. Przycisnął mnie mocniej. Pisnęłam. - Mał, nie mogę oddychać.

Powoli otworzył oczy i spojrzał na mnie. Opuściłam ręce, a światło znikło do cna. Dopiero wtedy rozluźnił uścisk.

Tolia zapalił lampę, a inni wstali. Sturmhond strzepnął kurz z krzykliwych połów swojego turkusowego surduta. Fabrykatorka wyglądała, jakby jej było niedobrze, ale wyraz twarzy bliźniąt trudniej było odczytać. Ich złote oczy lśniły czymś nienazwanym.

- Cóż, Przyzywaczko - rzekł Sturmhond nieco niepewnym tonem - ty to umiesz urządzić przedstawienie.

Mał objął moją twarz dłońmi. Pocałował mnie w brew, nos, usta, włosy, a potem znowu mocno do siebie przytulił.

- Nic ci nie jest? - zapytał chrapliwie.

- Nic mi nie jest - odpowiedziałam.

Nie było to jednak w pełni prawdą. Czułam obrożę na szyi i ucisk bransolety na przegubie. Druga ręka wydawała mi się naga. Byłam niepełna.

Sturmhond przebudził załogę i o świcie płynęliśmy już pełną parą. Nie byliśmy pewni, jak daleko sięgało światło, które stworzyłam, ale istniała spora szansa, że zdradziłam miejsce naszego pobytu. Trzeba było szybko się przemieścić.

Każdy z załogi chciał popatrzeć na drugi wzmacniacz. Jedni byli nieufni, inni zwyczajnie ciekawi, ale przejmowałam się tylko Malem. Nieustannie mnie obserwował, jak gdyby obawiał się, że lada moment stracę panowanie. Kiedy zapadł zmrok i zeszedliśmy pod pokład, zdybałam go w jednym z wąskich korytarzy.

- Nic mi nie jest - powiedziałam. - Naprawdę.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Czuję to.

- Nie widziałas tego, co ja. To było...

- Poniosło mnie. Nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Pokręcił głową.

- Byłaś jak obca, Alino. Piękna. Straszna.

- To się więcej nie powtórzy. Obręcz jest teraz częścią mnie, jak moje płuca czy serce.

- Twoje serce - rzekł bezbarwnie.

Chwyciłam go za rękę i przycisnęłam ją do piersi.

- To wciąż to samo serce, Mal. Nadal jest twoje.

Uniosłam drugą rękę i rzuciłam miękkie światło słońca na jego twarz. Wzdrygnął się. „Nigdy nie pojmie twojej mocy, a gdyby ją pojął, zacząłby się tylko ciebie bać”. Wyparłam głos Darklinga ze świadomości. Mal miał pełne prawo się obawiać.

- Dam radę - powiedziałam łagodnie.

Zamknął oczy i zwrócił twarz w stronę światła słońca, które promieniowało z mojej ręki. Potem przekrzywił głowę i złożył policzek na mojej dłoni. Światło jaśniało ciepło przy jego skórze.

Staliśmy tak w milczeniu, aż zadzwoniono na zmianę warty.

7.

Wiały cieplejsze wiatry, a wody zmieniły kolor z szarego na błękitny - „Volkvoľny” niósł nas na południowy zachód do Ravki. Załoga Sturmhonda składała się z żeglarzy i Griszów-wyrzutków, którzy wspólnie dbali o sprawne działanie okrętu. Pomimo opowieści o potędze drugiego wzmacniacza, które obieły pokład, załoga nie zwracała większej uwagi na Mala ani na mnie, choć od czasu do czasu przychodziła popatrzeć, jak trenuję na rufie szkunera. Byłam ostrożna, nigdy nie posuwałam się za daleko, zawsze przyzywałam w południe, kiedy słońce stało wysoko na niebie i nie groziło nam, że ktoś wypatrzy efekty moich wysiłków.

Mal był wciąż nieufny, ale powiedziałam prawdę: moc węża morskiego była teraz częścią mnie. Ekscytowała mnie. Podtrzymywała na duchu. Nie budziła we mnie lęku.

Fascynowali mnie wyrzutki. Każdy z nich miał własną historię. Jeden miał ciotkę, która wołała go wywieźć, niż oddać Darklingowi. Drugi zbiegł z Drugiej Armii. Jeszcze inna ukryła się w piwnicze, kiedy Inspektorzy Griszów przybyli ją sprawdzić.

- Mama im powiedziała, że zabiła mnie gorączka, która przetoczyła się poprzedniej wiosny przez wioskę - wyjaśniła Pływowladna. - Sąsiedzi obcięli mi włosy i dopóki nie dorosłam, podawali mnie za ich zmarłego syna-otkazację.

Matka Tolii i Tamar była Griszą stacjonującą na południowej granicy Ravki. Tam poznała ich ojca - szuhańskiego najemnika.

- Na łożu śmierci - tłumaczyła Tamar - kazała ojcu obiecać, że nie pozwoli nas wziąć do Drugiej Armii. Następnego dnia wyruszyliśmy do Nowoziemska.

Większość samotnych Griszów trafiała do Nowoziemska. Poza Ravką było to jedyne miejsce, gdzie nie musieli się obawiać eksperymentów szuhańskich doktorów ani spalenia na stosie przez fjerdańskich fanatyków. Mimo to musieli zachować ostrożność, ujawniając swoją moc. Griszowie stanowili cenionych niewolników, a zdarzało się, że kerczańscy kupcy o mniej drażliwych sumieniach gromadzili ich i sprzedawali na tajnych aukcjach.

Właśnie ze względu na te zagrożenia tak wielu Griszów chroniło się Ravce i wstępowało do Drugiej Armii. Wyrzutki jednak rozumowali inaczej. Dla nich nieustanne oglądanie się przez ramię i ciągła tułaczka, by uniknąć identyfikacji, stanowiły lepszą perspektywę niż życie w służbie Darklingowi i królowi Ravki. Rozumiałam ten wybór.

Po paru monottonnych dniach na szkunerze Mal i ja poprosiliśmy Tamar, by pokazała nam kilka ziemczańskich stylów walki. Pomagało to urozmaicić nużące życie na statku i rozproszyć okropny niepokój związany z powrotem do Ravki Zachodniej.

Załoga Sturmhonda potwierdziła zatrwajające pogłoski, które zasłyszeliśmy w Nowoziemsku. Niemal całkowicie zaniechano przepraw przez Fałdę, a uciekinierzy pośpiesznie opuszczali jej brzegi, które sięgały coraz dalej. Pierwsza Armia była na skraju buntu, a Druga - w rozsypce. Najbardziej przeraziła mnie wieść, że zainicjowany przez Apparata kult Świętej Słońca rośnie. Nikt nie wiedział, jak udało mu się wymknąć z Wielkiego Pałacu po nieudanym zamachu stanu Darklinga, ale wychynął gdzieś w sieci monastyrów rozsianych po całej Ravce.

Rozpowszechniał opowieść, że zginęłam w Fałdzie i zostałam wskrzeszona jako Święta. Opowieść była nedorzeczna, ale kiedy późno w nocy przerzucałam krwawe strony *Istońi Sanktja.*, nie było mi do śmiechu. Przypominałam sobie odór Apparata - przykre połączenie kadzidla oraz pleśni - i mocniej otulałam się płaszczem. On mi dał czerwoną książeczkę. Trudno było nie zastanawiać się nad przyczynami.

Pomimo siniaków i guzów sparingi z Tamar łagodziły nieustające zamartwianie się. Dorosłe dziewczęta brano do królewskiej armii tak samo jak chłopców, więc naoglądałam się mnóstwo walczących dziewczyn i razem z nimi trenowałam. Nigdy jednak nie widziałam, by ktoś - nieważne, mężczyzna czy kobieta - walczył jak Tamar. Poruszała się z gracją tancerki i na pozór nieomylnym wyczuciem następnego kroku przeciwnika. Jej ulubionym orężem były dwa labrysy, którymi władała jednocześnie. Ich ostrza błyskały jak światło odbite od wody. Była jednak niemal równie niebezpieczna w walce na szable, pistolety

albo gołe ręce. Tylko Tolia mógł jej dorównać, a kiedy ćwiczyli ze sobą, cała załoga się przyglądała.

Olbrzym odzywał się rzadko, a większość czasu albo pracował na linach, albo stał i siał grozę samym wyglądem. Od czasu do czasu jednak włączał się w nasze lekcje. Kiepski był z niego nauczyciel. „Szybciej” - tyle można było z niego wydobyć. Tamar była znacznie lepszą trenerką, lecz moje lekcje stały się mniej wymagające po tym, jak Sturmhond zobaczył nasz trening na fordeku.

- Tamar - skarcił ją Sturmhond - nie uszkodź proszę ładunku.

Tamar natychmiast stanęła na baczność i odparła zwięźle:

- Da, kapitanie.

Spojrzałam na niego cierpko:

- Nie jestem paczką, którą masz dostarczyć, Sturmhond.

- Szkoda - odparował, przechodząc obok mnie - paczki nie gadają i leżą tam, gdzie się je zostawi.

Kiedy jednak Tamar zaczęła z nami trenować rapiery i szable, nawet Sturmhond się włączył. Mal z dnia na dzień był coraz lepszy, chociaż Sturmhond i tak za każdym razem pokonywał go z łatwością. Malowi to jednak nie przeszkadzało. Przyjmował cięgi z dobrodusznym podejściem, na jakie ja nigdy jakoś nie umiałam się zdobyć. Porażki mnie drażniły - Mal zbywał je śmiechem.

- Jak ty i Tolia nauczyliście się używać swoich mocy?

- spytałam Tamar pewnego dnia po południu, gdy przyglądałyśmy się, jak Mal i Sturmhond walczą na pokładzie na stępione miecze. Wyszukała dla mnie różek skutniczy i kiedy nie spuszczała mi łomotu, próbowała mnie nauczyć wiązać oraz splatać liny.

- Łokcie przy sobie! - złązał Mala Sturmhond. - Przestań nimi machać jak kura!

Mal niepokojąco realistycznie zagdakał. Tamar uniosła brew.

- Twój przyjaciel chyba się dobrze bawi.

- Mał zawsze taki był - wzruszyłam ramionami. - Można by go podrzucić do obozu fjerdańskich zabójców, a na końcu i tak wynieśli by go na rękach. Kwitnie wszędzie, gdzie się go posadzi.

- A ty?

- Ja to bardziej taki chwast - odparłam cierpko.

Tamar uśmiechnęła się szeroko. W starciu była jak zimny, cichy ogień, ale poza polem walki uśmiechała się często.

- Lubię chwasty - powiedziała, odepchnęła się od relingu i pozbierała porozrzucane liny. - Potrafią przetrwać.

Złapałam się na tym, że odwzajemniam jej uśmiech, i szybko wróciłam do węzła, który próbowałam zawiązać. Problem tkwił w tym, że podobało mi się na pokładzie statku Sturmhonda. Lubiłam Tolię, Tamar i pozostałych członków załogi. Lubiłam siadać z nimi do posiłku, lubiłam melodyjny tenor Privjeta. Lubiłam popołudnia, kiedy ćwiczyliśmy strzelanie do celu, ustawialiśmy puste butelki po winie na rufówce, próbowaliśmy je zestrzelić i robiliśmy niewinne zakłady.

Przypominało mi to trochę pobyt w Małym Pałacu, ale bez brudnej polityki i ciągłej rywalizacji o wyższy status. Członkowie załogi odnosili się do siebie swobodnie i otwarcie. Wszyscy byli młodzi, biedni i większość życia spędzili, ukrywając się. Na tym okręcie znaleźli dom, a Mała oraz mnie przyjeźli do tego domu bez większych ceregieli.

Nie wiedziałam, co nas czeka w Ravce Zachodniej, lecz podejrzewałam, że powrót to czyste szaleństwo. Jednak na pokładzie „Volkvołnego”, gdy wiatr wiał, a białe płótno rysowało się klarownie na rozległym błękitnym niebie, mogłam zapomnieć o przyszłości i o lęku.

Muszę przyznać, że lubiłam również Sturmhonda. Był bezczelny i zuchwały, i zawsze gadał więcej, niż było potrzeba,

ale imponowało mi, jak prowadzi swoją załogę. Nie zawracał sobie głowy sztuczkami, które stosował Darkling, a mimo to podążali za nim bez wahania. Szanowali go, a nie bali się.

- jak naprawdę nazywa się Sturmhond? - zagadnęłam Tamar. -
Po ravncańsku?

- Nie mam pojęcia.

- Nigdy nie pytałaś?

- A niby po co?

- Ale z której części Ravki pochodzi?

Zmrużyła oczy i spojrzała w niebo.

- Masz ochotę na jeszcze jedną potyczkę na szable? - spytała. -
Powinnyśmy zdążyć przed moją wartą.

Zawsze zmieniała temat, gdy zaczynałam mówić o Sturmhondzie.

- Tamar, on nie spadł z nieba prosto na okręt. Nie obchodzi cię, skąd on jest?

Tamar podniosła miecze i podała je Tolii, który na pokładzie pełnił funkcję zbrojmistrza.

- Niespecjalnie. Daje nam żeglować i daje nam walczyć.

- I nie każe nam się przebierać w czerwone jedwabie i zgrywać piesków salonowych - dorzucił Tolia, otwierając szafkę kluczem, który nosił na masywnym karku.

- Marny byłby z ciebie piesek salonowy - zaśmiała się Tamar.

- Wszystko jest lepsze od słuchania rozkazów nadętego frajera w czarnych łachach - sarknął Tolia.

- Słuchasz rozkazów Sturmhonda - zwróciłam uwagę.

- Tylko wtedy, kiedy ma ochotę. - Podskoczyłam. Sturmhond stał tuż za mną. - Sama spróbuj powiedzieć temu byczkowi, co ma robić, i zobaczymy, jak ci pójdzie.

Tamar parsknęła i pomogła Tolii schować pozostałą broń. Sturmhond pochylił się i mruknął:

- Jeśli chcesz się o mnie czegoś dowiedzieć, śliczności, wystarczy zapytać.

- Zastanawiałam się tylko, skąd pochodzisz - odpowiedziałam defensywnie. - To wszystko.

- Skąd ty pochodzisz?

- Z Keramzina. Wiesz o tym.

- Ale skąd ty pochodzisz?

Przez głowę przemknęły mi niewyraźne wspomnienia. Płytkie naczynie z gotowanymi burakami, to, jakie były one śliskie w dotyku i jak poplamity mi dłonie na czerwono. Zapach owsianki z jajkiem. Zakurzona droga, a ja na czyichś ramionach - być może mojego ojca. W Keramzinie nawet wzmianka o rodzicach uchodziła za zdradę wobec dobroci księcia i za oznakę niewdzięczności. Nauczono nas nigdy nie mówić o życiu przed przybyciem do majątku, a z biegiem czasu większość wspomnień po prostu znikła.

- Znikąd - powiedziałam. - Wioska, w której się urodziłam, była za mała na własną nazwę. A co z tobą, Sturmhondzie? Skąd ty pochodzisz?

Korsarz wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kolejny raz uderzyło mnie, że w rysach jego twarzy jest coś dziwnego.

- Moja matka była ostrygą - mrugnął okiem - a ja to perła.

Odmaszerował, gwizdząc fałszywie.

Dwie noce później Tamar mnie obudziła, potrząsając moim zdrowym ramieniem.

- Pora iść - oznajmiła.

- Teraz? - spytałam rozespana. - Która godzina?

- Dochodzi trzeci dzwonek.

- Nad ranem? - ziewnęłam i przerzuciłam nogi z hamaka na podłogę. - Gdzie jesteście?

- Piętnaście mil od wybrzeża Ravki Zachodniej. Chodźże, Sturmhond czeka. - Była ubrana, a przez ramię przerzuciła płócienną torbę.

Ja nie miałam co zbierać, więc założyłam buty, poklepałam wewnętrzną kieszeń płaszcza, żeby sprawdzić, czy mam czerwoną książeczkę, i wyszłam za nią.

Na pokładzie Mal stał przy relingu od sterburty z kilkoma członkami załogi. Chwilę nie mogłam się połapać, bo zauważyłam, że Privjet ma na sobie krzykliwy, turkusowy surdut Sturmhonda. Gdyby nie to, że wydawał rozkazy, nie poznałabym kapitana. Owinięty był w obszerny szynel z postawionym kołnierzem, a nisko na uszy naciągnął wełnianą czapę.

Wiał zimny wiatr. Gwiazdy świeciły jasno, a nisko nad horyzontem wisiał sierp księżyca. Popatrzyłam na lśniące w świetle gwiazd fale i nasłuchiwałam miarowych westchnień morza. Jeśli łąd faktycznie znajdował się w pobliżu, ja go nie widziałam.

Mal pocierał ramiona dla ciepła.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Schodzimy na łąd. - W jego głosie pobrzmiwała nutka rezerwy.

- W środku nocy?

- „Volkvoľny” podniesie moją banderę w pobliżu fjerdańskiego wybrzeża - rzekł Sturmhond. - Darkling nie musi jeszcze wiedzieć, że wróciłaś na ravczańską ziemię.

Sturmhond pochylił głowę w stronę Privjeta i zatopili się w rozmowie, a Mal pociągnął mnie w stronę relingu od portburty.

- Jesteś tego pewna?

- Ani trochę - przyznałam.

Położył mi dłonie na ramionach i powiedział:

- Są spore szanse, że jeżeli nas znajdą, zostanę aresztowany, Alino. Ty możesz sobie być Przyzywaczką Słońca, ale ja jestem po prostu żołnierzem, który sprzeciwił się rozkazom.

- Rozkazom Darklinga.

- To może nie mieć znaczenia.

- Zrobię tak, żeby to miało znaczenie. Poza tym nas nie znajdą. Dostaniemy się do Ravki Zachodniej, spotkamy z klientem Sturmhonda i zdecydujemy, co chcemy robić.

Mal przyciągnął mnie do siebie.

- Zawsze było z tobą tyle problemów?

- Lubię myśleć o sobie, że jestem czarująco skomplikowana.

Pochylił się, by mnie pocałować, lecz głos Sturmhonda przeszył mrok.

- Możemy się poprzytulać później? Chcę, żebyśmy przed świtem zeszli na ląd.

Mal westchnął.

- Prędzej czy później dam mu z piąchy.

- Będę cię wspierać w tym przedsięwzięciu.

Chwycił mnie za rękę i wróciliśmy do pozostałych.

Sturmhond dał Privjetowi kopertę zapieczętowaną jasnyniebieskim woskiem, po czym poklepał go po plecach. Może mi się przywidziało w świetle księżyca, ale pierwszy oficer wyglądał, jakby się miał rozplakać. Tolia i Tamar prześlizgnęły się

nad relingiem, mocno się trzymając obciążonej drabinki przytwierdzonej go szkunera.

Wyrzesałam za burtę. Spodziewałam się zobaczyć zwykłą szalupe, więc zaskoczyła mnie nieduża łódź, która kołysała się na falach obok „Volkvołnego”. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej łódki. Jej dwa kadłuby wyglądały jak para wydrażonych butów, a łączył je pokład z ogromną dziurą na środku.

Mal zszedł, a ja za nim. Ostrożnie stapałam po jednym z zakrzywionych kadłubów łodzi. Przeszliśmy po nim na główny pokład, gdzie pomiędzy dwoma masztami znajdował się obniżony kokpit. Sturmhond zeskoczył za nami, po czym wybił się na podniesioną platformę za kokpitem i zajął miejsce za sterem.

- Co to jest? - zapytałam.

- Nazywam ją „Koliber” - odparł, sprawdzając coś na jakiejś mapie, której nie było widać z miejsca, gdzie stałam. - Ale myślę, że przechrzczę ją na „Ognistego Ptaka”. - Sapnęłam ostro, ale Sturmhond tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu i rozkazał: - Podnosić kotwicę!

Tamar i Tolia odczepili mocowania, które łączyły nas z „Volkvołnym”. Zobaczyłam, jak lina kotwiczna sunie nad rufą „Kolibra” jak żywy wąż i cicho wślizguje się do morza. Wydawało mi się, że kotwica się nam przyda, kiedy przybijemy do portu, ale Sturmhond pewnie wiedział, co robi.

- Stawiać żagle - zawołał.

Żagle się rozwinęły. Choć maszty „Kolibra” były znacznie krótsze niż te na szkunerze, podwójne żagle statku były olbrzymie, kwadratowe, i trzeba było po dwóch członków załogi, żeby je prawidłowo ustawić.

Lekka bryza wydeła płótno i oddaliliśmy się od „Volkvołnego”. Podniosłam oczy i zobaczyłam, jak Sturmhond patrzy na oddalający się okręt. Nie widziałam jego twarzy, lecz miałam

przemodne wrażenie, iż się żegna. Pokręcił głową, po czym zakrzyknął:

- Szkwalnicy!

Na każdym z kadłubów stał Grisza. Unieśli ramiona i wokół nas wezbrał wiatr, który wypełnił żagle. Sturmhond poprawił kurs i rozkazał zwiększyć prędkość. Szkwalnicy posłuchali i dziwna łódka ruszyła z impetem do przodu.

- Macie - powiedział Sturmhond. - Położył mi na kolanach gogle, a drugą parę rzucił Malowi. Przypominały te, które nosili Fabrykatorzy w warsztatach w Małym Pałacu. Rozejrzałam się. Wyglądało na to, że nosi je cała załoga, ze Sturmhondem włącznie. Założyliśmy je.

Chwilę później byłam za nie wdzięczna, bo Sturmhond rozkazał jeszcze bardziej zwiększyć prędkość. Żagle załopotały w olinowaniu nad nami i zaczęłam się lekko denerwować. Dlaczego tak mu śpieszno?

„Koliber” pędził nad wodą. Podwójne, płytkie kadłuby ślizgały się po falach, jak gdyby ledwie muskały powierzchnię morza. Trzymałam się mocno siedzenia, a przy każdym wstrząsie żołądek podchodził mi do gardła.

- Dobra, Szkwalnicy - rozkazał Sturmhond - unście nas. Na mój znak żeglarze do skrzydeł.

Odwróciłam się do Mała:

- Co on ma na myśli, kiedy mówi „unście nas”?

- Pięć! - krzyknął Sturmhond.

Członkowie załogi zaczęli ciągnąć liny i się przemieszczać w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara.

- Cztery!

Szkwalnicy rozłożyli ręce szerzej.

- Trzy!

Pomiędzy dwoma masztami wzniósł się bom. Żagle przesunęły się wzdłuż niego.

- Dwa!

- Dźwigać! - zawołali żeglarze.

Szkwalnicy unieśli ręce wielkim łukiem.

- Jeden! - zawył Sturmhond.

Żagle wydeły się w górę i na boki. Znajdowały się wysoko nad pokładem jak gigantyczne skrzydła. W żołądku mi się zakotłowało i wydarzyło się coś nie do pomyślenia: „Kolibier” wzbil się w powietrze.

Trzymałam się siedzenia kurczowo, mamrocząc pod nosem stare modlitwy i zaciskając powieki. Wiatr walił mnie po twarzy. Wznosiliśmy się w nocne niebo.

Sturmhond stał i zaśmiewał się jak głupek. Szkwalnicy pokrzykiwali do siebie nawzajem, starając się zachować stabilny wiew wzyż. Ja miałam wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi.

„O, Święci” - pomyślałam z napływem mdłości. „To się nie dzieje”.

- Alina - zawołał Mal przez wiatr.

- Co? - wydusiłam przez mocno zaciśnięte wargi.

- Alina, otwórz oczy. Musisz to zobaczyć.

Pokręciłam głową szybko. Tego akurat zdecydowanie nie musiałam robić.

Mal wziął mnie za rękę, chwycił moje lodowate palce.

- Spróbuj.

Zrobiłam drżący wdech i zmusiłam się, by rozchylić powieki. Otaczały nas gwiazdy. Ponad nami rozpościerały się dwa rozległe łuki białego płótna, jak napięte krzywizny łączyska.

Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale nie mogłam się powstrzymać i wychyliłam głowę poza krawędź kokpitu. Wiatr dał z ogłuszającym hukiem. Poniżej - dużo niżej - fale w świetle księżycy marszczyły się jak wyraziste łuski powolnej zmi. Gdybyśmy spadli, wiedziałam, że roztrzaskamy się o jej grzbiet.

Wyrwał mi się urywany śmiech, w połowie drogi między uniesieniem a histerią. Lecieliśmy. Lecieliśmy.

Mał ścisnął moją dłoń i wydał rozradowany okrzyk.

- To jest niemożliwe! - wrzasnęłam.

Sturmhond odkrzyknął:

- Kiedy ludzie mówią, że coś jest niemożliwe, na ogół mają na myśli, że jest to nieprawdopodobne. - Światło księżycy jaśniało na soczewkach jego gogli, a poły szynela kłębiły się wokół niego. Wyglądał jak kompletny szaleniec.

Spróbowałam odetchnąć. Wiatr wiał miarowo. Szkwalnicy i załoga wyglądali na skoncentrowanych, lecz spokojnych. Powolotku przestawało mnie ścisnąć w piersi i zaczynałam się rozluźniać.

- Skąd to coś się wzięło? - zawołałam do Sturmhonda.

- Zaprojektowałem statek. Zbudowałem go. Rozbiłem się kilkoma prototypami.

Przełknęłam z wysiłkiem. Nie chciałam słyszeć ani słowa na temat rozbijania się.

Mał wychylił się poza kokpit, aby lepiej się przyjrzeć olbrzymim strzelbom ustawionym na przedzie kadłubów.

- Te strzelby mają po wiele luf - zauważył.

- I są ładowane siłą grawitacji. Nie trzeba przeładowywać. Strzelają dwieście razy na minutę.

- To jest...

- Niemożliwe? Jedyne problem stanowi przegrzanie, ale w tym modelu nie jest z tym tak źle. Jeden ziemczański rusznikarz pracuje dla mnie nad usunięciem wad. Barbarzyńskie z nich gnojki, ale na broni się znajdują. Siedziska na rufie się obracają, więc można strzelać pod dowolnym kątem.

- I ostrzelać wroga z góry - Mal krzyknął z ekscytacją. - Gdyby Ravka miała całą flotyllę takich...

- Niezła przewaga, nie? Ale Pierwsza i Druga Armia musiałyby pracować razem.

Pomyślałam o tym, co Darkling mi powiedział tak dawno temu. „Era potęgi Griszów ma się ku końcowi”. W odpowiedzi na to postanowił zmienić Fałdę w broń. Ale co by było, gdyby potęgę Griszów przekształcali tacy ludzie jak Sturmhond? Omiotłam wzrokiem pokład „Kolibra”, żeglarzy i Szkwalników pracujących ramię w ramię, Tolię i Tamar usadowionych za tymi przerażającymi strzelbami. Nie było to niemożliwe.

„To korsarz” - powiedziałam sobie z rozmysłem. „W jednej chwili stoczy się do poziomu spekulanta wojennego”. Uzbrojenie Sturmhonda mogłoby dać Ravce przewagę, ale tego oręża równie łatwo mogliby używać nieprzyjaciele Ravki.

Z zamyślenia wyrwało mnie jasne światło odbijające się od bakburty. Wielka latarnia morska w Zatoce Alchem. Byliśmy już blisko. Gdybym wychyliła głowę, dostrzegłabym błyszczące wieże przystani w Os Kervo.

Sturmhond nie kierował się wprost na nią, lecz bardziej na południowy zachód. Przypuszczałam, że osiądziemy jeszcze gdzieś na morzu. Na myśl o lądowaniu robiło mi się niedobrze. Postanowiłam przez cały ten czas nie otwierać oczu, niezależnie od tego, Mal mówi.

Wkrótce straciłam z pola widzenia promień latarni. Jak daleko na południe Sturmhond zamierza nas zabrać? Mówił, że chce

dotrzeć do wybrzeża przed świtem, a dzieliły nas od niego najwyżej dwie godziny.

Moje myśli zaczęły błądzić wśród otaczających nas gwiazd i chmur mknących po rozległym niebie. Nocny wiatr smagał mnie po policzkach i zdawał się przecinać na wskroś cienki materiał mojego płaszcza.

Zerknęłam w dół i zdusiłam wrzask. Nie znajdowaliśmy się już nad wodą. Lecieliśmy nad lądem - twardym, nieustępliwym lądem.

Pociągnęłam Mała za rękaw i gorączkowo wskazałam wiejski krajobraz rozpościerający się pod nami, zabarwiony przez blask księżycy odcieniami czerni i srebra.

- Sturmhond! - krzyknęłam w panice. - Co ty wyprawiasz?

- Mówiłeś, że zabierasz nas do Os Kervo... - zawołał Mał.

- Mówiłem, że zabieram was na spotkanie z moim klientem.

- Mniejsza z tym - zawodziłam. - Gdzie my wylądujemy?

- Nic się nie martw - odparł Sturmhond. - Myślę o takim prześlicznym, malutkim jeziorku.

- Jak malutkim? - pisałam. Potem jednak zobaczyłam, że Mał wychodzi z kokpitu ze wściekłą miną. - Siadaj, Mał!

- Ty kłamliwy, złodziejski...

- Ja bym został tam, gdzie jesteś. Pewnie byś nie chciał latać z miejsca na miejsce, kiedy wlecimy do Fałdy.

Mał zamarł. Sturmhond zaczął pogwizdywać tę samą, fałszywą melodyjkę. Porwał ją wiatr.

- Nie możesz mówić poważnie - powiedziałam.

- Na ogół nie - odrzekł Sturmhond. - Orecev, pod twoim siedzeniem umocowana jest strzelba. Lepiej ją weź. Tak na wszelki wypadek.

- Nie możesz tym czymś wlecieć do Fałdy! - ryknął Mal.

- Czemu nie? Jeśli dobrze rozumiem, podróżuję w towarzystwie jedynej osoby, która może zagwarantować bezpieczeństwo.

Zacisnęłam dłonie w pięści. Wściekłość nagle wyparła mi z głowy lęk.

- Może po prostu pozwolę wilkrom zjeść ciebie i całą twoją załogę na późną kolacyjkę!

Nie puszczając koła sterowego, Sturmhond popatrzył na czasomierz.

- Raczej wczesne śniadanie. Doprawdy jesteście spóźnieni. Poza tym do ziemi daleko. Nawet dla Przyzywaczki Słońca.

Popatrzyłam na Mala i wiedziałam, że na mojej twarzy musi się malować ta sama furia.

Krajobraz zmieniał się pod nami w zastraszającym tempie. Wstałam, żeby się rozejrzeć i ocenić, gdzie jesteśmy.

- Wszyscy Święci - zakląłam.

Za nami leżały gwiazdy, światło księżycy, żywy świat. Przed nami nicość. Naprawdę zamierzał to zrobić. Zabierał nas do Fałdy.

- Strzelcy na pozycje - zawołał Sturmhond. - Szkwalnicy - spokojnie.

- Zabiję cię, Sturmhond! - zawołałam. - Natychmiast zawracaj!

- Żałuję, ale nie mogę. Obawiam się, że jeżeli pragniesz mnie zabić, będziesz musiała poczekać, aż wylądujemy. Gotowi?

- Nie! - zawyłam.

Ale w następnej chwili otoczyła nas ciemność. Nie przypominała ona żadnej znanej nocy - była to idealna, głęboka, nienaturalna czerń, która zdawała się przytłaczać nas i dusić. Byliśmy w Fałdzie.

8.

Jak tylko znaleźliśmy się na terenie Niemorza, wiedziałam, że coś się zmieniło.

Z pośpiechem wsparłam stopy na pokładzie i uniosłam dłonie, otaczając „Kolibra” rozległą, złotą łuną słońca. Chociaż byłam wściekła na Sturmhonda, nie zamierzałam pozwolić, by stado wilków nas strąciło, tylko po to, by dowieść swego.

Dzięki mocy obu wzmacniaczy wystarczyła krótka myśl, by przywołać światło. Ostrożnie badałam jego granice, lecz nie wyczuwałam tego gwałtownego zamętu, który mnie oszołomił, kiedy pierwszy raz używałam bransolety. Coś jednak bardzo źle się działo. Miałam poczucie, że Fałda była inna. Mówiłam sobie, że tylko sobie to uroiłam, ale zdawało mi się, że ciemność ma strukturę. Prawie czułam, jak prześlizguje się po mojej skórze. Brzegi rany na ramieniu napięły się i zaczęły świerzbić, jak gdyby samo ciało było niespokojne.

Byłam na Niemorzu dwakroć wcześniej i za każdym razem czułam się jak obca, jak kruchy natręt w niebezpiecznym, nienaturalnym świetle, który mnie tam nie chciał. Teraz jednak miałam wrażenie, jakby Fałda wyciągała ku mnie rękę, witała mnie. Wiedziałam, że to nie miało sensu. Fałda była martwym i pustym miejscem, a nie żywą istotą.

„Zna mnie” - pomyślałam. „Podobne wzywa podobne”.

To było zupełnie niedorzeczne. Otrząsnęłam się z tych myśli i pchnęłam światło dalej, tak by moc pulsowała wokół mnie ciepło i kojąco. To tym byłam. Nie ciemnością.

- Nadchodzą - powiedział Mał przy moim boku. - Słuchaj.

Ponad wyciem wiatru usłyszałam, jak po Fałdzie rozchodzi się echo krzyku, a potem miarowy łopot skrzydeł wilków. Szybko nas znalazły - zwabiła je woń ludzkich ofiar.

Ich skrzydła były w powietrze wokół kręgu światła, który stworzyłam, śląc ciemność w naszą stronę drżącymi falami. Zawieszono przepawy przez Fałdę, więc długo głodowały. Apetyt je ośmielał.

Rozpostarłam ramiona, podsycając światło, odpychając je.

- Nie - rzekł Sturmhond. - Ściągnij je bliżej.

- Co? Czemu? - zapytałam. Wilkry były stuprocentowymi drapieżnikami. Nie należało z nimi igrzać.

- Polują na nas - powiedział podniesionym głosem. - Może już pora zapolować na nie.

Załoga wydała wojenny okrzyk, potem rozległo się ujadanie i wycie.

- Wycofaj światło - powiedział do mnie Sturmhond.

- Postradał zmysły - oznajmiłam Malowi. - Powiedz mu, że postradał zmysły.

Mał się jednak zawahał.

- Cóż...

- Jakie „cóż”? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Może trzeba ci przypomnieć, że jeden z tych stworów próbował cię pożreć!

Wzruszył ramionami i leciutko się uśmiechnął.

- Może właśnie dlatego chciałbym się przekonać, na co stać te strzelby.

Pokręciłam głową. Nie podobało mi się to. Ani trochę.

- Tylko na chwilkę - nalegał Sturmhond. - Zrób to dla mnie.

Zrobić to dla niego. Jak gdyby prosił o drugi kawałek tortu.

Członkowie załogi czekali. Tolia i Tamar przyczaili się nad wystającymi lufami strzelb. Wyglądali jak owady o skórzanych grzbietach.

- Dobrze - powiedziałam. - Tylko potem nie mówcie, że was nie uprzedzałam.

Mal uniósł strzelbę.

- No to już - mruknęłam. Zwinęłam palce. Krąg światła wokół statku się skurczył.

Wilkry zawyły z podnieceniem.

- Całkiem! - rozkazał Sturmhond.

Zazgrzytałam zębami z frustracją, ale zrobiłam, o co prosił. W Fałdzie zapadła ciemność.

Usłyszałam szelest skrzydeł. Wilkry zapikowały.

- Alino, teraz! - krzyknął Sturmhond. - Szeroko!

Zrobiłam to bez namysłu. Rozlałam światła rozjarzoną luną. Ukazała ona otaczające nas potworności w jaskrawym, bezlitosnym świetle południa. Wilkry były wszędzie. Wisiały w powietrzu wokół okrętu - chmara szarych, skrzydlatych, wijących się ciał o pokrytych bielmem, niewidzących oczach i gębach pełnych zębów. Z wyglądu zdecydowanie przypominały nisztroje, były jednak o wiele bardziej groteskowe, o wiele bardziej niezdarne.

- Ognia! - zakrzyknął Sturmhond.

Tolia i Tamar zaczęli strzelać. W życiu nie słyszałam takiego odgłosu: nieustający, rozdzierający czaszkę grom, od którego zadygotało powietrze wokół nas i zagrzecotały mi kości.

To była masakra. Wilkry spadały z nieba wokół nas z rozdartymi piersiami, skrzydłami oderwanymi od ciał. Puste łuski po pociskach odbijały się od pokładu statku. Powietrze wypełniała paląca woń prochu.

Dwieście strzałów na minutę. Czyli na to stać współczesne wojsko.

Potwory wydawały się nie wiedzieć, co się dzieje. Wirowały i machały skrzydłami w ferworze żądzy krwi, głodu i strachu. W konsternacji i chęci ucieczki atakowały siebie nawzajem. Ich krzyki... Baghra powiedziała mi kiedyś, że przodkami wilkrów byli ludzie. Mogłabym przysiąc, że słyszałam to w ich głosach.

Ostrzał ustał. W uszach mi dzwoniło. Podniosłam oczy i zobaczyłam na płóciennych żaglach rozmazaną czarną krew oraz kawałki mięsa. Poczulałam zimny pot na czole. Zrobiło mi się niedobrze.

Cisza trwała krótką chwilę. Tolia odrzucił głowę w tył i zawył triumfalnie. Pozostali członkowie załogi włączyli się z ujadaniem i skamleniem. Miałam ochotę zacząć na nich wrzeszczeć, żeby się zamknęli.

- Myślisz, że uda nam się zwabić inne stado? - zapytał jeden ze Szkwalników.

- Możliwe - odparł Sturmhond. - Powinniśmy jednak kierować się na wschód. Już prawie świt, a nie chcę, by nas zauważono.

„Tak” - pomyślałam. „Kierujmy się na wschód. Zabierajmy się stąd”. Ręce mi drżały. Rana na ramieniu paliła i pulsowała. Co mi się działo? Wilkry to były potwory. Bez namysłu rozerwałyby nas na strzępy. Wiedziałam o tym. A jednak wciąż w uszach dźwięczały mi ich krzyki.

- Jest ich więcej - rzekł nagle Mal. - O wiele więcej.

- Skąd wiesz? - zapytał Sturmhond.

- Po prostu wiem.

Sturmhond się zawahał. Przez gogle, czapkę i postawiony kołnierz zupełnie nie dało się odczytać jego wyrazu twarzy.

- Gdzie? - spytał w końcu.

- Trochę na północ - odparł Mal. - Tam - wskazał ciemność, a ja poczułam nagły impuls, by uderzyć go po rękę. To, że potrafił tropić wilkry, nie znaczyło, że musi to robić.

Sturmhond ogłosił kurs. Serce mi się ścisnęło.

„Koliber” opuścił skrzydła i skręcił. Mal dawał wskazówki Sturmhondowi, a ten korygował kurs. Próbowałam się skoncentrować na świetle, na kojącej obecności mojej mocy, starałam się zignorować ucisk w żołądku.

Zeszliśmy niżej. Moje światło migotało na bezbarwnym piasku Fałdy i dotykało cienistej bryły rozbitego skifu.

Kiedy się zbliżyliśmy, przeszył mnie dreszcz. Skif złamał się na pół. Jeden z masztów się rozszczepił. Widać było szczątki trzech, podartych czarnych żagli. Mal przywiódł nas do wraku skifu Darklinga.

Odrobina równowagi, jaką udało mi się zachować, zniknęła.

„Koliber” zszedł jeszcze niżej. Nasz cień przesunął się po roztrzaskanym pokładzie.

Poczułam odrobinę ulgi. Choć było to nierozsądne, spodziewałam się zobaczyć porzrzućcane po pokładzie ciała Griszów, których zostawiłam za sobą, skulone w kącie szkielety posłańców króla oraz zagranicznych ambasadorów. Lecz oczywiście już dawno nie było po nich śladu. Pożarły ich wilkry, a kości porzrzucały po jałowych rubieżach Fałdy.

„Koliber” przybił od sterburty. Moje światło przeszyło mętą głębię rozwalonego kadłuba. Zaczęły się krzyki.

- Święci - zaklął Mal i uniósł strzelbę.

Trzy wielkie wilkry kulily się pod skorupą skifu, odwrócone do nas plecami i z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Lecz ukłucie lęku i wstrętu poczułam przez to, co własnymi ciałami starały się osłonić: morze wijących się, powykrzywianych sylwetek,

maleńkich, błyszczących rąk, chudych pleców rozdzielonych przez przeźroczyste membrany ledwie uformowanych skrzydeł. Kwiliły i skamlały, prześlizgując się po sobie nawzajem, próbując skryć się przed światłem.

Odkryliśmy gniazdo.

Załoga zamilkła. Nie było ujadania ani wycia.

Sturmhond zawrócił okręt niskim lukiem. Potem zawołał:

- Tolia, Tamar - grenatki.

Bliźnięta wytoczyły dwie żeliwne skorupy i przerzuciły je na krawędź relingu.

Zalała mnie kolejna fala grozy. „To wilkry” - powtarzałam sobie. „Popatrz na nie. To potwory”.

- Szkwalnicy, na mój znak - rzekł Sturmhond ponuro. - Zapalniki! - zawołał, a potem: - Strzelcy, puszczać!

Jak tylko skorupy zrzuciono, Sturmhind zaryczał:

- Teraz! - i skręcił koło sterowe ostro w prawo.

Szkwalnicy wyrzucili ramiona w górę i „Koliber” wystrzelił w niebo. Sekunda minęła w ciszy, a potem pod nami rozległ się ogłuszający huk. Żar i moc wybuchu uderzyły „Kolibra” potężnym podmuchem.

- Spokojnie! - zaryczał Sturmhond.

Niewielki okręcik runął gwałtownie. Kiwał się na płóciennych skrzydłach jak wahadło. Mal otoczył mnie ramionami, osłaniając mnie własnym ciałem, a ja starałam się zachować równowagę i utrzymać wokół nas światło.

Nareszcie statek przestał się chybotać i zaczął się poruszać po równym luku, wysoko nad płonącym wrakiem skifu.

Dygotałam mocno. Powietrze cuchnęło palonym mięsem. Miałam poczucie, że mam poparzone płuca, a każdy oddech mnie ranił. Członkowie załogi Sturmhonda znów zaczęły wyć i ujadać.

Mal do nich dołączył, unosząc strzelbę triumfalnie. Ponad wiwatowaniem słyszałam krzyki wilkrów, które w moich uszach brzmiały bezradnie i po ludzku, jak lament matek oplakujących młode.

Zamknęłam oczy. Niewiele brakowało, a przycisnęłabym dłonie do uszu i padła na pokład bezładnie.

- Dość - szepnęłam. Nikt mnie nie słyszał. - Proszę - powiedziałam chrapliwie. - Mal...

- Stałaś się niezłym zabójcą, Alino.

Ten chłodny głos. Otworzyłam oczy.

Przede mną stał Darkling. Jego czarna kefta powiewała nad pokładem „Kolibra”. Nabrałam powietrza i zrobiłam krok w tył, rozglądając się dookoła gwałtownie, ale nikt inny na nas nie patrzył. Wiwatowali i krzyczeli, patrząc na płomienie.

- Nie martw się - powiedział Darkling łagodnie. - Z czasem staje się to łatwiejsze. Pokażę ci.

Wysunął nóż z rękawa kefty i nim zdążyłam zawołać na alarm, zamachnął się w stronę mojej twarzy. Uniosłam ręce, by się bronić, i z gardła wydarł mi się krzyk. Światło zniknęło i statek zatonął w ciemności. Upadłam na kolana, kuląc się na pokładzie, gotowa na przeszywający cios zadany grisaicką stalą.

Nie nadszedł. Ludzie krzyczeli w ciemności wokół mnie. Sturmhond wykrzykiwał moje imię. Usłyszałam, jak wycie wilkrów odbija się echem. „Blisko. Zbyt blisko”.

Ktoś zawył i statek zachwiał się ostro. Usłyszałam tupot - załoga starała się zachować równowagę.

- Alina! - tym razem głos Mala.

Czułam, jak przedziera się przez ciemność w moją stronę. Wróciło mi trochę świadomości. Jasną kaskadą ponownie rzuciłam światło.

Wilkry, które nas zaatakowały, zawyły i czmychnęły w ciemność, lecz jeden ze Szkwalników leżał zakrwawiony na pokładzie. Rękę miał niemal wyrwaną ze stawu. Żagiel ponad nim trzepotał bezproduktywnie. „Koliber” się zachwiał, przechylił na sterburłę i szybko tracił wysokość.

- Tamar, pomóż mu! - rozkazał Sturmhond. Lecz Tolia i Tamar już gramolili się po pokładzie w stronę powalonego Szkwalnika.

Druga Szkwalniczka stała z obiema rękoma w górze, starając się przywołać powiew dostatecznie silny, by utrzymać nas w powietrzu. Jej twarz zastygła w wyrazie wysiłku. Statek kiwał się i chybotął. Sturmhond mocno trzymał ster i wykrzykiwał rozkazy do załogi rozwijającej żagle.

Serce mi zatrzepotało. Rozejrzałam się po pokładzie w panice, rozdarta między przerażeniem a konsternacją. Widziałam Darklinga. Widziałam go.

- Nic ci nie jest? - pytał przy mnie Mal. - Coś ci się stało?

Nie mogłam na niego spojrzeć. Trzęsłam się tak mocno, że wydawało mi się, iż się rozpadnę na kawałki. Skoncentrowałam cały wysiłek na tym, by światło wokół nas gorzało.

- Jest ranna? - zawołał Sturmhond.

- Zabierz nas stąd po prostu! - odparł Mal.

- Ach, czyli tym się teraz powinienem zajmować? - odszczeknął Sturmhond.

Wilkry wyły przeraźliwie i wirowały, napierając na krąg światła. Może to i potwory, ale przez myśl mi przeszło pytanie, czy pojmują odwet. „Koliber” zakołysał się i zadrżał. Popatrzyłam w dół i zobaczyłam, jak zbliżają się ku nam szare piaski.

A potem nagle wydostaliśmy się z ciemności, przebiliśmy się przez ostatnie, czarne smużki Fałdy w stronę błękitnego światła wczesnego świtu.

Grunt pod nami był przerażająco blisko.

- Gasić światło! - rozkazał Sturmmond.

Opuściłam ręce i złapałam za reling desperacko. Widziałam przed sobą długie pasmo drogi, jaśniejące w oddali światła miasta, a za niskimi pagórkami pociągłe niebieskie jeziorko. Światło poranka odbijało się od jego powierzchni.

- Jeszcze troszkę dalej! - zawołał Sturmmond.

Szkwalniczka załkała z wysiłku. Ręce jej drżały. Żagle opadły. „Koliber” nie przestawał spadać. Gałęzie muskały kadłub, bo dotykaliśmy koron drzew.

- Wszyscy się kłaść i mocno trzymać! - krzyknął Sturmmond. Mal i ja przykucnęliśmy w kokpicie, trzymając się za ręce i napierając plecami oraz nogami na ścianki. Okręcik grzechotał i drżał.

- Nie uda nam się - wydusiłam chrapliwie. On nic nie powiedział, tylko mocniej ścisnął moje palce.

- Gotować się! - zaryczał Sturmmond. W ostatniej chwili rzucił się do kokpitu w bezładnej płataninie kończyn. Zdążył tylko powiedzieć: - Jakżeż tu przytulnie - a potem uderzyliśmy w grunt z przemożnym wstrząsem.

Kiedy okręt z łoskotem i brzękiem zarył w ziemię, a jego kadłub rozpadł się na części, Mała i mnie rzuciło na przód kokpitu. Rozległ się donośny plusk - i nagle sunęliśmy po wodzie. Usłyszałam przeraźliwy zgrzyt i zorientowałam się, że jeden z kadłubów się odłamał. Poodbijaliśmy się gwałtownie po powierzchni i nagle - w cudowny sposób - zatrzymaliśmy się z dygotem.

Próbowałam dojść do siebie. Leżałam na plecach, przyciśnięta do ścianki kokpitu. Ktoś obok mnie ciężko dyszał.

Poruszyłam się ostrożnie. Solidnie dostałam po głowie, a obie dłonie miałam pokaleczone, ale byłam chyba cała.

Przez podłogę kokpitu wlewała się woda. Usłyszałam plusk, wzajemne nawoływania ludzi.

- Mal? - zaryzykowałam drżącym, piskliwym głosem.

- Nic mi nie jest - odparł. Znajdował się gdzieś po mojej lewej stronie. - Musimy się stąd wydostać.

Rozejrzałam się dookoła, lecz Sturmhonda nie było widać.

Kiedy wygramoliliśmy się z kokpitu, wrak statku zaczął się niepokojąco przechylać. Usłyszeliśmy skrzywienie i jeden z masztów się złamał, po czym runął do wody pod ciężarem żagli.

Rzuciliśmy się do wody, kopiąc mocno, bo jezioro chciało pochłonać nas wraz ze statkiem. Jeden z członków załogi zaplątał się w liny. Mal zanurkował, by pomóc mu się wydostać, a ja prawie popłakałam się z ulgi, kiedy obaj wypłynęli na powierzchnię.

Widziałam, jak Tolia i Tamar unoszą się na wodzie, a za nimi inni członkowie załogi. Tolia ciągnął rannego Szkwalnika. Sturmhond płynął za nimi, utrzymując na powierzchni nieprzytomnego marynarza. Skierowaliśmy się w stronę brzegu.

Posiniaczone ciało wydawało mi się ciężkie, obarczone przemoczonymi ubraniami, ale w końcu dotarliśmy na płyciznę. Wywlekliśmy się z wody, brodząc wśród kępek śliskich trzin, i padliśmy na szerokie półkole plaży.

Leżałam tam, ciężko dysząc i nasłuchując osobliwie zwyczajnych odgłosów wczesnego poranka: świerszczy w trawie, ptaków w lesie, cichego, niepewnego kumkania żaby. Tolia zajmował się rannym Szkwalnikiem. Kończył już leczyć mu ramię. Kazał mu napiąć palce, zgiąć łokieć. Słyszałam, jak Sturmhond wychodzi na brzeg i powierza ostatniego żeglarza opiece Tamar.

- Nie oddycha - powiedział Sturmhond - i nie czuję tętna.

Zmusiłam się, by usiąść. Za nami wschodziło słońce. Ogrzewało mi plecy i złociło jezioro oraz obrysy drzew. Tamar przyciskała dłonie do piersi żeglarza, swoją mocą wyciągając wodę z jego płuc i kierując życie z powrotem do jego serca. Minuty się dłużyły, a marynarz leżał bez ruchu na piasku. Potem nabrał powietrza. Otworzył oczy i wypluł wodę z jeziora na koszulę.

Westchnęłam z ulgą. Miałam jedną śmierć na sumieniu mniej.

Inny członek załogi ścisnął się za bok i sprawdzał, czy nie połamał sobie żeber. Mal miał na czole paskudne skaleczenie. Wszyscy jednak byliśmy na brzegu. Przeżyliśmy.

Sturmhond wszedł z powrotem do jeziora. Stał w wodzie po kolana i przyglądał się gładkiej powierzchni, a szynel unosił się za nim. Poza rozdartą bruzdą ziemi wzdłuż brzegu po „Kolibrze” nie został żaden ślad.

Zdrowa Szkwalniczka odwróciła się do mnie:

- Co tam się stało? - warknęła. - Kovu prawie zginął Wszyscy prawie zginęliśmy!

- Nie wiem - odpowiedziałam i wsparłam głowę na kolanach.

Mal objął mnie ramieniem, ale nie chciałam, by mnie pocieszano. Chciałam wyjaśnienia tego, co widziałam.

- Nie wiesz? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie wiem - powtórzyłam, zaskoczona przyplływem gniewu, który towarzyszył słowom. - Nie prosiłam się, żeby mnie wepchnąć na teren Fałdy. To nie ja szukałam zwady z wilkami. Może byś spytała swojego kapitana, co się stało?

- Ona ma rację - rzekł Sturmhond, z mozołem wychodząc z wody na brzeg i zdejmując zniszczone rękawice. - Powinienem ją lepiej uprzedzić i nie powinienem był atakować gniazda.

Nie wiedzieć czemu to, że się ze mną zgadzał, jeszcze bardziej mnie rozjuszyło. Wtedy Sturmhond zdjął czapkę i gogle, a mój gniew wyparował, wyparty przez całkowite i totalne oszołomienie.

Mal w jednej chwili był na nogach.

- Co to u diabła ma być? - zapytał cichym i groźnym głosem.

Siedziałam sparaliżowana. Mój ból i wyczerpanie zostały przyćmione przez dziwaczny widok, jaki miałam przed oczyma. Nie wiedziałam, na co patrzę, ale cieszyłam się, że Mal też to widzi. Po wydarzeniach w Fałdzie nie ufałam samej sobie.

Sturmhond westchnął i przesunął dłonią po twarzy - po obcej twarzy. Podbródek nie był już wystający. Nos nadal miał lekko krzywy, ale nie tak jak rozkwaszona buła, którą wcześniej przypominał. Włosy nie były już rudobrązowe, lecz ciemnozłote, schludnie i po żołniersku przycięte, zaś te dziwne, mętne, zielone oczy były teraz piwne i wyraziste. Wyglądał zupełnie inaczej, ale niewątpliwie był to Sturmhond.

„I jest przystojny” - pomyślałam z niespodziewaną urazą.

Tylko Mal i ja się gapiliśmy. Żaden z ludzi Sturmhonda nie wydawał się ani trochę zdziwiony.

- Masz Krawca - powiedziałam.

Po twarzy Sturmhonda przebiegł grymas.

- Ja nie jestem Krawcem - rzekł Tolia gniewnie.

- Nie, Tolia, twoje talenty leżą gdzie indziej - powiedział Sturmhond uspokajająco. - Głównie na sławetnych polach zabijania i okaleczania.

- Po co to robisz? - zapytałam. Wciąż starałam się przywyknąć do rażącego faktu, że głos Sturmhonda dochodzi z ust innej osoby.

- Miało to kluczowe znaczenie, aby Darkling mnie nie rozpoznał. Nie widział mnie, odkąd skończyłem czternaście lat, lecz nie chciałem ryzykować.

- Kim ty jesteś? - zapytał Mal z wściekłością.

- To skomplikowane pytanie.

- Właściwie to jest ono zupełnie proste - rzuciłam, wstając energicznie. - Ale wymaga powiedzenia prawdy, a do tego akurat wydajesz się całkowicie niezdolny.

- Och, potrafię mówić prawdę - rzekł Sturmhond, potrząsając butem, by wytrześć z niego wodę. - Po prostu nie za dobrze mi to wychodzi.

- Sturmhond - warknął Mal, ruszając w jego stronę. - Masz dokładnie dziesięć sekund, by się wytłumaczyć, bo inaczej Tolia będzie musiał ci zrobić kompletnie nową buźkę.

Tamar skoczyła na równe nogi.

- Ktoś idzie.

Wszyscy ucichliśmy i zaczęliśmy nasłuchiwać. Dźwięki dobiegały zza otaczających jezioro lasów. Tupot kopyt - wielu kopyt - trzaski i szmer gałęzi, łamanych przez przechodzących ku nam ludzi.

Sturmhond jęknął.

- Wiedziałem, że nas zauważono. Za dużo czasu spędziliśmy w Fałdzie. - Westchnął urywanie. - Wrak statku i załoga, która wygląda jak potopione oposy. Nie to miałem w planach.

Ciekawa byłam, co dokładnie miał w planach, ale nie było czasu pytać.

Gałęzie drzew się rozchyliły i na plażę wjechała grupka konnych. Dziesięciu... dwudziestu... trzydziestu żołnierzy Pierwszej Armii. Mocno uzbrojeni ludzie króla. Skąd się wzięli?

Sądziłam, że po rzezi wilków i katastrofie statku nie miałam już strachu na zbyciu, ale byłam w błędzie. Zalała mnie panika, gdy pomyślałam o tym, co Mał mówił o swojej dezercji. Aresztują nas jako zdrajców? Palce mi zadrgały. Nie dam się więcej pojmać i uwięzić.

- Spokojnie, Przyzywaczko - szepnął korsarz. - Ja się tym zajmę.

- Bo wszystkim innym zająłeś się tak sprawnie, Sturmhond?

- Byłoby wskazane, żebyś w najbliższym czasie tak do mnie nie mówiła.

- A to niby dlaczego? - wycodziłam.

- Bo się tak nie nazywam.

Galopujący żołnierze zatrzymali się przed nami. Światło poranka odbijało się od ich strzelb i szabli. Młody kapitan dobył oręża:

- W imię króla Ravki rzucić broń.

Sturmhond zrobił krok do przodu i stanął między nieprzyjacielem a pokiereshowaną załogą. Podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Nasza broń znajduje się na dnie jeziora. Jesteśmy nieuzbrojeni.

Znałam zarówno Sturmhonda, jak i bliźnięta, więc miałam w tej kwestii poważne wątpliwości.

- Jak się nazywacie i co tu robicie? - zażądał młody kapitan.

Sturmhond powoli zdjął przemoczony szynel i podał go Tolii.

Wśród żołnierzy rozszedł się niespokojny szmer. Sturmhond miał na sobie mundur ravczańskiego wojska. Był przemoknięty do suchej nitki, ale brunatno-oliwkowej barwy i mosiężnych guzików Pierwszej Armii Ravki nie sposób było pomylić z czymś innym. Podobnie jak złotego podwójnego orła, który zdradzał stopień oficerski. W co ten korsarz pogrywał?

Przez szereg żołnierzy przedarł się konno starszy mężczyzna i stanął naprzeciw Sturmhonda. Z zaskoczeniem rozpoznałam pułkownika Rajevskiego - dowódcę obozu wojskowego w Kribirsku. Rozbiliśmy się tak blisko miasta? To by wyjaśniało, dlaczego żołnierze dotarli tu tak szybko.

- Wytlumacz się, chłopcze! - rozkazał pułkownik. - Mów, jak się nazywasz i co tu robisz, nim każę ci zedrzeć mundur i powiesić na wysokim drzewie.

Sturmhond się chyba nie przejął. Kiedy się odezwał, mówił tonem, którego wcześniej u niego nie słyszałam:

- Jestem Mikołaj Lancov, major Dwudziestego Drugiego Pułku, żołnierz Armii Króla, Wielki Książę Udovej, drugi syn Jego Królewskiej Mości, Króla Aleksandra III, Władcy Tronu Podwójnego Orła, oby żył i panował jak najdłużej.

Szczeka mi opadła. Przez rzędy żołnierzy szok przeszedł jak fala. Gdzieś pomiędzy szeregów dobiegł nerwowy chichot. Nie wiedziałam, jakie żarty stroi sobie ten szaleniec, ale Rajevski nie wydawał się ubawiony. Zeskoczył z konia i rzucił lejce żołnierzowi.

- Słuchaj ty mnie, bezczelny szczeniaku - powiedział z ręką na rękojeści miecza, podchodząc prosto do Sturmhonda. Na jego steranej twarzy malowała się furia. - Mikołaj Lancov służył pod moim dowództwem na północnych rubieżach i...

Urwał. Stał teraz nos w nos z korsarzem, ale Sturmhond ani mrugnął. Pułkownik otworzył usta, po czym je zamknął. Zrobił krok wstecz i zmierzył Sturmhonda wzrokiem. Patrzyłam, jak pogarda na jego twarzy ustępuje miejsca niedowierzaniu, a wreszcie pewności. Niespodziewanie przyklęknął na jednym kolanie i pochylił głowę.

- Wybacz mi, carewiczu mój - rzekł, wbijając wzrok w ziemię. - Witaj w domu.

Żołnierze popatrzyli po sobie z konsternacją.

Sturmhond spojrział na nich zimno i wyczekująco. Emanował władczość. Impuls rozszedł się wśród szeregów. Potem jeden po drugim żołnierze zsuwali się z koni i padali na kolana z pochylonymi czołami.

Och, Święci.

- Jaja sobie ze mnie robisz - mruknął Mal.

Polowałam na czarodziejskiego jelenia. Na nadgarstku miałam łuski zgładzonego lodowego smoka. Widziałam, jak ciemność pochłania calutki miasto. Ale to był najdziwniejszy widok w moim życiu. To musiał być kolejny podstęp Sturmhonda - i ten podstęp wszyscy przyplacimy życiem.

Wpatrywałam się w korsarza. Czy to w ogóle było możliwe? Nie mogłam zmusić mózgu do pracy. Byłam zbyt znużona, wyczerpana przez lęk i panikę. Przeczesałam pamięć w poszukiwaniu strzępków informacji o dwóch synach króla Ravki. Starszego poznałam przelotnie w Małym Pałacu, ale młodszy od lat był na dworze nieobecny. Terminował gdzieś ponoć u rusznikarza czy studiował okrętownictwo.

A może robił i jedno, i drugie.

Zakręciło mi się w głowie. Genia nazwała księcia „sobaczka” Szczeniaczek. „Uparł się, żeby służyć w wojsku w piechocie”.

Sturmhond. Ogar burz. Wilk Odmętów.

Sobaczka. Niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

- Powstańcie - rozkazał Sturmhond - czy ktokolwiek to był. Zmienił się cały jego sposób bycia. Żołnierze podnieśli się i stanęli na baczność. - Zbyt już długo nie było mnie w domu - zakrzyknął korsarz. - Nie wracam jednak z pustymi rękoma. - Odsunął się na bok, a następnie wyciągnął dłoń i wskazał na mnie.

Każda twarz zwróciła się w moją stronę wyczekująco. - Bracia - rzekł - sprowadziłem Przyzywaczkę Słońca z powrotem do Ravki.

Nie mogłam się powstrzymać. Zrobiłam zamach i walnęłam go w twarz z pięchy.

9.

- Masz szczęście, że cię nie postrzelili - powiedział Mal gniewnie.

Chodził tam i z powrotem po wyposażonym z prostotą namiocie, jednym z nielicznych, jakie się uchowały w obozie Griszów koło Kribirska. Należący do Darklinga imponujący pawilon z czarnego jedwabiu zwalono. Pozostało po nim jedynie szerokie pasmo martwej trawy, zaśmiecone powyginanymi gwoźdźmi i połamanymi fragmentami niegdysiejszego parkietu.

Usiadłam przy topornym stole i rzuciłam okiem na zewnątrz, gdzie po obu stronach wejścia do namiotu stali Tolia i Tamar. Albo nas strzegli, albo pilnowali, żebyśmy nie uciekli - nie byłam pewna.

- Warto było - odparowałam. - Poza tym nikt nie zastrzeli Przyzywaczki Słońca.

- Alina, walnęłaś księcia z pięści. Chyba możemy ci dodać do listy jeszcze jedną zdradę stanu.

Potrząsnęłam obolałą dłonią. Kłykcie mnie piekły.

- Po pierwsze, czy my wiemy na pewno, że to rzeczywiście jest książę? A po drugie, zwyczajnie mi zazdrościsz.

- Oczywiście, że ci zazdroszczę. Myślałem, że to ja będę mógł mu przywalić. Nie w tym rzecz.

Po moim wybuchu nastął chaos. Tylko szybka interwencja Sturmhonda oraz agresywne metody panowania nad tłumem ze strony Tolii uratowały mnie przed opuszczeniem towarzystwa w kajdanach, albo czymś jeszcze gorszym.

Sturmhond przeprowadził nas przez Kribirsk do obozu wojskowego. Kiedy zostawiał nas w namiocie, odezwał się cicho:

- Proszę tylko, żebyście zostali na tyle długo, bym mógł się wytłumaczyć. Jeśli to, co usłyszycie, nie będzie wam odpowiadać, możecie odejść.

- Ot tak? - zachnęłam się.

- Zaufaj mi.

- Za każdym razem, kiedy prosisz, żeby ci zaufać, ufam ci trochę mniej - syknęłam.

Lecz Mal i ja zostaliśmy, niepewni naszego kolejnego posunięcia. Sturmhond nas nie spętał i nie obstawił znaczną strażą. Zapewnił nam czyste, suche ubrania. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy spróbować wymknąć się Tolii oraz Tamar i uciec z powrotem przez Fałdę. Przecież i tak nikt by nie mógł nas śledzić. Moglibyśmy wychynąć z Fałdy w dowolnym miejscu na jej zachodnim brzegu. Ale dokąd udalibyśmy się później? Sturmhond się zmienił, lecz nasza sytuacja - nie. Nie mieliśmy pieniędzy ani sprzymierzeńców i wciąż tropił nas Darkling. A mnie się nie paliło do powrotu do Fałdy - nie po tym, co się wydarzyło na pokładzie „Kolibra”.

Stłumiłam ponury chichot. Skoro rozważam schronienie na obszarze Niemorza, to faktycznie musi być bardzo źle.

Do środka wszedł służący z dużą tacą. Postawił dzban wody, butelkę kwasu i szklanki, a także kilka niewielkich talerzyków zakąsek. Każde z naczyń miało złotą obwódkę i było zdobne w podwójnego orła.

Popatrzyłam na jedzenie: wędzone szproty na ciemnym chlebie, marynowane buraczki, faszerowane jaja. Od wczorajszej nocy na pokładzie „Volkvołnego” nic nie jedliśmy, a od używania swojej mocy robiłam się głodna, lecz byłam zbyt zdenerwowana, by jeść.

- Co tam się stało? - Mal zapytał, jak tylko służący wyszedł.

Znowu potrząsnęłam dłonią.

- Po prostu mnie poniosło.

- Nie o to mi chodzi. Co się stało w Faldzie?

Wpatrywałam się z mały garnuszek z masłem ziołowym, obracając go w dłoniach. „Widziałam go”.

- Zmęczona byłam - powiedziałam lekko.

- Użyłaś dużo więcej mocy, kiedy uciekaliśmy przed nisztójami, i nie zachwiałaś się. Czy to przez bransoletę?

- Bransoleta dodaje mi sił - powiedziałam, naciągając rękaw na łuski węża morskiego. Poza tym nosiłam ją już od wielu tygodni. Moja moc działała bez zarzutu, za to coś mogło dolegać mnie. Rysowałam po blacie stołu niewidzialny wzór. - Kiedy walczyliśmy z wilkami, czy wydawało ci się, że ich krzyki brzmią inaczej?

- W jaki sposób inaczej?

- Bardziej... ludzko?

Mal zmarszczył czoło.

- Nie, brzmiały raczej tak jak zawsze. Jak potwory, które chcą nas pożreć. - Położył mi dłoń na dłoni. - Alina, co się stało?

„Widziałam go”.

- Mówiłam... byłam zmęczona. Straciłam koncentrację.

Odsunął się.

- Jeśli masz ochotę mnie okłamywać, śmiało. Ale ja nie będę udawał, że ci wierzę.

- Dlaczegoż by nie? - zapytał Sturmhond, wchodząc do namiotu.
- Tak dyktuje uprzejmość.

W jednej chwili byliśmy na nogach, gotowi do walki.

Sturmhond stanął w miejscu i uniósł ręce w pojednawczym geście. Przebrał się w suchy mundur. Na policzku robił mu się siniec. Ostrożnie odpiął miecz i powiesił go na słupie przy klapie namiotu.

- Przyszedłem pomówić - rzekł.

- To mów - odparł Mal. - Kim jesteś i w co grasz?

- Mikołaj Lancov, ale proszę, nie zmuszajcie mnie, bym znów deklamował wszystkie tytuły. Nikogo to nie bawi, a jedyny, jaki się liczy, to „książę”.

- A Sturmhond? - spytałam.

- Jestem także Sturmhondem, dowódcą „Volkvołnego”, postrachem Morza Prawdziwego.

- Postrachem?

- No cóż, jestem co najmniej bardzo irytujący.

- Niemożliwe - pokręciłam głową.

- Nieprawdopodobne.

- To nie pora na wygłupy.

- Proszę - powiedział ugodowo. - Siadajcie. Nie wiem jak wy, ale ja wszystko lepiej rozumiem na siedząco. Pewnie ma to jakiś związek z krążeniem krwi. Naturalnie jeszcze bardziej wskazane jest polegiwanie, ale nie sądzę, byśmy już na tyle dobrze się znali.

Ani drgnęłam. Mal skrzyżował ramiona.

- Dobrze, cóż, ja siądę. Okazuje się, że męczy mnie odgrywanie powrotu bohatera i normalnie padam z nóg. - Podszedł do stołu, nalał sobie szklanicę kvasu i usiadł na krześle z westchnieniem

zadowolenia. Upił i się skrzywił: - Ohydztwo. Nigdy tego nie mogłem ścierpieć.

- To proszę sobie zamówić trochę brandy, Wasza Wysokość - powiedziała z irytacją. - Na pewno przyniosą wszystko, czego sobie zażyczysz.

Rozpogodził się.

- Fakt. Pewnie mógłbym się nurzać w całej wannie brandy. Może nawet to zrobię.

Mał machnął rękami ze zniecierpliwieniem, podszedł do klapy namiotu i wyjrzał na obóz.

- Nie sądzisz chyba, że w to wszystko uwierzemy - odezwała się.

Sturmhond pokiwał palcami, żeby lepiej wyeksponować pierścień.

- Mam przecież królewską pieczęć.

Prychnęłam.

- Prawdopodobnie ukradłeś ją prawdziwemu księciu Mikołajowi.

- Służyłem u Rajevskiego. Zna mnie.

- Może ukradłeś też twarz księcia.

Westchnął.

- Musisz zrozumieć, że jedynie tu, w Ravce, mogłem bezpiecznie wyjawić swoją tożsamość. Tylko najbardziej zaufani członkowie załogi wiedzieli, kim naprawdę jestem - Tolia, Tamar, Privjet, kilkoro Eterealników. Pozostali... cóż, to porządni ludzie, lecz także najemnicy i piraci.

- Oszukałeś zatem własną załogę? - spytałam.

- Na morzu Mikołaj Lancov jest bardziej wartościowy jako zakładnik niż jako kapitan. Ciężko dowodzić statkiem, kiedy

człowiek stale się martwi, że późną nocą dostanie po łbie dla okupu od królewskiego tatulka.

Pokręciłam głową.

- To wszystko nie ma sensu. Książę Mikołaj ponoć studiuje gdzieś budowę łodzi albo...

- Rzeczywiście terminowałem u fjerdańskiego okrętownika. I u ziemczańskiego rusznikarza. I u inżyniera lądowego z hańskiej prowincji Bolh. Przez pewien czas próbowałem swych sił w dziedzinie poezji. Rezultaty były... niefortunne. Obecnie Sturmhond pochłania większość mojej uwagi.

Mał oparł się o słupek namiotu ze skrzyżowanymi ramionami.

- Więc pewnego dnia postanowiłeś porzucić życie w luksusie i sprawdzić się w roli pirata?

- Korsarza - skorygował. - I nie grałem żadnej roli. Wiedziałem, że więcej zdziałam dla dobra Ravki jako Sturmhond, niż gnuśniejąc na dworze.

- A zdaniem króla i królowej gdzie jesteś? - spytałam.

- Na uniwersytecie w Ketterdamie - odparł. - Cudowne miejsce. Bardzo wzniosłe. W tejże chwili wyjątkowo dobrze opłacany spedytor siedzi na moich zajęciach z filozofii. Dostaje znośne stopnie, reaguje na imię Mikołaj, pije dużo i często, żeby nikt nie nabrał podejrzeń.

Czy to nie miało końca?

- Dlaczego?

- Staralem się, naprawdę. Ale nigdy mi nie wychodziło siedzenie na miejscu. Doprowadzałem nianię do szaleństwa. Cóż, właściwie wiele niań. Jeśli dobrze pamiętam, był ich cały zastęp.

Trzeba było walnąć go mocniej.

- Chodzi mi o powód, dla którego stworzyłeś całą tę szaradę?

- Jestem drugi w kolejności do tronu Ravki. Do służby w wojsku prawie musiałem uciekać. Nie wydaje mi się, aby rodzice akceptowali to, że zdejmuję ziemczańskich piratów i przełamuję fjerdańskie blokady. Ale do Sturmhonda mają słabość.

- Dobra - rzekł Mal z przejścia. - Jesteś księciem. Jesteś korsarzem. Jesteś rozwydrzonym bachorem. Czego chcesz od nas?

Sturmhond znów upił niepewny lyczek kvasu i zady gotał.

- Waszej pomocy - odparł. - Zasady gry się zmieniły. Fałda się rozrasta. Pierwsza Armia jest na krawędzi otwartego buntu. Zamach stanu Darklinga się nie powiódł, ale roztrzaskał on Drugą Armię i Ravka stoi na skraju upadku.

Poczułam ucisk w dołku.

- Niech zgadnę: właśnie ty wszystko naprawisz?

Sturmhond pochylił się do przodu:

- Kiedy byłaś na dworze, poznałaś mojego brata Vasyla? Bardziej niż na własnym ludzie zależy mu na koniach i na tym, kiedy znowu golnie whiskey. Mojego ojca rządzenie Ravką interesowało zaledwie przelotnie, a według doniesień nawet to już mu przeszło. Kraj się rozpada. Ktoś musi go poskładać do kupy, zanim będzie za późno.

- Vasyl jest następcą tronu - zauważyłam.

- Moim zdaniem da się przekonać do ustąpienia.

- To dlatego nas to zaciągnąłeś? - powiedziałam z niesmakiem. - Bo chcesz być królem?

- Zaciągnąłem was tu, bo Apparat przemienił cię praktycznie w żywą Świętą i lud cię kocha. Zaciągnąłem cię tu, bo twoja moc jest kluczem do przetrwania Ravki.

Uderzyłam dłońmi w stół.

- Zaciągnąłeś mnie tu, żeby mieć wielkie wejście z Przyzywaczką Słońca i wykraść bratu tron!

Sturmhond się odchylił:

- Nie zamierzam przeproszać za ambicję. Nie zmienia to faktu, że jestem najlepszym kandydatem do tego zadania.

- No pewnie.

- Wróc ze mną do Os Alty.

- Dlaczego? Żebyś mógł się mną chwalić jak jakąś zdobyczną kozą?

- Wiem, że mi nie ufasz. Nie masz powodu. Ale dotrzymam słowa, które złożyłem na pokładzie „Volkvołnego”. Wysłuchaj mojej propozycji. Jeśli nadal nie będziesz zainteresowana, statki Sturmhonda zabiorą cię, dokądkolwiek będziesz chciała na całym świecie. Sądzę, że zostaniesz. Sądzę, że mogę ci dać coś, czego nikt inny ci nie da.

- To będzie dobre - mruknął Mal.

- Dam ci szansę zmienić Ravkę - rzekł Sturmhond. - Dam ci szansę przynieść ludziom nadzieję.

- Och, tylko tyle? - powiedziała cierpko. - A niby jak ja mam to zrobić?

- Pomóż mi zjednoczyć Pierwszą i Drugą Armię. Zostań moją królową.

W okamgnieniu Mal odepchnął stół i złapał Sturmhonda, uniósł go w powietrze i walnął nim o słup. Sturmhond się skrzywił, ale nie próbował się bronić.

- Spokojnie. Nie możemy poplamzić munduru krwią. Pozwól, że wyjaśnię...

- Spróbuj wyjaśniać z moją pięścią w gębie.

Sturmhond obrócił się i błyskawicznie wyslizgnął z uścisku Mala. W ręce miał nóż, który wyjął gdzieś z rękawa.

- Krok w tył, Orecev. Ze względu na nią zachowuję spokój, ale wolałbym wypatroszyć cię jak karpia.

- Spróbuj - warknął Mal.

- Dosyć! - rzuciłam przenikliwy promień światła, który oślepił ich obu. Obaj podnieśli ręce, by osłonić oczy przed jasnością, na moment koncentrując się na czym innym. - Sturmhond, schowaj broń albo to ciebie wypatroszą. Mal, uspokój się.

Czekałam, aż Sturmhond schowa nóż, i powoli wygasiałam światło. Mal opuścił ręce, lecz wciąż zaciskał pięści. Mierzyli się wzrokiem nieufnie. Ledwie parę godzin temu byli przyjaciółmi. Oczywiście Sturmhond był wówczas zupełnie inną osobą. Poprawił rękawy munduru.

- Nie proponuję małżeństwa z miłości, ty zakochany durniu, tylko sojusz polityczny. Jeśli się chwilę zastanowisz, zobaczysz, że to dobre dla kraju.

Mal zaśmiał się szorstko.

- Raczej że to dobre dla ciebie.

- A czy to się musi wykluczać? Służyłem w wojsku. Rozumiem taktykę wojenną i rozumiem oręż. Wiem, że Pierwsza Armia za mną pójdzie. Może i jestem drugi w kolejności do tronu, ale mam do niego prawo krwi.

Mal wsadził Sturmhondowi palec w twarz.

- Do niej nie masz prawa.

Sturmhond stracił nieco panowania nad sobą.

- A ty myślałeś, że co się wydarzy? Myślałeś, że pojedziesz sobie w siną dal z jedną z najpotężniejszych Grisz na świecie jak z jakąś wieśniaczką, którą wychędożyłeś w stodole? Myślisz, że tak się skończy ta historia? Ja próbuję ocalić kraj od rozpadu, a nie odbić ci dziewczynę.

- Dosyć - powiedziałam cicho.

- Możesz mieszkać w pałacu - ciągnął Mikołaj. - Może byłbyś kapitanem jej straży przybocznej? Nie pierwszy raz by tak to ułożono.

Mięsień zadrgał Malowi w policzku.

- Niedobrze mi się robi na twój widok.

- Wiem, jestem zdemoralizowanym potworem. - Sturmhond machnął ręką lekceważąco. - Ale zastanów się chwilę nad tym, co mówię.

- Nie potrzebuję się nad tym zastanawiać - krzyknął Mal. - I ona też nie. To się nie stanie.

- Byłoby to małżeństwo wyłącznie z nazwy - naciskał Sturmhond. Potem - jak gdyby nie mógł się oprzeć pokusie - uśmiechnął się do Mala prowokacyjnie. - Poza kwestią płodzenia następców tronu.

Mal rzucił się do przodu, a Sturmhond sięgnął po nóż, ale widziałam, na co się kroi, więc stanęłam między nimi.

- Przestańcie! - krzyknęłam. - Przestańcie wreszcie. I przestańcie mówić o mnie, jak gdyby mnie przy tym nie było!

Mal warknął z frustracji i znów zaczął chodzić tam i z powrotem. Sturmhond podniósł przewrócone wcześniej krzesło i usiadł, ostentacyjnie wyciągając nogi oraz nalewając sobie kolejną szklanekę kwasu.

Zrobiłam wdech.

- Wasza Wysokość...

- Mikołaj - poprawił. - Ale możesz się do mnie również zwracać „kochanie” albo „przystojniaku”.

Mal obrócił się z impetem, ale popatrzyłam na niego błagalnie, by go uciszyć.

- Musisz natychmiast z tym skończyć, Mikołaju - oznajmiłam. - Albo osobiście powybijam te książęce zęby.

- Wiem, że dotrzymasz słowa. - Mikołaj pomasaował ciemniejszego sińca.

- Dotrzymam - powiedziałam zdecydowanie. - I nie wyjdę za ciebie.

Mal wypuścił powietrze z płuc i nieco się rozluźnił. Przeszkadzało mi, że sądził, iż w ogóle istnieje możliwość, bym przyjęła propozycję Mikołaja. Wiedziałam też, że to, co zaraz powiem, nie spodoba się mu.

Zebrałam się w sobie i powiedziałam:

- Ale wrócę z tobą do Os Alty.

Mal uniósł głowę gwałtownie:

- Alina...

- Mal, zawsze mówiliśmy, że znajdziemy sposób, by wrócić do Ravki, żeby pomóc. Jeśli czegoś nie zrobimy, możemy nie mieć dokąd wracać. - Pokręcił głową, ale ja odwróciłam się do Mikołaja i brnęłam dalej: - Wrócę z tobą do Os Alty i rozważę udzielenie ci pomocy w próbie zdobycia tronu. - Nabrałam powietrza głęboko: - Ale chcę Drugiej Armii.

W namiocie zrobiło się bardzo cicho. Patrzyli na mnie tak, jak gdybym oszalała. I gwoli prawdy nie czułam się w pełni władz umysłowych. Miałam jednak powyżej uszu tego, że ludzie chcący wykorzystać mnie oraz moją moc miotają mną przez Morze Prawdziwe i pół Ravki.

Mikołaj zaśmiał się nerwowo.

- Lud cię kocha, Alino, ale ja myślałem o bardziej symbolicznym tytule...

- Nie jestem symbolem - warknęłam. - I mam już dość bycia pionkiem.

- Nie - powiedział Mal. - To zbyt niebezpieczne. Jakby wymalować ci cel na plecach.

- Już mam cel na plecach - odparłam. - A dopóki nie pokonamy Darklinga, dopóty żadne z nas nie będzie bezpieczne.

- Dowodziłaś chociaż kiedyś? - spytał Mikołaj.

Kiedyś prowadziłam szkolenie dla początkujących kartografów, ale raczej nie o to mu chodziło.

- Nie - przyznałam.

- Nie masz doświadczenia, odniesienia w historii ani prawa - rzekł. - Od samego początku Drugiej Armii dowodzili nią Darklingowie.

Jeden Darkling. Nie była to jednak pora, by to wyjaśniać.

- Wiek i urodzenie nie mają dla Griszów znaczenia. Obchodzi ich wyłącznie potęga. Jestem jedyną Griszą w historii, która nosi dwa wzmacniacze. I jako jedyna Griszka mam dość siły, by zmierzyć się z Darklingiem i jego żołnierzami cienia. Nikt inny nie potrafi tego, co ja.

Staralam się nadać własnemu głosowi pewne brzmienie, chociaż sama nie byłam pewna, co mnie naszło. Wiedziałam tylko, że miałam dosyć życia w strachu. Miałam dosyć uciekania. A jeśli Mal i ja chcemy mieć chociaż cień szansy, by znaleźć ognistego ptaka, potrzebujemy odpowiedzi. Mogło się okazać, że znajdziemy je wyłącznie w Małym Pałacu.

Przez dłuższą chwilę staliśmy tak we trójkę.

- Cóż - powiedział Mikołaj. - Cóż.

Pobębnił palcami po blacie w zamyśleniu. Potem wstał i podał mi rękę.

- Dobrze, Przyzywaczko - rzekł. - Pomóż mi zaskarbić sobie przychylność ludu, a Griszowie będą twoi.

- Serio? - palnęłam.

Mikołaj się roześmiał.

- Jeśli zamierzasz przewodzić armii, lepiej się nauczyć odpowiednio do tego zachowywać. Prawidłowa replika to: „Wiedziałam, że wróci ci rozum”.

Podaliśmy mu rękę. Miał szorstką, twardą dłoń - jak pirat, a nie jak księżę.

- W sprawie moich oświadczeń - podjął.

- Nie przesadzaj - wyrwałam mu dłoń. - Powiedziałam, że pojedę z tobą do Os Alty... nic więcej.

- A co ze mną? - odezwał się Mal cicho.

Stał ze skrzyżowanymi rękoma i przyglądał się nam niewzruszonym spojrzeniem błękitnych oczu. Czoło miał zakrwawione po katastrofie „Kolibra”. Wydawał się zmęczony i bardzo, bardzo odległy.

- Ja... myślałam, że pojedziesz ze mną - wyjąkałam.

- W charakterze kogo? - zapytał. - Kapitana twojej gwardii przybocznej?

Zarumieniłam się. Mikołaj odkaslnął.

- Choć bardzo bym chciał zobaczyć, jak to się potoczy, muszę dopilnować kilku spraw. Rzecz jasna, chyba że...

- Won - rozkazał Mal.

- Dobrze zatem. Zostawię was samych. - Wyszedł pośpiesznie, po drodze zabierając miecz.

Cisza w namiocie rosła i nabrzmiewała.

- Dokąd to wszystko zmierza, Alino? - zapytał Mal. - Walczyliśmy, żeby się wydostać z tego przeklętego miejsca, a teraz znowu grzęźniemy w bagnie.

Usiadłam na pryczy i wsparłam głowę na dłoniach. Byłam wyczerpana. Każda jedna kość w moim ciele bolała.

- Co ja mam robić? - zapytałam błagalnie. - To wszystko, co się dzieje... co się dzieje z Ravką... to częściowo moja wina.

- Nieprawda.

Zaśmiałam się bezdźwięcznie.

- Ależ owszem. Gdyby nie ja, Fałda by nie rosła. Novokribirsk wciąż by istniał.

- Alino - Mał przykucnął przede mną i położył mi dłonie na kolanach. - Choćbyś miała wszystkich Griszów i tysiąc takich strzelb jak Sturmhonda, nie masz dość sił, by go powstrzymać.

- Gdybyśmy mieli trzeci wzmacniacz...

- Ale go nie mamy!

Złapałam go za rękę.

- Będziemy go mieć.

Popatrzył mi w oczy.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że mogę odmówić?

Ścisnęło mnie w żołądku. Nie przyszło. W głowie mi nie powstało, że Mał się nie zgodzi, i nagle poczułam wstyd. On zrezygnował ze wszystkiego, by ze mną być, nie znaczyło to jednak, że był z tego faktu zadowolony. Może ma już dość walki, strachu, niepewności. Może ma już dość mnie.

- Myślałam... myślałam, że oboje chcemy pomóc Ravce.

- Czy tego oboje chcieliśmy? - zapytał.

Wstał i odwrócił się do mnie plecami. Przełknęłam z wysiłkiem, by zniwelować nagły ścisk w gardle.

- Czyli nie pojedziesz do Os Alty?

Zatrzymał się w wejściu do namiotu.

- Chciałaś nosić drugi wzmacniacz. I go masz. Chcesz jechać do Os Alty? Dobrze, pojedziemy. Mówisz, że potrzebujesz ognistego ptaka. Znajdę sposób, żeby go dla ciebie zdobyć. Ale kiedy będzie

już po wszystkim, Alino, ciekaw jestem, czy wciąż będziesz chciała mnie.

Skoczyłam na równe nogi.

- Oczywiście, że tak! Mal...

Nie wiem, co bym powiedziała, ale nie czekał, by mnie wysłuchać. Wyszedł na zewnątrz w światło słońca i znikł.

Przycisnęłam dłonie do oczu, by powstrzymać napływające łzy. Co ja wyprawiałam? Nie byłam królową. Nie byłam Świętą. A już na pewno nie wiedziałam, jak dowodzić wojskiem.

Zobaczyłam się w lusterku do golenia jakiegoś żołnierza, które stało wsparte na szafce nocnej. Odsunęłam płaszcz i koszulę, by obnażyć ranę na ramieniu. Ślady po kłach nisztója odznaczały się wyraziście - były pomarszczone i czarne. Darkling mówił, że nigdy się w pełni nie zagoją.

Jakiej rany nie uleczy moc Griszów? Takiej, którą zadało coś, co w ogóle nie powinno istnieć.

Widziałam go. Błądą, piękną twarz Darklinga, cios nożem. Wydawało się to takie realne. Co się wydarzyło w Fałdzie?

Powrót do Os Alty i przejęcie kontroli nad Drugą Armią jednoznacznie wypowiedziały wojnę. Darkling będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć, a kiedy będzie dość silny - zacznie szukać. Czy będziemy gotowi, czy nie, będziemy musieli zająć stanowisko. Była to przerażająca myśl, lecz z zaskoczeniem odkryłam, że niosła ona również trochę ulgi.

Stawię mu czoła. I tak czy inaczej się to skończy.

10.

Nie wyruszyliśmy do Os Alty od razu. Zamiast tego przez trzy kolejne dni przewoziliśmy towary przez Fałdę. Naszą bazą były szczątki obozu wojskowego w Kribirsku. Większość żołnierzy wycofano, kiedy Fałda zaczęła się rozszerzać. Wzniesiono nową wieżę, by obserwować czarne brzegi Niemorza, a do pracy w dokach przydzielono zaledwie paru ludzi.

W obozie nie został ani jeden Griszka. Po zamachu stanu Darklinga oraz zniszczeniu Novokribirska Ravkę i szeregi Pierwszej Armii zalała fala niechęci wobec Griszów. Nie dziwiło mnie to. Zniknęło całe miasto, jego mieszkańcy zostali wydani na pastwę potworów. Ravka nieprędko zapomni. Ja też nie.

Część Griszów zbiegła do Os Alty pod ochronę króla. Inni zaczęli się ukrywać. Mikołaj podejrzewał, że większość odszukała Darklinga i przeszła na jego stronę.

Lecz z pomocą niezależnych Szkwalników Mikołaja pierwszego dnia odbyliśmy dwie przeprawy przez Fałdę, drugiego trzy, a ostatniego cztery. Skify wyruszały do Ravki Zachodniej puste, a wracały z ogromnym ładunkiem ziemczańskich strzelb, skrzyń amunicji, elementów przeładowywalnych strzelb podobnych do tych, jakich Mikołaj używał na pokładzie „Kolibra”, oraz kilkoma tonami cukru i *jurdy* - wszystko dzięki przemytnictwu Sturmhonda.

- Łapówki - rzekł Mał, kiedy się przyglądaliśmy, jak rozradowani żołnierze dobierają się do rozładowywanych w dokach towarów, wiwatują i dziwią się lśnjącemu orężu.

- Podarki - poprawił Mikołaj. - Przekonasz się, że pociski są sprawne, niezależnie od moich motywacji. - Zwrócił się do mnie:
- Myślę, że zdążymy dzisiaj z jeszcze jedną przeprawą. Chętna?

Nie byłam chętna, ale skinęłam głową. Uśmiechnął się i klepnął mnie po plecach.

- Wydam rozkazy.

Odwróciłam się i popatrzyłam na pulsującą ciemność Faldy, czując na sobie wzrok Mała. Incydent z pokładu „Kolibra” się nie powtórzył. Cokolwiek wtedy zobaczyłam - czy była to wizja, halucynacja czy coś nienazwanego - nie wydarzyło się to ponownie. Niemniej w każdej chwili, kiedy znajdowałam się na Niemorzcu, byłam czujna oraz nieufna, i starałam się ukryć, jak bardzo się boję.

Mikołaj chciał polować na wilkry przy okazji przepraw, lecz odmówiłam. Powiedziałam mu, że wciąż nie czuję się na siłach i że nie jestem dość pewna swojej mocy, by zagwarantować nam bezpieczeństwo. Lękałam się naprawdę, ale cała reszta stanowiła kłamstwo. Moja moc nigdy nie była silniejsza. Płynęła ze mnie czystymi, żwawymi falami, promieniejąc siłą jelenia oraz łusek. Nie mogłam jednak znieść myśli, że znowu usłyszę te krzyki. Otaczałam skify szeroką, jaśniejącą kopułą światła, a chociaż wilkry wydzierały się i biły skrzydłami, trzymały się na dystans.

Mał towarzyszył nam podczas wszystkich przepraw. Stał przy moim boku ze strzelbą w gotowości. Wiedziałam, że wyczuwa mój niepokój, ale nie naciskał na wyjaśnienie. Właściwie to w ogóle mało się odzywał, odkąd pokłóciliśmy się w namiocie. Bałam się, że kiedy w końcu zacznę mówić, nie spodoba mi się to, co będzie miał do powiedzenia. Nie zmieniłam zdania w sprawie powrotu do Os Alty, ale martwiłam się, że może on się rozmyślił.

O poranku dnia, kiedy mieliśmy wyruszyć do stolicy, przeczesywałam wzrokiem tłum, przerażona, że może postanowił się nie stawić. Pomodliłam się dziękczynnie, kiedy go

wypatrzyłam, jak wyprostowany i milczący czeka, by dołączyć do kawalkady jeźdźców.

Ruszyliśmy w drogę przed świtem. Długi, kręty korowód koni oraz wozów skierował się z obozowiska na szeroką drogę znaną jako Via. Mikołaj zdobył dla mnie zwykłą, błękitną keftę, ale spakowałam ją do torby. Dopóki nie będzie dysponował większą liczbą własnych ludzi do ochrony dla mnie, dopóty będę zwyczajnym żołnierzem w książęcym orszaku.

Kiedy słońce wzbilo się nad horyzont, poczułam leciutki powiew nadziei. Pomysł, by spróbować zająć miejsce Darklinga, zebrać z powrotem Griszów i dowodzić Drugą Armia, wciąż mnie niebywale przytłaczał, ale przynajmniej coś robiłam, a nie tylko uciekałam przed Darklingiem albo czekałam, aż mnie złapie. Miałam dwa wzmacniacze Morozova i kierowałam się w miejsce, gdzie być może znajdę odpowiedzi, które doprowadzą mnie do trzeciego z nich. Mal był niezadowolony, ale patrząc, jak światło poranka wylania się znad koron drzew, byłam pewna, że uda mi się go przekonać.

Dobry nastrój nie przetrwał podróży przez Kribirsk. Bezpośrednio po katastrofie na jeziorze przejeżdżaliśmy przez ten zrujnowany port, ale byłam zbyt roztrzęsiona i zdezorientowana, by naprawdę zobaczyć, jak to miejsce się zmieniło. Tym razem nie dało się tego uniknąć.

Choć Kribirsk nigdy nie słynął z urody, chodniki roiły się niegdyś od podróżnych i kupców, ludzi króla i dokerów. Gwarne ulice miasta pełne były kiedyś tętniących życiem sklepów, gdzie można było wyposażyć ekspedycje na teren Fałdy, oraz barów i burdeli obsługujących stacjonujących w pobliżu wojaków. Teraz jednak te ulice były ciche i niemal puste. Większość gospod oraz sklepów zabito deskami.

Prawdziwe objawienie nastąpiło, kiedy dotarliśmy do cerkwi. Zapamiętałam ją jako schludną budowlę z wieńczoną jaskrawoniebieskimi kopułami. Teraz jej bielone wapnem ściany były całe pokryte rzędami imion, wypisanych czerwoną farbą, która zaschła i przybrała kolor krwi. Na schodach leżały sterty zwiędłych kwiatów, niewielkie malowane ikony, ogarki modlitewnych świec. Widziałam flaszki kwasu, stopy słodczy, porzuconą lalkę jakiegoś dziecka. Dary dla zmarłych.

Przesunęłam wzrokiem po imionach.

Stepan Ruszkin, lat 57

Ania Sirenka, lat 13

Mika Laski, lat 45

Rebeka Laska, lat 44

Petyr Ozerov, lat 22

Marina Koska, lat 19

Valenty Yomki, lat 72

Sasza Penkin, 8 miesięcy

Listy zdawały się nie mieć końca. Schwyciłam cugle mocniej, a lodowata dłoń ścisnęła mi serce. Nieproszone wróciły wspomnienia: matka biegła z dzieckiem w ramionach, mężczyzna potknął się, rozwarł usta do krzyku i ciemność go dognęła, staruszka - zdezorientowana i przestraszona - którą pochłonął ogarnięty paniką tłum. Widziałam to wszystko. Ja to umożliwiłam.

Byli to mieszkańcy Novokribirska - miasta, które znajdowało się niegdyś na wprost Kribirska po drugiej stronie Fałdy. Siostrzane miasta pełne krewnych, przyjaciół, współników w interesach. Ludzie pracujący w dokach i na skifach. Niektórzy z nich na pewno przeżyli wiele przepraw. Żyli na skraju horroru, sądząc, że we własnych domach i na ulicach swojego portowego

miasteczka są bezpieczni. A teraz ich wszystkich nie było, bo ja nie powstrzymałam Darklinga.

Mal podjechał do mnie konno.

- Alino - powiedział łagodnie - odjedź stąd.

Pokręciłam głową. Chciałam zapamiętać. *Tasza Stoł, Andrzej Bazin, Szura Ryczenko*. Ilu tylko zdołam. Zostali wymordowani przez Darklinga. Czy nawiedzają jego sny, tak jak nawiedzają moje?

- Musimy go powstrzymać, Mal - powiedziałam chrapliwie. - Musimy znaleźć sposób.

Nie wiem, na jaką odpowiedź liczyłam, ale milczał. Nie byłam pewna, czy Mal chce składać mi jeszcze jakieś obietnicy.

W końcu odjechał, ale ja zmusiłam się, by przeczytać każde jedno imię. Dopiero wtedy skierowałam konia na opuszczone ulice.

Nieco dalej od Fałdy ulice Kribirska zdawały się nieco odżywać. Parę sklepów było otwartych, na odcinku Vii znanym jako Gościniec Przekupniów kupcy wciąż sprzedawali swoje towary. Wzdłuż drogi stały chwiejne stoliki pokryte jaskrawymi płótnami i zastawione towarem wszelkiej maści: butami, orarionami, drewnianymi zabawkami, tandetnymi nożami w rękodzielnych pochwach. Wiele stołów zaśmiecały jakieś odłamki kamieni i kurze kości.

- *Realnije osti!* - krzyczeli przekupnie. - *Autenticznije osti!* - Prawdziwe kości. Autentyczne kości.

Schyliłam się na koniu, by się przypatrzeć, kiedy nagle jakiś starzec zawołał:

- Alina!

Podniosłam oczy z zaskoczeniem. Znał mnie?

Mikołaj znalazł się nagle przy moim boku. Podjechał blisko, złapał za moje cugle i pociągnął za nie mocno, żeby mój koń oddalił się od stolika.

- *Niet, spasiba* - powiedział do starca.

- Alina! - krzyczał przekupień. - *Autenticznija Alina!*

- Czekał - powiedziałam, skręcając się w siodle, żeby lepiej się przyjrzeć twarzy staruszka. Porządkował towary na swoim stole. Skoro nie było szans na utarg, przestał się nami interesować.

- Czekał - nalegałam - on mnie znał.

- Nie znał cię.

- Wiedział, jak mam na imię - odparłam, wrywając mu lejce z gniewem.

- Próbował sprzedać ci relikwie. Paliczki. Prawdziwa Święta Alina.

Zamarłam i przeszył mnie zimny dreszcz. Koń szedł spokojnie dalej, niepomny sytuacji.

- Autentyczna Alina - powtórzyłam drętwą.

Mikołaj poruszył się niespokojnie.

- Krążą pogłoski, że zginęłaś w Fałdzie. Od wielu miesięcy w całej Ravce i Ravce Zachodniej ludzie sprzedają twoje części ciała. Niezły z ciebie talizman na szczęście.

- To są niby moje palce?

- Kłykie, palce u stóp, odłamki zeber.

Zrobiło mi się niedobrze. Rozejrzałam się dookoła w nadziei, że wypatrzę Mała. Potrzebowałam zobaczyć coś znajomego.

- Oczywiście - ciągnął Mikołaj - gdyby chociaż połowa z tego faktycznie pochodziła z twoich palców, musiałybyś mieć ze sto stóp. Ale zabobon to potęga.

- Wiara również - zza moich pleców dobiegł głos. Odwróciłam się i z zaskoczeniem zobaczyłam za sobą Tolię na grzbiecie wielkiego, czarnego wierzchowca. Jego szeroka twarz miała poważny wyraz.

Tego było za wiele. Optymizm, który czułam zaledwie godzinę wcześniej, znikł. Miałam nagle poczucie, że niebo na mnie napiera, zamyka się jak potrzask. Popędziłam konia w cwał. Zawsze jeździłam niezdarnie, ale trzymałam się mocno i nie zwolniłam, póki Kribirsk nie znalazł się daleko za mną i nie przestałam słyszeć grzechotania kości.

Tego dnia nocowaliśmy w gospodzie w niewielkiej wiosce Vernost, gdzie natknęliśmy się na ciężko uzbrojonych żołnierzy Pierwszej Armii. Wkrótce odkryłam, że wielu z nich należało do Dwudziestego Drugiego Pułku - tego samego, w którym Mikołaj służył i któremu później współdowodził w kampanii północnej. Wyglądało na to, że księżę chciał wracać do Os Alty w otoczeniu przyjaciół. Nie dziwiłam mu się.

W ich obecności wydawał się bardziej rozluźniony i kolejny raz zaobserwowałam, jak zmienia się jego sposób bycia. Bez wysiłku przekształcił się z wygadanego awanturnika w aroganckiego księcia, teraz zaś został ukochanym dowódcą, żołnierzem, który chętnie się śmiał wraz z towarzyszami i każdego plebejusza znał z imienia.

Żołnierze wieźli luksusowy powóz. Był on polakierowany na bladobłękitny ravncański kolor, a po jednej stronie miał królewskiego podwójnego orła. Mikołaj rozkazał, by po drugiej stronie umieszczono złotą glorię. Powóz ciągnęła szóstka białych koni. Kiedy to lśniące ustrojstwo wjechało z terkotem na dziedziniec gospody, przewróciłam oczami. W pamięci żywo

stały mi zbytki Wielkiego Pałacu. Być może zły gust jest dziedziczny.

Miałam nadzieję, że zjemy z Malem kolację na osobności u mnie w pokoju, ale Mikołaj nalegał, byśmy wszyscy razem zasiedli do stołu w westybulu gospody. Zamiast więc relaksować się przy ogniu w spokoju, siedzieliśmy ściśnięci łokieć przy łokciu przy gwarным stole wśród ciżby oficerów. Przez cały posiłek Mal nie odezwał się ani słowem, ale Mikołaj gadał dość za nas troje.

Zajadając się potrawą na duszonym wolim ogonie, wymieniał nieprzeliczone miejsca, w których zamierzał zrobić postój w drodze do Os Alty. Samo słuchanie go mnie męczyło.

- Nie przypuszczałam, że „zdobycie serc ludu” oznacza, że spotkamy każdego osobiście - gderałam. - Nie śpieszy nam się przypadkiem?

- Ravka musi wiedzieć, że jej Przyzywaczka Słońca powróciła.

- I księżę marnotrawny też?

- On też. Plotki działają więcej niż królewskie dekrety. Co mi przypomina - zniżył głos - od tej chwili musisz się zachowywać, jakby nieustannie ktoś cię obserwował. - Pomachał widelcem między mną a Malem. - To wasza sprawa, co robicie na osobności, tylko bądźcie dyskretni.

Niewiele brakowało, a zakrztusiłabym się winem.

- Co proszę? - fuknęłam.

- Związek z księciem z królewskiego rodu to jedno, ale jeśli ludzie pomyślą, że chędożysz się z muzykiem, to co innego.

- Ja nie... to ich nie dotyczy! - szepnęłam wściekle. Zerknęłam na Mala przelotnie. Zaciskał zęby i trzymał nóż bardzo mocno.

- Potęga to sojusz - rzekł Mikołaj. - Dotyczy wszystkich. - Wpatrywałam się w niego ze złością i niedowierzaniem. Upił łyczek wina i dodał: - Powinnaś nosić własne barwy.

Pokręciłam głową, bo zmiana tematu zbiła mnie z pantałyku.

- Teraz będziesz mi dobierał ubrania? - Miałam na sobie błękitną keftę, ale najwyraźniej to Mikołajowi nie wystarczało.

- Jeśli zamierzasz stanąć na czele Drugiej Armii i zająć miejsce Darklinga, musisz stosownie wyglądać.

- Przyzywacze noszą błękit - rzuciłam z irytacją.

- Nie lekceważ ostentacyjnych gestów, Alino. Lud lubi przedstawienia. Darkling to rozumiał.

- Pomyślę o tym.

- Mogę zasugerować złoto? - ciągnął Mikołaj. - Bardzo królewskie, bardzo odpowiednie...

- Bardzo tandetne?

- Najlepsze byłyby złoto i czerń. Idealna symbolika i...

- Nie czerń - rzekł Mal. Odsunął się od stołu i bez słowa zniknął w zatłoczonym pomieszczeniu.

Odłożyłam widelec.

- Nie potrafię się rozeznąć, czy z rozmysłem mącisz, czy po prostu jesteś osłem.

Księżę przegryzł kęs kolacji.

- Nie lubi czerni?

- To barwa człowieka, który próbował go zabić i regularnie bierze mnie w niewolę. Mój zażarty wróg?

- Tym lepszy powód, by przejąć tę barwę.

Wyciągnęłam szyję, by zobaczyć, dokąd poszedł Mal. Patrzyłam przez drzwi, jak zasiada za barem.

- Nie - powiedziałam. - Nie czerń.

- Jak sobie życzysz - odparł Mikołaj. - Ale wybierz coś dla siebie i swojej gwardii przybocznej.

Westchnęłam.

- Naprawdę potrzebna mi straż?

Mikołaj odchylił się na krzesło i przyjrzał mi się z nagłą powagą.

- Wiesz, jak zyskałem przydomek Sturmhond? - zapytał.

- Sądziłam, że to żart... nawiązanie do Sobaczki.

- Nie - powiedział. - Zapracowałem na to miano. Pierwszy nieprzyjacielski okręt, jaki zdobyłem, był to fjerdański handlowiec niedaleko Djerholmu. Kiedy kazałem kapitanowi złożyć miecz, zaśmiał mi się w twarz i odparł, bym zmykał do domu do mamy. Powiedział mi, że Fjerdańczycy jedzą chudych ravczańskich chłopców na śniadanie.

- Więc go zabiłeś?

- Nie. Powiedziałem mu, że starzy i głupi kapitanowie nie nadają się na jadło dla mężczyzn z Ravki. Potem obciąłem mu palce i na jego oczach dałem je swojemu psu do zjedzenia.

- Co... zrobiłeś?

Na sali pełno było rozochoconych żołnierzy, którzy śpiewali, pokrzykiwali, opowiadali historie, lecz oni wszyscy zniknęli, kiedy wpatrywałam się w Mikołaja oniemiała z osłupienia. Miałam wrażenie, jakbym obserwowała kolejną jego transformację - jak gdyby czarująca maska się przekrzywiła i ukazała bardzo niebezpiecznego człowieka.

- Słyszałaś. Moi wrogowie rozumieli brutalność. Podobnie jak moja załoga. Po wszystkim piłem ze swoimi ludźmi i podzieliliśmy łupy. Potem wróciłem do kajuty, zwymiotowałem znakomity obiad przygotowany przez służącego i płakałem, aż usnąłem. Lecz tego dnia zostałem prawdziwym korsarzem i tego dnia narodził się Sturmhond.

- No to po „szczeniaczku” - zauważyłam. Mnie też zrobiło się trochę niedobrze.

- Byłem chłopcem, który próbował dowodzić niezdyscyplinowaną załogą złożoną ze złodziei i banitów przeciwko wrogom, którzy byli starsi, mądrzejsi i twardsi. Musieli się mnie bać. Wszyscy. Gdyby się mnie nie bali, zginęłoby więcej ludzi.

Odepchnęłam talerz.

- To czyje palce mam odciąć?

- Mówię ci, że jeśli chcesz być przywódcą, najwyższa pora zacząć myśleć i zachowywać się jak przywódca.

- Słyszałam to wcześniej od Darklinga i jego popleczników. Bądź brutalna. Bądź okrutna. Na dłuższą metę ocali to ludzkie życia.

- Myślisz, że przypominam Darklinga?

Przyjrzałam mu się - złotym włosom, szykownemu mundurowi, tym piwnym, nazbyt szczwanym oczom.

- Nie - powiedziałam wolno. - Nie sędzę. - Wstałam, by iść do Mala. - Ale zdarzało mi się już mylić.

Podróż do Os Alty bardziej niż marsz przypominała powolną, męczącą paradę. Zatrzymywaliśmy się w każdym mieście wzdłuż VII, na farmach, w szkołach, cerkwiach i mleczarniach. Witaliśmy miejscowych dygnitarzy i zwiedzaliśmy szpitalne oddziały. Obiadowaliśmy z kombatantami i oklaskiwaliśmy chóry dziewczęce.

Trudno było nie zauważyć, że wioski zamieszkiwali głównie ludzie bardzo młodzi i bardzo starzy. Wszystkich zdolnych do walki wcielono do Armii Króla, by walczyli w niekończących się wojnach toczonych przez Ravkę. Cmentarze dorównywały wielkością miastom.

Mikołaj rozdawał złote monety i worki cukru. Podawał dłonie kupcom, dawał się całować w policzek pomarszczonym matronom, które mówiły na niego Sobaczka, i oczarowywał każdego w promieniu pół metra od siebie. Wydawał się nigdy nie męczyć i nigdy nie opadać z sił. Niezależnie od tego, jaki dystans pokonaliśmy ani ilu ludzi spotkaliśmy, on był gotów na więcej. Zdawał się zawsze wiedzieć, czego ludzie od niego oczekują - kiedy być roześmianym młodzieńcem, złotym księciem, znużonym wojakiem. Przypuszczałam, że wyrobił sobie te umiejętności jako członek królewskiego rodu wychowany na dworze, ale i tak dziwnie było na to patrzeć.

Nie żartował z tym przedstawieniem. Zawsze się starał, byśmy dotarli na miejsce o świcie albo zmroku, lub zatrzymywał pochód w głębokim cieniu cerkwi albo na rynku miasta - wszystko po to, by lepiej wyeksponować Przyzywaczkę Słońca. Kiedy złapał mnie na tym, jak przewracam oczami, mrugnął do mnie i powiedział:

- Wszyscy sądzą, że nie żyjesz, śliczności. Ważne, by się dobrze zaprezentować.

Dotrzymywałam zatem umowy i grałam swoją rolę. Uśmiechałam się łaskawie i przyzywałam światło, by lśniło na dachach oraz iglicach oraz by skąpało każdą zachwyconą twarz w ciepłe. Ludzie płakali. Matki znosiły dzieci, bym je pocałowała, a starzy ludzie kłaniali się nad moją dłońią z policzkami mokrymi od łez. Czulałam się jak kompletna oszustka, i powiedziałam o tym Mikołajowi.

- O co ci chodzi? - zapytał, szczerze zdziwiony. - Lud cię kocha.

- Raczej kocha twoją zdobyczną kożę - marudziłam, wyjeżdżając z jednego z miast.

- Zdobyłaś coś kiedyś?

- To nie jest śmieszne - szeptałam zaciekle. - Widziałeś, co potrafi Darkling. Ci ludzie będą słać synów i córki do walki z nisztojami, a ja nie będę mogła ich ocalić. Okłamujesz ich.

- Dajemy im nadzieję. To lepsze niż nic.

- Tak może powiedzieć ktoś, kto nigdy nie został z niczym - odparłam i odjechałam.

Ravka nigdy nie była piękniejsza niż latem. Pola iskrzyły się złotem i zielenią, kojące powietrze pachniało słodko ciepłym sianem. Pomimo protestów Mikołaja uparcie nie chciałam skorzystać z wygod powozu. Pośladki mnie bolały, a co wieczór przy zsiadaniu z siodła uda się żaliły, ale dosiadając wierzchowca, miałam dostęp do świeżego powietrza oraz okazję codziennie wyszukiwać Mala. Nie odzywał się za dużo, ale trochę chyba tajał.

Mikołaj rozpowszechnił opowieść o tym, jak Darkling próbował zgładzić Mala w Fałdzie. Dzięki temu Mal natychmiast zyskał zaufanie żołnierzy, a nawet pewną sławę. Od czasu do czasu przeczesywał teren wraz z tropicielami z jednostki i próbował nauczyć Tolię polować, choć wielkiemu Griszy nie wychodziło przemykanie się cicho wśród lasów.

Na drodze wychodzącej z Sali przejeżdżaliśmy właśnie przez zagajnik wiązów, kiedy Mal odkaslnął i powiedział:

- Myślałem sobie...

Wyprostowałam się i skupiłam na nim całkowitą uwagę. Od wyjazdu z Kribirsa pierwszy raz rozpoczął rozmowę. Poruszył się w siodle nieswojo, nie patrząc mi w oczy.

- Myślałem sobie, kogo moglibyśmy wziąć do straży.

Zmarszczyłam brew.

- Jakiej straży?

Odkasznął ponownie.

- Twojej. Paru ludzi Mikołaja wydaje się w porządku, myślę też, że trzeba wziąć pod uwagę Tolię i Tamar. To Szuhańczycy, lecz Griszowie, więc nie powinno to stanowić problemu. No i... cóż, ja.

Wydaje mi się, że nigdy wcześniej nie widziałam, jak Mal się czerwieni. Uśmiechnęłam się szeroko.

- Mam rozumieć, że chcesz być kapitanem mojej gwardii przybocznej?

Mal zerknął na mnie i uśmiechnął się leciutko.

- Będę mógł nosić fikuśny kapelusz?

- Najfikuśniejszy - odparłam. - A do tego może nawet pelerynę.

- Będą piórka?

- O tak. Wiele piórek.

- No to wchodzę w to.

Chciałam na tym poprzestać, ale jakoś nie mogłam się powstrzymać.

- Myślałam... myślałam, że może będziesz chciał wrócić do swojej jednostki, znowu być tropicielem.

Mal wbił wzrok w wiązania na cuglach.

- Nie ma powrotu. Miejmy nadzieję, że Mikołaj ocali mnie przed szubienicą...

- Miejmy nadzieję? - pisnęłam.

- Opuściłem swoje stanowisko, Alino. Nawet król nie zrobi ze mnie na powrót tropiciela.

Mal mówił spokojnym, rzeczowym głosem.

„Dostosowuje się” - pomyślałam. Wiedziałam jednak, że jakaś częśćka Mała zawsze będzie żałować życia, jakie było mu pisane - tego życia, które by miał, gdyby nie ja.

Kiwnął głową w przód, gdzie wśród kawalkady jeźdźców migały plecy Mikołaja.

- I nie ma mowy, żebym zostawił cię sam z Księżuniem Idealem.

- Nie wierzysz mi, że zdołam się oprzeć jego urokowi?

- Sam sobie nie wierzę. Nigdy nie widziałem, by ktoś tak jak on panował nad tłumem. Podejrzewam, że nawet skały i drzewa szykują się, by złożyć mu przysięgę wierności.

Zaśmiałam się i odchyliłam w tył, czując na skórze ciepło słońca w pstrym cieniu rzucanym przez korony drzew. Dotknęłam palcami bransolety z węża morskiego, bezpiecznie zamaskowanej przez rękaw. Póki co chciałam zachować drugi wzmacniacz w tajemnicy. Griszowie Mikołaja poprzysięgli milczenie i mogłam jedynie żywić nadzieję, że będą trzymać języki za zębami.

Zabłądziłam myślami w stronę ognistego ptaka. W głębi serca wciąż nie mogłam uwierzyć, że istnieje naprawdę. Czy będzie wyglądać tak jak na kartach czerwonej księżeczki - z misternymi, biało-złotymi piórami? Czy też będzie mieć skrzydła zwieńczone ogniem? I co za potwór wypuści strzałę, by go strącić?

Odmówiłam zabicia jelenia i niezliczeni ludzie przez to poginęli - mieszkańcy Novokribirska, Griszowie oraz żołnierze, których porzuciłam na skifie Darklinga. Pomyślałam o wysokich ścianach cerkwi pokrytych imionami zmarłych.

Jeleń Morozova. Rusał. Ognisty ptak. Przez moimi oczyma ozywają legendy, po to by zaraz zginąć. Pamiętałam drgające ciało węża morskiego, cienki świst jego ostatnich oddechów. Był na skraju śmierci, a ja i tak się zawahałam.

„Nie chcę być zabójcą”. Lecz Przyzywaczki Słońca może nie być stać na dar miłosierdzia. Wybiłam się z zamyślenia. Przede wszystkim musimy znaleźć ognistego ptaka. Dopóki to nie nastąpi, wszystkie nasze nadzieje spoczywają na barkach pewnego niegodnego zaufania księcia.

Następnego dnia pojawili się pierwsi pielgrzymi. Wyglądali jak zwykli mieszczanie, którzy czekali przy drodze, by obejrzeć przechodzący królewski pochód, lecz mieli na ramionach przepaski i nieśli sztandary ze wschodzącym słońcem. Brudni po wielodniowej podróży, dźwigali sakwy i plecaki wypchane skromnym dobytkiem. Kiedy zauważyli mnie w mojej błękitnej kefcie i z obrozą jelenia na szyi, zaczęli się tłoczyć wokół mojego konia, mrużąc „*Sankta, Sankta*” i próbując złapać mnie za rękaw albo poły kefty. Niekiedy padali na kolana i musiałam zachować ostrożność, żeby mój wierzchowiec nikogo nie stratował.

Wydawało mi się, że przywykłam już do zwracania na mnie uwagi, nawet do tego, że obcy mnie obłapiają, lecz tym razem było inaczej. Nie podobało mi się, że nazywają mnie „świętą”, a w oczach mieli głód, który mnie niepokoił.

Im bardziej zagłębialiśmy się w Ravkę, tym bardziej tłumy rosły. Ludzie nadciągali ze wszech stron, z metropolii, miasteczek i portów. Gromadzili się we wsiach i przy skrajach VII, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, niektórzy pieszo, inni na osiołkach albo w cizbie na wózkach. Dokądkolwiek się udawaliśmy, oni do mnie wołali.

Czasami nazywali mnie Świętą Aliną, czasami Aliną Sprawiedliwą, Świetlistą albo Miłosierną. Córa Keramzina, Córa Ravki. Córa Fałdy. Rebe Dva Stołba - wołali - Córa Dwóch Młynów, na część doliny, w której znajdowało się bezimienne

miejsce moich narodzin. Pamiętałam ruiny, na pamiątkę których nazwano dolinę, jak przez mgłę - były to dwa skaliste wrzeczona na skraju zakurzonej drogi. Aparat pracowicie obnażał moją przeszłość, przeczesywał gruz, by budować opowieść o Świętej.

Oczekiwania pątników mnie przerażały. Ich zdaniem przybyłam wyzwolić Ravkę od wrogów, od Fałdy Cienia, od Darklinga, od nędzy, od głodu, od pęcherzy na stopach, od komarów i od wszelkich innych trosk. Błagali, bym ich pobłogosławiła, uleczyła, ale ja potrafiłam jedynie przyzywać światło, machać ręką, dać dotknąć dłoni. Wszystko to wchodziło w skład przedstawienia Mikołaja.

Pielgrzymi przybyli nie tylko po to, by mnie zobaczyć, lecz także po to, by za mną podążać. Dołączali do królewskiego korowodu, a ich obdarta brać z dnia na dzień stawała się liczniejsza. Szli za nami z miasta do miasta, koczowali na ugorach, czuwali do świtu, by modlić się o moje bezpieczeństwo i zbawienie dla Ravki. Niewiele brakowało, a przewyższyliby liczbą żołnierzy Mikołaja.

- To sprawka Apparata - pożałowałam się Tamar pewnego wieczoru przy kolacji.

Na wieczór zatrzymaliśmy się w zajeździe. Przez okna widziałam światła ognisk pątników, słyszałam, jak śpiewają wiejskie piosnki.

- Ci ludzie powinni być w domach, pracować w polu i opiekować się dziećmi, a nie wlec się za jakąś fałszywą Świętą.

Przesuwając bezładnie kawałek rozgotowanego ziemniaka po talerzu, Tamar odparła:

- Matka mi mówiła, że moc Griszy to boski dar.
- Wierzyłaś jej?
- Lepszego wyjaśnienia nie mam.

Odłożyłam widelec.

- Tamar, nie mamy boskiego daru. Moc Griszy to coś wrodzonego, jak wielkie stopy albo talent do śpiewania.

- Tak sądzą Szuhańczycy. Że to coś fizycznego, ukrytego w sercu czy w śledzionie, coś, co da się wyizolować i zanalizować. - Wyjrzała przez okno na obozowisko pielgrzymów. - Nie sędzę, aby ci ludzie się z tym zgodzili.

- Tylko mi nie mów, że masz mnie za Świętą.

- Nieważne, czym jesteś. Ważne, czego możesz dokonać.

- Tamar...

- Ci ludzie sądzą, że możesz ocalić Ravkę - oznajmiła. - Ewidentnie ty też tak myślisz, bo inaczej nie jechałabyś do Os Alty.

- Jadę do Os Alty odbudować Drugą Armię.

- I znaleźć trzeci wzmacniacz?

Prawie wypadł mi widelec.

- Ciszej! - wykrztusiłam.

- Widzieliśmy *Istorii Sanktja*.

Czyli Sturmhond nie zachował książki w tajemnicy.

- Kto jeszcze wie? - zapytałam, starając się zapanować nad sobą.

- Nikomu nie powiemy, Alino. Wiemy, czym ryzykujemy. - Szklanka Tamar została na stole wilgotny okrąg. Dziewczyna przesunęła po nim palcem i powiedziała: - Wiesz, niektórzy wierzą, że wszyscy pierwsi Święci byli Griszami.

- Jacy niektórzy? - zmarszczyłam czoło.

Tamar wzruszyła ramionami.

- Było ich na tyle dużo, że ekskomunikowano przywódców. Niektórych nawet spalono na stosie.

- Nie słyszałam o tym.

- To było dawno temu. Nie rozumiem, dlaczego ta myśl tak ludzi gniewa. Nawet jeśli Święci byli Griszami, to, czego dokonali, nie staje się przez to mniej cudowne.

Poruszyłam się niespokojnie.

- Nie chcę być Świętą, Tamar. Nie próbuję uratować świata. Chcę tylko znaleźć sposób, by pokonać Darklinga.

Tamar uniosła brew.

- Odbudować Drugą Armię. Pokonać Darklinga. Zniszczyć Fałdę. Wyzwolić Ravkę. Mów, co chcesz, ale to brzmi podejrzenie jak ratowanie świata.

Cóż, skoro tak to ujęła, faktycznie moje plany wydawały się dosyć ambitne. Upiłam wina. Było kwaśne w porównaniu z rocznikami dostępnymi na pokładzie „Volkvołnego”.

- Mal poprosi ciebie i Tolię, byście zostali członkami mojej gwardii przybocznej.

- Naprawdę?-Tamar uśmiechnęła się pięknie i szeroko.

- I tak już praktycznie to robicie. Ale jeśli masz mnie strzec dzień i noc, musisz mi coś obiecać.

- Co chcesz - odparła rozpromieniona.

- Dostyć gadania o Świętych.

11.

Rzesze pielgrzymów rosły i coraz trudniej było je kontrolować, musiałam więc przesiąść się do powozu. W niektóre dni Mal mi towarzyszył, lecz zazwyczaj wołał jechać na zewnątrz, strzegąc pojazdu wraz z Tolią i Tamar. Choć bardzo pragnęłam jego

towarzystwa, wiedziałam, że tak będzie lepiej. Zawsze miał zły humor, kiedy musiał tkwić w lakierowanej kasetce na biżuterię.

Mikołaj asystował mi tylko wtedy, gdy wjeżdżaliśmy do wioski lub z niej wyjeżdżaliśmy, tak żeby przybywając albo wyjeżdżając, pokazać się razem. Bez przerwy gadał. Ciągłe myślał o jakichś nowych przedsięwzięciach: urzędzeniu do brukowania dróg, nowym systemie irygacyjnym, łodzi, która sama będzie wiosłować. Szkicował projekty na każdym kawałku papieru, jaki znalazł, i codziennie wynajdywał nowe ulepszenia do kolejnej wersji „Kolibra”.

Choć mnie to stresowało, chętnie też rozmawiał o trzecim wzmacniaczu i o Darklingu. On także nie rozpoznawał kamiennego łuku na ilustracji, a choć wpatrywaliśmy się w kartkę bez końca, Święty Ilia nie zdradzał swych tajemnic. To jednak nie przeszkadzało Mikołajowi snuć niezliczonych domysłów co do miejsc, gdzie zaczniemy polować na ogniściego ptaka, ani brać mnie na spytki na temat nowej mocy Darklinga.

- Wybieramy się razem na wojnę - rzekł. - Pozwól, że ci przypomnę, iż Darkling za mną nie przepada. Chciałbym, abyśmy wykorzystali każdą przewagę.

Tak mało mogłam mu powiedzieć. Sama ledwie rozumiałam, co Darkling robi.

- Griszowie mogą użyć wyłącznie tego, co już istnieje. Prawdziwa kreacja to inny rodzaj mocy. Baghra nazywała ją „tworzeniem w sercu świata”.

- Sądziś, że do tego dąży Darkling?

- Możliwe. Nie wiem. Wszyscy mamy swoje ograniczenia, a kiedy próbujemy je przekroczyć, męczymy się. Na dłuższą jednak metę używanie własnej potęgi nas wzmacnia. Kiedy Darkling przyzywa nisztroje, jest inaczej. Wydaje mi się, że płaci

za to cenę. - Opisałam napięcie na twarzy Darklinga, jego znużenie. - Ta moc go nie krzepi, lecz na nim żeruje.

- No cóż, to wszystko tłumaczy - powiedział Mikołaj, bębniąc palcami po udzie. W myślach już kotłowało mu się od możliwości.

- Tłumaczy co?

- Że wciąż żyjemy, że mój ojciec wciąż siedzi na tronie. Gdyby Darkling mógł po prostu stworzyć armię cieni, już by na nas wyruszył. To dobrze - oznajmił zdecydowanie - to daje nam czas.

Pytanie - ile czasu. Pomyślałam o pragnieniu, jakie czułam, patrząc na gwiazdy z pokładu „Volkvołnego”. Żądza władzy zdeprawowała Darklinga. Równie dobrze mogła także zdeprawować Morozova. Połączenie wzmacniaczy może doprowadzić do nieszczęścia, jakiego świat nie widział.

Potarłam ramiona, aby rozproszyć nagły chłód. Nie mogłam podzielić się tymi wątpliwościami z Mikołajem, a Mał i bez tego odnosił się nieufnie do kursu, który obraliśmy.

- Wiesz, z czym się mierzymy - odezwałam się. - Sam czas może nie wystarczyć.

- Os Alta ma solidne fortyfikacje. Znajduje się blisko bazy w Policnai, a przede wszystkim - daleko i od północnej, i od południowej granicy.

- To nam sprzyja?

- Darkling ma ograniczony zasięg. Kiedy unieruchomiliśmy jego okręt, nie dał rady posłać niszoj w pościg za nami. To oznacza, że będzie musiał swoje potwory wprowadzić do Ravki. Od wschodu znajdują się góry, przez które nie da się przeprawić, a bez ciebie nie może przebyć Fałdy, będzie więc zmuszony zaatakować nas od Fjerdy albo Szu Hanu. Tak czy owak, dowiemy się z porządnym wyprzedzeniem.

- A król i królowa zostaną?

- Gdyby mój ojciec opuścił teraz stolicę, byłoby to właściwie równoznaczne z oddaniem kraju Darklingowi. Poza tym nie wiem, czy ma dość sił, by podróżować.

Przed oczyma stanęła mi czerwona kefta Genii.

- Nie wydobrzał?

- Najgorsze nie dotarło do plotkarzy, ale nie, nie wydobrzał i wątpię, by wrócił do siebie. - Skrzyżował ramiona na piersi i przekrzywił głowę. - Twoja przyjaciółka jest przepiękna. Jak na trucicielkę.

- Ona nie jest moją przyjaciółką - odparłam, choć te słowa wydały mi się dziecinne i smakowały jak zdrada. Obwinałam Genię o wiele, lecz nie o to, co zrobiła królowi. Wyglądało na to, że Mikołaj ma szpiegów wszędzie. Ciekawa byłam, czy wie, jaki naprawdę jest człowiek z jego ojca. - I wątpię, by użyła trucizny.

- Cóż, coś mu zrobiła. Żaden z jego medyków nie może znaleźć lekarstwa, a matka nie dopuszcza do niego Korporalnika-Uzdrowiciela. - Po chwili Mikołaj rzekł: - Tak naprawdę to było sprytne posunięcie.

Brwi podjechały mi do góry.

- Próbować zabić twojego ojca?

- Darkling mógł ojca bez trudu zamordować, ale wówczas ryzykowałby otwarty bunt wieśniaków oraz Pierwszej Armii. Ale król żył, lecz pozostawał w odosobnieniu, i nikt tak naprawdę nie wiedział, co się dzieje. Aparat był na miejscu, zgrywał zaufanego doradcę i wydawał rozkazy. Wasyl szwendał się gdzieś, kupował konie i dziwki. - Zamilkł, wyjrzał przez okno, przesunął palcem po złoconym brzeżku. - Ja byłem na morzu. Wieści doszły do mnie po wielu tygodniach, kiedy było już po wszystkim.

Czekałam, nie wiedząc, czy powinnam się odzywać. Oczy wbijał w przemykający za oknem pejzaż, ale wydawał się przebywać daleko stąd.

- Kiedy rozeszły się pogłoski o masakrze w Novokribirsku i zniknięciu Darklinga, rozpętało się piekło. Grupa królewskich ministrów wraz ze strażą pałacową wdarła się do Wielkiego Pałacu i zażądała widzenia z królem. Wiesz, co zastali? Moja matka w swojej bawialni ścisnęła tego swojego zasmarkanego pieska. A król Ravki, Aleksander III, sam w swojej komnacie, ledwie zipiąc, leżał we własnym brudzie. Ja do tego dopuściłem.

- Nie mogłeś wiedzieć, co planuje Darkling, Mikołaju. Nikt nie wiedział.

Zdawał się mnie nie słyszeć.

- Griszowie i oprycznicy, którzy z rozkazu Darklinga zajęli pałac, zostali pojmani w mieście podczas próby ucieczki. Zostali straceni.

Staralam się stłumić dreszcz.

- A co z Apparatem? - Kapłan był w zмовie z Darklingiem i być może nadal z nim współpracował. Próbował jednak porozmawiać ze mną przed zamachem i zawsze przypuszczałam, że może toczyć głębszą grę.

- Uciekł. Nikt nie wie jak. - Mikołaj mówił twardym tonem. - Ale w swoim czasie za to odpowie.

Kolejny raz przelotnie ujrzałam bezwzględność, która kryła się pod wyrafinowaną fasadą. Czy to prawdziwy Mikołaj Lancov? Czy też kolejna maska?

- Puściłeś Genię wolno - zauważyłam.

- Była pionkiem. Ty byłeś celem gry, zdobyczą. Nie mogłem się rozpraszać. - Potem się uśmiechnął, a po mrocznym nastroju nie

zostało ani śladu. - Zresztą - mrugnął okiem - była za ładna dla rekinów.

Czułam się niespokojna przez jazdę powozem i sfrustrowana narzuconym przez Mikołaja wolnym tempem. Nie mogłam się doczekać, aż dotrzemy do Małego Pałacu. Niemniej przez braku pośpiechu zyskał szansę, by pomóc mi przygotować się na przybycie do Os Alty. Wiele planów Mikołaja zależało od mojego sukcesu w charakterze dowódcy Drugiej Armii i ciągle udzielał mi nowych mądrości. Było to przytłaczające, ale czułam, że nie stać mnie na to, by odrzucić jego rady. Zaczęłam odnosić wrażenie, że wróciłam do biblioteki w Małym Pałacu i nabijam sobie głowę griszaicką teorią.

„Im mniej powiesz, tym większą wagę będą miały twoje słowa”.

„Nie spieraj się. Nigdy nie racz zaprzeczać. Na zniewagi odpowiadaj śmiechem”.

- Ty się nie śmiałeś z fjerdańskiego kapitana - zauważyłam.

- To nie była zniewaga, lecz wyzwanie - odparł. - Naucz się je rozróżniać.

„Słabość to maska. Noś ją, kiedy muszą wiedzieć, że jesteś tylko człowiekiem, lecz nigdy wtedy, gdy ją odczuwasz”.

„Nie życz sobie cegieł, kiedy możesz budować z kamienia. Użyj wszelkich rzeczy i ludzi, jakich masz do dyspozycji”.

„Być przywódcą oznacza, że ktoś nieustannie cię obserwuje”.

„Nakłoń ich do tego, by wypełniali drobne rozkazy, a będą także spełniać te wielkie”.

„Wolno oczekiwania lekceważyć, lecz nigdy zawodzić”.

- Jak ja mam to wszystko spamiętać? - zapytałam z rozdrażnieniem.

- Nie myśl o tym tyle, to samo przyjdzie.
- Łatwo ci mówić. Wychowywali cię do tego od dnia narodzin.
- Wychowywali mnie do tenisa na trawie i przyjęć z szampanem
- odparł Mikołaj. - Reszta to kwestia praktyki.
- Nie mam czasu ćwiczyć!
- Dasz sobie radę - powiedział. - Tylko się uspokój.

Zaskrzeczałam z frustracji. Palce mnie świerzbiły, tak bardzo chciałam go udusić.

- Aha, a najłatwiej doprowadzić kogoś do szewskiej pasji, jeśli mu się powie, żeby się uspokoił.

Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy rzucić w niego butem.

Kiedy nie siedział ze mną w powozie, Mikołaj zachowywał się coraz bardziej niepokojąco. Nie był tak głupi, by ponawiać oświadczenia, ale jasne było, że chciał, by ludzie sądzili, iż coś między nami jest. Z każdym postojem stawał się coraz śmielszy. Stał za blisko, całował moją dłoń, zakładał mi kosmyk włosów za ucho, kiedy porwał go wiatr.

W Taszcie Mikołaj machał do olbrzymiego tłumu wieśniaków i pątników, który zebrał się przy pomniku założyciela miasteczka. Kiedy pomagał mi wejść do powozu, objął mnie w talii.

- Proszę nie bij mnie - szepnął. Potem przycisnął mnie mocno do piersi i pocałował.

Tłum zaczął dziko wiwatować. Ich głosy przytłoczyły nas radosnym rykiem. Nim zdążyłam zareagować, Mikołaj wepchnął mnie do cienistego wnętrza powozu i również wślizgnął się do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi, ale wciąż słyszałam wiwaty mieszczan stojących na zewnątrz. Wśród okrzyków „Mikołaj!” i „Święta Alina!” dało się słyszeć nowe skandowanie: „Sol Korolewa” - krzyczeli. Królowa Słońca.

Przez okno powozu zobaczyłam Mała. Siedział na koniu, patrolował obrzeża tłumu, pilnował, by nikt nie wdarł się na drogę. Z jego burzowej miny wiedziałam, że wszystko widział.

Odwróciłam się do Mikołaja i kopnęłam go mocno w goleń. Zaskowyczał, ale mnie to nie usatysfakcjonowało. Znowu go kopnęłam.

- Lepiej ci? - zapytał.

- Spróbuj czegoś takiego jeszcze raz, to cię nie kopnę - rzuciłam wściekle. - Rozetnę cię na pół.

Strącił pyłek ze spodni.

- Nie jestem pewien, czy byłoby to rozważne. Obawiam się, że ludzie krzywo patrzą na królobójstwo.

- Nie jesteś jeszcze królem, Sobaczka - powiedziałam ostro. - Więc mnie nie kuś.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się złościysz. Tłum był zachwycony.

- Ja nie byłam zachwycona.

Uniósł brew.

- Zniesmaczona też nie byłaś.

Znowu go kopnęłam. Tym razem w mgnieniu oka złapał mnie za kostkę. Gdyby była zima, nosiłabym botki, lecz miałam na sobie letnie pantofle i dotknął nagiej nogi. Policzki rozgorzały mi czerwienią.

- Obiecuj, że więcej mnie nie kopniesz, a ja obiecuję, że cię więcej nie pocałuję - powiedział.

- Kopnęłam cię tylko dlatego, że mnie pocałowałeś!

Próbowałam wyrwać mu nogę, lecz trzymał mocno.

- Obiecuj - powiedział.

- Dobrze - wycedziłam. - Obiecuję.

- No to jesteście umówieni.

Puścił moją stopę, a ja wciągnęłam ją pod keftę, licząc na to, że nie zobaczy mojego idiotycznego rumieńca.

- Świetnie - powiedziałam. - A teraz won.

- To mój powóz.

- Umowa obejmuje wyłącznie kopanie. Nie zakazuje policzkowania, walenia pięścią, gryzienia ani przecinania na pół.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Boisz się, że Orecev będzie się zastanawiał, co porabiamy?

Właśnie o to się martwiłam.

- Obawiam się, że jeśli będę zmuszona spędzić z tobą chociaż minutę więcej, mogę zwymiotować sobie na keftę.

- To spektakl, Alino. Im silniejszy nasz sojusz, tym lepiej dla nas obojga. Ubolewam, jeśli to nastaje Malowi na odcisk, ale to konieczne.

- Ten pocałunek nie był konieczny.

- Improwizowałem. Poniosło mnie.

- Ty nigdy nie improwizujesz - powiedziałam gniewnie. - Wszystko, co robisz, jest obliczone na efekt. Zmieniasz osobowości jak inni ludzie kapelusze. I wiesz co? Ciary od tego przechodzą. Nigdy nie jesteś po prostu sobą?

- Jestem księciem, Alino. Nie mogę sobie pozwolić na to, by być sobą.

Wypuściłam oddech z irytacją. Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

- Czy... naprawdę ciary cię przeze mnie przechodzą?

Pierwszy raz sprawiał wrażenie nie w pełni pewnego siebie. Pomimo jego zachowania zrobiło mi się go trochę żal.

- Niekiedy - przyznałam.

Potał się ręką po karku. Wyglądał bardzo nieswojo. Potem westchnął i wzruszył ramionami.

- Jestem młodszym synem, najpewniej bastardem, i nie było mnie na dworze przez prawie siedem lat. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zwiększyć swoje szanse na objęcie tronu. Jeśli to oznacza umizgiwanie się do całego narodu albo robienie do ciebie maślanych oczu, ja to zrobię.

Wytrzeszczyłam oczy na niego. Po słowie „bastard” niewiele do mnie dotarło. Genia sugerowała, że krążą pogłoski o pochodzeniu Mikołaja, lecz byłam zdumiona, że on je potwierdza.

Zaśmiał się.

- Nigdy nie przetrwasz na dworze, jeśli nie nauczysz się nieco lepiej ukrywać swoich myśli. Wyglądasz, jakbyś właśnie siadła w misce zimnej owsianki. Zamknij usta.

Zamknęłam je energicznie i spróbowałam przybrać przyjemny wyraz twarzy. Mikołaj zaczął się śmiać jeszcze bardziej.

- Teraz za to wyglądasz, jakbyś wypila za dużo wina.

Poddałam się i osunęłam na oparcie.

- Jak możesz żartować w takiej sprawie?

- Od dziecka słyszałem szept. Nie chciałbym, aby wyszło to poza ten powóz... i wyprę się, jeśli będziesz to powtarzać... ale zupełnie mi obojętne, czy mam w żyłach krew Lancovów, czy nie. Biorąc pod uwagę królewską endogamię, bycie bękartem prawdopodobnie działa na moją korzyść.

Pokręciłam głową. Zupełnie zbijał mnie z tropu. W przypadku Mikołaja trudno było się zorientować, co traktować poważnie.

- Dlaczego korona jest dla ciebie taka ważna? - zapytałam. - Po co tyle starań?

- Tak ciężko uwierzyć, że może naprawdę mnie obchodzi, co się stanie z tym krajem?

- Szczerze? Tak.

Wbił wzrok w czubki swoich napastowanych butów. Nigdy nie rozgryzłam, jak nadawał im taki połysk.

- Chyba po prostu lubię naprawiać różne rzeczy. Zawsze lubiłem.

Kiepska to była odpowiedź, ale nie wiedzieć czemu brzmiała prawdziwie.

- Naprawdę sądzisz, że twój brat ustąpi?

- Mam nadzieję. Wie, że Pierwsza Armia pójdzie za mną, a moim zdaniem nie ma dość ikry, by posunąć się do wojny domowej. Poza tym Wasyl odziedziczył ojcowską awersję do ciężkiej pracy. Jak tylko zrozumie, czego trzeba, by przeprowadzić krajowi, podejrzewam, że będzie wiał ze stolicy, aż się za nim będzie kurzyło.

- A jeśli nie podda się tak łatwo?

- To kwestia znalezienia odpowiedniej motywacji. Czy księżę, czy żebrak - każdego da się kupić.

Kolejne mądrości z ust Mikołaja Lancova. Wyjrzałam przez okno powozu. Udało mi się dojrzeć Mała, jak siedzi wyprostowany w siodle i jedzie równo z nami.

- Nie każdego - mruknęłam.

Mikołaj powiódł wzrokiem za mną.

- Tak, Alino, nawet twój niezłomny obrońca ma swoją cenę. - Odwrócił się ku mnie. W piwnych oczach malowała się zaduma. - Podejrzewam, że właśnie na nią patrzę.

Poruszyłam się niespokojnie.

- Taki jesteś wszystkiego pewien - powiedziałam cierpko. -
Może dojdę do wniosku, że sama chcę zasiąść na tronie i uduszę
cię we śnie.

Mikołaj się uśmiechnął.

- Nareszcie myślisz jak polityk.

Mikołaj w końcu ustąpił i opuścił powóz, lecz przed postojem
na noc jechaliśmy jeszcze wiele godzin. Nie musiałam szukać
Mala. Kiedy drzwi powozu się otworzyły, czekał na mnie, podając
mi dłoń, by mnie sprowadzić. Na placu kłębił się tłum
pielgrzymów i innych podróżnych, którzy wyciągali szyje, by
lepiej się przyjrzeć Przyzywaczce Słońca, ale nie byłam pewna,
kiedy znowu będę mogła z nim pomówić.

- Jesteś zły? - szepnęłam, kiedy wiódł mnie po kocich łbach.
Widziałam, jak na przeciwległym krańcu placu Mikołaj rozmawia
z grupką miejscowych dygnitarzy.

- Na ciebie? Nie. Ale z Mikołajem się rozmówię, kiedy nie
będzie go otaczać zbrojna straż.

- Jeśli ci to poprawi humor, kopnęłam go.

Mał się zaśmiał.

- Naprawdę?

- Dwa razy. Lepiej ci?

- Lepiej.

- Przy kolacji nadepnę mu na nogę. - To nie wchodziło w zakres
zakazu kopania.

- Czyli żadnych trzepotów serca ani zawrotów głowy, nawet
w ramionach księcia krwi?

Droczył się ze mną, ale usłyszałam niepewność, jaka przebijała z jego słów.

- Wygląda na to, że jestem odporna. I na szczęście wiem, jaki powinien być prawdziwy pocałunek.

Zostawiłam go na środku placu. Podobało mi się, kiedy Mal się przeze mnie czerwienił.

W przeddzień wjazdu do Os Alty nocowaliśmy w daczce drobnego szlachcica, który mieszkał parę kilometrów od murów miasta. Przypominała mi nieco Keramzin - miała wielką żelazną bramę, długi, prosty podjazd do urokliwego, dwuskrzydłowego domu z jasnej cegły. Hrabia Minkoff słynął z uprawy miniaturowych drzewek owocowych i korytarze daczki były zdobne w zmyślne kompozycje, które wypełniały pomieszczenia słodką wonią brzoskwiń oraz śliwek.

Udostępniono mi elegancką sypialnię na piętrze. Tamar zajęła sąsiedni pokój, a Tolia i Mal mieli kwaterę po przeciwnej stronie korytarza. Na łóżku czekało na mnie wielkie pudło, w którym znalazłam keftę - tydzień wcześniej w końcu uległam i poprosiłam o nią. Mikołaj wysłał rozkazy do Małego Pałacu. Granatowy jedwab przeplatany złotą nicią zdradzał robotę Fabrykatorów. Spodziewałam się, że kefta będzie ciężka, ale kunszt Materialników sprawił, iż tkanina prawie nic nie ważyła. Kiedy ją założyłam, migotała i błyskała jak światło widziane przez wodę. Zatrzaski były w kształcie małych złotych słońc. Szata była piękna i odrobinę ostentacyjna. Mikołajowi się spodoba.

Pani domu przysłała pokojówkę, by mnie uczesała. Dziewczyna posadziła mnie przy toalecie, po czym zaczęła cmokać i wydziwiać nad moimi rozczochranymi włosami, zaplatając je w luźny węzeł. Była dużo delikatniejsza niż Genia, ale rezultaty

były znacznie mniej okazałe. Wypchnęłam tę myśl ze świadomości. Nie lubiłam myśleć o Genii, o tym, co mogło się jej przytrafić, kiedy opuściliśmy wielorybnik, ani o tym, jak samotnie będzie w Małym Pałacu bez niej.

Podziękowałam pokojówce i przed wyjściem wzięłam czarny, aksamitny woreczek, który znajdował się w pudle razem z keftą. Wsunęłam go do kieszeni, upewniłam się, że rękaw zasłania bransoletę, i zeszałam na dół.

Rozmowy przy kolacji dotyczyły najnowszych rozgrywek, przypuszczalnych miejsc pobytu Darklinga oraz wydarzeń w Os Alcie. Miasto zalali uchodźcy. Nowo przybyłych odprawiano od bram i krążyły plotki, że na obrzeżach miasta grożą zamieszki z powodu braku jedzenia. Wydawało się to niezmiernie odległe od tej błyszczącej daczy.

Hrabia i jego małżonka, pulchna dama z siwiejącymi kędziorami i niepokojąco głębokim dekoltem, zastawili stół zbytkownie. Jedliśmy chłodnik z inkrustowanych kamieniami szlachetnymi pucharków w kształcie dyni, pieczoną jagnięciną natartą galaretką porzeczkową, grzyby zapiekane w śmietanie oraz danie, w którym ledwie podziubałam, a które potem okazało się kukułką w brandy. Każdy talerz i kielich był wykończony srebrem i oznaczony herbem Minkoffów. Największe jednak wrażenie robiła dekoracja, długa na cały stół: żywy, miniaturowy las, pieczołowicie i szczegółowo oddany, łącznie z zagajnikami maleńkich sosen, kwitnącym milinem o kwiatuśkach nie większych od paznokcia i malutką chatką, w której kryła się solniczka.

Siedziałam między Mikołajem a pułkownikiem Rajevskim, przysłuchując się, jak szlachetnie urodzeni goście śmieją się, gawędzą i wznoszą toasty za powrót młodego księcia oraz zdrowie Przyzywaczki Słońca. Prosiłam Mała, by do nas dołączył, ale odmówił - zamiast tego patrolował majątek wraz z Tamar

i Tolią. Choć bardzo się starałam skupić się na rozmowie, wciąż zerkałam na taras, licząc na to, że go zobaczę.

Mikołaj najwyraźniej to dostrzegł, bo szepnął:

- Nie musisz uważać, ale musisz sprawiać wrażenie, jakbyś uważała.

Starałam się, jak mogłam, choć niewiele miałam do powiedzenia. Nawet wystrojona w migotliwą, keftę i usadowiona obok księcia, wciąż byłam wieśniaczką z bezimiennego miasteczka. Nie pasowałam do tych ludzi, nawet nie chciałam do nich pasować. Niemniej pomodliłam się w duchu z wdzięcznością, że Ana Kuya nauczyła swoje sieroty, jak siedzieć przy stole i którym widelcem jeść ślimaki.

Po kolacji zagnano nas do salonu, gdzie hrabia i hrabina odśpiewali duet przy wtórze swojej córki na harfie. Na stoliku rozłożono deser: mus miodowy, *compote* orzechowo-melonowy oraz stos ciastek pokrytych kłębami waty cukrowej, które bardziej niż do jedzenia nadawały się do oglądania. Więcej wina, więcej plotek. Poproszono mnie, bym przyzwała światła, więc obrzuciłam kasetonowy sufit ciepłym blaskiem, wywołując entuzjastyczny aplauz. Kiedy niektórzy z gości zasiedli do gry w karty, ja powiedziałam, że boli mnie głowa, i cicho się wymknęłam.

Mikołaj złapał mnie w drzwiach tarasu.

- Powinnaś zostać - powiedział. - To dobra zaprawa przed monotonią na dworze.

- Święci muszą się wyspać.

- Zamierzasz nocować pod krzakiem róży? - zapytał, zerkając na ogród.

- Byłam grzecznym tresowanym misiem, Mikołaju. Wykonałam wszystkie sztuczki, a teraz pora się pożegnać.

Mikołaj westchnął.

- Może po prostu żałuję, że nie mogę iść z tobą. Przez całą kolację hrabina ścisnęła mnie pod stołem w kolano i nie znoszę grać w karty.

- Miałaś cię za wytrawnego polityka.

- Mówiłem ci, że ciężko mi usiedzieć na miejscu.

- Będziesz więc musiał poprosić hrabinę do tańca - powiedziałam z sarkastycznym uśmiechem i wymknęłam się na nocne powietrze.

Schodząc po schodach tarasu, obejrzałam się przez ramię. Mikołaj wciąż stał w drzwiach. Miał na sobie kompletny mundur, a na piersi jasnobłękitną szarfę. Światło z salonu połyskiwało na medalach i na końcówkach jego złotych włosów. Tej nocy odgrywał rolę wyrafinowanego księcia. Ale kiedy tam stał, wyglądał po prostu jak samotny chłopak, który nie chce w pojedynkę wracać na przyjęcie.

Odwróciłam się i zeszłam po krętych schodach do położonego niżej ogrodu.

Szybko znalazłam Mała. Opierał się o pień wielkiego dębu, omiatając wzrokiem wypielęgnowane ziemie.

- Ktoś się czai w ciemnościach? - zapytałam.

- Tylko ja.

Wsparłam się na pniu obok niego.

- Trzeba było zjeść z nami kolację.

Mał parsknął.

- Nie, dziękuję. Z tego, co widziałem, byłaś strasznie smętna, a Mikołaj nie wydawał się dużo weselszy. Poza tym - rzucił okiem na moją keftę - cóż bym na siebie włożył?

- Nie podoba ci się?

- Jest śliczna. Idealny dodatek do twojego wiana. - Nie zdążyłam nawet przewrócić oczami, kiedy złapał mnie za rękę. - Nie chciałem tego powiedzieć - rzekł. - Wyglądasz pięknie. Chciałem ci to powiedzieć cały wieczór.

Zaczerwieniłam się.

- Dzięki. Używanie mocy codziennie pomaga.

- Byłaś piękna w Koftonie z *jurdką* w brwiach.

Nieśmiało pociągnęłam za kosmyk włosów.

- To miejsce przypomina mi Keramzin - powiedziałam.

- Trochę. Dużo tu wymyślniej. Po co właściwie są takie maciupkie owocki?

- Są dla ludzi z maciupkimi rękami. Poprawiają im nastrój.

Zaśmiał się, szczerze i w głos. Sięgnęłam do kieszeni i zaczęłam grzebać w aksamitnym woreczku.

- Mam coś dla ciebie - powiedziałam.

- Co takiego?

Wyciągnęłam zaciśniętą pięść.

- Zgadnij - powiedziałam. Bawiliśmy się tak w dzieciństwie.

- To jasne, że to sweter.

Pokręciłam głową.

- Kucyk z rodowodem?

- Nie.

Chwycił mnie za rękę, obrócił ją i delikatnie rozłożył moje palce.

Czekałam na jego reakcję. Uśmiechnął się leciutko półgębkiem i wziął złotą glorię z mojej dłoni. Od szorstkiego muśnięcia jego palców przeszedł mnie dreszcz.

- Dla kapitana twojej gwardii przybocznej? - zapytał.

Odchrząknęłam nerwowo.

- Nie... nie chciałam mundurów. Nie chciałam niczego, co by przypominało opryczników Darklinga.

Przez dłuższą chwilę staliśmy w milczeniu, a Mal przyglądał się glorii. Potem mi ją oddał. Serce mi się ścisnęło, lecz starałam się ukryć zawód.

- Założysz mi ją? - zapytał.

Wpuściłam oddech z ulgą. Chwyciłam zapinkę palcami i wsunęłam w jego koszulę po lewej stronie. Przez chwilę nie mogłam jej zapiąć, lecz po kilku próbach się udało. Kiedy skończyłam i chciałam zrobić krok w tył, chwycił mnie za rękę i przycisnął ją do złotego słońca - do swojego serca.

- To wszystko? - powiedział.

Staliśmy blisko siebie, sam na sam w ciepłym mroku ogrodu. Była to pierwsza od wielu tygodni chwila tylko dla nas.

- Wszystko? - powtórzyłam najcichszym szeptem.

- Wydaje mi się, że obiecano mi pelerynę i fikuśny kapelusz.

- Wynagrodzę ci to - powiedziałam.

- Flirtujesz?

- Targuję się.

- Dobrze - powiedział. - Pierwszą płatność odbiorę w tej chwili.

Mówił lekkim tonem, ale kiedy nasze usta się zetknęły, w pocałunku nie było nic żartobliwego. Smakował żarem i świeżo dojrzałymi gruszkami z ogrodu hrabiego. W twardej krzywiznie jego ust wyczułam głód, nieznaną nutę w jego pragnieniu, która rozpałała we mnie straceńcze iskry.

Stałam na palcach, objęłam go za szyję, poczułam, jak całe moje ciało wtapia się w niego. Miał siłę żołnierza. Poczułam, jak opasały mnie twarde obręcze jego ramion, poczułam nacisk jego palców, kiedy zmiął jedwab na moich plecach i przyciągnął mnie

do siebie. Trzymał mnie tak jakoś zajadle i wręcz desperacko, jak gdybym nigdy nie była dość blisko.

W głowie mi wirowało. Niewyraźne myśli krążyły powoli, lecz usłyszałam skądś kroki. Chwilę później Tamar pojawiła się na ścieżce.

- Mamy towarzystwo - oznajmiła.

Mal odsunął się ode mnie i jednym szybkim ruchem przygotował strzelbę.

- Kto?

- Grupka ludzi przy bramie żąda wstępu. Chcą zobaczyć Przyzywaczkę Słońca.

- Pielgrzymi? - zapytałam, starając się skłonić zmacony od pocałunków rozum do normalnej pracy.

Tamar pokręciła głową:

- Twierdzą, że są Griszami.

- Tu?

Mal położył mi dłoń na ramieniu.

- Alina, poczekaj w środku, przynajmniej dopóki się nie przekonamy, o co chodzi.

Zawahałam się. Częstka mnie zjeżyła się, że każe mi się zmykać i schować, ale nie chciałam też być głupia. Od bramy dobiegł krzyk.

- Nie - powiedziałam i wysunęłam się spod ręki Mala. -Jeśli to naprawdę Griszowie, mogą być wam potrzebna.

Ani Tamar, ani Mal nie wyglądali na zadowolonych, ale stanęli po moich bokach i pośpieszyliśmy zwirową ścieżką.

Przy żelaznej bramie daczy zebrał się tłum. Tolię łatwo było wypatrzyć, bo przerastał wszystkich o głowę. Mikołaj stał na przedzie w otoczeniu żołnierzy, którzy dobyli oręza, jak również

zbrojnej służby hrabiego. Po przeciwnej stronie prętów znajdowała się niewielka gromadka osób, ale nic więcej nie widziałam. Ktoś zatrząsł bramą agresywnie i usłyszałam jazgot podniesionych głosów.

- Zaprowadźcie mnie tam - powiedziałam. Tamar rzuciła Malowi zatroskane spojrzenie. Uniosłam podbródek. Skoro mają być moją gwardią, będą musieli słuchać moich rozkazów. - Natychmiast. Muszę zobaczyć, co się dzieje, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

Tamar dała znak Tolii i olbrzym podszedł do nas, bez trudu przedzierając się przez tłum do bramy. Ja zawsze byłam nieduża. Wciśnięta między Mala a bliźniaki, otoczona napierającymi zewsząd nerwowymi żołnierzami, nagle poczułam, że trudno mi oddychać. Zdusiłam panikę i popatrzyłam za ciała i plecy - widziałam, jak Mikołaj sprzecza się z kimś przy bramie.

- Gdybyśmy chcieli gadać z pachołkiem króla, to byłibyśmy u bram Wielkiego Pałacu - rzekł ktoś niecierpliwie. - Przyszliśmy do Przyzywaczki Słońca.

- Okaż szacunek, rzeźniku - warknął żołnierz, którego nie poznałam. - Zwracasz się do księcia Ravki i oficera Pierwszej Armii.

Nie układało się najlepiej. Zbliżyłam się nieco do krawędzi zgromadzenia, lecz zatrzymałam się, kiedy zobaczyłam Korporalnika, który stał za żelazną bramą.

- Fedior?

Długą twarz rozpromienił uśmiech i skłonił się głęboko.

- Alina Starkov - powiedział. - Miałem nadzieję, że pogłoski są prawdziwe.

Przyglądałam się Fediorowi nieufnie. Otaczała go grupka Griszów w zakurzonych keftach, głównie w czerwieni

Korporalników, kilkoro w błękiecie Eterealników oraz paru w purpurze Materialników.

- Znasz go? - zapytał Mikołaj.

- Tak - odparłam. - Ocalił mi życie. - Fedior stanął niegdyś między mną a chmarą fjerdańskich zabójców.

Ponownie się skłonił.

- Był to dla mnie wielki zaszczyt.

Na Mikołaju nie zrobiło to widocznego wrażenia.

- Można mu ufać?

- To dezerter - oznajmił żołnierz u boku Mikołaja. Po obu stronach bramy rozległ się pomruk.

Mikołaj wskazał Tolię.

- Odsuń wszystkich i przypilnuj, żeby tym lokajom nie wpadło do głowy zacząć strzelać. Podejrzewam, że tu wśród tych drzew owocowych brakuje im rozrywek. - Odwrócił się do bramy. - Fedior, zgadza się? Daj nam chwilę. - Odsunął mnie od tłumu i powtórzył cicho:

- To jak? Można mu ufać?

- Nie wiem. - Ostatni raz widziałam Fediora na przyjęciu w Wielkim Pałacu, zaledwie kilka godzin przez tym, jak poznałam plany Darklinga i uciekłam na wozie. Wyteżyłam umysł, próbując sobie przypomnieć, co mi wtedy mówił. - Wydaje mi się, że stacjonował przy południowej granicy. Był wysoko postawionym Sercodarcą, ale nie zaliczał się do faworytów Darklinga.

- Nevski ma rację - powiedział Mikołaj, kiwając głową w stronę rozłoszczonego żołnierza. - Griszowie czy nie, w pierwszym rządzie powinni byli zachować lojalność wobec króla. Opuścili swoje stanowiska. Gwoli ścisłości są dezerterami.

- Nie sprawia to, że są zdrajcami.

- Prawdziwe pytanie tkwi w tym, czy to szpieczy.

- To co z nimi zrobimy?

- Możemy ich aresztować, kazać ich przesłuchać.

Zmarszczyłam czoło, myśląc intensywnie.

- Mów do mnie - rzekł Mikołaj.

- Nie chcemy, żeby Griszowie wrócili? - spytałam. - Jeśli będziemy aresztować wszystkich, którzy wracają, nie będę miała komu przewodzić.

- Pamiętaj - powiedział - że będziesz z nimi jadać, pracować, sypiać pod tym samym dachem.

- A oni wszyscy mogą pracować dla Darklinga. - Obejrzałam się przez ramię na Fediora, który cierpliwie czekał przy bramie. - Jak myślisz?

- Moim zdaniem ci Griszowie są równie godni albo niegodni zaufania jak ci w Małym Pałacu.

- Niezbyt to zachęcające.

- Kiedy znajdziemy się za murami pałacu, wszelkie wiadomości będą pilnie nadzorowane. Trudno sobie wyobrazić, jak Darkling będzie wykorzystywał swoich szpiegów, jeśli nie będzie mógł się z nimi skontaktować.

Stłumiłam impuls, by dotknąć blizn tworzących się na moim barku. Nabrałam powietrza.

- Dobrze - oznajmiłam. - Otwórzcie bramy. Porozmawiam wyłącznie z Fediosem. Pozostali mogą dziś rozbić obóz na zewnątrz daczy, a jutro dołączyć do nas w drodze do Os Alty.

- Jesteś pewna?

- Wątpię, bym kiedyś jeszcze czegoś była pewna, ale w moim wojsku potrzebni są żołnierze.

- Znakomicie - Mikołaj skinął głową. - Tylko uważaj, komu ufasz.

Zmierzyłam go wzrokiem znacząco.

- Będę uważać.

12.

Fedior i ja rozmawialiśmy do późnej nocy, choć ani na moment nie zostawiono nas samych. Mal, Tolia albo Tamar cały czas czuwali.

Fedior służył w okolicy Sikurska na południowo-wschodnim pograniczu. Kiedy do posterunku dotarły wieści o zniszczeniu Novokribirska, żołnierze króla zwrócili się przeciwko Griszom. Powyciągali ich z łóżek w środku nocy i zorganizowali udawane procesy, by ustalić, komu są lojalni. Fedior pomógł zorganizować ucieczkę.

- Mogliśmy ich wszystkich pozabijać - powiedział. - Zamiast tego pozbieraliśmy swoich rannych i uciekliśmy.

Niektórzy Griszowie nie byli tak wyrozumiali. W Czernasti i Ulensku doszło do masakr, kiedy żołnierze próbowali zaatakować członków Drugiej Armii. Tymczasem Mal i ja żeglowaliśmy na zachód na pokładzie „Verrhadera”, bezpieczni od chaosu, do którego rozpętania się przyczyniliśmy.

- Kilka tygodni temu - ciągnął - zaczęły krążyć opowieści o tym, że wróciłaś do Ravki. Możesz się spodziewać, że większa liczba Griszów będzie cię szukać.

- Ilu?

- Niepodobna stwierdzić.

Podobnie jak Mikołaj, Fedior uważał, że niektórzy Griszowie zaczęli się ukrywać, oczekując, aż na powrót zapanuje ład. Podejrzał jednak, że większość dołączyła do Darklinga.

- On jest siłą - rzekł Fedior. - On jest bezpieczeństwem. To rozumieją.

„A może po prostu sądzą, że opowiedzieli się po stronie zwycięzcy” - pomyślałam ponuro. Wiedziałam jednak, że chodzi o coś więcej. Sama czułam zew mocy Darklinga. Czy to nie dlatego pielgrzymi gromadzą się przy fałszywej Świętej? Nie dlatego Pierwsza Armia wciąż maszeruje w imię niekompetentnego monarchy? Niekiedy zwyczajnie łatwiej jest za czymś podążać.

Kiedy Fedior skończył swoją opowieść, poprosiłam, by przyniesiono mu posiłek, i poinstruowałam, by o świcie był gotów do drogi do Os Alty.

- Nie wiem, jak nas tam przyjmą - uprzedziłam.

- Będziemy gotowi, soverena maja - powiedział z ukłonem. Zaskoczył mnie ten zwrot. W mojej głowie ten tytuł wciąż należał do Darklinga.

- Fedior... - zaczęłam, odprowadzając go do drzwi. Zawahałam się jednak. Sama nie mogłam uwierzyć, co chcę powiedzieć, ale widocznie Mikołaj powoli mnie przekonywał - czy to dobrze, czy źle. - Zdaję sobie sprawę, że podróżowałaś, ale doprowadź się trochę do ładu na jutro. Ważne, żebyśmy zrobili dobre wrażenie.

Ani mrugnął - tylko ponownie się skłonił i odpowiedział:

- Da, soverena - po czym rozpląnął się w nocy.

„Wspaniale. Jeden rozkaz już za mną, zostało parę tysięcy”.

Następnego ranka ubrałam się w swoją wyrafinowaną keftę i zstąpiłam po schodach daczy w otoczeniu Mała oraz bliźniąt. Złote glorie błyszcząły im na piersiach, ale ubrani byli wciąż w wiejski samodiał. Mikołajowi się to mogło nie podobać, ale ja chciałam wymazać podziały między Griszami a resztą ludu Ravki.

Choć uprzedzano nas, że w Os Alcie roi się od uchodźców i pielgrzymów, tym razem Mikołaj nie nalegał, bym jechała powozem. Chciał, żeby widziano, jak wjeżdżam do miasta. To jednak nie znaczyło, że miało się obejść bez przedstawienia. Moja straż i ja siedzieliśmy na pięknych białych koniach, a z obu stron otaczali nas członkowie jego pułku. Każdy z nich niósł ravncańskiego podwójnego orła oraz flagi z wyobrażeniem złotego słońca.

- Jak zwykle z finezją - westchnęłam.

- Subtelność jest przeceniona - odparł, dosiadając pstrego siwka.

- Odwiedzimy zatem mój uroczy dom rodzinny?

Poranek był ciepły. Zmierzaliśmy powoli wzdłuż Vii do stolicy, a sztandary naszego pochodu wisiały bezwładnie w nieruchomym powietrzu. Na ogół królewska rodzina spędzałaby kanikulę w letnim pałacu na pojezierzu. Lecz Os Alty łatwiej było bronić, postanowili więc schronić się za jej sławetnymi podwójnymi murami.

W drodze zbłądziłam myślami. Nie wyspałam się w nocy i pomimo zdenerwowania ciepło poranka, miarowy chód konia oraz cichy szum owadów kołysały mnie do snu. Kiedy jednak pokonaliśmy wzgórze na obrzeżach miasta, szybko się rozbudziłam.

W oddali ujrzałam Os Altę - Miasto Snów. Nierówne iglice odznaczały się bielą na tle bezchmurnego nieba. Jednak między nami a stolicą, w nienagannym wojskowym szyku, rozciągały się niezliczone rzędy ludzi. Setki żołnierzy Pierwszej Armii, może

nawet tysiąc - piechota, konnica, oficerowie i piechurzy. Światło słońca migotało na rękojeściach mieczy, a na ich plecach piętrzyły się strzelby.

Jakiś człowiek wyjechał przed nich. Był ubrany w oficerski płaszcz obwieszony medalami i siedział na jednym z największych koni, jakie widziałam. Na takim wierzchowcu mogłoby jeździć dwóch Toliów.

Mikołaj przyglądał się, jak jeździec galopuje tam i z powrotem wzdłuż szeregów, po czym westchnął:

- Ach, wygląda na to, że mój brat wyjechał nam na powitanie.

Powoli zjeżdżaliśmy po stoku, aż zatrzymaliśmy się przed zgromadzonymi masami. Mimo białych koni i lśniących sztandarów nasz korowód marnotrawnych Griszów oraz obdartych pielgrzymów nie wydawał się już tak olśniewający. Mikołaj popędził konia, a jego brat podjechał cwałem na powitanie.

Widywałam Vasylego Lancova w Os Alcie parę razy. Był całkiem przystojny, choć miał pecha odziedziczyć po ojcu wąty podbródek, a powieki opadały mu tak bardzo, że zawsze wydawał się wielce znudzony albo lekko pijany. Teraz jednak wyglądał, jak gdyby przebudził się z wieczystego marazmu. Siedział w siodle prosto, emanując arogancją i szlachectwem. Obok niego Mikołaj wydawał się niezmiernie młody.

Poczułam ukłucie strachu. Mikołaj zawsze zdawał się panować nad wszystkim. Łatwo było zapomnieć, że był ledwie o parę lat starszy od Mała i ode mnie - młodziutki kapitan, który liczył na to, że zostanie młodziutkim królem.

Odkąd Mikołaj opuścił dwór, minęło siedem lat, i nie przypuszczałam, by w tym czasie widział się z Vasylem. Nie było jednak łez ani powitalnych okrzyków. Dwaj książęta zsiadli po

prostu z koni i krótko się objęli. Vasyl zmierzył wzrokiem nasz orszak, znacząco przyglądając się mnie.

- Więc to jest dziewczyna, którą podajesz za Przyzywaczkę Słońca?

Mikołaj uniósł brwi. Brat nie mógł mu się lepiej wystawić.

- Całkiem łatwo tego dowieść. - Skinął na mnie głową.

„Subtelność jest przeceniona”. Uniosłam ręce i przywołałam gorejącą falę światła, która zwała się na zgromadzonych żołnierzy kaskadą żaru. Podnieśli ręce do góry, a wielu z nich zrobiło parę kroków wstecz. Konie płoszyły się i rżały. Wygasiałam światło. Vasyl pociągnął nosem.

- Nie próżnowałeś, braciszku.

- Żebyś wiedział, Vaseczko - odparł Mikołaj miłym tonem. Vasyl ściągnął usta, słysząc z ust Mikołaja zdrobnienie. Wyglądał niemal pruderyjnie. - Aż dziw, że zastałem cię w Os Alcie - ciągnął Mikołaj. - Sądziłem, że będziesz w Karievie na wyścigach.

- Byłem - odparł Vasyl. - Mój czarny deresz świetnie się spisał. Lecz kiedy usłyszałem, że wracasz do domu, chciałem być na miejscu, by cię powitać.

- Uprzejmie z twojej strony, że zadałeś sobie tyle trudu.

- Powrót księcia krwi to poważna sprawa - rzekł Vasyl. - Nawet jeśli to młodszy syn.

Sens jego słów był jasny. Narastał we mnie lęk. Być może Mikołaj nie docenił tego, jak bardzo Vasyl pragnie pozostać w linii sukcesji. Nie chciałam sobie wyobrazić, co mogą dla nas oznaczać inne jego błędy i pomyłki.

Lecz Mikołaj tylko się uśmiechnął. Przypomniała mi się jego rada: „Na zniewagi odpowiadaj śmiechem”.

- My, młodszy synowie, uczymy się doceniać to, co uda nam się zdobyć - rzekł. Potem zawołał do żołnierza, który stał na baczność w szeregu. - Sierżant Peczkin - pamiętam was z kampanii halmhendzkiej. Noga musiała się dobrze wygoić, skoro możecie tu tak stać jak słup.

Na twarzy sierżanta odmalowało się zaskoczenie.

- Da, carewiczu mój - odparł z szacunkiem.

- Wystarczy „majorze”, sierżancie. W tym mundurze jestem wojskowym, a nie księciem. - Vasylemu znów zadrgały usta. Jak wielu synów arystokracji dostał patent oficerski i odbył służbę w wygodnych namiotach dowództwa z dala od linii frontu. Mikołaj jednak służył w piechocie. Zapracował na swój stopień i na swoje medale.

- Tak jest - odparł sierżant. - Dokucza mi tylko, kiedy pada.

- W takim razie przypuszczam, że Fjerdańczycy dzień i noc modlą się o burzę. Jeśli pamięć mi dopisuje, to ukróciłeś cierpienia sporej grupce.

- Jeśli dobrze pamiętam, major zrobił to samo - powiedział żołnierz z uśmiechem.

Byłabym się zaśmiała. Dzięki jednej wymianie zdań Mikołaj wyrwał bratu kontrolę nad sytuacją. Kiedy dzisiejszej nocy wojacy będą się zbierać w tawernach Os Alty albo grać w karty w barakach, o tym będą rozprawiać: o księciu, który pamiętał, jak nazywa się zwykły żołnierz; o księciu, który nie bacząc na majątek czy pochodzenie, walczył z nimi ramię w ramię.

- Bracie - powiedział Mikołaj do Wasyla - udajmy się do pałacu, by przywitania mieć z głowy. Mam skrzynkę kerczańskiej whiskey, którą trzeba wypić, i chciałbym zasięgnąć twojej rady w sprawie żrebaka, którego wypatrzyłem w Ketterdamie. Powiadają, że spłodził go Dagrenner, ale ja mam pewne wątpliwości.

Vasyl starał się ukryć zainteresowanie, ale jak gdyby nie mógł się oprzeć.

- Dagrenner? Mają papiery?

- Chodź zobaczyć.

Choć jego twarz wciąż wyrażała nieufność, Vasyl powiedział parę słów do dowódców i wprawnie wskoczył na siodło. Bracia zajęli miejsca na przedzie kawalkady i znowu ruszyliśmy.

- Zgrabna robota - mruknął do mnie Mał, kiedy przejeżdżaliśmy przez szeregi żołnierzy. - Mikołaj głupi nie jest.

- Mam nadzieję - powiedziałam - ze względu na nas oboje.

Kiedy zbliżaliśmy się do stolicy, zobaczyłam, o czym mówili goście hrabiego Minkoffa. Wokół murów wyrosło miasto namiotów, a u bram stała długa kolejka ludzi. Wielu z nich sprzeczało się ze strażnikami, niewątpliwie domagając się prawa wstępu. Na blankach stali na straży zbrojni żołnierze - dobry środek ostrożności w kraju ogarniętym wojną, a zarazem zabójcza wskazówka skierowana do ludzi na dole, by zachować ład i porządek.

Oczywiście, dla książąt Ravki bramy stanęły otworem i korowód ciągnął przez tłum bez przeszkód.

Wiele namiotów i wozów nosiło prymitywnie odmalowany znak słońca, a kiedy przejeżdżaliśmy przez prowizoryczne obozowisko, słyszałam znajome już okrzyki „Święta Alina”.

Czułam się głupio, ale zmusiłam się, by unieść rękę i pomachać, zdecydowana, że się przynajmniej postaram. Pątnicy zaczęli wiwatować i odmachiwać, wielu zaczęło biec, by dotrzymać nam kroku. Jednak część uchodźców stała w milczeniu wzdłuż drogi z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i ze sceptycznymi, a nawet wrogimi minami.

„Co oni widzą?” - zastanawiałam się. „Kolejną uprzywilejowaną Griszę, co zmierza do swojego bezpiecznego, luksusowego pałacu na wzgórzu, podczas gdy oni sami gotują na ogniskach i śpią w cieniu miasta, które odmawia im schronienia? Czy coś gorszego? Kłamczuchę? Oszustkę? Dziewczynę, która śmie pozować na żywą Świętą?”

Poczułam wdzięczność, kiedy znaleźliśmy się pod ochroną murów miasta.

W środku korowód zwolnił tempa. Dolne miasto pękało w szwach. Chodniki zatłoczone były tak bardzo, że ludzie wchodzili na ulice i tamowali ruch. Witryny sklepów były obwieszane tabliczkami z informacją, jakie towary są dostępne, a do każdych drzwi ustawiała się długa kolejka. Odór moczu i śmieci przytłaczał wszystko. Miałam ochotę schować nos w rękaw, ale musiało mi wystarczyć oddychanie przez usta.

Thumy skandowały i gapiły się, ale były znacznie spokojniejsze niż te poza murami.

- Nie ma pielgrzymów - zauważyłam.

- Nie wolno im przekroczyć murów miasta - powiedziała Tamar. - Król kazał ogłosić Apparata apostatą, a jego zwolennikom zakazał wstępu do Os Alty.

Apparat spiskował z Darklingiem przeciwko władzy monarszej. Nawet jeśli od tamtej pory zerwali łączące ich więzy, król nie miał powodu ufać kapłanowi ani jego sekcje. „Ani tobie - swoją drogą. Ty po prostu jesteś kretynką, która wmaszeruje do Wielkiego Pałacu, licząc na łaskawość”.

Przebyliśmy szeroki kanał i zostawiliśmy za sobą hałas oraz zgiełk dolnego miasta. Zwróciłam uwagę, że rogatka na moście jest mocno ufortyfikowana, lecz kiedy dotarliśmy na drugi brzeg, odniosłam wrażenie, że w górnym mieście nic się nie zmieniło. Rozległe bulwary były nieskazitelne i senne, okazałe domy

starannie zadbane. Minęliśmy park, gdzie modnie wystrojeni mężczyźni oraz kobiety przechadzali się po wystrzyżonych ścieżkach albo zażywali powietrza w odkrytych powozach. Dzieci stawiały babki pod okiem nianiek, a chłopiec w słomkowym kapeluszu jechał na kucyku ze wstążkami wplecionymi w grzywę, wiedzionym przez służącego w liberii.

Kiedy przejeżdżaliśmy, wszyscy się obrócili, by się nam przyjrzeć, unosząc kapelusze, szepcząc pod osłoną dłoni, kłaniając się i dygając na widok Wasyla albo Mikołaja. Czy naprawdę byli tacy spokojni i beztroscy, na jakich wyglądali? Ciężko było sobie wyobrazić, by nie wiedzieli o zagrożeniu, przed jakim stoi Ravka, ani o fermencie po drugiej stronie mostu, lecz jeszcze trudniej było mi uwierzyć, że ufają, iż król ich obroni.

Szybciej, niż bym sobie życzyła, dotarliśmy do złotych wrót Wielkiego Pałacu. Brzęk, z jakim się zamknęły, wywołał we mnie ukłucie paniki. Kiedy ostatnio przejeżdżałam przez tę bramę, leżałam wciśnięta między scenografię na konnym wózku i uciekałam przez Darklingiem jako samotny zbieg.

„A jeśli to pułapka?” - pomyślałam nagle. A jeśli nie będzie ułaskawienia? A jeśli Mikołaj nigdy nie zamierzał powierzyć mi przywództwa nad Drugą Armią? A jeśli zakują Mała oraz mnie w kajdany i wrzucą do jakiejś zawilgłej celi?

„Przestań” - zbeształam samą siebie. „Nie jesteś już przerażoną dziewczyneczką, trzęsącą się w wojskowych butach. Jesteś Griszą, Przyzywaczką Słońca. Potrzebują cię. I mogłabyś zburzyć na nich cały ten pałac, gdybyś chciała”. Wyprostowałam plecy i próbowałam uspokoić galopujące serce.

Kiedy dojechaliśmy do fontanny z podwójnym orłem, Tolia pomógł mi zsiąść z konia. Przez zmrużone oczy przyglądałam się Wielkiemu Pałacowi, z jego jaśniejącymi białymi tarasami

zapchanymi niezliczonymi ornamentami oraz rzeźbami. Był tak brzydki i onieśmielający, jak w moich wspomnieniach.

Vasyl podał lejce wierzchowca oczekującemu służącemu i nie oglądając się za siebie, wszedł po marmurowych stopniach. Mikołaj się wyprostował.

- Siedźcie cicho i starajcie się wyglądać na skruszonych - mruknął do nas. Potem wbiegł po schodach za bratem.

Mal był blady. Wytarłam spocone dłonie w keftę i weszliśmy za książętami po schodach, resztę orszaku zostawiając za sobą.

Korytarze pałacu były ciche. Przechodziliśmy z jednego błyszczącego pomieszczenia do drugiego. Nasze kroki odbijały się echem od wypolerowanych parkietów, a z każdą chwilą mój niepokój rósł. Zobaczyłam, jak przed drzwiami do sali tronowej Mikołaj robi głęboki wdech. Mundur miał nienaganny, a atrakcyjna twarz nasuwała na myśl księcia z bajki. Nagle zatęskniłam za krzywym nosem i mętnymi oczami Sturmhonda.

Drzwi otwarto z impetem i lokaj ogłosił:

- Carewicz Vasyl Lancov i Wielki Książę Mikołaj Lancov.

Mikołaj uprzedzał, że nas nie zaanonsują, lecz że mamy pójść za nim oraz Vasylem. Usłuchaliśmy i poszliśmy za książętami niepewnie, zachowując dyktowany szacunkiem dystans.

Przez całą długość sali rozciągał się długi, niebieski dywan. Na jego końcu gromadka elegancko ubranych dworzan oraz doradców krążyła wokół podium. Ponad nimi na parze tronów siedzieli król i królowa Ravki.

„Nie ma kapłanów” - zwróciłam uwagę, kiedy podeszliśmy bliżej. Apparat zawsze czaił się gdzieś za królem, lecz teraz jego nieobecność rzucała się w oczy. Wyglądało na to, że nie zastąpił go żaden inny duchowy doradca.

Król był dużo węższy i słabszy niż wtedy, gdy widziałam go ostatnio. Wąska klatka piersiowa wyglądała, jak gdyby się zapadła, a oklapły wąż przyprószyła siwizna. Jednak największa zmiana dotknęła królowej. Bez upiększających zabiegów Genii postarzała się o dwadzieścia lat w zaledwie kilka miesięcy. Jej skóra straciła kremową jędrność. Wokół nosa i ust tworzyły się głębokie bruzdy, a jej nazbyt jaskrawe tęczęwki wyblakły i przybrały bardziej naturalny, lecz mniej uderzający kolor błękitu. Wszelką litość, jaką mogłabym ją obdarzyć, przyćmiło wspomnienie tego, jak odnosiła się do Genii. Może gdyby nie okazywała swojej służce tyle wżgardy, Genia nie czułaby się zmuszona stanąć po stronie Darklinga. Tyle spraw mogło być potoczyc się inaczej.

Kiedy doszliśmy do podium, Mikołaj skłonił się głęboko.

- Carze mój - powiedział. - Caryco ma.

Przez długą, przesyconą niepokojem chwilę król i królowa patrzyli na swojego syna. Wtem jakaś krucha nić w królowej pękła. Zerwała się z tronu i zbiegła po schodkach w ferworze jedwabi i pereł.

- Mikołaj! - zakrzyknęła, przyciskając syna do piersi.

- Madraja - odparł z uśmiechem, odwzajemniając uścisk.

Wśród obserwujących wszystko dworzan rozległ się pomruk i lekkie owacje. Łzy polały się z oczu królowej. Pierwszy raz widziałam u niej autentyczną emocję.

Król wstał powoli z pomocą lokaja, który przybiegł do jego boku i sprowadził go po schodach podium. Naprawdę nie dopisywało mu zdrowie. Zaczynałam przypuszczać, że kwestia następstwa tronu będzie musiała się rozstrzygnąć prędzej, niż sadziłam.

- Chodź, Mikołaju - powiedział król, wyciągając do syna ramiona. - Chodź.

Mikołaj podał ojcu łokieć, podczas gdy matka nadal kurczowo trzymała go za drugie ramię. Potem, zupełnie nie zwróciwszy na nas uwagi, wyszli z sali tronowej. Vasyl poszedł za nimi. Twarz miał beznamiętną, lecz nie przeoczyłam wymownie ściśniętych ust.

Mal i ja staliśmy, nie wiedząc, co począć. Bardzo miło, że królewska rodzina udała się prywatne spotkanie, ale co z nami? Nie odprawiono nas, ale też nie kazano zostać. Doradcy króla przyglądali nam się z jawną ciekawością, zaś dworzanie chichotali i szeptali. Z trudem powstrzymywałam się od wiercenia, a głowę trzymałam - jak miałam nadzieję - wyniośle zadartą.

Wreszcie, po upływie niespełna godziny, królewska rodzina powróciła. Król promieniał. Królowa pobladła. Vasyl był widocznie wściekły. Najwyraźniejsza jednak zmiana nastąpiła w Mikołaju. Wydawał się bardziej rozluźniony i odzyskał zamaszty chód, który rozpoznałam z czasów spędzonych na pokładzie „Volkvołnego”.

„Oni wiedzą” - uświadomiłam sobie. „Powiedział im, że Sturmhond to on”.

Król i królowa zasiedli z powrotem na tronach. Vasyl stanął za królem, podczas gdy Mikołaj zajął miejsce za królową. Wyciągnęła dłoń do góry, aby chwycić go za rękę, a on położył ją na jej ramieniu. „Tak wygląda matka z dzieckiem”. Byłam zbyt dorosła, by tęsknić do rodziców, których nie znałam, ale ten gest mnie wzruszył.

Po moich sentymentalnych myślach ślad nie został, kiedy król się odezwał:

- Jesteś bardzo młoda jak na przywódcę Drugiej Armii.

Nawet się do mnie jakoś nie zwrócił. Skinęłam głową, przyznając mu rację.

- Tak, carze mój.

- Korci mnie, by natychmiast skazać cię na śmierć, lecz mój syn twierdzi, że to tylko zrobi z ciebie męczennicę.

Znieruchomiałam. „Apparat byłby zachwycony” - pomyślałam, czując przyływ strachu. „Nowa radosna ilustracja do czerwonej książeczki - Święta Alina na Szubienicy”.

- Uważa, że jesteś godna zaufania - królowi zadrżał głos. - Ja nie jestem tego taki pewien. Twoja ucieczka przed Darklingiem wydaje się wielce nieprawdopodobna, lecz nie mogę zaprzeczyć, że Ravka potrzebuje twoich usług.

W jego ustach brzmiało to, jakbym była dozorcą albo urzędnikiem w powiecie. „Skrucha” - powtórzyłam sobie i ugryzłam się w język, by nie odpowiedzieć sarkastycznie.

- Byłoby dla mnie najwyższym zaszczytem służyć królowi Ravki - powiedziałam.

Albo król był łasy na pochlebstwa, albo Mikołaj znakomicie się za mną wstawił, bo monarcha mruknął i rzekł:

- Dobrze. Będiesz służyć jako dowódca Griszów, przynajmniej tymczasowo.

Czy to może być takie łatwe?

- Ja... dziękuję, carze mój - wyjąkałam, wdzięczna i osłupiała.

- Wiedz jednak - pogroził mi palcem - że jeśli znajdą jakikolwiek dowód na to, że podburzasz przeciwko mnie albo że miałaś jakąkolwiek łączność z apostatą, każę cię powiesić bez obrony ani procesu. - Podniósł głos zrzędliwie: - Ludzie mówią, że jesteś Świętą, ale ja uważam, że jesteś zwykłą obdartą uciekinierką. Zrozumiano?

„Zwykła obdarta uciekinierka i twoja największa szansa na utrzymanie tego świecącego tronu” - pomyślałam z zaskakującym gniewem, lecz przełknęłam dumę i ukloniłam się najniżej, jak

umiałam. Czy tak się czuł Darkling? Zmuszony kłaniać się w pół i płaszczyć przed rozwiązłym głupcem?

Król zbył nas kiwnięciem dłoni o błękitnych żyłkach. Odprawiał nas. Zerknęłam na Mala. Mikołaj odkasznął.

- Ojczy, jest jeszcze sprawa tropiciela.

- Hm...? - król podniósł wzrok, jak gdyby właśnie przysypiał. - Kogo...? Ach, tak. - Wbił kaprawe oczy w Mala i powiedział znużonym tonem: - Opuściłeś swoje stanowisko i wprost sprzeciwiłeś się rozkazom dowódcy. Za taką przewinę karą jest powieszenie.

Nabrałam powietrza gwałtownie. Przy moim boku Mal zupełnie znieruchomiał. Do głowy przyszła mi brzydka myśl: jeśli Mikołaj pragnie się pozbyć Mala, w ten sposób bardzo łatwo mu się uda.

Po zgromadzeniu wokół podium rozszedł się szmer ekscytacji. W co ja nas wpakowałam? Otworzyłam usta, lecz zanim zdążyłam się odezwać, Mikołaj zabrał głos:

- Carze mój - powiedział pokornie - wybacz mi, lecz tropiciel rzeczywiście udzielił Przyzywaczce Słońca pomocy w ucieczce przed niechybnym pojmaniem przez wroga Korony.

- O ile faktycznie groziło jej jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

- Na własne oczy widziałem, jak tropiciel staje przeciwko Darklingowi. Jest zaufanym przyjacielem i wierzę, że działał w interesie Ravki. - Król wysunął dolną wargę, lecz Mikołaj nie ustępował: - Czułbym się pewniej, wiedząc, że jest w Małym Pałacu.

Król zmarszczył czoło. „Pewnie myśli już o obiedzie i drzemce”.

- Co masz do powiedzenia na swoją obronę, chłopcze? - zapytał.

- Tylko tyle, że robiłem, co uważałem za słuszne - odparł Mal miarowo.

- Mój syn zdaje się sądzić, że miałeś dobre powody.

- Przypuszczam, że każdy sądzi, iż ma dobre powody - rzekł Mal. - Lecz to wciąż była dezercja.

Mikołaj wznosił oczy ku niebu, a ja miałam ochotę potrząsnąć Małem porządnie. Czy raz w życiu nie mógłby być nieco mniej nieprzejeđnany i prostolinijny?

Król zmarszczył czoło mocniej. Czekaliśmy.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Czymże jest jeszcze jedna źmija w gnieździe? Zostaniesz dyscyplinarnie zwolniony ze służby.

- Dyscyplinarnie? - palnęłam.

Mal się tylko skłonił i powiedział:

- Dziękuję, carze mój.

Król machnął dłonią leniwie.

- Idźcie - powiedział gderliwie.

Kusiło mnie, żeby zostać i się pokłócić, ale Mikołaj patrzył na mnie spode łba ostrzegawczo, a Mal już skierował się do wyjścia. Musiałam się pośpieszyć, żeby go dogonić na błękitnym dywanie.

Jak tylko wyszliśmy z sali tronowej i zamknęły się za nami drzwi, powiedziałam:

- Porozmawiamy z Mikołajem. Przekonamy go, żeby złożył petycję u króla.

Mal nawet nie zwolnił.

- Nie ma sensu. Wiedziałem, że tak będzie.

Tak powiedział, ale po jego opuszczonych ramionach zorientowałam się, że w głębi serca żywił jeszcze nadzieję. Chciałam go złapać za ramię, zatrzymać go, powiedzieć mu, że mi przykro, że jakoś wszystko naprawimy. Zamiast tego szłam obok

niego z pośpiechem, z trudem dotrzymując mu kroku, dojmująco świadoma tego, że lokaje obserwują nas z każdych drzwi.

Ponownie przeszliśmy lśnącymi korytarzami pałacu i po marmurowych stopniach. Fedior i jego Griszowie czekali przy koniach. Odczyścili się, jak umieli, lecz ich jaskrawe kefty wciąż były w kiepskim stanie. Tamar i Tolia stali na uboczu. Złote glorie, które im dałam, błyszczały na ich samodziałowych tunikach. Zrobiłam głęboki wdech. Mikołaj zrobił, co mógł. Teraz moja kolej.

13.

Kręta, biała żwirowa ścieżka powiodła nas przez pałacowe dobra, wzdłuż falujących trawników, altanek oraz wysokich ścian labiryntu ogrodowego. Tolia - zazwyczaj taki opanowany i milczący - wiercił się w siodle, zaciskając usta posępnie.

- Coś się stało? - spytałam. Sądziłam, że nie odpowie, lecz w końcu rzekł:

- Pachnie tu słabością. Ludźmi, którzy miękną.

Zmierzyłam gigantycznego wojownika wzrokiem.

- W porównaniu z tobą każdy jest miękki, Tolia.

Na ogół można było liczyć na to, że Tamar wyśmiejże nastroje brata, lecz zaskoczyła mnie słowami:

- On ma rację. To miejsce sprawia wrażenie, jakby konało.

Nie pomagali mi na nerwy. Nadal byłam roztrzęsiona po audiencji w sali tronowej i wciąż nie opuściło mnie zdziwienie, jakie wzbudził we mnie własny gniew na króla, choć Święci raczą wiedzieć, że król sobie na gniew zapracował. Był wstrętnym, starym zbereźnikiem, który lubił czaić się na służące, by nie

wspominać już o tym, że był parszywym przywódcą, a w przeciągu paru minut i mnie, i Malowi groził egzekucją. Na samą myśl o tym czułam gorzką niechęć.

Kiedy weszliśmy do leśnego tunelu, serce zabiło mi szybciej. Drzewa na nas napierały, a gałęzie nad nami splatały się w zielony baldachim. Kiedy ostatnio je widziałam, były nagie.

Wyszliśmy na jasne słońce. Pod nami leżał Mały Pałac. „Tęskniłam za nim” - uświadomiłam sobie. Brakowało mi lśnienia jego złotych kopuł, tych dziwnych ścian rzeźbionych w bestie wszelkiego rodzaju, prawdziwe i zmyślane. Brakowało mi błękitnego jeziora, które jaśniało jak odłamek nieba, maleńkiej wyspy nie całkiem na środku, białych plamek pawilonów Przyzywaczy na brzegu. Było to wyjątkowe miejsce. Z zaskoczeniem odkryłam, jak bardzo przypomina mi dom.

Nie wszystko jednak pozostało bez zmian. Na pobliskich gruntach stacjonowali żołnierze Pierwszej Armii, obwieszeni strzelbami. Wątpiłam, aby wiele wskórali przeciwko sile zdeterminowanych Sercodarców, Szkwalników i Inferników, ale przekaz był jednoznaczny: Griszom się nie ufa.

Przed schodami czekała grupka szaro odzianych służących, by przejąć nasze konie.

- Gotowa? - szepnął Mal, pomagając mi zsiąść.

- Chciałabym, żeby ludzie przestali mnie o to pytać. Nie wyglądam, jakbym była gotowa?

- Wyglądasz jak wtedy, kiedy przemyciłam ci kijankę do zupy i niechcący ją połknęłaś.

Stłumiłam śmiech i poczułam, jak troski nieco zelżały.

- Dzięki, że mi przypomniałeś. Chyba nigdy ci za to nie odpłaciłam.

Zatrzymałam się, by wygładzić fałdy kefty. Nie śpieszyłam się, bo liczyłam na to, że nogi przestaną mi się trząść. Potem wspierałam się po schodach, a za mną inni. Służba z rozmachem otworzyła drzwi i weszliśmy do środka. Minęliśmy chłodny mrok przedsionka i wkroczyliśmy do sali pod złotą kopułą.

Było to olbrzymie, sześciokątne pomieszczenie wielkości soboru. Rzeźbione ściany były inkrustowane masą perłową i zwieńczone potężną złotą kopułą, która zdawała się unosić nad nami na niesamowitej wysokości. Na środku pomieszczenia ustawiono w kwadrat cztery stoły. Tam czekali wszyscy Griszowie. Mimo że było ich mniej, wciąż podtrzymywali tradycję Zakonów i siedzieli albo stali w ściśniętych grupkach czerwieni, purpury i błękitu.

- Lubią te swoje śliczne kolorki - mruknął Tolia.

- Nie podsuwaj mi pomysłów - szepnęłam. - Być może uznam, że moja gwardia przyboczna powinna nosić jaskrawożółte surduty.

Pierwszy raz widziałam, jak po jego twarzy przemyka coś na kształt strachu.

Podeszliśmy do przodu i większość Griszów powstała. Byli młodzi, a ja z ukłuciem niepokoju pojęłam, że większość starszych i bardziej doświadczonych Griszów zdecydowała się opowiedzieć po stronie Darklinga. A może po prostu mieli dość rozumu, by uciekać.

Spodziewałam się, że pozostanie niewielu Korporalników. Byli to Griszowie najwyżsi rangą, najbardziej cenieni wojownicy i najbliżsi współpracownicy Darklinga.

Pozostało kilka znajomych twarzy. Siergiej jako jeden z nielicznych Sercodarców postanowił zostać. Marie i Nadia stały z Eterealnikami. Z zaskoczeniem zobaczyłam, że przy stole Materialników garbi się David. Wiedziałam, że ma swoje

wątpliwości co do Darklinga, ale nie przeszkadzało mu to zapieczętować obroży jelenia wokół mojej szyi. Może dlatego na mnie nie patrzył. A może po prostu chciał już wracać do warsztatu.

Hebanowe krzesło Darklinga usunięto. Jego stół stał pusty.

Jako pierwszy wystąpił do przodu Siergiej.

- Alino Starkov - powiedział szorstko. - Miło mi powitać cię z powrotem w Małym Pałacu. - Zwróciłam uwagę, że się nie uklonił.

W pomieszczeniu wezbrało napięcie, pulsujące jak żywa istota. Jakaś częśćka mnie pragnęła je rozbić. Byłoby łatwo. Mogłam się uśmiechnąć, roześmiać, objąć Marie i Nadię. Choć nigdy w pełni tu nie przynależałam, nieźle się dostosowałam. Udawać, że znów jestem jedną z nich, byłoby ulgą. Lecz przypomniałam sobie ostrzeżenia Mikołaja i powstrzymałam się. „Słabość to maska”.

- Dzięki, Siergieju - odparłam celowo nieformalnie. - Cieszę się, że tu jestem.

- Krążyły plotki o twoim powrocie - powiedział. - Lecz tyle samo ich było o twojej śmierci.

- Cóż, jak widzisz, żyję i mam się tak dobrze, jak się da po kilku tygodniach podróży po VII.

- Mówi się, że przybyłaś w towarzystwie drugiego królewskiego syna - rzekł Siergiej.

Otóż to. Pierwsze wyzwanie.

- Zgadza się - odpowiedziałam przyjemnym tonem. - Wsparał mnie w bitwie z Darklingiem.

Szmer rozszedł się po sali.

- W Fałdzie? - zapytał Siergiej z niejaką konsternacją.

- Na Morzu Prawdziwym - poprawiam. Tłum zaczął szemrać. Uniosłam dłoń i ku mojej uldze zamilkli. „Nakłoń ich do tego, by

wypełniali drobne rozkazy, a będą także spełniać te wielkie". - Mam mnóstwo opowieści i informacji do przekazania - oznajmiłam. - Lecz to może zaczekać. Mojemu powrotowi do Os Alty przyświeca pewien cel.

- Ludzie mówią o weselu - rzucił Siergiej.

Cóż, Mikołaj byłby zachwycony.

- Nie wróciłam po to, by być panną młodą - powiedziałam. - Wróciłam z jednego, jedyne go powodu. - Nie była to szczerą prawdą, ale nie zamierzałam omawiać trzeciego wzmacniacza w pomieszczeniu pełnym Griszów o wątpliwej lojalności. Nabrałam powietrza. Oto ten moment. - Wróciłam przywodzić Drugiej Armii.

Wszyscy zaczęli gadać jednocześnie. Rozległo się kilka wiwatów, kilka gniewnych okrzyków. Widziałam, jak Siergiej wymienia spojrzenia z Marie. Kiedy w sali zapanowała cisza, powiedział:

- Spodziewaliśmy się tego.

- Król wyraził zgodę na moje przywództwo. - „Tymczasowe” - pomyślałam, ale nie powiedziałam na głos.

Kolejne okrzyki i zgiewki. Siergiej odchrząknął:

- Alino, jesteś Przyzywaczką Słońca i jesteśmy wdzięczni za twój bezpieczny powrót, lecz nie masz kwalifikacji, by prowadzić kampanię wojskową.

- Z kwalifikacjami czy bez, mam za to królewskie błogosławieństwo.

- Złożymy zatem petycję do króla. Korporalnicy to najwyżsi rangą Griszowie i to oni powinni dowodzić Drugą Armią.

- Twoim zdaniem, rzeźniku.

Jak tylko usłyszałam ten aksamitny głos, wiedziałam, do kogo należy, lecz i tak serce mi stanęło, kiedy zobaczyłam jej

kruczoczarne włosy. Spośród tłumu Eterealników wyszła Zoja. Jej smukłą sylwetkę spowijał letni błękitny jedwab, który sprawiał, że jej oczy lśniły jak klejnoty - klejnoty z ohydnie długimi rzęsami.

Kosztowało mnie wszystkie siły, by się nie odwrócić i nie przyjrzeć reakcji Mała. To właśnie Zoja zrobiła, co tylko mogła, by uprzykrzyć mi życie w Małym Pałacu.

Szydziła ze mnie, obgadywała mnie, a nawet złamała mi dwa żebra. Lecz także to Zoja wzbudziła zainteresowanie Mała dawno temu w Kribirsku. Nie byłam pewna, co między nimi zaszło, ale wątpiłam, by chodziło tylko o ożywioną rozmowę.

- Przemawiam w imieniu Eterealników - oznajmiła Zoja. - I my pójdziemy za Przyzywaczką Słońca. Starłam się nie okazać zaskoczenia. Od niej ostatniej spodziewałam się poparcia. W co ona pogrywa?

- Nie my wszyscy- odezwała się Marie słabym głosem. Wiedziałam, że nie powinno mnie to dziwić, ale zabolęło.

Zoja zaśmiała się pogardliwie.

- Tak, wiemy, że wspierasz Siergieja we wszystkim, co robi, Marie. Ale to nie jest schadzka w nocy przy bani. Rozmawiamy o przyszłości Griszów i całej Ravki.

Oświadczenie Zoi skwitowano śmiechem, a Marie zrobiła się czerwona.

- Dość, Zoja - warknął Siergiej.

Nieznany mi Eterealnik zrobił krok do przodu. Miał ciemną skórę i niewyraźną bliznę wysoko na lewym policzku. Nosił haft Infernika.

- Marie ma rację - odezwał się. - Nie przemawiasz w imieniu nas wszystkich, Zoju. Na czele Drugiej Armii wołałbym ujrzyć Eterealnika, lecz to nie powinna być ona - wytknął mnie placem oskarżycielsko. - Nawet się tu nie wychowała.

- To prawda! - zawołał Korporalnik. - Jest Griszą od niespełna roku!

- Griszą się człowiek rodzi, a nie zostaje - zawarczał Tolia.

„Oczywiście” - westchnęłam w duchu. „Akurat teraz musi się otworzyć”.

- A ty to kto? - zapytał Siergiej z pokazem wrodzonej arogancji.

Tolia położył dłoń na zakrzywionym mieczu.

- Jestem Tolia Yul-Baatar. Wychowałem się z dala od tego truchła pałacu i z przyjemnością dowiodę, że mogę zatrzymać ci serce.

- Jesteś Griszą? - spytał Siergiej z niedowierzaniem.

- Tak samo jak ty - odparła Tamar z błyskiem złotych oczu.

- A ty? - Siergiej zwrócił się do Mala.

- Jestem zwykłym żołnierzem - odparł Mal i stanął przy moim boku. - Jej żołnierzem.

- Podobnie jak my wszyscy - dodał Fedior. - Powróciliśmy do Os Alty służyć Przyzywaczce Słońca, a nie jakiemuś chłoptasiowi, co pręży muskuły.

Inny Korporalnik zerwał się na równe nogi.

- Jesteś zwykłym tchórzem, który zbiegł, kiedy Darkling padł. Nie masz prawa tu przychodzić i nas obrażać.

- A ona to niby co? - zakrzyknął Szkwalnik. - Skąd wiemy, że nie pracuje dla Darklinga? Pomogła mu zniszczyć Novokribirsk.

- I dzieliła jego łóżko! - krzyknął ktoś inny.

„Nigdy nie racz zaprzeczać” - usłyszałam w głowie słowa Mikołaja.

- Co dokładnie cię łączy z Mikokajem Lancovem? - zażądał Fabrykator.

- Co cię łączyło z Darklingiem? - dobiegł przenikliwy głos.

- Czy to ma znaczenie? - zapytałam chłodno, lecz czułam, że tracę nad sobą panowanie.

- Oczywiście, że tak - rzekł Siergiej. - Jak możemy być pewni twojej lojalności?

- Nie masz prawda brać jej na spytki! - krzyknął jeden z Przyzywaczy.

- Niby czemu? - odparował Uzdrowiciel. - Bo to żywa Święta?

- Wsadzić ją do kaplicy, gdzie jej miejsce! - ktoś ryknął. - Wyrzucić ją i jej motłoch z Małego Pałacu.

Tolia sięgnął po miecz. Tamar i Siergiej oboje unieśli dłonie. Zobaczyłam, jak Marie podnosi krzemień, i poczułam, jak powiew wiatrów Przyzywaczy unosi brzegi mojej kefty. Sądziłam, że jestem gotowa się z nimi zmierzyć, ale nie nastawiałam się na wściekłość, jaka mnie załała. Rana w ramieniu zaczęła pulsować i coś we mnie zerwało się z uwięzi.

Popatrzyłam na szyderczą twarz Siergieja i moja moc wezbrała z jasnym, jadowitym poczuciem celu. Uniosłam dłoń. Jeśli potrzebna im lekcja, to ją dostaną. Będą mogli się sprzeczać nad rozczłonkowanym ciałem Siergieja. Moja ręka przeszyła powietrze po łuku, tnąc w jego stronę. Światło uformowało klingę ostrą od mojej furii.

W ostatniej chwili jakiś strzęp opamiętania przebił się przez brzęczący całun gniewu. „Nie” - pomyślałam z przerażeniem, kiedy pojęłam, co zaraz zrobię. Myśli pełne paniki zawirowały. Uchyliłam się i cisnęłam Cięcie w górę.

Sala zatrzęsa się od przeszywającego huk. Griszowie zaczęli krzyczeć i się wycofywać, przywierając do ścian. Przez urywaną szczelinę nad nami do środka wlało się światło dnia. Rozbiłam złotą kopułę jak gigantyczne jajo. Nastąpiła głęboka cisza. Każdy z Griszów zwrócił się w moją stronę z przerażeniem i niedowierzaniem. Przełknęłam, zdumiona tym, co zrobiłam,

przerażona tym, do czego sięomal nie posunęłam. Pomyślałam o radzie Mikołaja i obwarowałam serce. Nie mogą zobaczyć mojego lęku.

- Myślicie, że Darkling jest potężny? - zapytałam, zaskoczona lodowatą klarownością własnego głosu. - Nie macie pojęcia, do czego jest zdolny. Tylko ja widziałam, na co go stać. Tylko ja stawiałam mu czoło i przeżyłam.

Sama sobie wydawałam się obca, ale czułam, jak wibruje we mnie echo mojej mocy i brnęłam dalej. Odwróciłam się powoli i spojrzałam w każdą parę oszołomionych oczu.

- Nie obchodzi mnie, czy macie mnie za Świętą, za głupią czy za dziwkę Darklinga. Jeśli chcecie pozostać w Małym Pałacu, pójdziecie za mną. Jeśli zaś wam się to nie podoba, zwiniecie się stąd przed wieczorem albo każę was zakuć. Jestem żołnierzem. Jestem Przyzywaczką Słońca. I jestem waszą jedyną szansą.

Przemierzyłam salę i z impetem otworzyłam drzwi do komnat Darklinga, wdzięczna w duchu, że nie były zaryglowane.

Szłam przez korytarz na ślepo. Nie byłam pewna, dokąd idę, ale chciałam się oddalić od sali pod kopułą, nim ktoś zauważy, że cała się trzęsę.

Ślepym trafem doszłam do sali narad wojennych. Mal wszedł za mną, a zanim zamknął drzwi, zobaczyłam, jak Tolia i Tamar zajmują stanowiska. Fedior i pozostali musieli zostać w tyle. Oby udało im się pogodzić z innymi Griszami. A może się po prostu pozabijają.

Chodziłam tam i z powrotem wzdłuż zabytkowej mapy Ravki, która wisiała na ścianie.

Mal odkaslnął.

- Moim zdaniem dobrze poszło. - Wyrwało mi się czknięcie historycznego śmiechu. - Chyba że zamierzałaś zrzucić nam na głowy cały sufit. W takim razie chyba tylko częściowo się udało.

Przygryzłam kciuk i chodziłam dalej.

- Musiałam zwrócić ich uwagę.

- Czyli zrobiłaś to z rozmysłem?

„Prawie kogoś zabiłam. Chciałam kogoś zabić. Kopuła albo Sergiej, a Sergieja byłoby znacznie ciężiej poskładać do kupy”.

- Nie całkiem - przyznałam.

Nagle uszła ze mnie cała energia. Padłam na krzesło przy długim stole i wsparłam głowę na rękach.

- Wszyscy odejdą - zajęczałam.

- Może - powiedział Mal - ale wątpię.

Schowałam głowę w ramionach.

- Kogo ja próbuję nabrać? Nie dam rady. To jest jakiś kiepski żart.

- Nie słyszałem, by ktoś się śmiał - rzekł Mal. - Jak na kogoś, kto nie ma pojęcia, co robi, powiedziałbym, że radzisz sobie nieźle.

Podniosłam oczy na niego. Opierał się o stół ze skrzyżowanymi ramionami i leciutkim uśmiechem na ustach.

- Mal, zrobiłam dziurę w suficie.

- Bardzo dramatyczną dziurę.

Prychnęłam, na poły śmiech, na poły szloch.

- Co zrobimy, kiedy będzie padać?

- To, co zawsze - odparł. - Nie zmokniemy.

Rozległo się pukanie do drzwi i Tamar wsadziła głowę do środka.

- Jeden ze służących chce wiedzieć, czy będziesz spać w komnatach Darklinga.

Wiedziałam, że będę musiała. Po prostu się na to nie cieszyłam. Potarłam twarz rękoma i dźwignęłam z krzesła. Niespełna godzina w Małym Pałacu, a ja już jestem wyczerpana.

- Chodźmy popatrzeć.

Kwaterna Darklinga znajdowała się tuż obok pokoju wojennego. Odziana w grafit służąca zaprowadziła nas do wielkiej i raczej oficjalnie wyglądającej komnaty, umeblowanej długim stołem i kilkoma na oko niewygodnymi krzesłami. W każdej ze ścian były podwójne drzwi.

- Te wiodą do przejścia, którym wychodzi się z Małego Pałacu, soverena maja - powiedziała służąca, wskazując na prawo. Pokazała drzwi po lewej i dodała: - Te prowadzą do kwater straży.

Drzwi na wprost nie wymagały wyjaśnień. Rozciągały się od podłogi po sam sufit, a w hebanowym drewnie wyrzeźbiono symbol Darklinga - słońce w stanie zaćmienia.

Nie czułam się na siłach stawić temu czoła, więc poczłapałam do kwater gwardii i zajrzałam do środka. Ich westybul był znacznie bardziej przytulny. Znajdował się tam okrągły stół do gry w karty, a wokół niewielkiego pieca kaflowego, który ogrzewał pokój zimą, rozstawiono kilka miękkich foteli. Przez kolejne drzwi wypatrzyłam rzędy pryczy.

- Darkling miał chyba większą gwardię - zauważyła Tamar.

- Dużo większą - odparłam.

- Możemy zwerbować kilkoro innych.

- Myślałem o tym - rzekł Mal. - Ale nie wiem, czy to konieczne, i nie jestem pewien, komu możemy ufać.

Musiałam przyznać mu rację. Do pewnego stopnia wierzyłam Tolii i Tamar, ale stuprocentowo pewna byłam jedynie Mala.

- Może powinniśmy rozważyć nabór spośród pielgrzymów - zasugerowała Tamar. - Niektórzy z nich to byli wojskowi. Musi

wśród nich być paru porządnym wojownikom, a na pewno złożyliby życie w twojej obronie.

- Nie ma mowy - odparłam. - Król jeden raz usłyszy „Święta Alina” i od razu każe mi zakładać pętlę na szyję. Poza tym nie jestem przekonana, czy chcę powierzać życie komuś, kto uważa, że mogę powstać z martwych.

- Poradzimy sobie - orzekł Mal.

Pokiwałam głową.

- Dobra. I... czy ktoś mógłby dopilnować naprawy dachu?

Na twarzach Tolii i Tamar pojawiły się pasujące uśmiechy.

- Nie możemy tego zostawić, jak jest, chociaż na parę dni?

- Nie - zaśmiałam się. - Nie chcę, żeby to wszystko na nas runęło. Porozmawiajcie z Fabrykatorami. Powinni wiedzieć, co robić. - Przesunęłam kciukiem po uniesionej tkance wzdłuż mojej dłoni. - Ale nie pozwólcie, by naprawili to bez śladu - dodałam. Blizny skutecznie przypominają.

Wróciłam do głównego westybulu i powiedziałam się do służącej, która czekała w drzwiach:

- Dziś zjemy tutaj - oznajmiłam. - Zajmiesz się tacami?

Służąca uniosła brwi, po czym skłoniła się i czmychnęła. Skrzywiłam się. Miałam rozkazywać, a nie zadawać pytania.

Mal i bliźnięta omawiali harmonogram wart, a ja przeszłam do hebanowych drzwi. Za klamki służyły cienkie szczapki wystylizowane na księżycy w nowiu, wykonane z czegoś, co przypominało kość. Kiedy je chwyciłam i pociągnęłam, nie rozległ się zgrzyt ani skrzypienie zawiasów. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Służący zapalili światła w komnacie Darklinga. Omiotłam pokój wzrokiem i wypuściłam oddech, który bezwiednie wstrzymywałam. Czego się spodziewałam? Lochu? Jamy? Że Darkling sypia, zwisając z gałęzi drzewa?

Pomieszczenie było sześciokątne. Ciemne drewniane ściany były rzeźbione tak, by tworzyć złudzenie lasu gęstego od smukłych drzew. Sufit ponad wielkim łóżem z baldachimem wykuto z gładkiego, czarnego obsydianu usianego odłamkami masy perłowej, ułożonych w konstelacji. Był to pokój niezwykle i z pewnością luksusowy, lecz wciąż była to jedynie sypialnia.

Na półkach nie było książek. Biurko i toaletka były puste. Musiano zabrać cały jego dobytek - pewnie go spalono albo roztrzaskano. Prawdopodobnie powinnam się cieszyć, że król nie kazał całego Małego Pałacu zrównać z ziemią.

Podeszłam do łóżka i pogładziłam dłonią chłodny materiał poduszki. Dobrze było wiedzieć, że jakąś jego część wciąż była człowiekiem, że kładł się na spoczynek nocą jak wszyscy inni. Ale czy naprawdę mogę spać w jego łóżku, pod jego dachem?

Z zaskoczeniem uzmysłowiłam sobie, że pokój pachnie nim. Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi, że ma swój zapach. Zamknęłam oczy i zrobiłam głęboki wdech. Co to było? Rześkie ostrze zimowego wiatru. Nagie gałęzie. Woń nieobecności, woń nocy.

Rana w moim barku zaczęła kłuć i otworzyłam oczy. Drzwi do komnaty były zamknięte. Nie słyszałam, jak je zamykano.

- Alina.

Odwróciłam się gwałtownie. Darkling stał po drugiej stronie łóżka. Przycisnęłam dłonie do ust, by powstrzymać krzyk.

„To się nie dzieje naprawdę” - powtarzałam sobie. „To kolejna halucynacja. Tak samo jak w Fałdzie”.

- Moja Alina - powiedział łagodnie. Twarz miał piękną, bez blizn. Doskonałą.

„Nie będę krzyczeć, bo to się nie dzieje naprawdę, a kiedy wparują do środka, nie będzie na co patrzeć”. Powoli obszedł kózkę. Przemieszczał się bezszelestnie. Zamknęłam oczy,

przycisnęłam do nich dłonie, policzyłam do trzech. Ale kiedy otworzyłam oczy, stał tuż przede mną. „Nie będę krzyczeć”.

Zrobiłam krok w tyk, poczułam za plecami ścianę. Wyrwał mi się zduszony pisk.

„Nie będę krzyczeć”.

Wyciągnął rękę. „Nie może mnie dotknąć” - powiedziałam sobie dobitnie. „Jego dłoń przeniknie przeze mnie jak dłoń ducha. To się nie dzieje naprawdę”.

- Nie uciekniesz przede mną - szepnął. Musnął mnie palcami po policzku. Były dotykalne. Prawdziwe. Poczułam je.

Przeszyło mnie przerażenie. Uniosłam ręce gwałtownie i światło zalało pokój falą migocącą od żaru. Darkling znikł.

W sąsiednim pomieszczeniu zadudniły kroki. Drzwi otwarto z impetem. Mał i bliźnięta wtargnęli do sypialni w bronią w rękę.

- Co się stało? - zapytała Tamar, omiatając pusty pokój wzrokiem.

- Nic - odparłam z wysiłkiem, licząc na to, że mój głos zabrzmiał normalnie. Wsunęłam ręce w fałdy kefty, by nie było widać, że drżą. - Czemu?

- Zobaczyliśmy światło i...

- Ponuro tu trochę - powiedziałam. - Cała ta czerń.

Wpatrywali się we mnie dłuższą chwilę. W końcu Tamar się rozejrzała.

- Faktycznie trochę smętnie. Możesz rozważyć nowy wystrój.

- Zdecydowanie się tym zajmę.

Bliźnięta jeszcze raz rozejrzały się po pomieszczeniu i wyszły. Tolia marudził już siostrze na temat obiadu. Mał stał w drzwiach i czekał.

- Drzysz - powiedział.

Wiedziałam, że tym razem nie poprosi o wyjaśnienie. Nie powinien musieć. Powinnam była powiedzieć mu prawdę nieproszona. Ale co mogłam mu powiedzieć? Że mam zwidy? Że oszalałam? Że nigdy nie będziemy bezpieczni, niezależnie od tego, jak daleko uciekniemy? Że jestem rozbita jak złota kopuła, lecz wsiąknięto we mnie coś znacznie gorszego niż światło dnia?

Milczałam.

Mal pokręcił głową krótko, a potem po prostu odszedł.

Stałam sama na środku pustych pokoi Darklinga. „Zawołaj go” - pomyślałam desperacko. „Powiedz mu coś. Powiedz mu wszystko”.

Mal był parę metrów stąd, po drugiej stronie ściany. Mogłam wypowiedzieć jego imię, przywołać go z powrotem i wszystko opowiedzieć - co się wydarzyło w Fałdzie, co prawie zrobiłam Siergiejowi, co widziałam chwilę temu. Otworzyłam usta, lecz nasuwały mi się wyłącznie te same słowa.

„Nie będę krzyczeć. Nie będę krzyczeć. Nie będę krzyczeć”.

14.

Następnego dnia przebudziły mnie gniewne głosy. Przez chwilę nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Panowała niemal idealna ciemność, którą zakłócał jedynie cienki przebłysk światła spod drzwi.

Potem wróciłam do rzeczywistości. Podniosłam się i namacałam lampę na ścianie przy łóżku. Podkręciłam płomień i zmierzyłam wzrokiem ciemne, jedwabne zasłony przy łóżku, grafitowe drzwi, rzeźbione hebanowe ściany. Naprawdę trzeba było trochę pozmieniać. Ten pokój był zbyt przygnębiający, by się w nim

budzić. Dziwnie było myśleć, że przebywam w pokojach Darklinga, że spędziłam noc w jego łóżku. Że widziałam go, jak stoi w tym właśnie pokoju.

„Dość tego”. Odrzuciłam kołdrę i zesłam z łóżka. Nie wiedziałam, czy wizje to wytwór mojej wyobraźni, czy realna próba manipulacji ze strony Darklinga, ale musi się za nimi kryć racjonalne wyjaśnienie. Może ukąszenie nisztója mnie czymś zakaziło. Jeśli tak, to będę po prostu musiała znaleźć na to lekarstwo. A może efekty ustąpią z czasem.

Kłótnia za moimi drzwiami przybrała na sile. Wydawało mi się, że rozpoznaję głos Siergieja i gniewny pomruk Tolii. Zarzuciłam na siebie haftowany szlafrok, który zostawiono dla mnie na łóżku, upewniłam się, że obręczy na nadgarstku nie widać, i pośpiesznie wyszkam do westybulu. Prawie wbiegłam w bliźnięta. Tolia i Tamar ramię w ramię blokowali dostęp do mojej komnaty grupce rozłuszczonych Griszów. Tolia miał skrzyżowane ramiona, a Tamar kręciła głową przecząco, podczas gdy Siergiej i Fedior głośno perorowali. Z przykrością zobaczyłam przy nich Zoję w towarzystwie ciemnoskórego Infernika, który wczoraj rzucił mi wyzwanie. Wszyscy gadali jednocześnie.

- Co się dzieje? - spytałam.

Jak tylko Siergiej mnie zobaczył, ruszył do przodu, ściskając w dłoni kartkę papieru. Tamar chciała go zatrzymać, ale kiwnęłam ręką, żeby go przepuściła.

- W porządku - powiedziałam. - W czym tkwi problem? - Wydawało mi się jednak, że wiem. Na papierze, którym Siergiej machał mi przed twarzą, rozpoznałam własny charakter pisma oraz fragmenty pieczęci w kształcie złotej glorii, jaką dał mi Mikołaj.

- To nie do przyjęcia - sapał Siergiej.

Poprzedniej nocy wysłałam wiadomość, że zwołuję naradę wojenną. Każdy z Zakonów miał wybrać dwóch przedstawicieli, którzy wezmą w niej udział. Z zadowoleniem przyjął wybór Fediora oraz Siergieja, choć dobra wola mi opadła, kiedy wtrącił się starszy Grisza.

- On ma rację - rzekł Fedior. - Korporalnicy to pierwsza linia obrony Griszów. W sprawach wojskowych jesteśmy najbardziej doświadczeni i dlatego powinniśmy mieć bardziej odpowiednie przedstawicielstwo.

- My jesteśmy równie wartościowi w zmaganiach wojennych - zadeklarowała Zoja z silnym rumieńcem emocji. Nawet strzelając focha, wyglądała olśniewająco. Podejrzewałam, że zostanie wybrana jako reprezentantka Eterealników, ale zadowolona z tego nie byłam. - Jeśli w radzie ma być troje Korporalników, powinno także być troje Przyzywaczy.

Wszyscy znowu zaczęli się wydzierać. Zauważyłam, że Materialnicy nie pofatygowali się, by ponarzekać. Jako najniższy Zakon Griszów pewnie się cieszyli, że w ogóle wzięto ich pod uwagę, a może nazbyt zagłębili się w robocie, by zawracać sobie tym głowę.

Nadal nie w pełni się przebudziłam. Miałam ochotę na śniadanie, a nie na kłótnię. Wiedziałam jednak, że sprawę należy rozstrzygnąć. Zamierzałam prowadzić Griszów inaczej - równie dobrze mogli się dowiedzieć, jak bardzo inaczej, w przeciwnym bowiem razie te wysiłki będą z góry skazane na porażkę.

Uniosłam dłoń i od razu ucichli. Ewidentnie tę sztuczkę opanowałam. Może się bali, że zepsują kolejny sufit.

- Z każdego Zakonu będzie dwoje Griszów - powiedziałam. - Ani mniej, ani więcej.

- Ale... - podjął Siergiej.

- Darkling się zmienił. Jeżeli mamy mieć nadzieję na pokonanie go, my także musimy się zmienić. Dwoje Griszów z każdego Zakonu - powtórzyłam. - I Zakony nie będą już siedzieć oddzielnie. Będziecie razem siedzieć, jeść i walczyć.

Przynajmniej się zamknęli. Stali z rozdziawionymi gębami i się gapili.

- A Fabrykatorzy rozpoczną dzisiaj szkolenie bojowe - dokończyłam.

Przyjrzałam się ich przerażonym minom. Sprawiali wrażenie, jakbym im powiedziała, że ruszymy wszyscy do boju nago. Materialników nie uważano za żołnierzy, więc nikt nigdy nie zaprzętał sobie głowy, by uczyć ich walczyć. Wydawało mi się to straconą okazją. „Użyj wszelkich rzeczy i ludzi, jakich masz do dyspozycji”.

- Widzę, że nie możecie się doczekać - powiedziałam z cichym westchnieniem.

Desperacko pragnęłam szklanki herbaty, więc podeszłam do stołu, gdzie na tacy leżały przykryte naczynia. Uniosłam jedną z pokryw - żytni chleb i śledzie. Ten poranek źle się zaczynał.

- Ale... ale zawsze tak było - wybełkotał Siergiej.

- Nie możesz tak po prostu obalić setek lat tradycji - zaoponował Infernik.

- Czy naprawdę o to też będziemy się wyklócać? - zapytałam z irytacją. - Toczmy wojnę z pradawną potęgą, która przekracza ludzkie pojęcie, a wy chcecie się spierać, kto obok was siądzie do obiadu?

- Nie o to chodzi - odezwała się Zoja. - Jest porządek rzeczy, sposób postępowania, który...

Znowu zaczęli trajkotać - o tradycji, o tym, jak należy się zachowywać, o potrzebie hierarchii i o tym, że ludzie powinni znać swoje miejsce w szeregu.

Odstawiłam pokrywę naczynia z donośnym brzękiem.

- Tak będzie - oznajmiłam, szybko tracąc cierpliwość. - Koniec ze snobizmem Korporalników. Koniec z koteriami Eterealników. I koniec ze śledziem.

Zoja otworzyła buzię, po czym zastanowiła się i ją zamknęła.

- A teraz idźcie - warknęłam. - Chcę w spokoju zjeść śniadanie.

Przez chwilę stali w bezruchu. Potem Tamar i Tolia zrobili krok do przodu, a ku mojemu nieustającemu zdumieniu Griszowie zrobili, co im kazano. Zoja zdawała się dąsać, a Siergiej miał gniewną minę, ale wyszli z pokoju potulnie, powłócząc nogami.

Parę sekund po ich wyjściu w drzwiach pojawił się Mikołaj, a ja zorientowałam się, że podsłuchiwał z korytarza.

- Ładnie rozegrane - oznajmił. - Dzisiejszy dzień zostanie na wieki zapamiętany jako data Wielkiego Dekretu w sprawie Śledzia. - Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. - Mogłabyś jednak popracować nad sposobem przekazu.

- Nie mam twojego daru pozowania na „rozbawionego i zdystansowanego” - odparłam, usiadłam za stołem i ochoczo rozdarłam bułeczkę. - Za to „zrzęda” całkiem dobrze mi wychodzi.

Służąca pośpiesznie podała mi filiżankę herbaty z samowaru. Napój był rozkosznie gorący, a ja nasypałam mnóstwo cukru. Mikołaj nieproszony zajął krzesło.

- Naprawdę nie zamierzasz ich jeść? - zagadnął, ładując sobie śledzie na talerz.

- Ohyda - odparłam zwięźle.

Mikołaj odgryzł potężny kęs.

- Nie da się przeżyć na morzu, jeśli nie lubi się ryb.
- Nie zgrywaj mi tu biednego marynarza. Jadałam na twoim statku, pamiętasz? Szef kuchni Sturmhonda raczej nie serwował solonego dorsza z sucharami.

Westchnął z żalnością.

- Szkoda, że nie mogłem wziąć z sobą Burgosa. Dworskie kuchnie zdają się sądzić, że posiłek jest niepełny, jeśli nie pływa w maśle.

- Tylko księżę może narzekać na nadmiar masła.

- Hm... - powiedział z namysłem, klepiąc się po płaskim brzuchu. - Może królewski bebecz przydałby mi autorytetu.

Roześmiałam się, a potem prawie wyskoczyłam ze skóry, kiedy drzwi się otworzyły i Mał wszedł do środka. Zatrzymał się, kiedy zobaczył Mikołaja.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że będziesz śniadał w Małym Pałacu, carewiczu mój. - Skłonił się sztywno Mikołajowi, a następnie mnie.

- Nie musisz tego robić - powiedziałam.

- Owszem, musi.

- Słyszałaś, co powiedział Księżcunio Ideał - rzekł Mał i dosiadł się do stołu. Mikołaj uśmiechnął się promiennie.

- Miałem niejedno przezwisko, ale to jest z pewnością najbardziej trafne.

- Nie wiedziałam, że już wstałeś - powiedziałam do Mała.

- Nie śpię od dawna, szwendam się po okolicy i szukam zajęcia.

- Wyśmienicie - rzekł Mikołaj. - Przychodzę z zaproszeniem.

- Czy to na bal? - zapytał Mał i zwędził mi z talerza resztę bułeczki. - Tak bym chciał, by to był bal.

- Choć jestem przekonany, że znakomicie tańczysz walca - nie. W lasach kolo Balakireva wypatrzoneo dziki. Jutro wyrusza polowanie, a ja chciałbym, byś się wybrał.

Mal uniósł brwi.

- Mało masz przyjaciół, wasza wysokość?

- A dużo wrogów - odparł Mikołaj. - Lecz mnie tam nie będzie. Rodzice nie są gotowi spuścić mnie z oka. Rozmawiałem z jednym z generałów i zgodził się zaprosić cię w charakterze swego gościa.

Mal odchylił się i skrzyżował ramiona na piersi.

- Rozumiem. Czyli ja będę się przez parę dni wałęsał po lesie, a ty zostaniesz tu - powiedział, patrząc na mnie znacząco.

Poruszyłam się nieswojo. Nie podobały mi się implikacje, ale musiałam przyznać, że fortel wydawał się oczywisty. Wręcz nazbyt oczywisty jak na Mikołaja.

- Wiecie co, jak na dwoje ludzi, których łączy wieczna miłość, jesteście okropnie niepewni siebie - zauważył Mikołaj. - W polowaniu weźmie udział kilku najwyżej postawionych członków Pierwszej Armii, jak również mój brat. To zapalony myśliwy, a ja na własne oczy widziałem, że jesteś najlepszym tropicielem w Ravce.

- Wydawało mi się, że mam strzec Aliny - powiedział Mal. - A nie ganiać ze zgrają wypieszczonych dygnitarzy.

- Pod twoją nieobecność Tolia i Tamar dadzą radę. A tu masz szansę się przydać.

„Świetnie” - pomyślałam, obserwując, jak Mal mruży oczy. „Wprost doskonale”.

- A ty co robisz, by się przydać, wasza wysokość?

- Jestem księciem - odrzekł Mikołaj. - Przydatność nie wchodzi w zakres obowiązków. Ale - dodał - kiedy nie będę się objąć,

zachwycając otoczenie urodą, będę się starał lepiej wyposażyć Pierwszą Armię i zebrać informacje na temat miejsca pobytu Darklinga. Wieść gminna niesie, że wkroczył w Sikurzoj.

Mal i ja ożywiliśmy się, słysząc to. Sikurzoj był to łańcuch górski biegnący wzdłuż większości granicy między Ravką a Szu Hanem.

- Myślisz, że jest na południu? - zapytałam.

Mikołaj wsadził do ust następny kawałek śledzia.

- Możliwe. Sam bym sądził, że raczej sprzymierzy się z Fjerdanami. Północna granica jest znacznie bardziej zagrożona. Ale Sikurzoj to dobra kryjówka. Jeśli doniesienia są prawdziwe, musimy zawrzeć przymierze z Szu Hanem najszybciej, jak się da, tak byśmy mogli natrzeć na niego na dwa fronty.

- Chcesz ściągnąć wojnę do niego? - spytałam z zaskoczeniem.

- Lepsze to niż czekać, aż nabierze dość sił i ściągnie wojnę do nas.

- Podoba mi się - przyznał Mal z niechętnym podziwem. - Darkling by się tego nie spodziewał.

Przypomniałam sobie, że choć Mala i Mikołaja wiele różniło, Mal i Sturmhond byli na dobrej drodze do przyjaźni.

Mikołaj upił herbaty i ciągnął:

- Niepokojące nowiny dochodzą też z Pierwszej Armii. Wygląda na to, że wielu żołnierzy nawróciło się i zdezerterowało.

- Nie mówisz chyba... - Zmarszczyłam brew.

Mikołaj pokiwał głową potakująco.

- Szukają schronienia w monastyrach i dołączają do sekty Apparata czczącej Świętą Słońca. Pop twierdzi, że zdeprawowana monarchia wzięła cię w niewolę.

- To niedorzeczne - powiedziałam.

- W istocie rzeczy to zupełnie prawdopodobne i stwarza bardzo satysfakcjonującą historię. Nie trzeba mówić, że mój ojciec nie jest zadowolony. Wczoraj wieczorem wpadł w istny szal i podwoił cenę za głowę Apparata.

- To źle - jęknęłam.

- Owszem - przyznał Mikołaj. - Widzisz teraz, dlaczego może się okazać roztropne, by kapitan twojej gwardii przybocznej zaczął zawierać sojusze w Wielkim Pałacu. - Skupił na Malu baczny wzrok. - I właśnie tak możesz się przydać, Orecev. Jeśli dobrze pamiętam, wręcz oczarowałeś moją załogę, więc mógłbyś może złapać za łuk i pobawić się w dyplomatę, a nie w zazdrosnego kochanka.

- Pomyślę o tym.

- Grzeczny chłopiec - rzekł Mikołaj.

„Och, na litość Świętych”. Nie mógłby po prostu odpuścić?

- Pilnuj się, Mikołaj - powiedział Mal cicho. - Książęta krwawią jak wszyscy inni.

Mikołaj stracił z rękawa niewidzialny pyłek.

- Owszem, lecz krwawiąc, mają lepsze ubrania.

- Mal...

Mal wstał, szurając krzesłem po podłodze.

- Muszę wyjść na powietrze. - Wymaszerował na zewnątrz, nie siląc się na pokłony i tytuły.

Rzuciłam na stół serwetkę.

- Dlaczego ty to robisz? - zapytałam Mikołaja gniewnie. - Dlaczego tak go prowokujesz?

- Sprowokowałem go? - odpowiedział Mikołaj, sięgając po bułeczkę.

Rozważyłam wbicie mu widelca w dłoń.

- Przestań go drażnić, Mikołaj. Jeśli stracisz Mała, stracisz również mnie.

- Musi się nauczyć, jakie tu panują zasady. Jeśli nie będzie tego potrafił, stanie się słabym punktem. Stawka jest za wysoka na półśrodku.

Zadrżałam i potarłam dłońmi ramiona.

- Nie znoszę, kiedy tak mówisz. Brzmi to całkiem jak Darkling.

- Jeśli kiedyś będziesz miała trudność w tym, jak nas rozróżnić, szukaj osoby, która cię nie torturuje i nie próbuje zabić Mała. To będę ja.

- Taki jesteś tego pewien? - odparowałam. - Gdyby to cię miało zbliżyć do osiągnięcia celów... do tronu i wielkiej szansy na ocalenie Ravki... jesteś pewien, że sam byś mnie nie wprowadził na szubienicę?

Spodziewałam się od Mikołaja kolejnej ciętej riposty, lecz on wyglądał, jak gdybym walnęła go z pięści w brzuch. Zaczął coś mówić, przerwał, potem pokręcił głową.

- Święci - powiedział tonem naznaczonym na poły oszołomieniem, na poły niesmakiem. - Naprawdę nie wiem.

Opadłam na krzesło. Fakt, że przyznał mi rację, powinien był mnie rozwścieczyć, lecz zamiast tego uszedł ze mnie cały gniew. Może chodziło o jego szczerość. A może o to, że zaczęłam się martwić, do czego sama jestem zdolna.

Siedzieliśmy w milczeniu dłuższą chwilę. Potarł kark dłonią i powoli wstał. W drzwiach przystanął.

- Jestem ambitny, Alino. Jestem zmotywowany. Ale mam nadzieję... mam nadzieję, że wciąż znam różnicę między dobrem a złem. - Zawahał się. - Zaoferowałem ci wolność - i mówiłem poważnie. Gdybyś jutro postanowiła uciekać z Malem do Nowoziemska, wsadziłbym cię na statek i wysłał w morze. -

Popatrzył mi w oczy piwnym, niezachwianym spojrzeniem. - Ale szkoda by mi było się z tobą żegnać.

Zniknął w korytarzu. Jego kroki odbijały się echem po kamiennej posadzce.

Siedziałam jeszcze przez chwilę, dłubiąc w śniadaniu, rozważając, co Mikołaj powiedział na pożegnanie. Potem się otrząsnęłam. Nie miałam czasu na analizowanie jego motywów. Za kilka godzin rada wojenna się spotka, by omówić strategię oraz metody obrony przed Darklingiem. Miałam wiele do zrobienia, by się przygotować, lecz wcześniej musiałam złożyć wizytę.

Zapinając guziczki w kształcie słońca na mojej złoto-granatowej kefcie, pokręciłam głową melancholijnie. Baghra bezzwłocznie wykpi moją nową afektację. Uczesałam włosy, po czym wymknęłam się z Małego Pałacu wejściem Darklinga i przeszłam w stronę jeziora. Służąca, z którą rozmawiałam, powiedziała, że wkrótce po zimowej fecie Baghra zachorowała i że od tamtej pory nie przyjmuje uczniów. Oczywiście ja znałam prawdę. W noc przyjęcia Baghra wyjawiała plany Darklinga i pomogła mi uciec z Małego Pałacu. Potem starała się zyskać dla mnie na czasie, ukrywając moją nieobecność. W żołądku mnie ścisnęło na myśl o jego gniewie, gdy odkrył jej obłudę. Kiedy próbowałam wydobyć więcej szczegółów od roztrzęsionej służącej, dygnęła tylko niezdarnie i czmychnęła z pokoju. Niemniej Baghra żyła i była na miejscu. Darkling mógł zniszczyć całe miasto, ale wyglądało na to, że nawet on nie poważy się zamordować własnej matki.

Ścieżka do Baghry zarosła jeżynami. Letni las był gęsty i pachniał cierpko liśćmi oraz wilgotną glebą. Przyśpieszyłam kroku, zdziwiona tym, jak bardzo chcę ją zobaczyć. W najlepsze dni była wymagającą nauczycielką i kobietą przykrą w obejściu,

ale próbowała mi pomóc, kiedy nikt inny tego się na to nie zdobył. Wiedziałam też, że jest moją największą szansą na rozwikłanie zagadki trzeciego wzmacniacza Morozova.

Wspięłam się po trzech stopniach przed chatą i zapukałam. Nikt nie odpowiedział. Zapukałam ponownie, a potem otworzyłam drzwi, wzdragając się, gdy poraził mnie znajomy żar. Baghrze zawsze było zimno, a wejście do jej chatki przypominało bycie wepchniętym do piekarnika.

Niewielki, ciemny pokój był dokładnie taki, jaki, go zapamiętałam: skąpo umeblowany najpotrzebniejszymi sprzętami, w piecu kaflowym szalał ogień, a przy nim Baghra w wypłowiałej kefcie. Ze zdziwieniem zobaczyłam, że nie jest sama. Siedział przy niej młodzietki, ubrany na szaro służący. Kiedy weszłam, podniósł się i spojrzał na mnie przez mrok.

- Żadnych gości - powiedział.

- Z czyjego rozkazu?

Słyszając mój głos, Baghra podniosła oczy ostro. Walnęła laską o ziemię.

- Wyjdź, chłopcze - rozkazała.

- Ale...

- Won! - warknęła.

„Miła jak zawsze” - pomyślałam nieufnie. Chłopiec przemknął przez pomieszczenie i wybiegł na zewnątrz bez dalszych słów. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, kiedy Baghra powiedziała:

- Zastanawiałam się, kiedy tu trafisz, ty mała Świętoszko.

Można było liczyć na to, że Baghra użyje jedyne przydomka, którego nie chciałam słyszeć.

Byłam już spocona i nie miałam najmniejszej chęci zbliżyć się do ognia, lecz i tak przeszłam przez pokój i usiadłam na stołeczku, który zwolnił służący.

Kiedy się zbliżała, odwróciła się do płomieni, pokazując mi plecy. Miała dziś humorek. Zignorowałam zniewagę. Siedziałam chwilę w milczeniu, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Mówiono mi, że po moim wyjeździe zapadłaś na zdrowiu.

- Hmf.

Nie chciałam wiedzieć, ale zmusiłam się, by zapytać.

- Co ci zrobił?

Zaśmiała się sucho.

- Mniej niż mógł. Więcej niż powinien.

- Baghro...

- Miałaś jechać do Nowoziemska. Miałaś zniknąć.

- Staralam się.

- Nie, ruszyłaś na łowy - powiedziała szyderczo i walnęła laską w ziemię. - A co znalazłaś? Ładny naszyjnik, który będziesz nosić do końca życia? Zbliź się - powiedziała. - Chcę wiedzieć, za co zapłaciłam.

Pochyliłam się uczynnie. Kiedy się do mnie odwróciła, zaparło mi dech w piersi.

Odkąd ostatni raz ją widziałam, Baghra postarzała się o dziesiątki lat. Czarne włosy miała rzadkie i siwiejące. Ostre rysy się rozmyły. Napięta rana jej ust wydawała zapadła i miękka.

Lecz to nie dlatego się wzdrygnęłam. Baghra straciła oczy. W ich miejscu ziały dwie czarne otchłanie. W ich przepastnych głębinach wiły się cienie.

- Baghro - wykrztusiłam. Wyciągnęłam do niej dłoń, ale odsunęła się.

- Daruj sobie litość, dziewczyno.

- Co... co on ci zrobił? - szepnęłam z trudem.

Znowu zaśmiała się szorstko.

- Zostawił mnie w ciemności.

Głos miała silny, lecz siedząc przy ogniu, uświadomiłam sobie, że tylko to się w niej nie zmieniło. Dawniej była szczupła i twarda, o ostrej jak nóż sylwetce akrobatki. Teraz jej pradawne dłonie lekko drżały, a żylaste niegdyś ciało wydawało się po prostu zabiedzone i słabowite.

- Pokaż mi - powiedziała i wyciągnęła rękę.

Nie ruszałam się i pozwoliłam dotknąć swojej twarzy. Powykrzywiane palce poruszały się jak dwa białe pająki, muskając moje łzy bez zainteresowania, pełzając po moich policzkach ku gardłu, gdzie spoczęły na obroży.

- Ach - westchnęła, śledząc palcami chropowate poroże na mojej szyi. Głos miała łagodny, niemal melancholijny. - Żałuję, że nie widziałam jelenia.

Miałam ochotę przekrzywić głowę, odwrócić wzrok od wzbierających czarnych czeluści jej oczu. Zamiast tego podwinęłam rękaw i złapałam ją za rękę. Próbowwała się odsunąć, lecz chwyciłam mocniej i położyłam jej palce na bransolecie na moim nadgarstku. Zamarła.

- Nie - powiedziała. - Niemożliwe.

Macała wzdłuż krawędzi łusek węża morskiego.

- Rusak - szepnęła. - Coś ty zrobiła, dziewczyno?

Jej słowa dodały mi nadziei.

- Wiesz o pozostałych wzmacniaczach.

Skrzywiłam się, kiedy wpiła mi palce w nadgarstek.

- Czy to prawda? - zapytała raptownie. - To, co o nim mówią... że potrafi ożywić cień?

- Tak - przyznałam.

Zgarbione ramiona jeszcze bardziej się zapadły. Potem odtrąciła moją dłoń jak coś wstrętnego.

- Wynoś się stąd.

- Baghro, potrzebuję twojej pomocy.

- Powiedziałam! Wynoś się stąd.

- Proszę. Muszę wiedzieć, gdzie znaleźć ognistego ptaka.

Jej zapadłe usta lekko zadrżały.

- Raz zdradziłam swojego syna, mała Świętoszko. Dlaczego sądzisz, że znowu to zrobię?

- Chciałaś go powstrzymać - powiedziałam z wahaniem. - Chciałaś...

Baghra walnęła w ziemię laską.

- Chciałam go powstrzymać przed przemianą w potwora! Ale na to już za późno, prawda? Dzięki tobie jeszcze mniej w nim z człowieka niż kiedykolwiek. Dawno stracił szansę na odkupienie.

- Być może - przyznałam. - Ale Ravkę wciąż można ocalić.

- A co mnie obchodzi los tego żalosego kraju? Taki piękny jest ten świat, że twoim zdaniem warto go ratować?

- Tak - powiedziałam. - I wiem, że ty też tak uważasz.

- Tego, co wiesz, na placek by nie starczyło, dziewczyno.

- Dobra! - powiedziałam. Desperacja pokonała poczucie winy. - Jestem kretyką. Jestem głupia. Jestem beznadziejna. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Nie da ci się pomóc. Twoją jedyną nadzieją była ucieczka.

- Powiedz mi, co wiesz o Morozowie - błagałam. - Pomóż mi znaleźć trzeci wzmacniacz.

- Nawet się nie domyślam, gdzie znaleźć ognistego ptaka, a gdybym wiedziała, to bym ci nie powiedziała. Teraz chcę tylko mieć ciepły pokój i umrzeć w spokoju.

- Mogę ci odebrać ten pokój - powiedziałam gniewnie. - Twój ogień, posłusznego sługę. Może wtedy język ci się rozwiąże.

Jak tylko słowa wyleciały mi z ust, chciałam je cofnąć. Zalała mnie chorobliwa fala wstydu. Czy ja naprawdę właśnie groziłam ślepej, starej kobiecie?

Baghra zaśmiała się grzechotliwym, jadowitym rechotem.

- Widzę, że pasuje ci władza, dziewczyno. Rosnąc, będzie łaknęła więcej. Podobne wzywa podobne, dziewczyno.

Jej słowa przeszły mnie lękiem.

- Ja nie chciałam - powiedziałam słabo.

- Nie możesz pogwałcić reguł rządzących światem, nie płacąc za to ceny. Tych wzmacniaczy miało nigdy nie być. Żaden Grisza nie powinien mieć takiej mocy. Już się zmieniasz. Znajdź trzeci, użyj go, a stracisz siebie całkowicie, kawałek po kawałku. Chcesz mojej pomocy? Chcesz wiedzieć, co robić? Zapomnij o ognistym ptaku. Zapomnij o Morozovie i jego szaleństwie.

Pokręciłam głową.

- Nie mogę tego zrobić. Nie zrobię tego.

Odwróciła się do ognia.

- To rób, co chcesz, dziewczyno. Skończyłam z tym życiem i skończyłam z tobą.

Czego się spodziewałam? Że powita mnie jak córkę? Jak przyjaciółkę? Straciła miłość syna i poświęciła wzrok, a ja w ostatecznym rozrachunku ją zawiodłam. Chciałam zaprzeczyć się i żądać pomocy. Chciałam jej grozić, nakłaniać ją, paść na kolana i błagać o przebaczenie za wszystko, co straciła, i za każdy błąd, jaki popełniłam.

Zamiast tego zrobiłam to, czego cały czas chciała. Odwróciłam się i uciekłam.

Niewiele brakowało, a wybiegając z chaty, straciłabym równowagę, lecz u stóp schodów czekał służący. Podał mi rękę, nim upadłam.

Nabrałam powietrza głęboko z wdzięcznością, czując, jak pot stygnie mi na skórze.

- Czy to prawda? - spytał. - Naprawdę jesteś Przyzywaczką Słońca?

Zerknęłam na jego rozjaśnioną nadzieją twarz i poczułam w gardle ścisk łez. Pokiwałam głową i próbowałam się uśmiechnąć.

- Mama mówi, że jesteś Świętą.

„A w jakie jeszcze bajki wierzy?” - pomyślałam z goryczą.

Zanim narobiłam sobie wstydu i wybuchnęłam płaczem na jego rachitycznym ramieniu, minęłam go i pognałam wąską ścieżką.

Kiedy dotarłam na brzeg jeziora, przeszłam do jednego z białych, kamiennych pawilonów Przyzywaczy. Nie były to pełne budynki, lecz zadaszone konstrukcje, gdzie młodzi Przyzywacze mogli poćwiczyć używanie swoich darów bez lęku, że zdmuchną dach znad szkoły albo podpałą Mały Pałac. Usiadłam w cieniu schodów pawilonu i nakryłam głowę rękoma, starając się stłumić łzy i złapać oddech. Taka byłam pewna, że Baghra będzie coś wiedzieć o ognistym ptaku, i taka przekonana, że będzie chciała pomóc. Nie zdawałam sobie sprawy, ile wiązałam z nią nadziei, póki nie przepadły.

Wygładziłam lśniące fałdy kefry na kolanach i musiałam zdusić szloch. Sądziłam, że Baghra mnie wyśmiej, wykpi małą Świętą wystrojoną w najlepsze ubrania. Dlaczego wierzyłam, że Darkling okaże swojej matce miłosierdzie?

I dlaczego tak się zachowałam? Jak mogłam zagrozić, że odbiorę jej te parę wygód? Było to tak wstrętne, że zrobiło mi się niedobrze. Mogłam zwalić winę na desperację, ale nie umniejszało to mojego wstydu. Nie zmieniało też faktu, że pewna cząstka mnie miała ochotę pomaszerować z powrotem do jej chaty i spełnić groźby, wyciągnąć ją na światło słońca i wydusić odpowiedzi z kwaśnych, zapadłych ust. Co się ze mną działo?

Wyjęłam swój egzemplarz *Istorii Sanktja* z kieszeni i przesunęłam dłonią po wytartej, skórzanej oprawie. Oglądałam ją tyle razy, że książeczka sama się otworzyła na ilustracji przedstawiającej Świętego Ilię, choć teraz po katastrofie „Kolibra” kartki były rozmokłe.

Święty Grisza? Czy kolejny chciwy głupiec, który nie mógł się oprzeć pokusie władzy? Chciwy głupiec taki jak ja. „Zapomnij o Morozovie i jego szaleństwie”. Przejechałam palcem po krzywiźnie łuku. Mogło to być bez znaczenia. Mogło to być nawiązanie do przeszłości Ilii, która nie miała nic wspólnego ze wzmocniami, mogła to być po prostu fantazja artysty. Nawet jeśli mieliśmy rację i było to coś w rodzaju drogowskazu, mógł on znajdować się wszędzie. Mikołaj zjeździł większość Ravki, a nigdy go nie widział. Równie dobrze mógł pójść w rozsypkę setki lat temu.

W szkole po drugiej stronie jeziora zadzwonił dzwonek i na zewnątrz wybiegła czeredka dzieci. Pokrzykiwały, śmiały się, chciały się bawić w letnim słońcu. Pomimo katastrof ostatnich miesięcy szkoła nadal działała. Gdyby jednak okazało się, że Darkling nadciąga, musiałabym ją ewakuować. Nie chciałam, żeby dzieci znalazły się na drodze nisztai.

„Wół czuje jarzmo, lecz czy ptak odczuwa ciężar skrzydeł?”

Czy Baghra naprawdę tak do mnie powiedziała? Czy usłyszałam to jedynie we śnie?

Wstałam i otrzepałam keftę z pyłu. Nie wiedziałam, co bardziej mną wstrząsnęło - odmowa pomocy ze strony Baghry czy to, jaka wydawała się zniszczona. Nie była zwykłą starą kobietą, lecz osobą pozbawioną nadziei, a ja przyczyniłam się do tego, że ją utraciła.

15.

Pomimo złowrogiej nazwy uwielbiałam pokój wojenny. Jako kartografka nie mogłam się oprzeć starym mapom wyrobionym na zwierzęcej skórze i zdobnym w kapryśne detale: złoconą latarnię morską w Os Kervo, górskie świątynie Szuhańczyków, syreny opływające brzegi mórz.

Powiodłam wzrokiem wokół stoku po twarzach Griszów - niektóre z nich znałam, inne były nowe. Każde z nich mogło szpiegować dla Darklinga, króla, Apparata. Każde z nich mogło wypatrywać szansy, by mnie usunąć i przejąć władzę.

Tolia i Tamar stali za drzwiami, więc na wypadek kłopotów wystarczyłoby, bym krzyknęła, lecz to obecność Mala dawała mi spokój. Siedział po mojej prawicy w swoim samodzielnym ubraniu z glorią przypiętą do serca. Nie znosiłam myśleć o tym, że tak szybko wyjedzie na polowanie, lecz musiałam przyznać, że przydałoby mu się jakieś zajęcia. Mal się szczycił tym, że był żołnierzem, i chociaż starał się to ukryć, wiedziałam, że królewski wyrok mu ciąży. To, że się domyślał, iż coś przed nim ukrywam, nie pomagało.

Siergiej siedział po prawej stronie Mala nadąsany, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Nie był zadowolony, że siedzi obok strażnika-otkazacji, a jeszcze mniej mu odpowiadało, że nalegałam, by bezpośrednio po mojej lewej stronie - na honorowym miejscu - usiadła Fabrykatorka. Była to Sulitka imieniem Paża, której wcześniej nie spotkałam. Miała ciemne włosy i prawie czarne oczy, zaś czerwony haft na mankietach jej purpurowej kefty wskazywał, że zaliczała się do Alkemików - Fabrykatorów specjalizujących się w chemikaliach, takich jak proszki wybuchowe czy trucizny.

David siedział dalej. Mankiety miał wyszywane na szaro. Pracował w szkłe, stali, drewnie, kamieniu - wszystkim, co

twarde. David był Trwalistą. Wiedziałam, że był najlepszy w swoim fachu, bo Darkling wybrał go, by stworzył moją obrożę. Potem był Fedior, a przy nim Zoja, jak zawsze olśniewająca w błękitnie Eterealników.

Naprzeciwno Zoi siedział Pavel - ciemnoskóry Infernik, który poprzedniego dnia tak ostro przeciwko mnie wystąpił. Miał ściągnięte rysy twarzy i ułamany ząb, który lekko świszczął, kiedy Pavel mówił.

Pierwsza część spotkania upłynęła na rozmowie o liczbie Griszów w różnych placówkach na terenie Ravki oraz o tych, którzy mogą się ukrywać. Zoja zasugerowała, by rozesłać posłańców, którzy rozgłosiliby nowinę o moim powrocie oraz zaoferowali pełne ułaskawienie tym, którzy poprzysięgną wierność Przyzywaczce Słońca. Blisko godzinę omawialiśmy warunki i formułę ułaskawienia. Wiedziałam, że będę musiała przekazać to Mikołajowi, aby król to zaaprobował, i chciałam stąpać ostrożnie. Wreszcie zgodziliśmy się na „lojalność wobec tronu Ravki oraz wobec Drugiej Armii”. Nikt nie był zadowolony, więc byłam prawie pewna, że trafiliśmy.

To Fedior poruszył kwestię Apparata.

- Niepokojące, że tak długo udaje mu się wymykać.

- Próbował się z tobą kontaktować? - zapytał mnie Pavel.

- Nie - odparłam. Jego twarz wyrażała sceptycyzm.

- Widziano go w Kerskim i w Rievosti - rzekł Fedior. - Zjawia się nagle, by nauczać, po czym znika, nim żołnierze króla go namierzą.

- Trzeba rozważyć zabójstwo - powiedział Siergiej. - Robi się zbyt potężny i może wciążyć by w zмовie z Darklingiem.

- Trzeba by go najpierw znaleźć - zauważyła Paża.

Zoja machnęła ręką z wdziękiem.

- A jaki to ma sens? Wydaje się zdeterminowany, by rozszewnić wieści o Przyzywacze Słońca oraz pogłoski o tym, że jest Świętą. Najwyższa pora, by ludzie mieli trochę szacunku dla Griszów.

- Nie dla Griszów - poprawił Pavel i wskazał mnie podbródkiem buńczucznie. - Dla niej.

Zoja wzruszyła eleganckim ramieniem.

- To lepsze, niż żeby lżyli nas od wiedzów i zdrajców.

- Niech król odwali brudną robotę - powiedział Fedior. - Niech on znajdzie Apparata, straci go i niech on cierpi gniew ludu.

Nie mogłam uwierzyć, że spokojnie rozważaliśmy morderstwo. Nie byłam też pewna, czy chcę śmierci Apparata. Kapłan miał się z czego tłumaczyć, ale nie byłam przekonana, że nadal pracuje z Darklingiem. Poza tym dał mi *Istorii Sanktja*, a to oznaczało, że stanowił potencjalne źródło informacji. Gdyby został pojmany, mogłam liczyć jedynie na to, że z rozkazu króla dożyje przesłuchania.

- Myślisz, że on w to wierzy? - zapytała Zoja, mierząc mnie wzrokiem. - Że jesteś Świętą, która powstała z martwych?

- Nie jestem pewna, czy to robi jakąś różnicę.

- Cóż, dobrze byłoby wiedzieć, w jakim stopniu jest szalony.

- Wolałbym walczyć ze zdrajcą niż z fanatykiem - powiedział Mal cicho. Pierwszy raz się odezwał. - Możliwe, że mam jeszcze paru znajomych w Pierwszej Armii, którzy będą ze mną rozmawiać. Krążą plotki o tym, że żołnierze do niego uciekają, a skoro tak, to muszą wiedzieć, gdzie on jest.

Zerknęłam na Zoję. Spoglądała na Mala tymi niemożliwie niebieskimi oczyma. Miałam wrażenie, że pół spotkania macha do niego rżęsami. A może sobie to uroiłam. Była potężną Szkwalniczką i potencjalnym sprzymierzeńcem. Lecz była także

jedną z faworyt Darklinga, a to zdecydowanie sprawiało, że trudno było jej zaufać.

Prawie zaśmiałam się w głos. Komu chcę zamydlić oczy? Nie cierpiałam samego siedzenia z nią w pokoju. Ona wyglądała jak Święta. Delikatne kości, błyszczące czarne włosy, idealna cera. Brakowało jej tylko nimbu. Mal nie zwracał na nią uwagi, lecz ścisnęło mnie w żołądku i myślałam, że ignoruje ją zbyt rozmyślnie. Wiedziałam, że mam ważniejsze zmartwienia niż Zoja. Musiałam przewodzić armii i ze wszech stron otaczali mnie wrogowie, lecz nie mogłam się powstrzymać.

Zrobiłam wdech i spróbowałam się skupić. Najtrudniejsza część zebrania miała dopiero nastąpić. Choć bardzo chciałam zwinąć się w kłębek w cichym i ciemnym miejscu, pewne kwestie należało poruszyć.

Rozejrzałam się dookoła stołu i oznajmiłam:

- Musicie wiedzieć, z czym się mierzymy.

Zapadka cisza. Jak gdyby rozbrzmiał dzwon, jak gdyby wszystko wcześniej było grą, a teraz rozpoczęło się właściwe spotkanie.

Kawałek po kawałku wyłożyłam, co wiedziałam o nisztójach, o ich sile, wielkości, niemalże całkowitej odporności na pociski i ostrza, a przede wszystkim o tym, że nie boją się światła słońca.

- Lecz uciekłaś - zauważyła Paża niepewnie - więc muszą być śmiertelne.

- Moja moc może je zniszczyć. To bodaj jedyne, po czym nie dochodzą do siebie. Nie jest to jednak łatwe. Wymaga to Cięcia, a ja nie jestem pewna, ile z nich dam radę wykonać naraz. - Nie wspominałam o drugim wzmacniaczu. Wiedziałam, że nawet z jego pomocą nie zdołam oprzeć się napaści kompletnej armii cienia, a tak czy owak bransoletę zamierzałam zachować w tajemnicy, przynajmniej na razie. - Wymknęliśmy się tylko

dlatego, że księżę Mikołaj wywiódł nas poza zasięg Darklinga - ciągnęłam. - Wyglądało na to, że potrzebują być blisko pana.

- Jak blisko? - zapytał Pavel.

Popatrzyłam na Mała.

- Trudno powiedzieć - odparł. - Milę morską. Może dwie.

- Czyli jego moc ma granice - powiedział Fedior ze sporą dozą ulgi.

- Jak najbardziej. - Cieszyło mnie, że mogę przekazać jakąś nie całkiem ponurą wiadomość. - Aby dostać się do nas, będzie musiał wkroczyć do Ravki ze swoją armią. To oznacza, że zostaniemy ostrzeżeni, a on będzie narażony na ryzyko. Nie może ich przyzwać tak, jak przywołuje ciemność. Wysilek sporo go kosztuje.

- To dlatego, że nie jest to moc Griszów - rzeki David. - To mierzost.

Po ravnzańsku na określenie magii i abominacji używano tego samego słowa. Podstawy grizaickiej teorii mówiły, że materii nie można stworzyć z niczego. Lecz to była doktryna Nauki Mniejszej. Mierzost to było coś innego - zepsucie tworzenia w sercu świata.

David bawił się luźną nitką przy rękawie.

- Ta energia - ta materia skądś się musi brać. Musi pochodzić od niego.

- Ale jak on to robi? - spytała Zoja. - Istniał kiedyś Grisza, który miał taką moc?

- Pytanie tkwi w tym, jak z nimi walczyć - powiedział Fedior.

Rozmowa potoczyła się w stronę obrony Małego Pałacu oraz potencjalnych korzyści ze stawienia czoła Darklingowi na polu walki. Ja jednak przyglądałam się Davidowi. Kiedy Zoja spytała go o innych Griszów, pierwszy raz od mojego przybycia do

Małego Pałacu spojrział prosto na mnie. Cóż, niedokładnie na mnie, ale na moją obrożę. Natychmiast wznowił gapienie się w stół, ale jeśli to w ogóle możliwe, zachowywał się jeszcze bardziej nieswojo niż wcześniej. Zastanawiałam się, co może wiedzieć o Morozowie. Poza tym też chciałam poznać odpowiedź na pytanie Zol. Nie wiedziałam, czy mam umiejętności i czelność, by się na to ważyć, ale czy dałoby się przyzwać żołnierzy światła do walki z armią cieni Darklinga? Czy taką potęgę mogą mi dać trzy wzmacniacze?

Chciałam spróbować porozmawiać z Davidem na osobności po zebraniu, lecz wyszedł, jak tylko skończyliśmy. Wszelkie zakusy na to, by dopaść go po południu w warsztatach Materialników, spełzły na niczym z powodu stert papierów, które oczekiwały mnie w moich pokojach. Długie godziny spędziłam, przygotowując ulaskawienie dla Griszów i podpisując niezliczone dokumenty, zapewniające fundusze oraz zaopatrzenie dla przyczółków, które na rubieżach Ravki chciała odtworzyć Druga Armia. Siergiej próbował wypełniać część obowiązków Darklinga, ale sporej części pracy po prostu nikt nie dopilnował.

Wszystko zdawało się napisane w możliwie najbardziej mętny sposób. Musiałam bez końca czytać prośby, które powinny być proste. Kiedy trochę papierów mi ubyło, już byłam spóźniona na obiad - mój pierwszy posiłek w sali pod kopułą. Wołałabym zjeść u siebie w pokoju, ale ważne było, abym zaznaczyła swoją obecność w Małym Pałacu. Chciałam się też upewnić, że wypełnia się moje rozkazy i że Griszowie rzeczywiście mieszają Zakony.

Zasiadłam przy stole Darklinga. Starłam się poznać nieznanych mi Griszów oraz nie dawać im wymówek, by stworzyli nową elitę, postanowiłam więc, że co wieczór kto inny będzie ze mną jadał. Pomysł był fajny, ale brakowało mi luzu Mała albo uroku

Mikołaja. Rozmowa się nie kleiła i przerywało ją niezręczne milczenie.

Na oko przy pozostałych stołach sprawy nie toczyły się dużo lepiej. Griszowie siedzieli ramię w ramię w gmatwaninie czerwieni, purpury i błękitu, prawie się do siebie nie odzywając. Od pękniętej kopuły odbijał się echem brzęk sztućców. Fabrykatorzy nie rozpoczęli jeszcze napraw.

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy wrzeszczeć. Zupełnie jak gdybym poprosiła ich, żeby zjedli kolację u boku wilkra. Przynajmniej Siergiej i Marie wydawali się zadowoleni, chociaż Nadia wyglądała, jakby miała ochotę utopić się w maselnicy, kiedy się czulili i przytulali tuż przy niej. Pewnie cieszyłam się ich szczęściem. Trochę im też zazdrościłam.

Policzyłam cicho - czterdzieścioro, może pięćdziesięcioro Griszów, większość świeżo po szkole. „Też mi armia” - pomyślałam z westchnieniem. Moje świetne władanie marnie się zaczynało.

Mał zgodził się jechać na polowanie, więc następnego ranka wstałam wcześniej, żeby go odprowadzić. Zaczynałam zdawać sobie sprawę, że w Małym Pałacu będziemy mieli mniej czasu dla siebie niż w trasie. Tolia, Tamar i bezustannie czający się służący sprawiali, że zaczynałam myśleć, iż już nigdy nie będziemy sami.

Poprzedniej nocy leżałam w łóżku Darklinga, wspominałam, jak Mał całował mnie w daczę, i zastanawiałam się, czy usłyszę jego pukanie do drzwi. Rozważałam nawet, czy by nie przejść przez westybul i nie zapukać do kwatery gwardii, ale nie byłam pewna, kto trzyma wartę, a na myśl o tym, że na pukanie odpowiedzą Tolia albo Tamar, zjeżyłam się cała z zażenowania. W końcu

znużenie musiało zdecydować za mnie, bo ani się obejrzałam, a był już ranek.

Zanim doszłam do fontanny z podwójnym orłem, na drodze do bramy pałacu roiło się od ludzi i koni: Wasyl wraz zaprzyjaźnionymi arystokratami w insygniach do polowania, oficerowie Pierwszej Armii w szykownych mundurach, a za nimi legion służby w barwach białej i złotej.

Zastałam Mała, jak poprawiał siodło w pobliżu grupki królewskich tropicieli. Łatwo było go wypatrzyć w jego kmiecym samodziale. Na plecach miał nowy, lśniący łuk oraz kołczan strzał zwieńczonych piórami w barwach ravnzańskigo króla - bladobłękitnym i złotym. Podczas ravnzańskigo formalnego polowania nie wolno było stosować broni palnej, ale zauważyłam, że wielu spośród sług miało na plecach strzelby - na wypadek gdyby zwierzęta przerosły szlachetnych panów.

- Niezły pokaz - powiedziała, podchodząc do niego. - Ilu ludzi trzeba, żeby upolować parę dzików?

Mał parsknął.

- To jeszcze nic. Przed świtem wyruszyła inna grupka służących, by rozbić obóz. Niech Święci bronią, by księżę Ravki musiał poczekać na herbatę.

Zadęto w róg i jeźdźcy zaczęli formować orszak wśród stukotu kopyt i brzęku strzemion. Mał pokręcił głową i zaciągnął mocno popręgi.

- Lepiej, żeby te dziki były głuche - mruknął.

Rozejrzałam się wkoło po migotliwych mundurach i wypolerowanych na błysk butach.

- Może powinnam była wyposażyć cię w coś bardziej... świecącego.

- Nie bez powodu pawie to nie ptaki drapieżne - powiedział z uśmiechem. Był to szczery, otwarty uśmiech - od dawna takiego nie widziałam.

„Ciesz się, że jedzie” - uświadomiłam sobie. „Narzeka, ale jest zadowolony”. Starłam się nie brać tego do siebie.

- A ty jesteś jak sokół? - spytałam.

- Otóż to.

- Czy jak przerośnięty gołąb?

- Zostańmy przy sokole.

Inni dosiadali wierzchowców i kierowali konie w dół zwirowej ścieżki w stronę reszty wyprawy.

- Chodźmy, Orecev - zawołał tropiciel o blond włosach.

Nagle poczułam się niezręcznie, dojmująco świadoma otaczających nas ludzi, ich dociekliwych spojrzeń. Pewnie złamałam jakieś zasady przez samo to, że przyszłam tu się pożegnać.

- Cóż - poklepałam bok konia - baw się dobrze. Postaraj się nikogo nie zastrzelić.

- Zrobi się. Zaraz, nie strzelać do nikogo?

Uśmiechnęłam się, lecz było to nieco wymuszone. Staliśmy chwilę dłużej, a między nami panowało milczenie. Chciałam go objąć, wtulić twarz w jego szyję i kazać mu obiecać, że nic się mu nie stanie. Ale tego nie zrobiłam. Uśmiechnął się melancholijnie. Ukłonił się.

- Soverena maja - powiedział, a mnie ścisnęło się serce. Dosiadł konia i popędził go, rozplywając się w morzu jeźdźców sunącym w stronę złotej bramy. Wróciłam do Małego Pałacu w ponurym nastroju. Było wcześniej, lecz już robiło się ciepło. Tamar czekała na mnie na końcu lesistego tunelu.

- Wróci niebawem - powiedziała. - Nie ma powodu wyglądać tak posępnie

- Wiem - odparłam, czując się niemądrze. Gdy przechodziłyśmy przez trawnik, zdobyłam się na śmiech: - W Keramzinie miałam lalkę zrobioną ze starej skarpety, z którą rozmawiałam, ilekroć był na polowaniu. Może to poprawiłoby mi humor.

- Dziwna była z ciebie dziewczynka.

- Nie masz pojęcia. Czym ty i Tolia się bawiliście?

- Czaszkami naszych wrogów.

Zobaczyłam błysk w jej oku i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

W salach treningowych Tamar i ja widziałyśmy się chwilę z Botkinem - instruktorem szkolącym Griszów do walki fizycznej. Stary najemnik momentalnie stracił głowę dla Tamar i zaczęli jazgotać do siebie po suhańsku. Minęło prawie dziesięć minut, nim udało mi się poruszyć kwestię trenowania Fabrykatorów.

- Botkin każdego nauczy walczyć - powiedział ze swoim zwykłym mocnym akcentem. W przyćmionym świetle blizna na jego szyi wydawała się lśnić perłowo. - Dziewczynkę nauczył, nie?

- Tak - przyznałam, krzywiąc się na wspomnienie wyczerpujących treningów Botkina i łomotu, jaki spuścił mi wiele razy.

- Ale mała dziewczynka już nie taka mała - zauważył, patrząc na złoty kolor mojej kefty. - Wróc trenować z Botkinem. Dużą dziewczynę biję tak samo jak małą.

- Bardzo to egalitarnie z twojej strony - powiedziałam i pogoniłam Tamar ze stajni, zanim Botkin postanowi mi pokazać, jaki potrafi być sprawiedliwy.

Prosto ze stajni udałam się na kolejną naradę wojenną, potem zdążyłam się przeczesać i lekko otrzepać keftę, i już musiałam

wracać do Wielkiego Pałacu, by wraz z Mikołajem uczestniczyć w spotkaniu, na którym doradcy króla przedstawiali obronność Os Alty.

Miałam poczucie, że Mikołaj i ja jesteśmy dziećmi, które wtargnęły na spotkanie dorosłych. Doradcy jasno dali do zrozumienia, że ich zdaniem tracimy ich czas. Lecz na Mikołaju nie robiło to wrażenia. Zadawał wyważone pytania o uzbrojenie, liczbę żołnierzy rozstawionych na murach miasta, system ostrzegawczy na wypadek ataku. Niebawem doradcy przestali spoglądać na niego z góry i rozprawiali z nim w najlepsze. Dopytywali o broń, którą przewiózł przez Falde, oraz o jej możliwe zastosowania.

Kazał mi pokrótce opisać nisztroje, aby uzasadnić potrzebę nowej broni także dla Griszów. Doradcy odnosili się do Drugiej Armii bardzo podejrzliwie, ale kiedy wracaliśmy do Małego Pałacu, Mikołaj zbył to.

- Z czasem się przekonają - powiedział. - Dlatego musisz tu być - by ich uspokoić oraz pomóc im zrozumieć, że Darkling nie przypomina innych ich wrogów.

- Myślisz, że o tym nie wiedzą? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Nie chcą o tym wiedzieć. Jeśli uda im się zachować przeświadczenie, że z Darklingiem da się targować albo go poskromić, nie będą musieli stawiać czoła rzeczywistości.

- Nie dziwię im się - powiedziałam ponuro. Dobrze sobie pogadać o wojakach, murach i ostrzeżeniach, ale wątpiłam, czy to wszystko przyniesie jakiś rezultat w walce przeciwko Darklingowym żołnierzom cienia.

Kiedy wyszliśmy z tunelu, Mikołaj zagadnął:

- Przespacerujesz się ze mną nad jezioro?

Zawahałam się.

- Obiecuję, że nie padnę na kolana, by snuć ballady o twej urodzie. Chcę ci tylko coś pokazać.

Policzki mi pokraśniały, a Mikołaj wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dowiedz się, czy Korporalnicy nie poradzą na ten rumieniec - rzucił i obszedł Mały Pałac w drodze nad jezioro.

Kusiło mnie, by za nim pójść, choćby po to, by nie odmówić sobie przyjemności pchnięcia go. Chociaż... czy Korporalnicy mogliby zaradzić temu, że się czerwienię? Wyrzuciłam z głowy tę nedorzeczną myśl. Gdybym poprosiła, żeby Korporalnik zajął się moim rumieńcem, wyśmialiby mnie tak, że śladu by po mnie w Małym Pałacu nie zostało.

Mikołaj przystanął na ścieżce w połowie drogi nad jezioro. Podeszłam do niego. Wskazał palcem kawałek plaży na przeciwległym brzegu, nieopodal szkoły.

- Chcę tam zbudować pomost.

- Dlaczego?

- Żebym mógł odbudować „Kolibra”.

- Naprawdę nie potrafisz usiedzieć na miejscu, prawda? Mało ci jeszcze?

Zmrużył oczy, patrząc na migotliwą powierzchnię wody.

- Alino, mam nadzieję, że uda nam się pokonać Darklinga. Ale jeśli będzie inaczej, musimy znaleźć sposób, by się stąd wydostać.

Wbiłam z niego wzrok.

- A co z pozostałymi Griszami?

- Nie mogę nic dla nich zrobić.

Nie mogłam uwierzyć, co sugeruje.

- Nie będę uciekać.

- Miałam przeczucie, że to powiesz - przyznał z westchnieniem.

- A ty? - zapytałam gniewnie. - Odlecisz sobie, a nas zostawisz, byśmy walczyli z Darklingiem?

- Daj spokój - powiedział. - Dobrze wiesz, że zawsze chciałem mieć pogrzeb jak bohater. - Znów zapatrzył się w jezioro. - Z chęcią polegnę w walce, ale nie chcę zostawiać rodziców na pastwę Darklinga. Dasz mi dwoje Szkwalników do trenowania?

- To nie są dary, Mikołaju - odparłam, myśląc o tym, jak Darkling sprezentował Genię królowej. - Ale zapytam, czy są ochotnicy. Tylko im nie mów, po co trenują. Nie chcę, by inni stracili odwagę. - Ani zaczęli rywalizować o miejsce na statku. - Jeszcze jedno. Chcę, żebyś zostawił miejsce na pokładzie dla Baghry. Nie powinna ponownie mierzyć się z Darklingiem. Dość już przeżyła.

- Oczywiście. - Po chwili dodał: - Wciąż wierzę, że możemy zwyciężyć, Alino.

„Cieszę się, że ktoś w to wierzy” - pomyślałam posępnie i odwróciłam się w stronę pałacu.

16.

David znowu wymknął się po naradzie i udało mi się go złapać w warsztatach Fabrykatorów dopiero następnego dnia wieczorem. Siedział zgarbiony nad stertą planów. Palce miał poplamione atramentem.

Przysiadłam na zydlu obok niego i odkaslnęłam. Podniósł wzrok i zamrugał jak sowa. Był taki blady, że przez skórę widać było niebieskawy maswerk żył, i ktoś bardzo źle go ostrzygł.

„Pewnie sam to zrobił” - pomyślałam, kręcąc w duchu głową. Trudno było uwierzyć, że to w tym chłopaku tak bardzo Genia się zakochała.

Zerknął na obrożę na mojej szyi. Zaczął przestawiać przedmioty na stole, układając je w precyzyjne rzędy: kompas, grafitowe ołówki, pióra i kałamarze z różnokolorowymi atramentami, kawałki przezroczystego szkła i luster, jajko na twardo, które pewnie stanowiło jego posiłek, i niezliczone kartki rysunków oraz szkiców, których nie miałam szans zrozumieć.

- Nad czym pracujesz? - spytałam.

Znowu mrugnął.

- Nad naczyniami.

- Ach.

- Lustrzane misy - powiedział. - Na podstawie paraboli.

- Jakże to... ciekawe? - zaryzykowałam.

Podrapał się po nosie, zostawiając na nim wielką, niebieską smugę.

- Może uda się w ten sposób zwiększyć twoją moc.

- Jak lusterka w rękawiczkach? - Poprosiłam wcześniej, by Trwaliści je odtworzyli. Dysponując mocą dwóch wzmacniaczy, pewnie ich nie potrzebowałam. Lusterka jednak pozwalały mi skupić i wycelować światło. Poza tym zapewniały mi krzepiącą kontrolę.

- Coś w tym stylu - odparł David. - Jeśli mi się uda, będzie można użyć Cięcia w dużo większej skali.

- A jeśli ci się nie uda?

- Cóż, albo nic się nie stanie, albo osoba, która będzie tym władać, wyleci w powietrze.

- Brzmi obiecująco.

- Też tak sędę - odparł bez cienia humoru i wrócił do pracy.

- Davidzie - powiedziałam. Podniósł oczy z zaskoczeniem, jak gdyby zupełnie już zapomniał o mojej obecności. - Muszę cię o coś spytać.

Oczy znów mu uciekły w stronę obroży, potem wzbił wzrok w stół.

- Co możesz mi powiedzieć o Ilii Morozovie?

David wzdrygnął się i rozejrzał po pustym pomieszczeniu. Większość Fabrykatorów wciąż była na obiedzie. Było jasne, że jest zdenerwowany, może nawet przestraszony. Popatrzył na stół, podniósł kompas, odłożył go. W końcu szepnął:

- Nazywali go Kowalem Kości.

Przeszył mnie dreszcz. Pomyślałam o palcach i żebrach na stolikach przekupniów w Kribirsku.

- Dlaczego? - spytałam. - Przez wzmacniacze, które odkrył?

David podniósł wzrok z zaskoczeniem.

- On ich nie znalazł, tylko je stworzył.

Nie chciałam wierzyć własnym uszom.

- Mierzost?

Pokiwał głową. Więc to dlatego David spojrział na obrożę Morozova, kiedy Zoja spytała, czy jakikolwiek Grisza miał kiedyś taką władzę. Morozov igrał z tymi samymi mocami, co Darkling. Z magią. Skalaniem.

- Jak? - zapytałam.

- Nikt nie wie - odparł David i znów obejrzał się przez ramię. - Kiedy Czarny Heretyk zginął w wypadku, który stworzył Fałdę, jego syn wyszedł z ukrycia, by przejąć kontrolę nad Drugą Armią. Kazał zniszczyć wszystkie dzienniki Morozova.

Syn? Kolejny raz mierzyłam się ze świadomością, jak niewiele osób zna tajemnicę Darklinga. Czarny Heretyk nie zginął - od zawsze był tylko jeden Darkling, potężny Grisza, który od pokoleń rządził Drugą Armią, ukrywając prawdziwą tożsamość. Z tego, co wiedziałam, nie miał nigdy syna. I nie było mowy, by zniszczył coś tak cennego jak dzienniki Morozova. Na pokładzie wielorybnika powiedział, że nie we wszystkich księgach zakazano łączenia wzmacniaczy. Może przywoływał pisma Morozova.

- Dlaczego jego syn się ukrywał? - zapytałam, bo byłam ciekawa, jak Darkling zdołał skonstruować takie oszustwo.

Tym razem David zmarszczył czoło, jak gdyby odpowiedź była oczywista.

- Darkling i jego następca nigdy jednocześnie nie mieszkają w Małym Pałacu. Ryzyko zabójstwa jest zbyt duże.

- Rozumiem - powiedziałam. Całkiem to było wiarygodne, a po setkach lat prawdopodobnie nikt nie podważałby tej historii. Griszowie kochali swoje tradycje, a Genia na pewno nie była pierwszym Krawcem, jakiego zatrudnił Darkling. - Dlaczego kazałby zniszczyć dzienniki?

- Dokumentowały eksperymenty Morozova ze wzmacniaczami. Czarny Heretyk próbował odtworzyć te eksperymenty i coś poszło nie tak.

Poczułam gęsią skórkę.

- A efektem była Fałda.

David skinął głową.

- Syn kazał spalić wszystkie dzienniki i papiery Morozova. Mówił, że są zbyt niebezpieczne, stanowią zbyt wielką pokusę dla każdego z Griszów. Dlatego nic nie mówiłem na naradzie. Nie powinienem nawet wiedzieć, że istniały.

- To skąd wiesz?

David znowu się rozejrzał po prawie pustym warsztacie.

- Morozov był Fabrykatorem, może pierwszym, a na pewno najpotężniejszym. Robił rzeczy, o jakich wcześniej ani później nikomu się nie śniło. - Wzruszył ramionami nieśmiało. - Dla nas to taki bohater.

- Wiesz coś więcej o wzmacniaczach, które stworzył?

David pokręcił głową.

- Krążyły plotki o innych, ale ja słyszałem tylko o jeleniu.

Możliwe, że David nigdy nie widział *Istorii Sankja*. Aparat twierdził, że książeczkę dawano niegdyś wszystkim dzieciom-Griszom, które przybywały do Małego Pałacu. To jednak było dawno temu. Griszowie pokładali wiarę w Nauce Małej i nie widziałam, by zaprzęтали sobie głowę religią. Darkling określił czerwoną książeczkę mianem zabobonu, „wiejskiej propagandy”. David najwyraźniej nie połączył Świętego Ilii z Ilią Morozową. Albo coś ukrywał.

- Davidzie -zapytałam - dlaczego tu jesteś? Ty skonstruowałeś obrozę. Musiałeś wiedzieć, co zamierza.

Przełknął.

- Wiedziałem, że będzie mógł cię kontrolować, że obroza pozwoli mu używać twojej mocy. Ale nie pomyślałem, nie wierzyłem... ci wszyscy ludzie... - Zabrakło mu słów. W końcu wyciągnął poplamione od atramentu ręce i powiedział niemal błagalnie: - Ja buduję rzeczy. Nie niszczę.

Chciałam wierzyć, że nie docenił bezwzględności Darklinga. Ja z pewnością popełniłam ten sam błąd. Ale mógł też kłamać, mógł też po prostu być słaby. „Jeśli raz przeszedł na drugą stronę, może zrobić to powtórnie”. Czy to był głos Mikołaja? Darklinga? A może przemówiła ta część mnie, która nauczyła się nikomu nie ufać?

- Życzę szczęścia z naczyniami - powiedziałam i wstałam.
David zmarszczył czoło i znów zgarbił się nad papierami.
- Nie wierzę w szczęście.
„Szkoda, bo się nam przyda”.

Z fabrykatorskich warsztatów poszłam prosto do biblioteki, gdzie spędziłam większą część nocy. Było to bardzo frustrujące przeżycie. Griszaickie opowieści, które wyszukałam, zawierały zaledwie najbardziej podstawowe informacje o Ilii Morozowie, mimo że uważano go za najwybitniejszego Fabrykatora w dziejach. Wynałazł griszaicką stal, metodę tworzenia niezniszczalnego szkła oraz wzór na płynny ogień, który był tak niebezpieczny, że Morozov sam go zniszczył po paru godzinach. Lecz wszelkie wzmianki o wzmacniaczach albo Kowalu Kości wymazano.

Pomimo tego następnego wieczoru wróciłam do biblioteki i zagrzebałam się w tekstach religijnych oraz wszelkich odniesieniach do Świętego Ilii, jakie udało mi się znaleźć. Jak większość historii o Świętych, opowieść o jego męczeństwie była przygńbiająco brutalna. Pewnego dnia na polach za jego domem przewrócił się pług. Słyszac krzyki, Iliia ruszył na pomoc. Zastał mężczyznę, który opłakiwał zwłoki syna. Ciało chłopca rozdarły ostrza, a ziemia przesiąkła jego krwią. Iliia przywrócił chłopcu życie, a wieśniacy podziękowali mu w ten sposób, że zakuli go w żelazo i wrzucili do rzeki, gdzie utonął, obciążony łańcuchami.

Szczegóły były beznadziejnie mętne. Niekiedy Iliia był rolnikiem, innym razem murarzem albo snycerzem. Miał dwie córki, jednego syna albo był bezdzietny. Sto różnych wiosek twierdziło, że właśnie tam męczeńsko zginął. Była też drobna kwestia cudu, jaki działał. Mogłam uwierzyć, że Święty Iliia był

Korporalnikiem-Uzdrowicielem, ale Ilia Morozov był ponoć Fabrykatorem. A jeśli jednak nie byli jedną i tą samą osobą?

Nocą w komnacie pod szklaną kopułą paliły się lampy olejne i panowała cisza tak głęboka, że słyszałam własny oddech. Siedziałam samotnie w mroku, w otoczeniu książek, i trudno mi było nie poczuć, że mnie to przerasta. Lecz biblioteka wydawała się dawać największe szanse, więc nie ustawałam. Pewnego wieczoru Tolia zastał mnie tam, jak siedziałam zwinięta w kłębek w ulubionym fotelu i siliłam się, by zrozumieć tekst po staroravczańsku.

- Nie powinnaś tu przychodzić nocą bez jednego z nas - powiedział gderliwie.

Ziewnąłam i przeciągnęłam się. Prawdopodobnie groziło mi tylko, że półka spadnie mi na głowę, ale byłam zbyt zmęczona, by się sprzeczać.

- To się więcej nie powtórzy.

- Co to jest? - zapytał Tolia i przyklęknął, by lepiej widzieć książkę, którą miałam na kolanach. Był taki wielki, że poczułam się, jak gdyby niedźwiedź miał się ze mną uczyć.

- Nie jestem pewna. Znalazłam imię Ilia w indeksie, więc wzięłam, ale nic z tego nie rozumiem.

- To lista tytułów.

- Umiesz to przeczytać? - zapytałam z zaskoczeniem.

- Wychowaliśmy się w cerkwi - odparł, przesuwając wzrokiem po stronie.

Zmarszczyłam czoło. Wiele dzieci wychowało się w religijnych domostwach, to jednak nie oznaczało, że potrafią czytać liturgiczny ravczański.

- Co to znaczy?

Przesunął palcem po słowach wypisanych pod imieniem Ilia. Ogromne dłonie pokryte miał bliznami. Spod samodiałowego rękawa wyzierał tatuaż.

- Niewiele. Święty Ilia Ukochany, Święty Ilia Uwielbiony. Ale wymieniają parę miast, w których ponoć dokonał cudów.

Wyprostowałam się.

- Od tego można zacząć.

- Powinnaś zbadać kaplicę. Wydaje mi się, że w zakrystii jest parę książek.

Mijałam królewską kaplicę wiele razy, ale nigdy nie zajrzałam do środka. Zawsze uważałam ją za domenę Apparata, a chociaż jego już tam nie było, nie byłam pewna, czy mam ochotę ją odwiedzić.

- Jak tam jest?

Tolia wzruszył szerokimi ramionami.

- Jak w każdej kaplicy.

- Tolia - zapytałam z nagłą ciekawością - myślałeś kiedyś o tym, by wstąpić do Drugiej Armii?

Wyglądał, jakbym go uraziła.

- Nie urodziłem się do służby Darklingowi. - Chciałam zapytać, do czego w takim razie się urodził, ale postukał palcem w kartkę i powiedział: - Mogę ci to przetłumaczyć, jeśli chcesz. - Uśmiechnął się. - Albo każę Tamar to zrobić.

- Dobra, dzięki.

Skłonił głowę. Był to zwykły ukłon, ale wciąż przy mnie klęczał, a coś w jego pozycji sprawiło, że zadrzałam. Miałam wrażenie, jak gdyby na coś czekał. Wyciągnęłam rękę niepewnie i położyłam mu ją na ramieniu. Jak tylko poczuł moje palce, odetchnął. Jak gdyby westchnął. Trwaliśmy tak przez chwilę w

milczeniu, oświetleni aureolą lampy. Potem wstał i znowu się uklonił.

- Będę tuż za drzwiami - powiedział i zniknął w mroku.

Następnego ranka Mal powrócił z polowania. Nie mogłam się doczekać, aż wszystko mu opowiem - czego się dowiedziałam od Davida, o planach związanych z nowym „Kolibrem”, o osobliwym spotkaniu z Tolią.

- Dziwak z niego - zgodził się Mal. - Ale sprawdzić kaplicy nie zaszkodzi.

Postanowiliśmy pójść tam razem, a po drodze naciskałam, by opowiedział mi o polowaniu.

- Każdego dnia większość czasu spędzaliśmy, grając w karty i pijąc kvas. Jakiś ksiązę tak się upił, że stracił przytomność w rzece. Prawie się utopił. Służący wyciągnęli go za buty, ale on ciągle wlaził z powrotem i mamrotał coś o tym, jak najlepiej łapać pstrągi.

- Było okropnie? - zapytałam ze śmiechem.

- Było w porządku. - Kopnął butem kamyk leżący na ścieżce. - Są ciebie bardzo ciekawi.

- Dlaczego wątpię, by miało mi się to spodobać?

- Jeden z królewskich tropicieli jest pewien, że twoje zdolności są fałszywe.

- A niby jak by mi się to udało zorganizować?

- Zdaje się, że istnieje skomplikowany system luster oraz kół linowych, w grę może też wchodzić hipnoza. Pogubiłem się trochę.

Zaczęłam chichotać.

- Nie było wcale tak śmiesznie, Alino. Kiedy popili, niektórzy arystokraci jasno dali do zrozumienia, że ich zdaniem wszystkich Griszów należy zebrać i stracić.

- Święci - szepnęłam. - Boją się.

- To ich nie usprawiedliwia - odparłam, czując przyływ gniewu. - My też jesteśmy Ravczanami. Jak gdyby zapomnieli o wszystkim, co Druga Armia dla nich zrobiła.

Mał uniósł dłonie.

- Nie mówiłem, że się z nimi zgadzam.

Westchnęłam i walnęłam niewinną gałązkę drzewa.

- Wiem.

- Tak czy owak, myślę, że trochę u nich wskórałem.

- Jak ci się to udało?

- Cóż, podobało im się, że służyłaś w Pierwszej Armii i że uratowałaś życie ich księciu.

Uniosłam brew.

- Po tym, jak on ryzykował własnym życiem, żeby nas ocalić?

- Możliwe, że w szczegółach nieco mijalem się z prawdą.

- Och, Mikołaj będzie zachwycony. Coś jeszcze?

- Mówiłem im, że nie znosisz śledzi.

- Czemu?

- I że uwielbiasz ciasto ze śliwkami. I że Ana Kuya sprąła cię różgą, kiedy zniszczyłaś pantofle na wiosnę, bo wskakiwałaś w kałuże.

Skrzywiłam się.

- Czemu im to wszystko mówiłeś?

- Chciałem, żebyś była ludzka - odparł. - Kiedy na ciebie patrzą, widzą tylko Przyzywaczkę Słońca. Widzą zagrożenie, kolejną

potężną Griszę, jak Darkling. Chcę, żeby widzieli córkę, siostrę albo przyjaciółkę. Chcę, żeby widzieli Alinę.

Poczułam ucisk w gardle.

- Ćwiczysz bycie cudownym?

- Codziennie - odparł z uśmiechem. Potem mrugnął. - Ale wolę być użyteczny.

Kaplica stanowiła jedyną pozostałość po monasterze, który wieńczył niegdyś Os Altę. Ponoć to właśnie tam koronowano pierwszych królów Ravki. W porównaniu z innymi zabudowaniami na pałacowych gruntach był to skromny budynek o bielonych wapnem ścianach i jednej błękitnej kopule.

Kaplica była pusta i przydałoby się jej porządne sprzątnięcie. Ławki były zakurzone, a pod okapem gnieździły się gołębie. Kiedy szliśmy główną nawą, Mal chwycił mnie za rękę, a serce zadrżało mi śmiesznie.

Nie trawiliśmy czasu w zakrystii. Rozczarowało nas te parę książek, które leżały na półkach - było to tylko kilka hymnów o pożółkłych, rozsypujących się kartkach. W kaplicy naprawdę interesujący był tylko olbrzymi tryptyk za ołtarzem. Trzy panele w feerii kolorów ukazywały trzynastu Świętych o dobrotliwych obliczach. Rozpoznałam kilkoro z *Istorii Sanktja* - Lizabeta z krwawymi różami, Petyr i płonące strzały. Był też Święty Ilia z obrozą, bransoletą i zerwanymi kajdanami.

- Nie ma zwierząt - zauważył Mal.

- Z moich obserwacji wynika, że nigdy nie jest przedstawiany ze wzmocnieniami, jedynie z łańcuchami. Z wyjątkiem *Istorii Sanktja*. - Nie wiedziałam tylko dlaczego.

Większa część tryptyku była w niezłym stanie, ale panel Ilii został poważnie uszkodzony przez wodę. Twarze Świętych były ledwie widoczne pod pleśnią, a wilgotny zapach stęchlizny był niemal obezwładniający. Wcisnęłam nos w rękaw.

- Gdzieś musi być przeciek - powiedział Mal. - Kaplica jest w rozsypce.

Śledziłam zarys twarzy Ilii pod przebarwieniami. Kolejna ślepa uliczka. Nie chciałam przyznawać, ale wcześniej moje nadzieje odżyły. Kolejny raz poczułam zew, pustkę na nadgarstku. Gdzie był ognisty ptak?

- Możemy tu stać do wieczora - rzekł Mal - ale on nie zacznie gadać.

Wiedziałam, że się ze mną droczy, ale poczułam ukłucie gniewu, choć nie wiedziałam, czy na niego, czy na siebie. Odwróciliśmy się do wyjścia i stanęłam jak wryta. W mroku przy drzwiach czekał Darkling. Siedział w cienistej ławce.

- O co chodzi? - zapytał Mal, patrząc tam, gdzie ja.

Czekałam w całkowitym bezruchu. „Zobacz go” - błagałam w duchu. „Proszę, zobacz go”.

- Alina? Coś się dzieje?

Wpiłam palce w dłoń.

- Nie. Myślisz, że powinniśmy jeszcze raz zajrzeć do zakrystii?

- Nie wydawała się obiecująca.

Zmusiłam się, by się uśmiechnąć i ruszyć.

- Pewnie masz rację. Po prostu chciałabym coś znaleźć. Kiedy mijaliśmy Darklinga, obrócił głowę, by się nam przyjrzeć. Przycisnął palec do ust, a potem pochylił głowę, drwiąco udając modlitwę.

Poczułam się lepiej, kiedy wyszliśmy na świeże powietrze, wolni od stęchłej woni kaplicy, lecz w głowie miałam mętlik. Znowu się to stało.

Twarz Darklinga była wolna od blizn. Mał go nie widział. To musi oznaczać, że nie istniał naprawdę - że była to jakaś wizja.

Ale tamtej nocy w swoim pokoju mnie dotknął. Poczułam jego palce na policzku. Jaka halucynacja to potrafi?

Zadrżałam, kiedy weszliśmy do lasu. Czy w ten sposób objawiają się nowe moce Darklinga? Przeraziła mnie perspektywa, że zyskał jakoś dostęp do moich myśli, ale druga ewentualność była znacznie gorsza. „Nie możesz pogwałcić reguł rządzących światem, nie płacąc za to ceny”. Przycisnęłam rękę do ciała, czując, jak łuski węża morskiego ocierają się o moją skórę. „Zapomnij o Morozowie i jego szaleństwie”. Może to w ogóle nie ma nic wspólnego z Darklingiem. Może po prostu tracę rozum.

- Mał - zaczęłam, niepewna, co powiem. - Trzeci wzma...

Przyłożył palec do ust gestem tak podobnym do Darklinga, że prawie się potknęłam, ale zaraz usłyszałam szelest i pomiędzy drzew wyłonił się Wasyl.

Nie przywykłam do widoku księcia poza Wielkim Pałacem, więc przez chwilę stałam nieruchomo. Potem opanowałam zaskoczenie i się ukloniłam.

W odpowiedzi Wasyl skinął głową, zupełnie nie zwracając uwagi na Mała. Jeśli w ogóle go widział. Dla Wasyla „służba” zdawała się niewidzialna.

- Carewiczu mój - przywitałam go.

- Alina Starkov - odparł ksiączę z uśmiechem. - Mam nadzieję, że poświęcisz mi chwilę.

- Naturalnie.

- Będę na ścieżce kawałek dalej - rzekł Mał i obrzucił Vasyla podejrzliwym spojrzeniem.

Książę patrzył, jak Mał się oddalał.

- Dezerter wciąż się nie nauczył, gdzie jego miejsce, prawda?

Stłamsiłam gniew.

- Co mogę dla ciebie zrobić, carewiczu mój?

- Ależ wołałbym, byś mówiła do mnie Vasyl, przynajmniej wtedy, gdy jesteśmy sami.

Zamrugałam. Nigdy wcześniej nie byłam z księciem sama. Teraz też nie miałam na to ochoty.

- Jak ci się mieszka w Małym Pałacu? - zapytał.

- Znakomicie, dziękuję, carewiczu mój.

- Vasylu.

- Nie wiem, czy to stosowne zwracać się do ciebie tak swobodnie - powiedziałam sztywno.

- Do mojego brata mówisz po imieniu.

- Poznaliśmy się... w wyjątkowych okolicznościach.

- Wiem, że potrafi być wielce czarujący - rzekł Vasyl. - Powinnaś jednak wiedzieć, że jest też bardzo obłudny i bardzo przebiegły.

„Cóż, to szczerą prawdą” - pomyślałam, lecz na głos powiedziałam tylko:

- Ma niezwykle umysł.

Vasyl zaśmiał się.

- Jakaż się z ciebie zrobiła dyplomatka! Masz w sobie coś nadzwyczaj odświeżającego. Nie mam wątpliwości, że z biegiem czasu, pomimo twojego skromnego pochodzenia, nauczysz się nosić z powściągliwością oraz elegancją szlachcianki.

- Znaczący, że nauczę się trzymać gębę na kłódkę?

Pociągnął nosem z dezaprobatą. Musiałam wyplątać się z tej rozmowy, nim go rzeczywiście urażę. Vasyl mógł wyglądać na głupca, ale wciąż był księciem.

- Zaiste, nie - powiedział z afektowanym śmiechem. - Jesteś rozkosznie szczerą.

- Dziękuję - wymamrotałam. - Jeśli Wasza Wysokość pozwoli...
Vasyl zaszedł mi drogę.

- Nie wiem, jakie układy zawarłaś z moim bratem, ale musisz zrozumieć, że to drugi syn. Niezależnie od jego ambicji zawsze będzie tylko tym. Wyłącznie ja mogę z ciebie zrobić królową.

Proszę bardzo. Westchnęłam w duchu.

- Tylko król może to uczynić - przypomniałam mu.

Vasyl zbył moje słowa machnięciem ręki.

- Ojciec już długo nie żyje. Właściwie to już teraz rządzą Ravką.

„Tak to nazywasz?” - pomyślałam z napływem irytacji. Gdyby Mikołaj nie zagrażał jego koronie, wątpiłabym, czy Vasyl w ogóle przebywałby w Os Alcie, ale tym razem ugryzłam się w język.

- Jak na sierotę z Keramzina daleko zaszłaś - ciągnął - ale możesz zejść jeszcze dalej.

- Zapewniam, carewiczu mój - powiedziałam z całkowitą szczerością - że nie mam takich ambicji.

- To czego chcesz, Przyzywaczko Słońca?

- W tej chwili? Chciałabym zjeść obiad.

Wysunął dolną wargę z nadąsaną miną i przez moment wyglądał zupełnie jak ojciec. Potem się uśmiechnął.

- Mądra z ciebie dziewczyna - powiedział - a myślę, że okażesz się również użyteczna. Z przyjemnością pogłębię naszą znajomość.

- Niczego bardziej nie pragnę - skłamałam.

Chwycił mnie za rękę i przycisnął wilgotne usta do mojej dłoni.

- Do zobaczenia, Alino Starkov.

Stłumiłam odruch wymiotny. Kiedy odszedł, ukradkiem wytarłam dłoń w keftę.

Mal czekał na mnie na skraju lasu.

- O co chodziło? - zapytał ze zmartwioną miną.

- Ach, sam wiesz - odparłam. - Kolejny książkę, kolejne oświadczenia.

- Chyba żartujesz - Mal roześmiał się z niedowierzaniem. - Typ nie traci czasu.

- Władza to sojusz - wyrecytowałam, naśladując Mikołaja.

- Mam powinszować? - zapytał Mal, ale w jego głosie nie słyhać było irytacji, jedynie rozbawienie.

Widocznie następca tronu Ravki zagrażał mu mniej niż przesadnie pewny siebie korsarz.

- Myślisz, że Darkling musiał się mierzyć z niechcianymi awansami obślinitych królewskich gościów? - spytałam pośpiesznie. Mal się zaśmiał. - Co w tym śmiesznego?

- Wyobraziłem sobie właśnie, jak jakaś spocona księżna zaczyna się na Darklinga, żeby sobie na nim poużywać.

Parsknęłam, a potem zaczęłam śmiać się w głos. Mikołaj i Vasyl tak bardzo się od siebie różnili, że trudno było uwierzyć, iż w ogóle są spokrewnieni. Nieproszone, wróciło wspomnienie pocałunku Mikołaja, szorstkiego dotyku jego ust, kiedy mnie do siebie przycisnął.

Pokręciłam gilową.

„Może i się różnią” - myślałam w drodze do pałacu - „ale obaj chcą cię wykorzystać”.

17.

Rozkwit lata przyniósł do Os Alty falę upałów. Wytchnienie oferowały jedynie jezioro oraz chłodne baseny bani położone w mrocznym cieniu brzozowego zagajnika przy Małym Pałacu. Wrogość członków raveczańskiego dworu wobec Griszów nie przeszkadzała im wzywać Szkwalników i Pływowladnych do Wielkiego Pałacu, by przywoływali podmuchy wiatru i formowali ogromne bryły lodu dla ochłodzenia dusznych pomieszczeń. Szkoda było na to griszaickich talentów, ale chciałam, by król i królowa byli zadowoleni, a już wcześniej pozbawiłam ich kilkorga bardzo cenionych Fabrykatorów, którzy trudzili się teraz nad tajemniczymi lustrzanymi naczyniami Davida.

Co rano spotykałam się ze swoją radą Griszów - niekiedy na parę minut, czasem na długie godziny - by omówić doniesienia wywiadu, ruchy wojska i wieści z północnego oraz południowego pogranicza.

Mikołaj wciąż liczył na to, że uda się podjąć bój z Darklingiem, zanim zgromadzi on pełną siłę swojej armii cienia, lecz póki co sieć szpiegów i donosicieli Ravki nie odkryła miejsca jego pobytu. Wydawało się coraz bardziej prawdopodobne, że trzeba będzie się z nim zmierzyć w Os Alcie. Sprzyjało nam jedynie to, że Darkling nie mógł po prostu nasłać na nas nisztói. Musiał przebywać w pobliżu swoich stworów, a to oznaczało, że uda się z nimi do stolicy. Pozostawało ważne pytanie, czy wkroczy do Ravki od strony Fjerdy, czy Szu Hanu.

Mikołaj stał przed radą Griszów w komnacie wojennej i pokazywał na jednej z wielkim map na ścianie:

- Większość tego terytorium odbiliśmy podczas ostatniej kampanii - wskazał północną granicę Ravki z Fjerdą. - To gęste lasy, niemal nieprzebyte, kiedy rzeki nie są zamrożone, a wszystkie drogi zostały zablokowane.

- Stacjonują tam Griszowie? - zapytała Zoja.

- Nie - odparł Mikokaj. - Ale z Ulenska organizują mnóstwo wypadów zwiadowczych. Jeśli nadciągnie stamtąd, będziemy wiedzieć dużo z góry.

- I musiałyby się zmierzyć z Petrazojem - zauważyła Paża. - Czy go obejdzie, czy się przez niego przeprawi, zyskamy na czasie. - W ciągu ostatnich tygodni Paża się wyrobiła. Wprawdzie David nadal milczał i się wiercił, ale ona wydawała się zadowolona, że może odpocząć od warsztatów.

- Bardziej mnie martwi zmarzlina - powiedział Mikołaj, przesuwając dłonią wzdłuż granicy nad Cybeją. - Jest solidnie ufortyfikowana, ale to ogromny obszar.

Pokiwałam głową. Mal i ja przeszliśmy niegdyś razem te dzikie ziemie. Pamiętałam, jak bezkresne się wydawały. Złapałam się na tym, że rozglądałam się po pomieszczeniu i go szukam, chociaż wiedziałam, że wyruszył na kolejne polowanie - tym razem z grupką kerczańskich strzelców wyborowych oraz ravnzańskich dyplomatów.

- A jeśli nadejdzie od południa? - spytała Zoja.

Na znak dany przez Mikołaja Fedior wstał i zaczął tłumaczyć Griszom słabe punkty południowej granicy. Korporalnik stacjonował w Sikursku, więc dobrze znał ten teren.

- Patrowanie górskich przełęczy wychodzących z Sikurzoju granicy z niemożliwością - zauważył ponuro. - Szuhańcy od lat wykorzystują ten fakt, robiąc najazdy. Darkling stosunkowo łatwo mógłby się prześlizgnąć.

- A potem prosto na Os Altę - dodał Siergiej.

- Po drodze jest baza wojskowa w Policnai - zauważył Mikokaj.
- To może okazać się dla nas korzystne. Tak czy owak, kiedy nadejdzie, będziemy gotowi.

- Gotowi? - prychnął Pavel. - Na starcie z armią niezniszczalnych potworów?

- Nie są niezniszczalne - Mikołaj skinął głową w moją stronę. - Darkling też nie. Wiem, bo go postrzeliłem.

Oczy Zoi rozbłysły.

- Postrzeliłeś go?

- Tak. Niestety nie za dobrze się spisałem, ale na pewno praktyka uczyni ze mnie mistrza. - Powiódł wzrokiem po Griszach, spoglądając w zatroskane twarze.

- Darkling jest potężny, ale my również. Nigdy nie mierzył się z połączoną siłą Pierwszej oraz Drugiej Armii ani z taką bronią, jaką zamierzam dostarczyć. Stawimy mu czoła. Zajdziemy go od flanki. Zobaczymy, której kuli się poszczęści.

Kiedy Darklingowa horda cienia będzie się skupiać na Małym Pałacu, on sam będzie narażony na ryzyko. Po stolicy w trzykilometrowych rozstępach rozstawione będą niewielkie, mocno uzbrojone jednostki griszackich żołnierzy. Kiedy walka się zacznie, otoczą Darklinga i zrobią użytek z całej siły ogniowej, jaką zgromadzi Mikołaj.

W pewnym sensie właśnie tego zawsze obawiał się Darkling. Pamiętałam, jak opisywał nowe uzbrojenie produkowane za granicami Ravki, oraz co powiedział: „Era potęgi Griszów ma się ku końcowi”.

Paża odkaslnęła.

- Wiemy, co się stanie z żołnierzami cienia, kiedy zabijemy Darklinga?

Miałam ochotę ją uściskać. Nie wiedziałam, co się stanie z nisztójami, jeśli uda nam się powalić Darklinga. Możliwe, że rozpląną się w powietrzu, a możliwe, że wpadną w dziki szal, albo jeszcze gorzej, ale wypowiedziała te słowa: „kiedy zabijemy Darklinga”. Brzmiało to podejrzanie jak nadzieja, mimo że niepewna i naznaczona lękiem.

Większość wysiłków skupiliśmy na obronie Os Alty. Miasto posiadało stary system dzwonów ostrzegawczych, który alarmował pałac, kiedy na horyzoncie pojawiał się wróg. Za zgodą ojca Mikołaj zainstalował ciężkie uzbrojenie - takie jak na pokładzie „Kolibra” - ponad murami miasta oraz pałacu. Griszowie sarkali, ale kazałam wiele takich strzelb ustawić na dachu Małego Pałacu. Nie powstrzymają nisztói, ale spowolnią ich postęp.

Inni Griszowie niepewnie zaczęli się otwierać na walor Fabrykatorów. Z pomocą Inferników Materialnicy próbowali stworzyć grenatki, które rozbłyskałyby tak jasno, że zatrzymałyby albo oszołomiły żołnierzy cienia. Szkopuł tkwił w tym, jak to osiągnąć bez użycia wybuchowego prochu, który wszystko dookoła zrównałby z ziemią. Martwiłam się czasami, że wysadzą w powietrze cały Mały Pałac i oszczędzą Darklingowi trudu. Niejeden raz widywałam w jadalni Griszów z nadpalonymi mankietami i zwęglonymi brwiami. Zachęcałam ich, by bardziej niebezpieczne eksperymenty prowadzili nad brzegiem jeziora z Pływowladnymi w odwodzie na wszelki wypadek.

Pomysł zainteresował Mikołaja i księżę uparł się uczestniczyć w opracowywaniu projektu. Fabrykatorzy starali się nie zwracać na niego uwagi, potem udawali, że pobłażliwie idą mu na rękę, lecz szybko się przekonali, że Mikołaj to nie znudzony księżę-dyletant.

Rozumiał pomysły Davida, a w dodatku pracował z niezależnymi Griszami na tyle długo, że łatwo przejął język Nauki Małej. Wkrótce Griszowie zapomnieli jakby, że to członek królewskiej rodziny, a do tego otkazacja, i często można go było zastać, jak garbi się nad stołem w warsztatach Materialników.

Najbardziej niepokoiły mnie eksperymenty prowadzone za czerwonymi drzwiami sal do anatomii Korporalników, którzy wspólnie z Fabrykatorami próbowali spoić griszacką stal z ludzką kością. Chodziło o to, aby żołnierz był w stanie przetrwać atak nisztoi. Jednak procedura była bolesna i niedoskonała, a ludzkie ciało często po prostu odrzucało metal. Uzdrowiciele robili, co było w ich mocy, ale urywane krzyki ochotników z Pierwszej Armii niosły się niekiedy echem przez korytarze Małego Pałacu.

Popołudnia schodziły na niekończących się spotkaniach w Wielkim Pałacu. Zdolności Przyzywaczki Słońca stanowiły wartościową monetę przetargową i sprzyjały próbom Ravki, by zadzierzgnąć sojusze z innymi krajami. Często więc proszono mnie, bym pokazała się na naradach dyplomatów, zademonstrowała swoją moc i dowiodła, że faktycznie żyję. Królowa urządziła podwieczorki i obiady, podczas których wyprowadzano mnie na pokazy. Mikołaj często na nie zaglądał - komplementował, flirtował bezwstydnie i warował opiekuńczo przy moim krześle jak oddany zalotnik.

Nie było jednak nic bardziej nużącego niż „sesje strategiczne” w gronie królewskich doradców oraz dowódców. Król rzadko na nich bywał. Wolał całe dni kuśtykać za służkami i spać na słońcu jak stary kocur. Pod jego nieobecność doradcy w kółko mówili to samo. Perorowali, że powinniśmy zawrzeć pokój z Darklingiem albo że powinniśmy iść z nim na wojnę. Perorowali na rzecz sojuszu z Szu Han, a potem z Fjerdą. Perorowali nad każdą linijką każdego budżetu - od ilości amunicji po śniadania dla żołnierzy. Rzadko jednak coś działo albo zdecydowano.

Kiedy Wasyl się dowiedział, że Mikołaj i ja chodzimy na narady, zarzucił wieloletni zwyczaj ignorowania obowiązków dziedzica rodu Lancovów i uparł się, że też tam będzie. Ku mojemu zaskoczeniu Mikołaj powitał go z entuzjazmem.

- Co za ulga - rzekł. - Proszę powiedz, że coś z tego rozumiesz. - Pchnął w jego stronę po stole stertę rejestrów.

- Co to jest? - spytał Wasyl.

- Projekt napraw akweduktu pod Czernicynem.

- To wszystko w sprawie jednego akweduktu?

- Nie przejmuj się - powiedział Mikołaj. - Resztę każę zanieść ci do pokoju.

- Tego jest więcej? Czy jeden z ministrów...

- Sam widziałeś, do czego doszło, kiedy nasz ojciec pozwolił innym przejąć kontrolę nad Ravką. Musimy być czujni.

Wasyl wziął leżące na szczycie stosu kartki nieufnie, jak gdyby unosił brudną szmatę. Wszystkimi siłami powstrzymałam wybuch śmiechu.

- Wasyl sądzi, że może władać jak nasz ojciec - zwierzył mi się później Mikołaj. - Urządzać bankiety, od czasu do czasu wygłosić jakąś przemowę. Zadbam o to, by wiedział dokładnie, co to znaczy rządzić bez pomocy Darklinga czy Apparata.

Plan wydawał się niezły, ale już wkrótce pod nosem przeklinałam obu książąt. Za sprawą Wasyla spotkania były dwa razy dłuższe. Przybierał pozy i stoszył piórka, zabierał głos w każdej kwestii, obszernie przemawiał o patriotyzmie, strategii oraz niuansach dyplomacji.

- W życiu nie spotkałam drugiej takiej osoby, która potrafi w tyłu słowach nie zawrzeć żadnej treści - piekliłam się, kiedy

Mikołaj odprowadzał mnie do Małego Pałacu po wyjątkowo żalonym posiedzeniu. - Musisz coś z tym zrobić.

- Co na przykład?

- Zrób tak, żeby jeden z jego rumaków kopnął go w głowę.

- Z pewnością korci je niejednokrotnie - odparł Mikołaj. - Wasyl jest leniwy i próżny, lubi chodzić na skróty, ale nie da się łatwo rządzić krajem. Uwierz mi, niedługo się tym wszystkim zmęczy.

- Może. Ale ja pewnie wcześniej umrę z nudów.

Mikołaj się zaśmiał.

- Następnym razem weź z sobą piersiówkę. Pij za każdym razem, kiedy zmieni zdanie.

Jęknęłam.

- Nie minęłaby godzina, a ja bym leżała pod stołem.

Z pomocą Mikołaja sprowadziłam z Policnai ekspertów od uzbrojenia, aby pomogliby Griszom zapoznać się z nowoczesną bronią oraz by ich podszkolili. Zajęcia zaczęły się wprawdzie w napiętej atmosferze, teraz jednak szły bardziej gładko. Mieliśmy nadzieję, że między Pierwszą a Drugą Armią zrodzi się kilka przyjaźni. Największe postępy robiły jednostki złożone z Griszów i żołnierzy, które powstały po to, by wytropić Darklinga, kiedy zbliży się do Os Alty. Wracały z misji szkoleniowych pełne żartów i w duchu braterstwa. Zaczęli nawet nazywać siebie nawzajem nolniki - zera - ponieważ nie należeli już ani do Pierwszej, ani do Drugiej Armii.

Martwiłam się, jak na te wszystkie zmiany zareaguje Botkin. On jednak zdawał się mieć po prostu smykałkę do zabijania, niezależnie od obranej metody, i korzystał z każdego pretekstu, by podyskutować o broni z Tolią i Tamar. Szuhańczycy mieli

przykry zwyczaj traktować swoich Griszów skalpelem, niewielu więc spośród nich przetrwało i znalazło się w szeregach Drugiej Armii. Botkin był zachwycony, że może rozmawiać w ojczystym języku, lecz podziwiał także zjadłość bliźniąt. Tolia i Tamar nie polegali wyłącznie na swoich talentach Korporalników, do czego mieli skłonność Griszowie wychowani w Małym Pałacu. Sercodarstwo było zaledwie jednym z oręży w ich imponującym arsenale.

- Niebezpieczny chłopak. Niebezpieczna dziewczyna - zauważył Botkin pewnego ranka, przyglądając się, jak bliźnięta trenują z grupką Korporalników. Garstka zdenerwowanych Przyzywaczy czekała na swoją kolej, wśród nich Marie i Siergiej, a za nimi jak zwykle Nadia.

- Ona jeft gorfa nisz on - poskarżył się Siergiej. Tamar rozcięła mu wargę i trudno mu było mówić. - Szal mi jej męsza.

- Nie wyjdzie za mąż - rzekł Botkin, a Tamar cisnęła o ziemię nieszczęsnym Infernikiem.

- Dlaczego nie? - zapytałam ze zdziwieniem.

- Nie ona. Brat też nie - orzekł najemnik. - Oni są jak Botkin. Zrodzeni do bitwy. Stworzeni do walki.

Troje Korporalników rzuciło się na Tolię. Po chwili wszyscy troje leżeli na podłodze i jęczeli. Pomyślałam o tym, co Tolia powiedział w bibliotece - że nie urodził się po to, by służyć Darklingowi. Jak wielu innych Szuhańczyków obrał ścieżkę żołdaka, przemierzając świat jako najemnik i korsarz. Ale i tak w końcu trafił do Małego Pałacu. Jak długo wraz z siostrą pozostaną?

- Lubię ją - powiedziała Nadia, patrząc na Tamar melancholijnie. - Jest nieulekła.

Botkin się zaśmiał.

- „Nieulekła” to inaczej „głupia”.

- Ja bym jej tego ftfasz nie mógł - mruknął Siergiej zrzędlawie. Marie delikatnie czyściła mu wargę wilgotną chusteczką.

Złapałam się na tym, że zaczynam się uśmiechać, i obróciłam się. Nie zapomniałam, jak tych troje „powitało” mnie w Małym Pałacu. To nie oni nazwali mnie dziwką i próbowali wyrzucić, ale się za mną nie ujęli, a udawanie przyjaźni uważałam za przesadę. Poza tym nie byłam pewna, jak się zachować w ich towarzystwie. Nigdy nie byliśmy sobie bliscy, a obecnie różnica statusu jawiła się jak przepaść nie do pokonania.

„Genii by to nie robiło różnicy” - pomyślałam nagle. Genia mnie znała. Śmiała się ze mną i zwierzała mi się. Żadna lśniaca kefta czy tytuł nie przeszkodziłyby jej powiedzieć mi dokładnie, co myśli, ani wziąć mnie pod ramię, by poplotkować. Tęskniłam za nią pomimo jej kłamstw.

Jak gdyby w odpowiedzi na to, o czym myślałam, poczułam, że ktoś szarpie mnie za rękaw, i usłyszałam drżący głos:

- Soverena maja... - Nadia przestępowała z nogi na nogę. - Chciałam...

- O co chodzi?

Odwróciła się do ciemnego kąta stajni i wskazała nieznanego mi chłopca w eterealnym błękitcie. Kiedy ogłosiliśmy amnestię, spłynęło paru Griszów, ale ten chłopak był na oko za młody, by mieć za sobą służbę. Podszedł do nas nerwowo, skręcając palce w kefcie.

- To Adrik. - Nadia objęła go ramieniem. - Mój brat. - Byli do siebie podobni, lecz nie uderzająco. - Słyszeliśmy, że planujesz ewakuować szkołę.

- Zgadza się. - Wysyłałam uczniów w jedyne znane mi miejsce, gdzie było dla nich dość dormitoriów i miejsca, z dala od pól bitwy - do Keramzina. Miał z nimi jechać Botkin. Niechętnie traciłam tak sprawnego żołnierza, ale w ten sposób młodszy

Griszowie będą mogli nadal się od niego uczyć, a on ich przypilnuje. Baghra nie chciała się ze mną widzieć, więc posłałam do niej służącego z tą samą propozycją. Nie udzieliła odpowiedzi.

Choć starałam się ignorować jej zniewagi, fakt, że mnie ciągle odtrącała, ubódl.

- Uczysz się? - zapytałam Adrika, wyrzucając z głowy myśli o Baghrze.

Chłopiec skinął głową. Zauważyłam, że ma uparty podbródek.

- Adrik się zastanawiał... my się zastanawialiśmy, czy...

- Chcę zostać - powiedział zdecydowanie.

Brwi poszybowwały mi w górę.

- Ile masz lat?

- Dość, by walczyć.

- W tym roku skończyłby szkołę - wtrąciła Nadia.

Zmarszczyłam czoło. Był ode mnie młodszy zaledwie o parę lat, ale wyglądał bardzo niedorośle - same kościste łokcie i zmierzwione włosy.

- Jedź z innymi do Keramzina - powiedziałam. - Jeśli wciąż będziesz chciał, możesz do nas dołączyć za rok. - „O ile jeszcze tu będziemy”.

- Jestem dobry - zapewnił. - Jestem Szkwalnikiem, silnym jak Nadia, nawet bez wzmocnienia.

- To zbyt niebezpieczne...

- To mój dom. Nie odejdę stąd.

- Adrik! - złażała go Nadia.

Uniosłam dłoń.

- W porządku. - Rozgorączkowany Adrik zaciskał dłonie w pięści. Popatrzyłam na Nadię. - Jesteś pewna, że chcesz, by został?

- Ja... - zaczął Adrik.

- Rozmawiam z twoją siostrą. Jeśli polegniesz w walce z armią Darklinga, to ona będzie cię oplakiwać.

Słyszac to, Nadia przybladła, ale Adrik nawet nie drgnął. Musiałam przyznać, że odwagi mu nie brakuje. Nadia przygryzła wargę, wodząc wzrokiem ode mnie do Adrika.

- Jeśli obawiasz się sprawić mu zawód, pomyśl o tym, jak to będzie go pogrzebać. - Wiedziałam, że to ostre słowa, ale chciałam, by oboje zrozumieli, o co proszą.

Zawahała się, po czym wyprostowała ramiona.

- Pozwól mu walczyć - powiedziała. - Niech zostanie. Jeśli go odeślesz, za tydzień i tak wróci.

Westchnęłam i skoncentrowałam się na Adriku, który już uśmiechał się promiennie.

- Ani słowa innym uczniom - powiedziałam. - Nie chcę, żeby różne rzeczy przychodziły im do głowy. - Pokazałam palcem Nadię. - Ty za niego odpowiadasz.

- Dziękuję, soverena maja - powiedział Adrik i uklonił się tak nisko, że myślałam, że się przewróci. Już teraz żałowałam swojej decyzji.

- Odprowadź go z powrotem na lekcje.

Patrzyłam, jak wspinają się po wzgórzu w stronę jeziora. Potem otrzepałam się i poszłam do jednej z mniejszych sal treningowych, gdzie Mal sparował z Pavlem. Mal spędzał coraz mniej czasu w Małym Pałacu. Zaproszenia zaczęły napływać po jego powrocie z Balakireva: polowania, przyjęcia, łowienie pstrąga, karty. Każdy arystokrata i oficer chciał gościć u siebie Mała.

Czasami nie było go jedno popołudnie, czasami kilka dni. Przypominało mi to czasy spędzone w Keramzinie, kiedy patrzyłam, jak odjeżdża, a potem każdego dnia stałam w oknie w

kuchni i czekałam, aż wróci. Szczerze jednak musiałam przyznać, że dni, kiedy go nie było, były niemalże łatwiejsze. Kiedy przebywał w Małym Pałacu, czułam się winna, że nie mogę spędzać z nim więcej czasu. Nie znosiłam też tego, że Griszowie go ignorują albo patrzą na niego z góry jak na służącego. Choć bardzo za nim tęskniłam, zachęcałam go do tych wizyt.

„Tak jest lepiej” - powtarzałam sobie. Zanim Mal zdezerterował, by mi pomóc, był tropicielem o świetlanej przyszłości, otoczonym przez przyjaciół i wielbicieli. Nie powinien stać na straży w drzwiach ani czaić się w kącie pokoju, odgrywając rolę sumiennego cienia, który chodzi za mną ze spotkania na spotkanie.

- Mogłabym patrzeć na niego cały dzień - usłyszałam zza pleców. Zastygłam w bezruchu. Zoja stała za mną. Pomimo upału nigdy się nie pociła.

- Nie wydaje ci się, że cuchnie od niego Keramzinem? - zapytałam, wspominając jej złośliwe słowa pod moim adresem.

- Uważam, że niższe klasy mają pewien prząsny urok. Dasz mi znać, kiedy z nim skończysz, dobrze?

- Słucham?

- Och, czyżbym źle odczytała sytuację? Wydajecie się sobie tacy... bliscy. Ale pewna jestem, że obecnie mierzysz znacznie wyżej.

Odwróciłam się do niej.

- Co tu robisz, Zoju?

- Przyszłam na trening.

- Wiesz, o co mi chodzi. Co robisz w Małym Pałacu?

- Jestem żołnierzem Drugiej Armii. Tu jest moje miejsce.

Skrzyżowałam ramiona na piersi. Przyszła pora wyjaśnić to sobie z Zoją.

- Nie lubisz mnie i ani razu nie przepuściłaś okazji, by mi to okazać. Dlaczego teraz mnie popierasz?

- A jaki mam wybór?

- Na pewno Darkling z radością powita cię u swego boku.

- Rozkazujesz mi odejść? - Siłła się na swój zwykły wyniosły ton, ale znać było, że się boi. Poczulałam wstydlivy dreszczyk ekscytacji.

- Chcę wiedzieć, dlaczego tak bardzo chcesz zostać.

- Bo nie chcę żyć w ciemności - powiedziała. - Bo ty jesteś naszą największą szansą.

Pokręciłam głową.

- Zbyt łatwe.

Zaczerwieniła się.

- Mam błagać?

Błagałaby? Zauważyłam, że pomysł mi odpowiadał.

- Jesteś próżna i ambitna. Kiedyś zrobiłabyś wszystko, by Darkling zwrócił na ciebie uwagę. Co się zmieniło?

- Co się zmieniło? - wykrztusiła. Zaciśnęła wargi i zwinęła dłonie w pięści. - Miałam w Novokribirsku ciocię. Siostrzenicę. Darkling mógł mi powiedzieć, co zamierza. Gdybym mogła je ostrzec... - Głos jej się załamał, a ja natychmiast zaczęłam się wstydzić tego, jak miło mi było patrzeć, jak się tłumaczy.

Przypomniałam sobie słowa Baghry: „pasuje ci władza... Rosnąc, będzie łaknęła więcej”. Ale czy wierzyłam Zoi? Czy łzy jej oczach były prawdziwe, czy udawane?

Zamrugnęła i popatrzyła na mnie wilkiem:

- Dalej cię nie lubię, Starkov. To się nigdy nie zmieni. Jesteś pospolita i niezdarna, i nie wiem, dlaczego urodziłaś się z taką

potęgą. Ale jesteś Przyzywaczką Słońca i jeżeli dzięki tobie Ravka będzie wolna, to ja będę dla ciebie walczyć.

Przyglądałam się jej z namysłem. Na jej policzkach rozgorzały jaskrawe rumieńce, usta jej drżały.

- Więc? - odezwała się. Widziałam, ile ją kosztowało to pytanie.

- Odsyłasz mnie?

Odczekałam jeszcze chwilę.

- Możesz zostać. Na razie.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Mal. Nie zauważyliśmy nawet, że przerwał trening.

W jednej chwili niepewność Zoi wyparowała. Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

- Ponoć cudownie strzelasz z łuku. Pomyślałam, że mógłbyś mnie poduczyć.

Mal popatrzył na mnie.

- Może później.

- Będę czekać - odparła i wyszła z miękkim szelestem jedwabiu.

- O co chodziło? - spytał, kiedy ruszyliśmy po wzgórzu do Małego Pałacu.

- Nie ufam jej.

Milczał przez dłuższą chwilę.

- Alina - powiedział niespokojnie - to, co wydarzyło się w Kribirsku...

Przerwałam mu szybko. Nie chciałam wiedzieć, co porabiał z Zoją w obozie Griszów. Zresztą nie o to chodziło.

- Była jedną z ulubienic Darklinga i zawsze mnie nie znosiła.

- Pewnie była o ciebie zazdrosna.

- Złamała mi dwa zębra.

- Co proszę?

- To był wypadek. Tak jakby. - Nigdy Malowi nie opowiadałam, jak źle mi było, zanim nauczyłam się używać swojej mocy - o niekończących się, samotnych dniach kłęk. - Nie mogę mieć pewności, wobec kogo naprawdę jest lojalna. - Pomasowałam się po napiętych mięśniach karku. - Nikogo nie mogę być pewna. Ani Griszów, ani służby. Każde z nich może pracować dla Darklinga.

Mal się rozejrzył. Jak nigdy nikt nas nie obserwował. Złapał mnie za rękę impulsywnie.

- Za dwa dni Gricki urządza przyjęcie z wróżbami. Jedź ze mną.

- Gricki?

- Syn Stepana Grickiego, króla przetworów. Nuworysze - powiedział Mal, świetnie naśladując zadufanego w sobie arystokratę. - Lecz jego rodzina ma pałac przy kanale.

- Nie mogę - powiedziałam, myśląc o naradach, lustrzanych naczyniach Davida, ewakuacji szkoły.

Wydawało mi się niestosowne iść na przyjęcie, skoro za parę dni czy tygodni może wybuchnąć wojna.

- Możesz - powiedział Mal. - Na godzinkę czy dwie.

Było to kuszące - wykraść parę chwil z Malem z dala od presji Małego Pałacu. Musiał wyczuć, że się waham. - Przebierzemy cię za jednego z jasnowidzów. Nikt nawet się nie dowie, że Przyzywaczka Słońca tam jest.

Przyjęcie późno wieczorem, po pracy. Ominie mnie jedna noc bezowocnych poszukiwań w bibliotece. Co w tym złego?

- Dobrze. Chodźmy.

Uśmiechnął się tak promiennie, że zaparło mi dech w piersi. Nie wiedziałam, czy kiedyś przywyknę do myśli, że taki uśmiech jest właśnie dla mnie.

- Tolia i Tamar nie będą zadowoleni - uprzedził.

- To moja straż. Zrobią, co rozkażę.

Mal stanął na baczność, po czym skłonił się wymyślnie.

- Da, soverena maja - wygłosił poważnym tonem. - Żyjemy, by służyć.

Przewróciłam oczami, ale kiedy szłam do warsztatów Materialników, było mi nieco lżej na sercu.

18.

Posiadłość Grickich znajdowała się w dzielnicy nad kanałem, która uchodziła za najmniej modną w górnym mieście, bo tylko pobliski most oddzielał ją od pospólstwa. Rezydencja była wystawna i sąsiadowała z jednej strony z pomnikiem upamiętniającym wojnę, a z drugiej - ogrodami zakonu Świętej Lizabety.

Mal zdobył skądś na wieczór pożyczony powóz. Tłoczyliśmy się w ciasnym wnętrzu z bardzo marudną Tamar. Ona sama oraz Tolia długo i donośnie gderali na to przyjęcie, ale ja jasno dałam do zrozumienia, że się nie ugnę. Kazałam im też przysiąc, że zachowają to w tajemnicy. Nie chciałam, by wieści o mojej wycieczce poza bramy pałacu dotarły do Mikołaja.

Wszyscy byliśmy ubrani jak suliccy wróżowie - mieliśmy jaskrawo pomarańczowe, jedwabne peleryny i czerwone, lakierowane maski rzeźbione w podobizny szakali. Tolia został w pałacu. Choćby zakryć go od stóp do głów, sam jego rozmiar nazbyt zwracałby uwagę. Mal ścisnął mnie za rękę i poczułam przyływ radosnego podniecenia. W płaszczu było mi za ciepło, a twarz pod maską już zaczynała mnie swędzić, ale nie dbałam o to. Czułam się jak w Keramzinie, kiedy porzucaliśmy obowiązki i narażaliśmy się na różgę, żeby wymknąć się na naszą łąkę. Leżeliśmy w chłodnej trawie i słuchaliśmy buczenia owadów,

patrzyliśmy, jak chmury nad naszymi głowami zmieniają kształty. Taki spokój wydawał się teraz bardzo odległy. Ulica wiodąca do rezydencji króla pikli była zapchana karetami. Skręciliśmy w alejkę nieopodal klasztoru, żeby łatwiej się wmieszać w tłum jasnowidzów wchodzących wejściem dla służby.

Wysiadając z powozu, Tamar ostrożnie poprawiła pelerynę. Oboje z Malem mieli ukryte pistolety. Wiedziałam też, że pod pomarańczowym jedwabiem do każdego z ud przypięła po toporku.

- A co będzie, jeśli ktoś zechce, żeby mu powróżyć? - zapytałam.

Poprawiłam wiązania maski i opuściłam kaptur.

- Powiedz mu zwykłe bzdury - odparł Mal. - Piękne kobiety, niespodziewany majątek. Wystrzegaj się ósemki.

Wejście dla służby wiodło obok parującej kuchni na zaplecze domu. Jak tylko jednak weszliśmy do środka, mężczyzna w liberii Grickich złapał mnie za ramię.

- Co wy sobie myślicie? - powiedział i mną potrząsnął. Widziałam, jak Tamar sięga w stronę biodra.

- Ja...

- Powinniście już krążyć wśród gości. - Pchnął nas w stronę głównych pomieszczeń domu. - Nie zabawiajcie zbyt długo z jednym gościem. I żeby was nie złapał na picciu!

Pokiwałam głową, próbując uspokoić galopujące serce, i pośpieszyliśmy do sali balowej. Król pikli nie szczędził pieniędzy. Rezydencję przystrojono tak, by przypominała nadzwyczaj zbytkowny sulicki obóz. Pod sufitem wisiało mrowie lampionów w kształcie gwiazd. Wzdłuż ścian były rozstawione kryte jedwabiem wozy, tworzące błyszczącą karawanę, a sztuczne ogniska jaśniały mrugającym, kolorowym światłem. Drzwi na

taras stały otworem, a nocne powietrze rozbrzmiewało rytmicznym brzękiem sagatów i zawodzeniem skrzypiec.

W tłumie widziałam prawdziwych sulickich wróżów i uświadomiłam sobie, że w naszych maskach szakali musimy robić niesamowite wrażenie, ale gościom to chyba nie przeszkadzało. Większość z nich była już podchmielona. Śmiali się i pokrzykiwali do siebie nawzajem, formowali hałaśliwe gromadki, gapili się na akrobatów wirujących nad głowami na jedwabnych huśtawkach. Niektórzy kiwali się na krzesłach, a Sulici przepowiadali im przyszłość ze złotych dzbanów z kawą. Inni jedli przy długim stole, który rozstawiono na tarasie, opychając się nadziewanymi figami i misami nasion granatu, klaszcząc do wtóru muzyce.

Mał przemycił dla mnie małą szklaneczkę kwasu i usiedliśmy w zacienionym kącie tarasu na ławce, podczas gdy Tamar stanęła na straży w dyskretnej odległości.

Wsparłam głowę na ramieniu Mala, szczęśliwa, że mogę po prostu przy nim posiedzieć, słuchając dudnienia i brzęku muzyki. Powietrze było przesycone wonią jakichś rozkwitających nocą kwiatów, a pod nią czuć było zapach cytryn. Oddychałam głęboko i czułam, jak część wyczerpania oraz strachu ostatnich tygodni ustępuje. Zrzuciłam pantofel i wsunęłam palce stóp w chłodny żwir.

Mał poprawił kaptur, aby lepiej zakrywał mu twarz, i przesunął swoją, a potem moją maskę. Pochylił się. Nasze maski szakali zderzyły się pyskami. Zaczęłam się śmiać.

- Następnym razem przeberzemy się w inne kostiumy - powiedział zrzędliwie.

- Większe kapelusze?

- Może po prostu wsadzimy sobie na głowy koszyki.

Dwie dziewczyny podeszły ku nam niepewnym krokiem. Tamar w jednej chwili znalazła się przy moim boku. Mał i ja poprawiliśmy maski.

- Powróź nam! - zażądała wyższa z dziewcząt i prawie przewróciła się na koleżankę.

Tamar pokręciła głową, lecz Mał wskazał dłonią jeden z niewielkich stoliczków zastawionych niebieskimi, emaliowanymi kubkami oraz złotymi dzbanami. Dziewczyna pisnęła i naląła odrobinę gęstej kawy. Sulici przepowiadali przyszłość z fusów na dnie naczynia. Wypiła kawę i zrobiła grymas.

Szturchnęłam Mała w bok. „Co dalej?”

Wstał i podszedł do stołu.

- Hm... - powiedział, zaglądając do kubka. - Hm...

Dziewczyna złapała go za ramię.

- O co chodzi?

Przywołał mnie gestem. Zazgrzytałam zębami i pochyliłam się nad naczyniem.

- Żle? - jęknęła dziewczyna.

- Dobrzeee - odparł Mał z najbardziej wołającym o pomstę do nieba sulickim akcentem, jaki w życiu słyszałam. Dziewczyna westchnęła z ulgą. - Poznaasz przystojnegooo nieznajomegooo.

Dziewczyny zachichotały i klasnęły dłońmi. Nie mogłam się oprzeć.

- On będzieee bardzo niedobryyyym człowiekieem - wtrąciłam. Mój akcent był jeszcze gorszy niż Mała. Gdyby usłyszał mnie prawdziwy Sulita, prawdopodobnie podbiłby mi oko. - Musiiisz uciekaaać od niegooo.

- Ojej - dziewczęta westchnęły z rozczarowaniem.

- Musisz wyjść za brzydkiiegoo człowiekaaa - ciągnęłam. - Grubegoo. - Rozłożyłam ręce, by pokazać wielki brzuchol. - Będzieesz szczęśliwaaa z nim.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

- Nie podoba mi się ta wróżba - oznajmiła. - Poszukajmy innej. - Kiedy nadąsane odeszły, ich miejsce zajęli dosyć nietrzeźwi arystokraci. Jeden miał haczykowany nos i trzęsące się podgardle. Drugi golnął kawę, jakby to był kvas, i walnął kubkiem w stół.

- No - powiedział niewyraźnie, podkreślając szczeciniastego, rudego wąsa. - Co mnie czeka? Tylko niech będzie dobrze.

Mał udawał, że bada kubek.

- Czekaaa cię wielkiii mająteek.

- Już mam wielki majątek. Co jeszcze?

- Uhm... - Mał zaczął kluczyć. - Żona urodziiii trzech przystojnyyych synów.

Jego kompan z haczykowanym nosem wybuchł śmiechem.

- No to będziesz wiedział, że nie są twoi! - wrzasnęła. Sądziłam, że drugi arystokrata poczuje się urażony, ale ten się zaśmiał i zrobił się jeszcze czerwiejszy na twarzy.

- Muszę powinszować lokajowi! - ryknął.

- Ponoć wszystkie najlepsze rody mają bękarty - zarechotał jego kolega.

- Cóż, wszyscy mamy też psy, ale nie pozwalamy im siedzieć przy stole!

Skrzywiłam się pod maską. Podejrzywałam, że rozmawiają o Mikołaju.

- Ojej - wyrwałam Malowi kubek z ręki. - Ojej, jakie to smutneee.

- Co takiego? - zapytał arystokrata, wciąż zaśmiewając się do rozpuku.

- Wyłysiejeesz. Bardzo będziesz łysyyy.

Przestał się śmiać, a mięsità ręką dotknął przerzedzających się rudych włosów.

- A ty - powiedziała do jego przyjaciela. Mal ostrzegawczo szturchnął mnie w stopę, ale nie zwróciłam na niego uwagi. - Ty złapiesz korpęęę.

- Co takiego?

- Korpaal - orzekłam minorowym tonem. - Twoja męskooość się skurczy i zniknie!

Pobladł. Przełknął ślinę.

- Ale...

W tym momencie z wnętrza sali balowej dobiegły krzyki i głośny trzask, bo ktoś przewrócił stół. Zobaczyłam, jak dwóch mężczyzn się poszturkuje.

- Moim zdaniem pora już iść - powiedziała Tamar, odciągając nas od zamieszania.

Już miałam oponować, ale bójka rozgorzała na dobre. Ludzie zaczęli się przepychać w stronę wejścia na taras. Muzyka ucichła i wyglądało na to, że część wróżów wplątała się w szamotaninę. Ponad głowami tłumu widziałam, jak jeden z jedwabnych wozów się wali. Ktoś rzucił się w naszą stronę i walnął w arystokratów. Dzban z kawą spadł ze stołu, a niebieskie kubeczki tuż za nim.

- Chodźmy - powiedział Mal, sięgając po pistolet. - Tylnym wejściem.

Tamar prowadziła, dzierżąc labrys w dłoni. Zbiegłam za nią po schodach, ale kiedy zesliśmy z tarasu, usłyszałam kolejny potworny trzask i krzyk. Jakaś kobietę przygniótł stół.

Mal schował pistolet do kabury.

- Zaprowadź ją do powozu - krzyknął do Tamar. - Ja was dogonię.

- Mal...

- Idźcie! Będę zaraz za wami. - Zniknął w tłumie, przeciskając się w stronę uwięzionej kobiety.

Tamar pociągnęła mnie po schodach ogrodowych, a następnie powiodła ścieżką, która biegła wzdłuż bocznej części rezydencji w stronę ulicy. Z dala od jaśniejących latarni na przyjęciu było ciemno. Oświetliłam nam drogę delikatnym blaskiem.

- Nie rób tego - powiedziała Tamar. - To może odwrócić uwagę albo zdradzić nasze położenie.

Wygasiłam światło, a chwilę później usłyszałam odgłosy przepychanki, głośne sapnięcie, a potem - nic.

- Tamar?

Popatrzyłam w stronę przyjęcia, licząc na to, że usłyszę, jak Mal się zbliża.

Serce zaczęło mi walić. Uniosłam dłonie. Mniejsza o zdradzanie położenia - nie zamierzałam ot, tak stać po ciemku. Potem usłyszałam skrzypienie bramy i schwyciły mnie silne ręce. Przeciągnięto mnie przez żywopłot.

Posłałam gorące, przesywające światło. Znajdowałam się na kamiennym dziedzińcu na uboczu głównego ogrodu, okolonym przez cisy, i nie byłam sama.

Zanim go zobaczyłam, poczułam jego zapach - zaorana ziemia, kadzidło, stęchlizna. Woń grobowca. Uniosłam ręce, a Aparat wyszedł z cienia. Kapłan nic się nie zmienił - miał tę samą sztywną, czarną brodę i niespokojne spojrzenie. Wciąż był ubrany w brązowe szaty znamionujące jego pozycję, ale królewski podwójny orzeł zniknął z jego piersi. W tym miejscu znajdowała się teraz gloria ze złotej nici.

- Nie ruszaj się - ostrzegłam.

Skłonił się nisko.

- Alina Starkov, Sol Koroleva. Nie chcę cię skrzywdzić.

- Gdzie jest Tamar? Jeśli stało się jej coś złego...

- Twojej straży nie spotka krzywda, lecz błagam, byś mnie wysłuchała.

- Czego chcesz? Skąd wiedziałeś, że tu będę?

- Wierni są wszędzie, Sol Koroleva.

- Nie mów tak do mnie!

- Z dnia na dzień twoja święta armia rośnie, przyciągana obietnicą twojego światła. Czekają tylko, aż ich poprowadzisz.

- Moja armia? - zachnęłam się. - Widziałam pielgrzymów koczujących za murami miasta. Są biedni, słabi, głodni, desperacko pragną skrawków nadziei, którymi ich karmisz.

- Są inni. Żołnierze.

- Jeszcze więcej ludzi, którzy uważają mnie za Świętą, bo naopowiadałeś im kłamstw?

- To nie kłamstwo, Alino Starkov. Jesteś Córką Keramzina, Odrodzoną w Fałdzie.

- Nie zginęłam! - rzuciłam wściekle. - Przeżyłam, bo uciekłam Darklingowi i wymordowałam w tym celu cały skif żołnierzy oraz Griszów. To opowiadasz swoim wyznawcom?

- Twój lud cierpi. Tylko ty możesz przynieść jutrzenkę nowej ery, błogosławionej świętym ogniem.

Oczy miał dzikie i tak czarne, że nie widać było źrenic. Ale czy jego obłęd był autentyczny, czy stanowił część jakiejś wyrafinowanej gry?

- A niby kto będzie władał w tej nowej erze?

- Oczywiście ty. Sol Koroleva, Święta Alina.

- Z tobą po prawicy? Przeczytałam książkę, którą mi dałeś. Święci długo nie żyją.

- Chodź ze mną, Alino Starkov.

- Nigdzie z tobą nie pójdę.

- Nie jesteś jeszcze dość silna, by zmierzyć się z Darklingiem. Ja to mogę zmienić.

Znieruchomiałam.

- Powiedz mi, co wiesz.

- Przyłącz się do mnie, a wszystko zostanie wyjawione.

Ruszyłam na niego, zaskoczona pulsem głodu i gniewu, który we mnie zatętnił.

- Gdzie jest ognisty ptak? - Sądziłam, że odpowie myląco, że będzie udawał niewiedzę. Zamiast tego uśmiechnął się, ukazując czarne dziąsła i krzywe zęby. - Powiedz mi, popie - rozkazałam - albo rozplątam się na pół tu i teraz, a twoi wyznawcy będą mogli do upojenia modlić się nad twoim ciałem, żeby się zrosło. - Z zaskoczeniem odkryłam, że mówię poważnie.

Pierwszy raz wydawał się zdenerwowany. Dobrze. Spodziewał się potulnej Świętej?

Uniósł ręce pojednawczo.

- Nie wiem. Przysięgam. Ale kiedy Darkling opuszczał Mały Pałac, nie zdawał sobie sprawy, że więcej tam nie wróci. Zostawił wiele wartościowych rzeczy - takich, które inni mieli za zniszczone dawno temu.

Znów poczułam buzowanie głodu.

- Dzienniki Morozova? Masz je?

- Chodź ze mną, Alino Starkov. Tajemnice pogrzebane są głęboko.

Czy to możliwe, by mówił prawdę? Czy po prostu przekaże mnie Darklingowi?

- Alina! - Głos Mała dobiegł gdzieś zza żywopłotu.

- Tu jestem! - zawołałam.

Mał wpadł na dziedziniec z pistoletem w dłoni. Tuż za nim była Tamar. Straciła jeden z toporków, a na przedzie płaszcza była pomazana krwią.

Stęchłe szaty zatrzepotały, Aparat obrócił się i przemknął między krzewami.

- Czekaj! - zawołałam, idąc za nim. Tamar wyprzedziła mnie z wściekłym rykiem, nurkując w żywopłot w pościgu.

- Potrzebny mi żywy! - krzyknęłam do jej niewidocznych już pleców.

- Nic ci nie jest? - wydyszał Mał, zrównawszy się ze mną. Złapałam go za rękaw.

- Mał, myślę, że on ma dzienniki Morozova.

- Zrobił ci krzywdę?

- Poradzę sobie ze starym popem - powiedziałam niecierpliwie.

- Słyszysz, co mówię?

Odsunął się.

- Tak, słyszę. Myślałem, że coś ci grozi.

- Nie groziło. Ja...

Ale Tamar już szła w naszą stronę z miną wyrażającą frustrację.

- Nie rozumiem tego - pokręciła głową. - Nagle rozplynał się w powietrzu.

- Święci - zakląłam.

Spuściła głowę.

- Wybacz mi.

Nigdy nie widziałam, żeby była tak przygnębiona.

- Nic się nie stało - odparłam. W mojej głowie wciąż panował zamęt. Miałam ochotę wrócić do alejki i wołać za Apparatem, zażądać, by się pokazał, tropić go po ulicach miasta, aż go znajdę i wyciągnę prawdę z jego zakłamanej gęby. Popatrzyłam na żywoptot. Daleko za plecami wciąż słyszałam pokrzykiwania z przyjęcia, a gdzieś w ciemności rozdzwoniły się dzwony monasteru. Westchnęłam. - Chodźmy stąd.

Nasz woźnica czekał w wąskiej, bocznej uliczce, gdzie go zostawiliśmy. Jazda powrotna upływała w napiętej atmosferze.

- Ta rozróbka nie była przypadkowa - powiedział Mał.

- To prawda - zgodziła się Tamar, dotykając brzydkiego skaleczenia na brodzie. - Wiedział, że tam będziemy.

- Jak? - zapytał Mał kategorycznie. - Nikt inny nie wiedział, że się tam wybieramy. Mówiłaś Mikołajowi?

- Mikołaj nie ma z tym nic wspólnego - powiedziałam.

- Skąd taka pewność?

- Bo nic by na tym nie zyskał. - Przycisnęłam palce do skroni. - Może ktoś widział, jak wychodziliśmy z pałacu.

- Jak się dostał do Os Alty niezauważony? Skąd w ogóle wiedział, że będziemy na tym przyjęciu?

- Nie wiem - odparłam ze znużeniem. - Mówił, że wierni są wszędzie. Może ktoś ze służby podsłuchał.

- Dziś nam się poszczęściło - zauważyła Tamar.

- Mogło być znacznie gorzej.

- Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo - upierałam się. - Chciał tylko porozmawiać.

- Co mówił?

Streściłam zwięźle, nie wspominając o dziennikach Morozova. Nie rozmawiałam o nich z nikim oprócz Mała, a Tamar i bez tego za dużo wiedziała o wzmacniaczach.

- Tworzy jakąś armię - powiedziałam na koniec. - Armię ludzi, którzy wierzą, że powstałam z martwych i że mam jakąś świętą moc.

- Ilu? - spytał Mal.

- Nie wiem. I nie wiem, co zamierza z nimi zrobić. Ruszyć przeciwko królowi? Posłać do walki z hordą Darklinga? Jestem już odpowiedzialna za Griszów. Nie chcę dodatkowego brzemienia w postaci armii bezradnych otkazacji.

- Nie wszyscy jesteśmy tacy słabi - powiedział Mal ostrym tonem.

- Nie... Chodziło mi tylko o to, że wykorzystuje tych ludzi. Żeruje na ich nadziei.

- Czy to się czymś różni od tego, jak Mikołaj obwozi cię po wioskach?

- Mikołaj nie mówi ludziom, że jestem nieśmiertelna i potrafię dokonywać cudów.

- Nie - powiedział Mal. - Tylko pozwala im w to wierzyć.

- Dlaczego tak łatwo go atakujesz?

- Dlaczego tak szybko go bronisz?

Odwrociłam się - zmęczona, zniecierpliwiona, z mętlikiem w głowie. Za oknem powozu migwały oświecone przez latarnie ulice górnego miasta. Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.

W Małym Pałacu przebrałam się, a Mal i Tamar opowiedzieli Tolii, co się wydarzyło.

Siedziałam na łóżku, kiedy Mal zapukał. Zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Ten pokój jest taki przygnębiający. Sądziłem, że zamierzasz zmienić wystrój.

Wzruszyłam ramionami. Miałam za dużo innych zmartwień, a zresztą już prawie przywykłam do cichej posępnosci pomieszczenia.

- Uważasz, że ma dzienniki? - spytał Mal.

- Byłam zaskoczona, że wie, iż istniały.

Podszedł do łóżka, a ja ugięłam kolana, by zrobić dla niego miejsce.

- Tamar ma rację - powiedział i usiadł u moich stóp. - Mogło być znacznie gorzej.

Westchnęłam.

- No to po zwiedzaniu.

- Niepotrzebnie to sugerowałem.

- Niepotrzebnie się zgodziłam.

Pokiwał głową, przejechał czubkiem buta po podłodze.

- Tęsknię za tobą - powiedział cicho.

Słowa były łagodne, ale wywołały we mnie bolesny, upragniony dreszcz. Czy w głębi duszy w to wątpiłam? Tak często go nie było.

Dotknęłam jego ręki.

- Ja też za tobą tęsknię.

- Przyjdź jutro potrenować ze mną strzelanie do celu. Nad jeziorem.

- Nie mogę. Mikołaj i ja spotykamy się z delegacją kerczańskich bankierów. Chcą obejrzeć Przyzywaczkę Słońca, zanim zdecydują się żyrować pożyczkę dla królestwa.

- Powiedz mu, że jesteś chora.

- Griszowie nie chorują.

- No to powiedz, że jesteś zajęta.
- Nie mogę.
- Inni Griszowie mają czas...
- Ja nie jestem jedną z innych Griszów - powiedziałam ostrzej, niż zamierzałam.
- Wiem - odparł ze znużeniem. Wypuścił powietrze przeciągle. - Święci, jak ja nie znoszę tego miejsca.
- Zamrugałam powiekami, zaskoczona pasją w jego głosie.
- Naprawdę?
- Nie znoszę tych przyjęć. Nie znoszę tych ludzi. Wszystkiego tu nie znoszę.
- Myślałam... wydawało mi się, że jesteś... może nie szczęśliwy, ale...
- To nie miejsce dla mnie, Alino. Nie mów, że nie zauważyłaś. W to nie wierzyłam. Mal wszędzie umiał się dopasować.
- Mikołaj mówi, że wszyscy cię uwielbiają.
- Bawię ich - rzekł Mal. - To nie to samo. - Obrócił moją dłoń i przesunął palcami po przecinającej ją bliźnie. - Wiesz, że wręcz tęsknię za życiem uciekiniera? Nawet za tą brudną gospodą w Koftonie i za pracą w fabryce. Wtedy przynajmniej miałem poczucie, że coś robię, a nie tylko tracę czas i zbieram plotki.
- Poruszyłam się nieswojo. Niespodziewanie poczułam się defensywnie.
- Wykorzystujesz każdą okazję, by stąd wyjechać. Nie musisz przyjmować każdego zaproszenia.
- Wbił we mnie wzrok.
- Alino, trzymam się na dystans, by cię chronić.
- Przed czym? - spytałam z niedowierzaniem.
- Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju niespokojnie.

- Jak myślisz, o co mnie spytali na królewskim polowaniu? W pierwszej kolejności? Chcieli wiedzieć, co nas łączy. - Odwrócił się do mnie i odezwał się okrutnym, drwiącym tonem. - „Czy to prawda, że chędożysz Przyzywaczkę Słońca? Jak to jest ze Świętą? Gustuje w tropicielach czy bierze do łóżka wszystkich służących?” - Skrzyżował ramiona na piersi. - Trzymam się na dystans, żeby się nieco odseparować, żeby powstrzymać plotki. Pewnie teraz też nie powinno mnie tu być.

Objęłam ramionami kolana i przycisnęłam je do piersi. Policzki mnie paliły.

- Czemu nic nie mówiłeś?

- Co miałem powiedzieć? I kiedy? Prawie cię nie widuję.

- Myślałam, że chcesz wyjeżdżać.

- Chciałem, żebyś poprosiła mnie, bym został.

Ścisnęło mnie w gardle. Otworzyłam usta, by mu powiedzieć, że jest niesprawiedliwy, że nie mogłam wiedzieć. Ale czy to była prawda? Może naprawdę wierzyłam, że Malowi lepiej z dala od Małego Pałacu. A może tylko tak sobie wmawiałam, bo pod jego nieobecność było łatwiej - jedna mniej osoba mnie obserwowała i czegoś ode mnie chciała.

- Przepraszam - powiedziałam chrapliwie.

Uniósł ręce, jakby chciał argumentować, a potem opuścił je bezradnie.

- Czuję, jak się ode mnie oddalasz, i nie wiem, jak to powstrzymać.

Oczy zapiekły mnie od łez.

- Znajdziemy sposób - powiedziałam. - Znajdziemy więcej czasu...

- Nie chodzi tylko o to. Odkąd założyłaś drugi wzmacniacz, jesteś inna. - Musnęłam dłonią bransoletę. - Kiedy rozwaliałaś

kopulę, to, jak mówisz o ognistym ptaku... Wczoraj słyszałem, jak rozmawiałaś z Zoją. Alina, ona się bała, a tobie się to podobało.

- Może i tak - powiedziałam z przyrywem gniewu. Gniew był dużo lepszy niż poczucie winy albo wstyd.

- Co z tego? Nie masz pojęcia, jaka ona jest, jak mnie tutaj jest. Lęk, odpowiedzialność...

- Wiem o tym. Wiem. I widzę, ile cię to kosztuje. Ale sama to wybrałaś. Masz cel. Ja sam już nawet nie wiem, co tu robię.

- Nie mów tak. - Zsunęłam nogi z łóżka i wstałam.

- Mamy cel. Przybyliśmy tu dla Ravki...

- Nie, Alino. Ty tu przybyłaś dla Ravki. Dla ognistego ptaka. Po to, by przewodzić Drugiej Armii. - Popukał w słońce na swoim sercu. - Ja tu przyjechałem dla ciebie. Ty jesteś moją banderą. Ty jesteś moim narodem. Ale to już chyba nie ma znaczenia. Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy teraz sami pierwszy raz od tygodni?

Uświadomiliśmy sobie ten fakt i w pokoju zapanowała nienaturalna cisza. Mal zrobił jeden, niepewny krok w moją stronę. Potem dwoma susami znalazł się tuż przy mnie. Jedną ręką objął mnie w talii, drugą dotknął mojej twarzy. Delikatnie uniósł moje usta ku swoim.

- Wróć do mnie - powiedział łagodnie. Przyciągnął mnie do siebie, ale kiedy nasze usta się zetknęły, spostrzegłam coś kątem oka.

Za Malem stał Darkling. Zesztywniałam. Mal się odsunął.

- Co? - spytał.

- Nic. Ja tylko... - przerwałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Darkling wciąż tam stał.

- Powiedz mu, że kiedy bierze cię w ramiona, widzisz mnie - powiedział.

Zacisnęłam oczy.

Mal spuścił ręce i odsunął się ode mnie, zaciskając palce w pięści.

- Więcej chyba nie muszę wiedzieć.

- Mal...

- Trzeba było mi przerwać. Stałem tu i nawijałem jak głupiec. Skoro mnie nie chciałaś, wystarczyło powiedzieć.

- Nie przejmuj się tak, tropicielu - powiedział Darkling. - Z każdego mężczyzny można zrobić głupca.

- Nie o to chodzi... - zaproponowałam.

- Czy to Mikołaj?

- Co? Nie!

- Kolejny otkazacja, Alino? - zakpił Darkling.

Mal pokręcił głową z niesmakiem.

- Pozwoliłem mu się odepchnąć. Spotkania, narady, obiady. Dałem się wyrugować. Czekałem, liczyłem na to, że zatęsknisz za mną na tyle, by posłać go do diabła.

Przelknęłam, próbując wyprzeć widok zimnego uśmiechu Darklinga.

- Mal, Darkling...

- Nie chcę już słyszeć o Darklingu! Ani o Ravce, wzmacniaczach i tym wszystkim. - Przeciął dłonią powietrze. - Mam dość. - Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

- Czekał! - pognałam za nim i wyciągnęłam rękę, by złapać go za ramię. Odwrócił się tak szybko, że prawie na niego wpadłam.

- Nie rób tego, Alino.

- Nie rozumiesz...

- Wzdrygnęłaś się. Spróbuj zaprzeczyć.

- To nie było przez ciebie!

Mal zaśmiał się szorstko.

- Wiem, że nie masz zbyt wiele doświadczenia. Ale ja całowałem dość dziewcząt, by wiedzieć, co to znaczyło. Nie martw się. Więcej się to nie powtórzy.

Jego słowa były jak policzek. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Stałam w miejscu i wpatrywałam się w zamknięte drzwi. Wyciągnęłam dłoń i dotknęłam kościanej klamki.

„Naprawisz to” - mówiłam sobie. „Odkręcisz to”. Ale zastygłam w miejscu, a słowa Mala dzwoniły mi w uszach. Przygryzłam mocno wargę, by uciszyć łkanie, które mną wstrząsało. „Dobrze” - pomyślałam, kiedy łzy polały mi się po policzkach. „W ten sposób służba nie usłyszy”. Pomiedzy żebrami poczułam ból - intensywne, twarde ostrze bólu, które utknęło mi pod mostkiem i naciskało na serce.

Nie słyszałam, jak Darkling się przemieszczał, lecz nagle znalazł się przy mnie. Długimi palcami odsunął mi włosy z szyi i dotknął obroży. Kiedy pocałował mnie w policzek, miał zimne usta.

19.

Wczesnym rankiem następnego dnia znalazłam Davida na dachu Małego Pałacu, gdzie rozpoczęto konstrukcję jego gigantycznych, lustrzanych naczyń. Urządził sobie prowizoryczny warsztat w cieniu jednej z kopuł. Już teraz był on zaśmiecony lśniącymi odłamkami oraz wyrzuconymi rysunkami. Leciutki wiatr muskał ich krawędzie. Na jednym z marginesów rozpoznałam bazgroły Mikołaja.

- Jak idzie? - zapytałam.

- Lepiej - odparł, przyglądając się gładkiej powierzchni najbliższego naczynia. - Wydaje mi się, że krzywizna jest prawidłowa. Wkrótce powinno się dać je wypróbować.

- Jak szybko? - Nadal dochodziły nas sprzeczne wieści o miejscu pobytu Darklinga, ale jeśli jeszcze nie skończył tworzyć armii, niebawem to nastąpi.

- Za parę tygodni - odparł David.

- Tak długo?

- Może być szybko albo może być dobrze - mruknął.

- Davidzie, muszę wiedzieć...

- Powiedziałem ci już wszystko, co wiem o Morozowie.

- Nie o nim, nie całkiem. Gdybym... gdybym chciała zdjąć obrożę. Jak to zrobić?

- Nie możesz.

- Nie teraz. Ale po...

- Nie - powtórzył David, nie patrząc na mnie. - Ona jest inna niż pozostałe wzmacniacze. Nie można jej po prostu zdjąć. Musiałabyś ją zniszczyć, naruszyć strukturę. Rezultaty byłyby katastrofalne.

- Jak bardzo katastrofalne?

- Nie jestem pewien. Ale podejrzewam, że Fałda wyglądałaby przy tym jak niegroźne skaleczenie.

- Och - powiedziałam cicho. Z bransoletą zatem byłoby tak samo. W cokolwiek się zmieniałam - nie było odwrotu. Żywiłam nadzieję, że wizje są wynikiem ukąszenia nisztója, że efekty będą słabnąć w miarę gojenia się rany. Ale tak się nie działo. A choćby nawet nawet tak się działo, za pośrednictwem obroży zawsze będę związana z Darklingiem. Kolejny raz przez myśl przemknęło mi pytanie, dlaczego nie postanowił osobiście zabić węża morskiego i związać nas jeszcze mocniej.

David podniósł kałamarz i zaczął się nim bawić. Wyglądał bardzo smętnie.

„Nie tylko smętnie” - pomyślałam. „Ma poczucie winy”. To on ukuł tę więź, na wieki założył mi łańcuch na szyję.

Delikatnie wyjęłam mu z rąk kałamarz.

- Gdybyś ty tego nie zrobił, Darkling znalazłby kogoś innego.

Drgnął - przypominało to coś pomiędzy skinieniem głową i wzruszeniem ramionami. Odstawiłam kałamarz na drugim końcu stołu, gdzie nie mogły go dosięgnąć jego nerwowe palce, i odwróciłam się, by odejść.

- Alino...?

Zatrzymałam się i popatrzyłam na niego. Policzki mu poczerwieniały. Ciepły wietrzyk uniósł końcówki jego potarganych włosów. Przynajmniej ta okropna fryzura już mu odrastała.

- Słyszałem... słyszałem, że na statku była Genia. Z Darklingiem.

Poczułam ukłucie żalu nad Genią. Czyli David nie był zupełnie nieświadomy.

- Tak - odpowiedziałam.

- Nic jej nie jest? - zapytał z nadzieją.

- Nie wiem - przyznałam. - Kiedy uciekliśmy, była cała i zdrowa. - Jeśli jednak Darkling wiedział, że Genia nas właściwie wypuściła, sama nie byłam pewna, jak z nią postąpi. Zawahałam się. - Błagałam ją, by z nami poszła.

Posmutniał.

- Ale ona została?

- Nie wydaje mi się, by uważała, że ma wybór. - Nie mogłam uwierzyć, że usprawiedliwiam Genię, ale nie chciałam, by David miał o niej gorsze zdanie.

- Powiniennem był... - Nie był chyba pewien, jak skończyć zdanie.

Chciałam powiedzieć coś pocieszającego, podnieść go na duchu. Jednak w mojej własnej przeszłości kryło się tyle błędów, że nie przychodziło mi do głowy nic, co nie zabrzmiałoby fałszywie.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy - powiedziałam nieudolnie.

David popatrzył na mnie. Na jego twarzy wypisany był żal. Niezależnie od tego, co mówiłam, oboje znaleźliśmy twardą prawdę. Robimy, co w naszej mocy. Staramy się. A zazwyczaj i tak nie robi to różnicy.

Ponury nastrój wzięłam z sobą na kolejną naradę w Wielkim Pałacu. Plan Mikołaja zdawał się przynosić efekty. Chociaż Wasyl wciąż zmuszał się, by chodzić z nami do sali obrad na spotkania z ministrami, pojawiał się coraz później, a od czasu do czasu widywałam, jak drzemie. Kiedy pewnego razu się nie stawił, Mikołaj zwlókł go z łóżka, upierając się radośnie, że Wasyl musi się ubrać, bo bez niego po prostu nie możemy kontynuować. Ewidentnie skacowany Wasyl przebrnął przez pół zebrania, chwiejąc się u szczytu stołu, po czym zerwał się na równe nogi, wybiegł na korytarz i zwymiotował głośno do lakierowanej wazy.

Dzisiaj nawet mnie trudno było nie zasnąć. Wietrzyk całkowicie ustał i pomimo otwartych okien w zatłoczonej sali obrad było nieznośnie duszno. Spotkanie posuwało się do przodu powoli i opornie, dopóki jeden z generałów nie ogłosił niskich wyników spisu żołnierzy Pierwszej Armii. Jej szeregi przetrzebiły śmierć, dezercja i lata brutalnej wojny, a skoro Ravka miała znowu

walczyć na przynajmniej jednym froncie, sytuacja była poważna. Vasyl machnął ręką leniwie i rzekł:

- Po co to zgrzytanie zębów? Wystarczy obniżyć wiek poborowy.

Wyprostowałam się na krześle.

- Do ilu lat? - spytałam.

- Czternastu? Piętnastu? - zaproponował Vasyl.

- A ile teraz jest?

Pomyślałam o tych wszystkich wioskach, przez które z Mikołajem przejeżdżaliśmy - o ich rozległych cmentarzach.

- A może obniżyć do dwunastu? - warknęłam.

- Nigdy nie jest się za młodym na służbę krajowi - oznajmił Vasyl.

Nie wiem, czy przez wyczerpanie, czy gniew, ale słowa wyrwały mi się, nim zdążyłam ugryźć się w język:

- W takim razie dlaczego nie mniej niż dwanaście? Ponoć niemowlęta to pierwszorzędne mięso armatnie.

Wśród doradców króla rozległ się pomruk dezaprobaty. Pod stołem Mikołaj ścisnął mnie za rękę ostrzegawczo.

- Bracie, zaciąganie ich do wojska w młodszym wieku nie powstrzyma ich przed dezercją - zwrócił się do Vasyla.

- No to znajdziemy paru dezerterów i zrobimy z nich przykład.

- Jesteś pewien - Mikołaj uniósł brew - że śmierć przez rozstrzelanie jest bardziej przerażająca niż perspektywa bycia rozdartym przez niszoje?

- O ile one w ogóle istnieją - zachnął się Vasyl.

Własnym uszom nie wierzyłam. Mikołaj jednak uśmiechnął się tylko pogodnie.

- Sam je widziałem na pokładzie „Volkvołnego”. Nie twierdzisz chyba, że kłamię.

- Nie twierdzisz chyba, że ludzie wolą zdradę stanu od uczciwej służby w królewskiej armii.

- Sugeruję jedynie, że może ci ludzie kochają życie tak samo jak ty. Są źle wyposażeni, brakuje im zaopatrzenia, nie mają nadziei. Gdybyś czytał raporty, wiedziałbyś, że oficerom trudno utrzymać spokój w szeregach.

- Powinni zatem zastosować surowsze kary - rzekł Wasyl. - Wieśniacy rozumieją kary.

Walnęłam już pięścią jednego księcia. Co mi tam kolejny? Zdążyłam prawie wstać z krzesła, nim Mikołaj mnie z powrotem posadził.

- Rozumieją pełne brzuchy i jasne rozkazy - powiedział. - Gdybyś pozwolił mi wdrożyć zmiany, które zaproponowałem, i otworzyć skarbiec...

- Nie zawsze może być po twojemu, braci szku.

Sala tętniła napięciem.

- Świat się zmienia - powiedział Mikołaj nowym, stalowym tonem. - Albo zmienimy się wraz z nim, albo pozostanie po nas tylko kurz i pył.

Wasyl się zaśmiał.

- Nie umiem się zdecydować, czy siejesz panikę, czy sam tchórzysz.

- A ja nie umiem się zdecydować, czy jesteś idiotą, czy idiotą.

Wasyl spurpurowiał na twarzy. Skoczył na równe nogi i walnął dłońmi o blat stołu.

- Darkling to tylko jeden człowiek. Jeśli boisz się stawić mu czoło...

- Stawilem mu czoło. Jeśli się nie boisz... jeśli którykolwiek z was się nie boi... to z braku rozumu, by pojąć, z czym się mierzymy.

Niektórzy z generałów pokiwali głowami. Jednak królewscy doradcy - arystokraci z Os Alty i biurokraci - byli sceptyczni i nadąsani. Dla nich wojna ograniczała się do parad, teorii wojskowości, małych figurek przemieszczających się po mapie. Jeśli zaistnieje konieczność decyzji, oni właśnie opowiedzą się po stronie Wasyla.

Mikołaj wyprostował się i na powrót przywdział maskę aktora.

- Pokój, bracie. Obaj chcemy tego, co najlepsze dla Ravki.

Vasyl jednak nie chciał dać się ułagodzić.

- Dla Ravki najlepszy jest Lancov na tronie.

Nabrałam powietrza ostro. W sali zapadła śmiertelna cisza. Vasyl ni mniej ni więcej tylko nazwał Mikołaja bękartem. Lecz Mikołaj odzyskał już panowanie nad sobą i odparł niewzruszenie:

- Pomódlmy się zatem za prawowitego króla Ravki. Kończymy na dzisiaj?

Narada toczyła się jeszcze parę minut niemrawo i w końcu została zamknięta. W drodze do Małego Pałacu Mikołaj milczał jak nigdy.

Kiedy doszliśmy do ogrodów przy altance z balustradą, przystanął, zerwał listek z żywopłotu i odezwał się:

- Nie powinienem był dzisiaj dać się wyprowadzić z równowagi. To drażni jego dumę i Vasyl idzie potem w zaparte.

- Dlaczego więc dziś tak się stało? - zapytałam z autentyczną ciekawością. Mikołaja rzadko ponosiły emocje.

- Nie wiem - odparł, drąc listek. - Rozzłościłaś się. Ja się rozzłościłem. W pokoju było potwornie gorąco.

- Moim zdaniem nie o to chodzi.

- Niestrawność? - podsunął.

Nie zamierzałam jednak dać się zbić z tropu żartem. Wasyl ciągle się sprzeciwiał, a rada była niechętna wszelkiej aktywności, a mimo to dzięki czarodziejskiemu połączeniu cierpliwości i nacisku Mikołajowi udało się przeforsować kilka swoich planów. Doprowadził do tego, że zgodzili się przyznać zasiłek uchodźcom z nad brzegów Fałdy, i zarekwirował materialnicke płótno na wyposażenie głównych pułków Pierwszej Armii. Skłonił ich nawet, by wydzielili fundusze na plan modernizacji gospodarstw rolnych, tak by wieśniacy mogli sobie pozwolić na coś więcej niż goła egzystencja. Drobiazgi, ale takie, które mogą z czasem zrobić wielką różnicę.

- Rzecz w tym, że ciebie naprawdę obchodzi, co się stanie z tym krajem - powiedziałam. - Dla Wasyla tron to tylko trofeum, coś, o co chce się posprzeczać jak o ulubioną zabawkę. Ty jesteś inny. Będziesz dobrym królem.

Mikołaj zamarł.

- Ja... - Choć raz zabrakło mu języka w gębie. Potem krzywy, zażenowany uśmiech rozjaśnił mu twarz - zupełnie inny niż jego zwykły, arogancki uśmieszek.

- Dziękuję.

Westchnęłam i ruszyliśmy ponownie.

- Teraz będziesz nie do zniesienia, prawda?

Mikołaj się roześmiał.

- Już jestem nie do zniesienia.

Dni stawały się coraz dłuższe. Słońce wisało nisko nad horyzontem, a w Os Alcie zaczęło się święto Białych Nocy. Nawet o północy niebo nie było całkowicie ciemne i pomimo

strachu przed wojną oraz stałego zagrożenia, jakie niosła Fałda, miasto świętowało niekończący się zmierzch. W górnym mieście wieczorami nieustannie organizowano opery, maskarady i wystawne balety. Za mostem ulicami dolnego miasta wstrząsały hałaśliwe wyścigi koni i potańcówki pod gołym niebem. Po kanale nieprzerwanym strumieniem sunęły barki, a w połyskliwym zmroku powolna woda okrążała stolicę jak wysadzana kamieniami szlachetnymi bransoletka, rozświetlona latarniami zawieszonymi na niezliczonych dziobach statków.

Upał nieco zelżał. Za murami pałacu wszyscy zdawali się mieć lepsze humory. Konsekwentnie nalegałam, by Zakony Griszów się z sobą kontaktowały, i w którymś momencie - nie byłam pewna jak - niezręczną ciszę zastąpiły śmiech i głośne rozmowy. Wciąż istniały koterie i konflikty, ale w sali zapanowały swoboda i żywiołowość, których wcześniej nigdy tam nie było.

Cieszyłam się - byłam nawet trochę dumna - widząc, jak Fabrykatorzy i Eterealnicy piją herbatę wokół samowaru, jak Fedior sprzecza się o coś z Pavlem przy śniadaniu, jak młodszy brat Nadii próbuje zagadać do starszej i zdecydowanie niezainteresowanej nim Paży. Miałam jednak poczucie, jakbym obserwowała ich z wielkiej odległości.

Od naszej kłótni kilka razy próbowałam porozmawiać z Malem. Zawsze znalazł wymówkę, by odejść. A to polował, a to grał w karty w Wielkim Pałacu, a to siedział w jakiejś tawernie w dolnym mieście z nowymi przyjaciółmi. Widziałam, że więcej pije. Niekiedy o poranku oczy miał mętne, był poobijany i pokaleczony, jak gdyby się bił, lecz był niezawodnie punktualny, nieustępliwie uprzejmy. Wypełniał obowiązki członka straży, stał cicho w drzwiach i zachowywał dyktowany szacunkiem dystans, chodząc za mną po majątku.

Mały Pałac stał się bardzo samotnym miejscem. Otaczali mnie ludzie, lecz miałam niemal wrażenie, że nie widzą mnie, lecz

jedynie to, czego ode mnie potrzebują. Bałam się okazać zwątpienie lub niezdecydowanie. Zdarzały się dni, kiedy czułam się, jakbym ugiwała się pod ciężarem ciągłej odpowiedzialności oraz oczekiwań.

Chodziłam na narady. Trenowałam z Botkinem. Przez długie godziny nad jeziorem starałam się wyszlifować Cięcie. Przełknęłam nawet dumę i jeszcze raz próbowałam odwiedzić Baghrę, licząc przynajmniej na to, że pomoże mi rozwinąć moc. Ona jednak nie chciała mnie widzieć.

To wszystko nie wystarczało. Statek, który Mikołaj budował na jeziorze, przypominał, że wszelkie nasze wysiłki najprawdopodobniej okażą się daremne. Gdzieś tam Darkling zbierał siły, budował armię, a kiedy nadejdą, ani broń, ani bomba, ani żołnierz, ani Grisza ich nie powstrzyma. Nawet ja. Jeśli bitwa pójdzie źle, wycofamy się do sali pod kopułą, by czekać na wsparcie z Policnai. Drzwi wzmocniono griszaicką stalą, a Fabrykatorzy zabrali się już za uszczelnianie szpar i otworów, by niszcze nie mogły się dostać do środka.

Nie sądziłam, że do tego dojdzie. Moje próby odszukania ognistego ptaka utknęły w martwym punkcie. Jeśli Davidowi nie uda się przygotować tych naczyń, to kiedy Darkling w końcu ruszy na Ravkę, nie będziemy mieli wyjścia i będziemy musieli się ewakuować. Zacząć stale uciekać.

Używanie mocy nie podnosiło mnie na duchu jak kiedyś. Za każdym razem, gdy przyzywałam światło w warsztatach Materialników albo na brzegu jeziora, czułam nagość prawego nadgarstka jak rozpalone piętno. Chociaż wiedziałam, że wzmacniacze wiążą się z ryzykiem zniszczenia, że mogą mnie nieodwracalnie zmienić - nie mogłam przestać łaknąć ognistego ptaka.

Mal miał rację. Przerodziło się to w obsesję. Nocą leżałam w łóżku, wyobrażając sobie, że Darkling znalazł już brakujący kawałek układanki Morozova. Może trzyma ognistego ptaka w złotej klatce. Ciekawe, czy ptak mu śpiewa? Nie wiedziałam nawet, czy ogniste ptaki w ogóle śpiewają. Według niektórych podań tak było. Zgodnie z jedną z opowieści pieśń ognistego ptaka mogła uspić całe wojsko. Słyszając ją, żołnierze przestawali walczyć, odkładali broń i zasypiali spokojnie w objęciach nieprzyjaciół.

Teraz znałam już wszystkie historie. Ognisty ptak płacze brylantowymi łzami, jego pióra leczą śmiertelne rany, w trzepocie jego skrzydeł można zobaczyć przyszłość. W poszukiwaniu jakiegoś wzoru albo wskazówki przeczesałam niezliczone księgi folkloru, poezji epickiej, zbiory wiejskich podań. Legendy o wężu morskim koncentrowały się wokół lodowatych wód Kostnego Szlaku, lecz opowieści o ognistym ptaku pochodziły z wszelkich stron Ravki oraz spoza niej. Żadna z tych opowieści nie łączyła stworzenia ze Świętym.

Co gorsza, wizje stały się wyraźniejsze i częstsze. Darkling pokazywał mi się niemal codziennie, zazwyczaj w swoich pokojach albo w alejkach w bibliotece, niekiedy w sali obrad podczas narad wojennych albo kiedy wracałam o zmroku z Wielkiego Pałacu.

- Dlaczego nie chcesz zostawić mnie samej? - szepnęłam pewnej nocy, kiedy stał za mną, podczas gdy ja próbowałam pracować przy biurku.

Minęła dłuższa chwila. Nie sądziłam, że odpowie. Zdążyłam nawet pomyśleć, że może sobie poszedł, potem jednak poczułam na ramieniu jego dłoń.

- Bo wtedy ja również byłbym sam - odparł i został całą noc, aż lampy zupełnie się wypaliły.

Przyzwyczaiałam się, że widuję go, jak czeka na mnie na końcu korytarza albo jak siedzi na skraju mojego łóżka, kiedy zasypiam. Kiedy się nie pojawiał, łapałam się na tym, że go szukam albo zastanawiam się, dlaczego nie przyszedł. Tego bałam się najbardziej.

Jedynym jasnym punktem była decyzja Wasyla, który postanowił porzucić Os Altę na rzecz aukcji roczniaków w Karievie. Kiedy Mikołaj przekazał mi nowinę podczas jednego z naszych spacerów, prawie zapałam z radości.

- Spakował się w środku nocy - powiedział Mikołaj. - Mówi, że wróci na moje urodziny, ale nie zdziwię się, jeśli znajdzie wymówkę, by odwlec powrót.

- Postaraj się nie być taki z siebie zadowolony. To niezbyt królewskie.

- Ależ wolno mi chyba odrobinę się ponapawać - odparł ze śmiechem. Po drodze gwizdał tę samą fałszywą melodyjkę, którą pamiętałam z pokładu „Volkvołnego”. Potem odkasznął. - Alino, nie żebyś przestała być uosobieniem urody, ale... czy ty sypiasz?

- Niewiele - przyznałam.

- Koszmary?

Rzeczywiście wciąż śnił mi się złamany skif, ludzie uciekający przed ciemnością Fałdy, lecz to nie to nie dawało mi spać po nocach.

- Niezupełnie.

- Ach - rzekł Mikołaj. Złożył ręce za plecami. - Widzę, że twój przyjaciel ostatnio rzucił się w wir pracy. Jest wielce popularny.

- Cóż - powiedziałam rozmyślnie lekkim tonem - taki jest Mal.

- Gdzie nauczył się tropić? Nikt nie umie się zdecydować, czy to fart, czy umiejętności.

- Nie nauczył się, po prostu zawsze umiał.

- Szczęściarz - powiedział Mikołaj. - Ja nigdy nie miałem wrodzonego drygu do niczego.

- Jesteś pierwszorzędnym aktorem - powiedziałam mu cierpko.

- Tak sądzisz? - Pochylił się i szepnął: - Teraz zgrywam skromnego.

Pokręciłam głową ze zniecierpliwieniem, ale byłam wdzięczna za wesołe paplanie Mikołaja, a jeszcze bardziej wdzięczna, że zmienił temat.

David jeszcze przez prawie dwa tygodnie dopracowywał naczynia, lecz kiedy nareszcie były gotowe, zebrałam Griszów na dachu Małego Pałacu, by obejrzeć pokaz. Tolia i Tamar czujni jak zawsze przeczesywali wzrokiem tłum, ale Mala nie było widać. Poprzedniego wieczoru siedziałam w westybulu w nadziei na to, że go złapię i osobiście zaproszę. Poddałam się i poszłam do łóżka grubo po północy.

Po przeciwległych stronach dachu - na płaszczyźnie łączącej kopuły wschodniego i zachodniego skrzydła - rozstawiono dwa olbrzymie naczynia. Obracały się dzięki systemowi krążków linowych i każde z nich obsługiwał Materialnik oraz Szkwalnik, wyposażeni w gogle dla ochrony przez blaskiem. Widziałam, że jeden zespół tworzą Zoja i Paża, a na drugim naczyniu Nadie sparowano z Trwalistą.

„Cóż” - pomyślałam niespokojnie - „nawet jeśli to będzie zupełna porażka, przynajmniej pracują razem. Nic tak nie buduje koleżeństwa jak ognista eksplozja”.

Zajęłam miejsce na środku dachu, dokładnie między naczyniami.

Z przypiływem nerwów zauważyłam, że Mikołaj zaprosił kapitana gwardii pałacowej oraz dwóch generałów i kilku królewskich doradców. Miałam nadzieję, że nie spodziewają się wielkiego dramatyizmu. Moja moc najlepiej się prezentowała w ciemności, ale uniemożliwiały to długie Białe Noce. Pytałam Davida, czy zorganizować pokaz później, ale tylko pokręcił głową.

- Jeśli zadziała, będzie bardzo dramatycznie. A jeśli nie zadziała, to pewnie będzie jeszcze bardziej dramatycznie... wybuch i w ogóle.

- Davidzie, wydaje mi się, że właśnie zażartowałeś.

Zmarszczył brew z głębokim zdziwieniem.

- Żartowałem?

Zgodnie z sugestią Mikołaja David postanowił użyć gwizdka do dawania nam sygnałów - jak na „Volkvołnym”. Zagwizdał przeraźliwie, a gapie cofnęli się do kopuł, robiąc nam mnóstwo miejsca. Uniosłam dłonie. David ponownie zagwizdał. Przywołałam światło.

Weszło we mnie złotym nurtem i eksplodowało z moich dłoni w postaci dwóch stabilnych promieni. Trafiły one w naczynia i odbiły się od nich z oślepiającym blaskiem. Było to imponujące, lecz nie spektakularne.

Potem David zagwizdał i naczynia lekko się obróciły. Światło odbijało się od lustrzanych powierzchni, zwielokrotniało i skupiało w dwa jaśniejące, białe snopy, które przeszły wczesny zmierzch.

Tłum westchnął i przesłonił oczy. Chyba niepotrzebnie się martwiłam o dramatyizm.

Promienie przecinały powietrze, emitując kaskady światłości i jaśniejącego żaru, jak gdyby przepalały samo niebo. David znów gwizdnął krótko, a promienie spoiły się w jedno, płynne ostrze

światła. Nie dało się patrzeć prosto na nie. Jeśli Cięcie stanowiło mój nóż, to tu był mój miecz.

Naczynia się przekrzywiły i promień się obniżył. Tłum zaszemrał w osłupieniu, kiedy światło przecięło skraj lasu i wyrównało korony drzew.

Naczynia przekrzywiły się nieco bardziej. Promień przeciął brzeg jeziora i dotarł do samej wody. W powietrze z głośnym sykiem wzbily się kłęby pary. Przez chwilę wydawało się, że cała powierzchnia jeziora wrze.

David zagwizdał ostro i panicznie. Szybko opuściłam ręce i światło znikło.

Podbiegliśmy na krawędź dachu i rozdziawiliśmy gęby ze zdziwienia.

Wyglądało to, jak gdyby ktoś ściał brzytwą kawałek lasu po przekątnej, od koron drzew do brzegu. Tam, gdzie promień dotknął ziemi, grunt były przeryty gorejącym rowem biegnącym aż do brzegu wody.

- Zadziałało - powiedział David oszołomionym tonem. - Faktycznie zadziałało.

Po chwili milczenia Zoja wybuchnęła śmiechem. Dołączył do niej Siergiej, potem Marie i Nadia. Niespodziewanie wszyscy śmialiśmy się i wiwatowaliśmy - nawet markotny Tolia, który posadził sobie otumanionego Davida na olbrzymich ramionach. Żołnierze ściskali Griszów, królewscy doradcy - generałów, Mikołaj tańczył z Pażą w goglach wokół dachu, a kapitan gwardii objął mnie entuzjastycznie.

Wiwatowaliśmy, pokrzykiwaliśmy i podskakiwaliśmy, aż cały pałac drżał w posadach. Kiedy Darkling postanowi wyruszyć, na nisztoje będzie czekać nie lada niespodzianka.

- Chodźmy obejrzeć! - ktoś zawołał i pognaliśmy po schodach jak dzieci na dźwięk szkolnego dzwonka, chichocząc i objijając się o ściany.

Przebiegliśmy przez salę pod złotą kopułą i z impetem otworzyliśmy drzwi, wysypując się na schody na zewnątrz. Kiedy wszyscy pędzili nad jezioro, ja stanęłam jak wryta.

Mał kroczył ścieżką wiodącą z tunelu przez las.

- Idź - powiedziałam do Mikołaja. - Ja dołączę.

Mał szedł, wbijając wzrok w ścieżkę i nie patrząc mi w oczy. Kiedy się zbliżył, zobaczyłam, że oczy ma przekrwione, a na policzku brzydkiego sińca.

- Co się stało? - zapytałam i uniosłam dłoń do jego twarzy. Odchylił się szybko, zerkając na służących przy drzwiach Małego Pałacu.

- Wpadłem na butelkę kwasu - powiedział. - Potrzebujesz czegoś?

- Przegapiłeś pokaz.

- Nie byłem na służbie.

Zignorowałam bolesne ukłucie w piersi i brnęłam dalej:

- Idziemy nad jezioro. Masz ochotę iść z nami?

Przez moment chyba się wahał, lecz potem pokręcił głową.

- Przyszedłem tylko po pieniądze. W Wielkim Pałacu grają w karty.

Ból w piersi narastał.

- Może się przebierzesz - powiedziałam. - Wyglądasz, jakbyś przespał się w ubraniu. - Natychmiast pożałowałam tych słów, ale Mał się nie przejął.

- Może dlatego, że tak było. Coś jeszcze?

- Nie.

- Soverena maja. - Ukłonił się zamaszycie i pogał po schodach, jak gdyby nie mógł zdzierzyć mojego towarzystwa.

Szłam nad jezioro powoli, licząc na to, że ból w sercu jakoś zelżeje. Radość z sukcesu na dachu odpłynęła i czułam się pusta, jak studnia, w głąb której można krzyknąć i usłyszy się tylko echo.

Na brzegu grupka Griszów przechadzała się wzdłuż rowu, wykrzykując pomiary z narastającym triumfem i uniesieniem. Rów miał prawie pół metra szerokości i głębokości. Bruzda zwęglonej ziemi ciągnęła się do brzegu wody. W lesie powalone korony drzew leżały w bezładnej płataninie gałęzi i kory. Przesunęłam dłonią po jednym ze ściętych pni. Drewno było gładkie, równo przecięte i wciąż ciepłe w dotyku. Zaczęły się dwa niewielkie pożary, lecz Pływowładni szybko je ugasili.

Mikołaj rozkazał przynieść nad jezioro jedzenie oraz szampana. Wszyscy spędziliśmy resztę wieczoru na brzegu. Generałowie i doradcy wcześniej udali się na spoczynek, lecz kapitan oraz część jego gwardii pozostali. Zdjęli mundury oraz buty i zaczęli brodzić w jeziorze. Nie minęło wiele czasu, nim wszyscy nie uznali, że mokre ubrania ich nie obchodzą. Wskoczyli do wody, pluskali i nurzali siebie nawzajem, a potem zorganizowali spontaniczne wyścigi pływackie do wysepki. Nikogo nie zdziwiło, że za każdym razem zwyciężył Pływowładny, niesiony przychylnymi falami.

Mikołaj wraz ze swoimi Szkwalnikami zaproponował przejażdżkę niedawno ukończonym okrętem, który nazwał „Zimorodek”. Początkowa nieufność zniknęła, kiedy pierwsza grupka śmiazków wróciła, machając rękami i paplając o lataniu. Wtedy wszyscy chcieli się przekonać. Obiecałam sobie, że moje stopy nigdy więcej nie rozstaną się ze stabilnym gruntem, ale w końcu poddałam się i dołączyłam do nich.

Może to przez szampana, a może przez to, że wiedziałam, czego się spodziewać - dość, że „Zimorodek” wydawał się lżejszy i zwrotniejszy od „Kolibra”. Wprawdzie trzymałam się kokpitu kurczowo oboma rękami, lecz kiedy gładko wzbiliśmy się w powietrze, poczułam, jak poprawia mi się nastrój.

Zebrałam się na odwagę i spojrzałam w dół. Pod nami rozciągały się falujące grunty Wielkiego Pałacu, poprzecinane białymi ścieżkami. Zobaczyłam dach szklarni Griszów, idealny okrąg fontanny z podwójnym orłem, złoty blask bram pałacu. Potem poszybowałimy nad rezydencjami oraz długimi, prostymi bulwarami górnego miasta. Na ulicach pełno było ludzi świętujących Białe Noce. Na Gierskim Prospekcie widziałam kuglarzy i szczudlarzy, na oświeconej scenie w jednym z parków wirowali tancerze. Z łodzi na kanale płynęła muzyka.

Chciałam tam zostać na zawsze - w otoczeniu wiatru, patrząc na maleńki, doskonały świat pod nami. W końcu jednak Mikołaj pokręcił sterem i nieśpiesznym łukiem sprowadził nas z powrotem nad jezioro.

Półmrok przybrał głęboki kolor purpury. Wzdłuż brzegu Infernicy rozpalili ogniska, a gdzieś w ciemności ktoś stroił bałajkę. Z miasta dobiegały świsty i eksplozje fajerwerków.

Siedzieliśmy z Mikołajem na końcu zaimprovizowanego pomostu z podwiniętymi spodniami, dyndając nogami. „Zimorodek” unosił się na falach obok nas ze zwiniętymi żaglami. Mikołaj zakręcił stopą w wodzie i zaczął lekko chlapać.

- Naczynia wszystko zmieniają - odezwał się. - Jeśli uda ci się na dość długo zająć nisztroje, będziemy mieli czas, by namierzyć Darklinga.

Położyłam się na pomoście, wyciągnęłam ramiona nad głową i zapatrzyłam się w soczystą purpurę nocnego nieba. Kiedy odwróciłam głowę, widziałam zarys pustej obecnie szkoły. Okna

były ciemne. Żałowałam, że uczniowie nie widzieli, co potrafią zdziałać naczynia - dałoby im to odrobinę nadziei. Perspektywa bitwy wciąż przerażała, zwłaszcza gdy myślałam, ile osób może zginąć. Ale teraz przynajmniej nie siedzieliśmy na pagórku, czekając na śmierć.

- Możemy naprawdę mieć szansę - powiedziałam z zadziwieniem.

- Pohamuj entuzjazm, ale mam dla ciebie więcej dobrych wiadomości.

Jęknęłam. Znałam ten ton głosu.

- Nawet nie mów.

- Wasyl wrócił z Kariewy.

- Mógłbyś okazać dobroć i mnie utopić.

- Miałbym cierpieć w pojedynkę? Raczej nie.

- Może na urodziny zażyczysz sobie, aby założono mu królewski kaganiec - podsunęłam.

- Ale wtedy ominą nas pasjonujące opowieści o letnich aukcjach. Fascynuje cię wyższość rozplodowa raveczańskich koni wyścigowych, czyż nie?

Zakwiliłam. Następnego dnia wieczorem Mał miał być na służbie na kolacji dla uczczenia urodzin Mikołaja. Może uda mi się namówić Tolię albo Tamar, żeby go zastąpili. W tamtej chwili nie wydawało mi się, że bym przez całą noc dała radę patrzeć, jak stoi na baczność z kamienną miną, zwłaszcza jeśli Wasyl będzie chlapać ozorem.

- Nie smuć się - rzekł Mikołaj. - Może znowu ci się oświadczy.

Usiadłam.

- Skąd ty o tym wiesz?

- Może pamiętasz, ale uczyniłem dokładnie to samo. Zdziwiony jestem jedynie, że nie próbował ponownie.

- Widocznie ciężko mnie złapać samą.

- Wiem. Myślisz, że dlaczego odprowadzam cię po każdej naradzie w Wielkim Pałacu?

- Z uwagi na moje frapujące towarzystwo? - zapytałam kwaśno, zirytowana, że jego słowa wywołały ukłucie rozczarowania. Mikołaj świetnie potrafił sprawić, że zapomniałam, iż całe jego zachowanie było wyrachowane.

- To też. - Wyjął stopę z wody i przyjrzał się jej. Poruszał palcami. - W końcu to zrobi.

Westchnęłam z wyolbrzymioną żalością.

- Jakże odmówić księciu?

- Już ci się to udało - rzekł Mikołaj, wciąż studiując stopę. - Jesteś pewna, że chcesz odmówić?

- Chyba kpisz.

Mikołaj poruszył się nieswojo.

- Cóż, jest następcą tronu, czystej królewskiej krwi i w ogóle.

- Nie wyszłabym za Wasyla, choćby miał udomowionego ognistego ptaka imieniem Ludmiła, a jego królewską krew mam gdzieś. - Popatrzyłam na niego. - Mówiłeś, że plotki o twoim pochodzeniu cię nie obchodzą.

- Możliwe, że nie byłem wówczas całkiem szczery.

- Ty miałbyś się minąć z prawdą? Jestem zszokowana, Mikołaju. Zszokowana i przerażona.

Zaśmiał się.

- Pewnie łatwo powiedzieć, że nie ma to znaczenia, kiedy nie ma mnie na dworze. Lecz tutaj wszyscy mi to pamiętają, zwłaszcza mój brat. - Wzruszył ramionami. - Zawsze tak było. Pogłoski o mnie krążyły, jeszcze zanim się urodziłem. Dlatego matka nigdy nie nazywa mnie Sobaczka. Jej zdaniem to brzmi, jakbym był kundlem.

Serce mi się ścisnęło. Mnie też często przezywano, kiedy dorastałam.

- Lubię kundle - oznajmiłam. - Mają słodkie, opadające uszy.

- Moje uszy są bardzo dostojne.

Przesunęłam palcem po jednej z gładkich desek pomostu.

- Czy to dlatego tak długo cię tu nie było? Dlatego zostałeś Sturmhondem?

- Nie wiem, czy istnieje jeden konkretny powód. Chyba zawsze czułem, że moje miejsce jest gdzie indziej niż tu, próbowałem więc stworzyć dla siebie to miejsce.

- Ja też nigdy nie czułam, że przynależę - przyznałam. „Chyba że z Malem”. Wyparłam tę myśl. Potem zmarszczyłam czoło. - Wiesz, czego w tobie nie cierpię?

Zamrugął zaskoczony.

- Nie.

- Zawsze mówisz to, co trzeba.

- I tego nie cierpisz?

- Widziałam, jak zmieniasz role, Mikołaju. Zawsze jesteś tym, czego wszyscy od ciebie potrzebują. Może zawsze czuleś się obco, a może tylko tak mówisz, żeby biedna, samotna sierotka bardziej cię lubiła.

- Czyli mnie lubisz?

Przewróciłam oczami.

- Tak, o ile nie mam ochoty cię zadźgać.

- To już coś.

- Wcale nie.

Odwrócił się do mnie. W półmroku jego piwne oczy wyglądały jak odłamki bursztynu.

- Jestem korsarzem, Alino - powiedział cicho. - Wezmę wszystko, co mogę.

Nagle uświadomiłam sobie, że jego ramię dotyka mojego, że napiera na mnie jego udo. Powietrze było ciepłe i przesycone ciepłym zapachem lata oraz dymu.

- Chcę cię pocałować - powiedział.

- Już mnie pocałowałaś - odparłam z nerwowym śmiechem.

Uśmiechnął się leciutko.

- Chcę cię znowu pocałować - poprawił się.

- Acha - westchnęłam. Nasze usta dzieliło ledwie parę centymetrów. Serce rzuciło się w spanikowany galop. „To Mikołaj. Czyste wyrachowanie”. Chyba nawet nie chciałam, żeby mnie pocałował. Wciąż jednak doskwierała mi urażona duma po tym, jak odtrącił mnie Mal. Nie mówił, że całował się z mnóstwem dziewcząt?

- Chcę cię pocałować - rzekł Mikołaj. - Ale tego nie zrobię. Dopóki nie zaczniesz myśleć o mnie zamiast tylko próbować zapomnieć o nim.

Rzuciłam się w tył i wstałam niezdarnie, zaczerwieniona i zażenowana.

- Alina...

- Przynajmniej teraz już wiem, że nie zawsze mówisz to, co trzeba - mruknęłam. Złapałam buty i uciekłam po pomoście.

20.

Obchodząc jezioro, starannie omijałam ogniska Griszów. Nie chciałam nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać.

Czego oczekiwałam od Mikołaja? Że odwróci moją uwagę? Poflirtuje ze mną? Otrząśnie moje serce z bólu? Może po prostu chciałam się małostkowo odegrać na Malu. A może tak desperacko pragnęłam poczuć z kimkolwiek kontakt, że wystarczyłby mi fałszywy pocałunek niegodnego zaufania księcia.

Na myśl o jutrzejszej kolacji urodzinowej obleciała mnie zgroza. Po drodze rozważałam wymówki. Może wyślę do Wielkiego Pałacu uprzejmy liścik, zapieczętowany woskiem i oznaczony oficjalnym godłem Przyzywaczki Słońca:

*Do Ich Królewskich Mości Króla i Królowej
Ravki.*

*Z ciężkim sercem i dojmującym żalem zmuszona
jestem powiadomić, iż nie będę mogła wziąć
udziału w uroczystościach upamiętniających
narodziny Księcia Mikołaja Lancova Wielkiego
Księcia Udovej.*

*Zaistniały niefortunne okoliczności, mianowicie
mój najlepszy przyjaciel nie może na mnie patrzeć,
a Wasz syn mnie nie pocałował, czego żałuję. Albo
nie żałuję. Albo sama nie jestem pewna, ale są
spore szanse, że jeżeli będę musiała siedzieć na
jego durnych urodzinach, napłaczę sobie do tortu.*

Z najlepszymi życzeniami z tej radosnej okazji

Idiotka Alina Starkov

Kiedy dotarłam do komnat Darklinga, Tamar czytała w westybulu. Podniosła oczy, gdy weszłam, ale musiałam mieć nastrój wypisany na twarzy, bo nie odezwała się ani słowem.

Wiedziałam, że nie zasnę, więc siadłam w łóżku z jedną z książek, które wzięłam z biblioteki. Był to stary przewodnik turystyczny opisujący znane zabytki Ravki. Żywiłam cię nadziei, że wskaże mi drogę do łuku.

Próbowałam się skoncentrować, ale w kółko czytałam te same zdania. W głowie szumiało mi od szampana, a stopy wciąż miałam zmarznięte i przemoczone przez nurzanie ich w jeziorze. Może Mal już wrócił z partyjki kart. Jeśli zapukam do jego drzwi, a on się odezwie, co powiem?

Odrzuciłam książkę na bok. Nie wiedziałam, co powiedzieć Malowi. Obecnie nigdy tego nie wiedziałam. Ale może zacznę od prawdy - że czuję się zagubiona, że może tracię rozum, że czasami się siebie boję i że tęsknię za nim tak bardzo, iż odczuwam fizyczny ból. Musiałam chociaż spróbować naprawić rozdzźwięk między nami, zanim będzie nieodwracalny. Nieważne, co o mnie potem pomyśli - dużo gorzej być nie mogło. Przeżyję kolejne odtrącenie, ale nie zniosę myśli, że nawet nie próbowałam tego naprawić.

Zajrzałam do westybulu.

- Jest tu Mal? - spytałam Tamar. Pokręciła głową. Schowałam dumę do kieszeni i drażylałam: - Wiesz, dokąd poszedł?

Tamar westchnęła.

- Załóż buty. Zaprowadzę cię do niego.

- Gdzie jest?

- W stajni.

Zmarszczyłam czoło zaniepokojona, ale szybko wsunęłam buty i razem z Tamar wyszłam z Małego Pałacu na trawnik.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytała Tamar.

Nie odpowiedziałam. Niezależnie od tego, co mi pokaże, wiedziałam, że mi się to nie spodoba. Nie zamierzałam jednak wracać do siebie i chować głowy pod kołdrę.

Zeszliśmy po łagodnym zboczu biegnącym wzdłuż bani. Konie rżały w boksach. W stajni było ciemno, ale sale treningowe jaśniały. Usłyszałam krzyki.

Największa sala treningowa to była właściwie stodoła z klepiskiem oraz ścianami obwieszonymi wszelką dostępną bronią. Zazwyczaj to tutaj Botkin pastwił się nad młodymi Griszami i urządzał im treningi. Dziś jednak pełno tam było ludzi, głównie żołnierzy, choć było też kilkoro Griszów, a nawet paru służących. Wszyscy krzyczeli, dopingowali i przepychali się, aby lepiej widzieć to, co działo się na środku pomieszczenia.

Tamar i ja przeciskałyśmy się przez ciżbę niepostrzeżenie. Zauważyłam dwóch królewskich tropicieli, kilku członków pułku Mikołaja, grupkę Korporalników oraz Zoję, która wraz z wszystkimi krzyczała i klaskała.

Już prawie przepchnęłam się przez tłum, kiedy zobaczyłam Szkwalnika, który z nagą piersią i uniesionymi pięściami krążył wzdłuż wianuszka gapiów. „Eskil” - przypomniałam sobie, jeden z Griszów z grupy Fediora. Widać było, że jest Fjerdaninem - miał niebieskie oczy, jasne blond włosy, był wysoki i tak szeroki w barach, że zupełnie zasłaniał mi widok.

„Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz się obrócić na pięcie i udawać, że nigdy cię tu nie było”.

Zostałam na miejscu. Wiedziałam, co zobaczę, ale i tak poczułam szok, kiedy Eskil się odsunął i ujrzałam Mała. Podobnie jak Szkwalnik był rozebrany od pasa w górę. Muskularny tors miał umazany gliną i potem. Na pięściach miał siniaki. Po

policzku z rany pod okiem ściekała krew, ale nie zwracał na to uwagi.

Szkwalnik rzucił się na niego. Mal zablokował pierwszy cios, ale następny trafił go pod nerki. Stęknął, opuścił łokieć i zamachnął się na szczękę Szkwalnika.

Eskil wyskoczył poza zasięg ramion Mala i machnął ręką zamaszystym lukiem. Z paniką uświadomiłam sobie, że przyzywa. Podmuch wiatru zwichrzył mi włosy, a w następnym momencie eterealnicki wiatr zwałił Mala z nóg. Eskil zamachnął się drugą ręką, a ciało Mala wystrzeliło do góry i uderzyło w dach stodoły. Wisiał tam przez chwilę, przyszpilony do drewnianych krokwi griszaicką mocą. Potem Eskil go spuścił. Mal walnął w klepisko z ogromną siłą.

Krzyknęłam, ale mój głos zgubił się w ryku tłumu. Jeden z Korporalników dopingował Eskila, podczas gdy inny wołał do Mala, by ten wstał.

Przepchnęłam się do przodu. Światło już teraz jaśniało mi z dłoni. Tamar złapała mnie za rękaw.

- On nie chce twojej pomocy - powiedziała.

- Mam to gdzieś - wrzasnęłam. - To nie jest uczciwa walka. To jest zakazane! - Griszom nie wolno było używać mocy w salach treningowych.

- Po zmroku zasady Botkina nie obowiązują. Mal jest w środku walki, a nie lekcji.

Wyrwałam się jej. Lepiej, żeby Mal był na mnie zły, ale żeby wciąż żył.

Był na czworakach, próbował się podnieść. Byłam zdumiona, że po ataku Szkwalnika w ogóle jest w stanie się poruszyć. Eskil znowu uniósł ręce. Powietrze zawirowało chmurą pyłu. Przyzwałam światło, nie dbając o to, co Tamar czy Mal mieli na ten temat do powiedzenia. Tym razem jednak Mal się przeturlał,

wyminał strumień powietrza i z zaskakującą prędkością skoczył na nogi.

Eskil zmarszczył czoło i rozejrzył się, analizując dostępne możliwości. Wiedziała, co rozważa. Nie mógł iść na całość, bo by powalił nas wszystkich, a do tego pewnie nawet część stajni. Czekałam, powstrzymując zalew światła, bo nie byłam pewna, co robić.

Mał ciężko dyszał, zgięty w pasie i z rękoma wspartymi na udach. Pewnie złamał sobie przynajmniej jedno żebro. Miał szczęście, że nie kręgosłup. Gorąco pragnęłam, by się położył i leżał. Zamiast tego on się wyprostował z sykiem bólu. Poruszył ramionami, zaklął, splunął krwią. Potem ku mojemu przerażeniu zwinął palce i gestem wezwał ku sobie Szkwalnika. Tłum zaczął wiwatować.

- Co on robi? - jęknęłam. - Da się zabić.

- Nic mu nie będzie - rzekła Tamar. - Widywałam, jak bierze gorszy łomot.

- O?

- Walczy tu prawie co noc, jeśli jest dość trzeźwy. Czasem również, kiedy nie jest.

- Walczy z Griszami?

Tamar wzruszyła ramionami.

- Nieżyły jest.

Więc to Mał robił po nocach? Przypomniałam sobie wszystkie poranki, kiedy miał sińce i skaleczenia. Czego chciał dowieść? Przez myśl przeszło mi, co niebaczenie powiedziałam, kiedy wracaliśmy z przyjęcia z wróżami. „Nie chcę dodatkowego brzemienia w postaci armii bezradnych otkazacji”.

Chciałabym móc cofnąć te słowa.

Szkwalnik zamarkował w lewo, po czym uniósł ręce, by znowu zaatakować. Po kręgu powiał wiatr i zobaczyłam, jak Mal unosi się w powietrze. Zazgrzytałam zębami, przekonana, że zaraz zobaczę, jak leci na najbliższą ścianę. Jednak w ostatniej chwili obrócił się, wyrwał z podmuchu powietrza i rzucił się na zaskoczonego Szkwalnika.

Eskil stęknął, bo Mal zacisnął wokół niego ramiona, aby Grisza nie mógł przyzwać swojej mocy. Wielki Fjerdanin warknął, wyteżył mięśnie, wyszczerzył zęby, próbując wyrwać się Malowi.

Wiedziałam, że musi go to wiele kosztować, ale Mal ścisnął go jeszcze mocniej. Przesunął się, po czym walnął przeciwnika czołem w nos z ohydny gruchotem. W okamgnieniu puścił Eskila i zaczął go okładać po brzuchu i bokach.

Eskil się pochylił, aby się osłonić. Nie mógł złapać tchu, a krew zalewała mu otwarte usta. Mal zawirował i brutalnie kopnął Szkwalnika w tył nóg. Eskil upadł na kolana. Chwiał się, ale nie padał.

Mal cofnął się i oszacował swoje rękodzieło. Tłum wiwatował i tupał, krzyki wzbierały, ale czujne oczy Mala obserwowały klęczącego Szkwalnika. Przyjrzał mu się i opuścił pięści.

- No dalej - powiedział do Griszy. Kiedy zobaczyłam wyraz jego twarzy, przeszedł mnie dreszcz. Malowała się na niej prowokacja i coś w rodzaju ponurej satysfakcji. Co widział, kiedy patrzył na Eskila na kolanach?

Eskil miał mętny wzrok. Z wysiłkiem uniósł dłonie. W stronę Mala poleciała leciutka bryza. Tłum go wygwizdał.

Kiedy wiatr owiał Mala, ten postąpił do przodu. Lekki podmuch Eskila osłabł. Mal położył dłoń na piersi Szkwalnika i pchnął z pogardą.

Es kil się przewrócił. Uderzył w ziemię i z jękiem zwinął się w kłębek.

Wokół nas zaczęto gwizdać i wiwatować z zachwytem. Radosny żołnierz uniósł rękę Mała do góry triumfalnie, a dookoła zaczęły krążyć pieniądze.

Tłum ruszył w stronę Mała, unosząc również mnie. Wszyscy gadali jednocześnie. Ludzie klepali go po plecach i wciskali mu do rąk pieniądze. Nagle przed nim pojawiła się Zoja. Zarzuciła mu ramiona na szyję i go pocałowała. Widziałam, jak Mał znieruchomiał.

W uszach zaczęło mi dudnić i przestałam słyszeć tłum.

„Odepchnij ją” - błagałam w duchu. „Odepchnij ją”.

I przez chwilę wyglądało, jak gdyby chciał ją odepchnąć. Lecz potem objął ją i odwzajemnił pocałunek, a tłum wiwatował.

Ścisnęło mnie w żołądku. To było jak źle stąpnąć na zamrożonym strumieniu - trzask lodu, nagły upadek, świadomość, że pod spodem nie ma nic, tylko ciemna woda.

Odsunął się od niej. Uśmiechał się szeroko, policzek miał wciąż zakrwawiony. Wtedy spojrzał mi w oczy. Pobladł.

Zoja powiodła wzrokiem tam, gdzie on, i uniosła brew wyzywająco, kiedy mnie zobaczyła.

Odwróciłam się i zaczęłam się przepychać przez tłum. Tamar do mnie dołączyła.

- Alina - powiedziała.

- Zostaw mnie w spokoju.

Oddaliłam się od niej. Musiałam się wydostać na zewnątrz, odejść od wszystkich. Łzy mąciły mi wzrok. Nie byłam pewna, czy płacę przez pocałunek, czy przez to, co go poprzedzało, ale nie mogli ich zobaczyć. Przyzywaczka Słońca nie płacze, a już na pewno nie przez jednego ze swoich strażników-otkazację.

Zresztą jakie miałam prawo? Czy ja sama prawie nie pocałowałam Mikołaja? Może uda mi się go odszukać i przekonać, by mnie pocałował niezależnie od tego, o kim myślę.

Wypadłam ze stajni. Powietrze było ciepłe i parne. Miałam wrażenie, że nie mogę oddychać. Odeszłam od oświetlonej ścieżki przy boksach i schroniłam w brzozowym zagajniku.

Ktoś złapał mnie za ramię.

- Alina - powiedział Mal.

Wyrwałam mu się i przyśpieszyłam. Prawie już biegłam.

- Alina, zatrzymaj się - powiedział. Pomimo odniesionych kontuzji bez trudu dotrzymywał mi kroku.

Nie zwracałam na niego uwagi, tylko brnęłam w las. Czułam zapach gorących źródeł zasilających banię, przenikliwą woń brzozowych liści pod stopami. Gardło mnie bolało. Chciałam tylko zostać sama, by się rozplakać albo zwymiotować, może jedno i drugie.

- Cholera, Alina, możesz się zatrzymać?

Nie mogłam wyrazić cierpienia, więc dałam upust gniewowi.

- Jesteś kapitanem mojej gwardii - powiedziałam, błędząc wśród drzew. - Nie powinieneś wdawać się w bójki jak jakiś wieśniak!

Mal złapał mnie za ramię i obrócił mną.

- Ja jestem wieśniakiem - warknął. - Nie jednym z twoich pielgrzymów, Griszów czy jakimś rozpieszczonym pieskiem, który będzie warował pod twoimi drzwiami całą noc, licząc na to, że będzie ci potrzebny.

- Oczywiście, że nie - wycodziłam przez zęby. - Wolisz spędzać czas lepiej. Upijać się i wpychać Zoi język w gardło.

- Ona się przynajmniej nie wzdraga, kiedy jej dotykam - syknął.

- Nie chcesz mnie, więc co cię to obchodzi, czy ona mnie chce?

- Nie obchodzi mnie to - powiedziałam, lecz brzmiało to jak szloch.

Mał puścił mnie tak nagle, że prawie się przewróciłam. Zaczął chodzić tam i z powrotem, wpychając dłonie we włosy. Skrzywił się. Pomacał się po boku. Chciałam na niego nawrzeszczyć, żeby znalazł Uzdrowiciela. Chciałam walnąć pięściami w złamanie, żeby bardziej go bolało.

- Święci - zaklął. - Że też tu przyjechaliśmy.

- To wyjedźmy stąd - rzuciłam dziko. Wiedziałam, że gadam bzdury, ale niespecjalnie mnie to obchodziło. - Ucieknijmy, jeszcze dzisiaj, i zapomnijmy, że w ogóle tu byliśmy.

Zaśmiał się gorzko.

- Wiesz, jak bardzo bym tego chciał? Być z tobą tak, żeby nie dzielił nas status, mury, nic? Żebyśmy oboje znowu byli wieśniakami. - Pokręcił głową. - Ale ty tego nie zrobisz, Alino.

- Zrobię - powiedziałam. Łzy pociekły mi po policzkach.

- Nie łudź się. Wróciłabyś tu.

- Nie wiem, jak to naprawić - powiedziałam desperacko.

- Nie da się tego naprawić! - krzyknął. - Tak już jest. Przyszło ci kiedyś do głowy, że może ty masz być królową, a ja mam być zupełnie niczym?

- To nieprawda.

Podszedł do mnie. Gałęzie drzew rzucały na jego twarz dziwne, ruchliwe cienie w świetle zmierzchu.

- Nie jestem już żołnierzem - rzekł. - Nie jestem księciem i jak szlag nie jestem Świętym. Więc czym jestem, Alino?

- Ja...

- Czym jestem? - szepnął.

Był teraz bardzo blisko mnie. Zapach, który znałam tak dobrze - ciemnozieloną woń łąki - przytłaczał odór potu i krwi.

- Jestem twoim strażnikiem? - zapytał. Przesunął palcami powoli po mojej ręce, od barku po koniuszki palców. - Twoim przyjacielem? - Lewą ręką musnął drugie ramię. - Twoim sługą? - Czułam jego oddech na ustach. Serce zadudniło mi w uszach. - Powiedz mi, czym jestem. - Przyciągnął mnie do swojego ciała, dłonią objął mój nadgarstek.

Kiedy zacisnął palce, przeszył mnie prąd, aż ugięły się przede mną kolana. Świat zawirował, straciłam oddech. Mał puścił moją dłoń, jak gdyby go sparzyła. Odsunął się ode mnie oszołomiony.

- Co to było?

Zamrugalam, by opanować zawroty głowy.

- Co to u diabła było? - powtórzył.

- Nie wiem. - Palce wciąż mi mrowiły.

Uśmiechnął się ponuro.

- Z nami nigdy nie jest łatwo, prawda?

Wstałam na nogi z nagłym gniewem.

- Nie, Mał, nie jest. Ze mną nigdy nie będzie łatwo, słodko ani wygodnie. Nie mogę ot, tak opuścić Małego Pałacu. Nie mogę uciec ani udawać, że jestem kim innym, bo jeśli to zrobię, jeszcze więcej ludzi zginie. Już nigdy nie będę mogła być po prostu Aliną. Tej dziewczyny już nie ma.

- Chcę, żeby wróciła - powiedział chrapliwie.

- Nie mogę wrócić! - krzyknęłam, nie dbając o to, kto mnie usłyszy. - Choćbyś odebrał obrożę i łuski węża morskiego, nie wykroisz ze mnie tej mocy.

- A gdybym mógł? Zrezygnowałabyś z niej? Wyrzekłabyś się jej?

- Nigdy.

Prawda tego jednego słowa zawisła między nami. Staliśmy w mroku lasu i poczułam, jak ostrze w moim sercu się przesuwają. Wiedziałam, co po nim zostanie, kiedy zniknie ból: samotność, nicość, głębokie, nieodwracalne pęknięcie, krawędź otchłani, którą dojrzałam niegdyś w oczach Darklinga.

- Chodźmy - powiedział w końcu Mal.

- Dokąd?

- Z powrotem do Małego Pałacu. Nie zostawię cię tak w lesie.

Wspięliśmy się na wzgórze w milczeniu i weszliśmy do pałacu przez komnaty Darklinga. Westybul był na szczęście pusty.

W drzwiach do swojego pokoju odwróciłam się do Mala.

- Widuję go - powiedziałam. - Widuję Darklinga. W bibliotece. W kaplicy. Wtedy w Fałdzie, kiedy „Koliber” prawie się rozbił. U mnie w pokoju, tej nocy, kiedy próbowałeś mnie pocałować. - Wbijał we mnie wzrok. - Nie wiem, czy to wizje, czy nawiedzenia. Nie mówiłam ci, bo sądzę, że chyba tracę zmysły. I dlatego że już teraz trochę się mnie boisz.

Mal otworzył usta, zamknął je, otworzył ponownie. Nawet wtedy miałam nadzieję, że zaprzeczy. Zamiast tego odwrócił się do mnie plecami. Przeszedł do kwatery straży. Po drodze zgarnął ze stołu butelkę kwasu i cicho zamknął za sobą drzwi.

Przygotowałam się do snu i wsunęłam w pościel, ale noc była zbyt ciepła. Skopałam kołdrę w nogi łóżka. Leżałam na plecach, patrząc na obsydianową kopułę z konstelacjami. Chciałam walić w drzwi Mala, powiedzieć mu, że przepraszam, że strasznie namieszałam, że tamtego pierwszego dnia powinniśmy byli wmaszerować do Os Alty ramię w ramię. Ale czy ostatecznie miałyby to znaczenie?

„Dla takich jak ty i ja nie ma zwykłego życia”.

Nie ma zwykłego życia. Tylko bój, lęk i tajemnicze prądy, które zwalają nas z nóg. Tyle lat marzyłam o tym, by być dziewczyną, jakiej chciałby Mal. Może to już niemożliwe.

„Nie ma nikogo takiego jak my, Alino. I nigdy nie będzie”.

Kiedy przyszły łzy, były gorące i gniewne. Wtuliłam twarz w poduszkę, żeby nikt nie słyszał, jak płaczę. Łkałam, a kiedy nic już nie zostało, zapadłam w niespokojny sen.

- Alino.

Obudziło mnie delikatne muśnięcie ust Mala, leciutki dotyk w skroń, w powieki, w brew. Kiedy pochylił głowę, by pocałować mnie w szyję, chwiejne światło płomienia na mojej szafce nocnej zamigotało w jego brązowych włosach.

Przez chwilę się wahałam - zagubiona, nie całkiem przebudzona. Potem jednak objęłam go i przyciągnęłam. Nie obchodziło mnie, że się pokłóciliśmy, że całował się z Zoją, że ode mnie odszedł, że wszystko wydawało się takie niemożliwe. Liczyło się tylko to, że zmienił zdanie. Wrócił i nie byłam już sama.

- Tęskniłam za tobą, Mal - mruknęłam mu do ucha. - Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Przesunęłam rękami po jego plecach i objęłam go za szyję. Znowu mnie pocałował, a ja z westchnieniem powitałam nacisk jego ust. Poczułam na sobie ciężar jego ciała i pogładziłam twarde mięśnie jego ramion. Jeśli Mal wciąż był ze mną, jeśli wciąż mógł mnie kochać, to nadal istniała nadzieja. Serce dudniło mi w piersi i zalała mnie fala ciepła. W ciszy słychać było tylko nasze oddechy i szelest ciała. Całował mnie w szyję, w obojczyki, spał moją skórę. Zadrzałam i przycisnęłam się do niego.

Tego właśnie chciałam, prawda? Znaleźć sposób, by naprawić rozdźwięk między nami? Mimo to poczułam nagłą panikę. Musiałam widzieć jego twarz, wiedzieć, że między nami wszystko w porządku. Delikatnie schwyciłam jego głowę i uniosłam jego brodę, a kiedy spojrzałam mu w oczy, odsunęłam się z przerażeniem.

Patrzyłam w oczy Mała - niebieskie oczy, które znałam lepiej niż własne. Tyle że nie były niebieskie. W gasnącym świetle lampy lśniły szarością kwarcu.

Potem się uśmiechnął zimnym, przebiegłym uśmiechem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam na jego ustach.

- Ja też za tobą tęskniłem, Alino. - Ten głos. Chłodny, gładki jak szkło.

Rysy Mała rozplynęły się w cień, po czym przekształciły jak twarz wyłaniająca się z mgły. Blady, piękny, kontrast gęstwiny czarnych włosów, idealny zarys podbródka. Darkling delikatnie pogładził mnie po policzku.

- Już niebawem - szepnął.

Krzyknęłam. Rozplynął się w cień i znikł.

Wygramoliłam się z łóżka, obejmując się ramionami. Miałam gęsią skórkę z obrzydzenia, drżałam ze strachu i resztek pożądania. Spodziewałam się, że do pomieszczenia wparują Tamar albo Tolia. Już miałam kłamstwo na ustach.

- Koszmar - powiem. Słowo padnie spokojnie, przekonująco, pomimo że serce drżało mi w piersi, a w gardle wzbierał nowy krzyk.

Ale w pokoju panowała cisza. Nikt nie przyszedł. Trzęsłam się w półmroku.

Zrobiłam płytki, drżący wdech. Potem kolejny.

Kiedy kolana przestały się pode mną uginać, owinęłam się szlafrokiem i zajrzałam do westybulu. Był pusty.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami, wpatrując się w pogniecioną pościel. Nie zamierzałam znowu zasypiać. Może już nigdy. Zerknęłam na zegar na kominku. W okresie Białych Nocy świt nastawał wcześniej, ale minie jeszcze wiele godzin, nim pałac się przebudzi.

Przegrzebałam stos ubrań z podróży na pokładzie „Volkvołnego” i założyłam bury płaszcz oraz długi szal. Było na nie za gorąco, ale mnie to nie obchodziło. Zarzuciłam płaszcz na koszulę nocną, owinęłam głowę oraz szyję szalem i włożyłam buty.

Prześlizgując się przez westybul, widziałam, że drzwi do kwater strażników były zamknięte. Jeśli Mal albo bliźnięta tam byli, musieli mocno spać. A może Mal był gdzie w innym miejscu pod kopułami Małego Pałacu, w ramionach Zoi. Serce mi się ścisnęło niezdrowo. Skręciłam w lewe drzwi, pośpiesznie minęłam mroczne korytarze i wyszłam zewnątrz, na ciche dobra pałacowe.

21.

Przemykałam w półświatle, mijając ciche trawniki spowite mgłą, zaparowane okna szklarni. Słysząc było tylko przytłumiony chrzęst moich butów na żwirze. W Wielkim Pałacu trwały poranne dostawy chleba oraz żywności. Wyszłam za korowodem wozów przez bramy, przemierzając kocie łby wysokiego miasta. Wciąż widać było paru świętujących, którzy cieszyli się półmrokiem. Widziałam dwójkę wystrojonych ludzi, którzy drzemali na ławce w parku. Grupa dziewcząt śmiała się i pluskała w fontannie. Spódnice miały podkasane do kolan. Na

krawężniku siedział mężczyzna w wieńcu maków i trzymał się za głowę, a dziewczyna w papierowej koronie klepała go po ramieniu. Minęłam ich niewidziana i niepozorna - niewidzialna dziewczyna w burym płaszczu.

Wiedziałam, że postępuję nieroztropnie. Szpiedzy Apparata albo Darklinga mogli mnie obserwować. W każdej chwili mogli mnie schwytać i uprowadzić. Nie byłam pewna, czy to ma jeszcze dla mnie znaczenie. Musiałam stałe iść, napełnić płuca czystym powietrzem, otrząsnąć się z dotyku rąk Darklinga na mojej skórze.

Dotknęłam blizny na ramieniu. Nawet przez płaszcz czułam jej krawędzie. Na pokładzie wielorybnika zapytałam Darklinga, dlaczego pozwolił, aby jego potwór mnie ugryzł. Sądziłam, że uczynił to złośliwie, abym zawsze nosiła jego piętno. Może chodziło jednak o coś więcej.

Czy wizja była prawdziwa? Czy on tam był, czy może stanowił wytwór mojego umysłu? Jaka choroba mnie toczy, że coś takiego mi się śniło?

Nie chciałam jednak myśleć. Chciałam tylko iść.

Minęłam kanał, na którym kołysały się małe łódki. Spod mostu dobiegało skrzypienie akordeonu.

Prześlizgnęłam się obok rogatki na wąskie uliczki, w zamęt handlowego miasta. W dolnym mieście panował jeszcze większy ścisk niż poprzednio. Ludzie wystawali z ganków i przepełniali przedsionki. Inni spali oparci o siebie nawzajem. Para chwiała się wolno na tarasie gospody w takt muzyki, której nikt inny nie słyszał.

Kiedy dotarłam do murów miasta, kazałam sobie zatrzymać się i wrócić do domu. Zebrało mi się na śmiech. Tak naprawdę Mały Pałac to nie był dom.

„Dla takich jak ty i ja nie ma zwykłego życia”.

W moim życiu zamiast miłości będzie posłuszeństwo, poddaństwo zamiast przyjaźni. Będę ważyć każdą decyzję, rozważać każdy czyn, nikomu nie zaufam. Będzie to życie widziane z oddali.

Wiedziałam, że powinnam wrócić, ale nie ustawałam i chwilę później byłam po przeciwnej stronie muru. Ot, tak opuściłam Os Altę.

Miasto namiotów urosło. Poza murami miasta obozowały setki, może tysiące osób. Nietrudno było znaleźć pielgrzymów. Ze zdziwieniem przekonałam się, jak wielu ich było. Tłoczyli się w pobliżu dużego, białego namiotu, patrząc na wschód i czekając na wczesny świt.

Dźwięk zrodził się jako szmer szeptów unoszących się na wietrze jak ptasie skrzydła. Kiedy słońce wyjrzało znad horyzontu i rozjaśniło niebo bladym błękitem, przybrał na sile i przekształcił się w przytłumiony szelest. Dopiero wtedy zaczęłam rozróżniać słowa.

Sankta, Sankta Alina, Sankta, Sankta Alina.

Pielgrzymi obserwowali świt, a ja ich. Nie mogłam odwrócić wzroku od ich nadziei i oczekiwań. Na ich twarzach malowało się uniesienie, a kiedy oświetliły je pierwsze promienie słońca, niektórzy z nich zaczęli płakać.

Szmer narastał, przybierał na sile, wznosił się i opadał, budując zawodzenie, od którego dostałam gęziej skórki. Był to potok rozsadzający brzegi, ul strącony z drzewa.

Sankta, Sankta Alina, Córka Ravki,

Zamknęłam oczy, gdy słońce musnęło moją twarz, modląc się, bym coś poczuła - cokolwiek.

Sankta Alina, Córka Keramzina.

Z rękoma uniesionymi ku niebu zaczęli krzyczeć w amoku. Stare twarze, młode, chorzy, wåtli, zdrowi i silni. Sami obcy.

Rozejrzałam się. „To nie nadzieja - to szaleństwo. Głód, rozpacz”. Czułam się, jak gdybym budziła się z transu. Dlaczego tu przyszłam? Wśród tych ludzi byłam bardziej osamotniona niż za murami pałacu. Nie mogli nic mi dać, a ja nie miałam im nic do zaoferowania.

Bolały mnie stopy i zdałam sobie sprawę, jaka jestem zmęczona. Odwróciłam się i zaczęłam się przepychać przez tłum w stronę bram miasta. Skandowanie przerodziło się we wrzawę.

Sankta - krzyczeli. Sol Koroleva. Rebe Dva Stołba.

Córka Dwóch Młynów. Słyszałam to już wcześniej w drodze do Os Alty. Była to dolina nazwana na część starych ruin, gdzie znajdowała się maleńka, nieważna osada na południowym pograniczu. Mal też się urodził nieopodal, ale nie mieliśmy nigdy okazji tam wrócić. Zresztą po co? Wszelka ewentualna rodzina już dawno byłaby pochowana albo spalona.

Sankta Alina.

Wróciłam myślami do swoich nielicznych wspomnień sprzed Keramzina - o krojonych burakach, moich wypaprzanych nimi palcach. Pamiętałam zakurzoną drogę, kiedy ktoś niósł mnie na barana, kołysanie wolicz ogonów, nasze cienie na ziemi. Czyjaś dłoń pokazywała ruiny dwóch młynów - dwa kamienne wrzecziona, sterane przez wiatr, deszcz i czas. Tyle pozostało mi w pamięci. Reszta to był Keramzin. Reszta to był Mal.

Sankta Alina.

Przepychałam się przez ciżbę, przyciskając szal do uszu, by zablokować zgiełk. Stara pątniczka zaszła mi drogę i prawie ją przewróciłam. Wyciągnęłam rękę, by ją podtrzymać, a ona się mnie uczepiła, z trudem zachowując równowagę.

- Wybacz mi, babciu - powiedziałam oficjalnie. Niech nikomu w głowie nie postanie, że Ana Kuya nie nauczyła nas dobrych manier. Delikatnie ją wyprostowałam. - Nic ci nie jest?

Nie patrzyła jednak na moją twarz, lecz szyję. Uniosłam rękę szybko, ale było za późno. Szal się ześlizgnął.

- Sankta - jęknęła kobieta. - Sankta! - Padła na kolana, złapała mnie za rękę i przycisnęła ją do pomarszczonego policzka. - Sankta Alina!

Nagle wszędzie dookoła były ręce - łąpały mnie za rękawy, za poły płaszcza.

- Proszę - powiedziałam, próbując się odsunąć.

Sankta Alina, Pomruk, szept, wycie, krzyk. Własne imię brzmiało dla mnie obco. Wypowiadano je jak modlitwę, jak obce zaklęcie, które powstrzyma ciemność.

Tłoczyli się wokół mnie coraz bardziej, przepychali się, by się zbliżyć, sięgali moich włosów, mojej skóry. Usłyszałam, jak coś się rozdarło, i uświadomiłam sobie, że był to mój płaszcz.

Sankta, Sankta Alina.

Ciała napierały coraz mocniej, krzyczały na siebie, każde chciało się zbliżyć. Moje stopy straciły styczność z ziemią. Krzyknęłam, kiedy wyrwano mi pasmo włosów. Rozedną mnie na strzępy.

„Niech to zrobią” - pomyślałam z nagłą klarownością. Mogłoby się to tak łatwo skończyć. Koniec z lękiem, odpowiedzialnością, koszmarami o złamanym skifach albo dzieciach pożartych przez Fałdę, koniec wizji. Mogłam uwolnić się od obroży, od obręczy, od przytłaczającego brzemienia ich nadziei. „Niech to zrobią”.

Zamknęłam oczy. To będzie mój kres. Będą mogli przydzielić mi stronicę w *Istorii Sanktja* i narysować wokół głowy złoty nimb. Alina o Złamanym Sercu, Alina Małostkowa, Alina

Szalona, Córka Dwa Stołba, rozdarta na strzępy pewnego ranka w cieniu murów miasta. Będą mogli sprzedawać moje kości na skraju dróg.

Ktoś zawył. Usłyszałam gniewny krzyk. Pochwyciły mnie olbrzymie ręce i uniesiono mnie w powietrze.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam ponurą twarz Tolii. Trzymał mnie.

Tamar u jego boku obracała się powoli, unosząc dłonie.

- Cofnąć się - ostrzegła tłum. Widziałam, że część pielgrzymów mruga ospale, kilkoro usiadło. Spowalniała im tętno, aby ich uspokoić, ale było ich zbyt wielu. Jakiś mężczyzna rzucił się do przodu. W okamgnieniu Tamar dobyteła labrysów. Mężczyzna ryknął, a na jego ramieniu rozkwitła czerwona smuga.

- Zbliź się, to ją stracisz - warknęła.

Pielgrzymi mieli dzikie twarze.

- Pozwól mi pomóc - zaoponowałam.

Tolia nie zwracał na mnie uwagi, tylko przepychał się przez tłum. Tamar okrążała go, machając toporami, aby poszerzyć ścieżkę. Pątnicy jęczeli i zawodzili, wyciągając ku mnie dłonie.

- Teraz - odezwał się Tolia, po czym powtórzył głośniejszym głosem: - Teraz!

Skoczył. Walnęłam głową o jego pierś. Zanurkowaliśmy pod osłonę miejskich murów. Tamar deptała nam po piętach. Strażnicy zdążyli zauważyć narastający tumult i zaczęli zamykać bramy.

Tolia parł naprzód, rozpychając ludzi na boki, przedzierając się przez coraz węższą szparę między żelaznymi wrotami. Tamar wślizgnęła się za nami tuż przed tym, jak bramy z łoskotem się zamknęły. Po drugiej stronie usłyszałam łomot ciał walących o drzwi i haratających o nie rąk, wygłodniałe głosy. Nadal słyszałam swoje imię. Sankta Alina.

- Coś ty sobie do cholery myślała? - ryknął Tolia, postawiwszy mnie na ziemi.

- Później - rzuciła Tamar zwięźle.

Strażnicy patrzyli na mnie ze złością.

- Zabierzcie ją stąd - krzyknął jeden z nich gniewnie. - Będziemy mieli szczęście, jeśli zaraz nie wybuchnie tu najprawdziwszy bunt.

Bliźnięta miały przygotowane konie. Tamar zerwała ze straganu koc i zarzuciła mi go na ramiona.

Przycisnęłam go do szyi, ukrywając obrożę. Wskoczyła na siodło, a Tolia wrzucił mnie za nią bezceremonialnie.

Jechaliśmy w niespokojnym milczeniu aż do bram pałacu. Zamieszki za murami nie rozeszły się jeszcze w obrębie miasta, więc wywołaliśmy tylko kilka zdziwionych spojrzeń.

Bliźnięta nie odzywały się ani słowem, ale widać było, że są wściekli. Mieli pełne prawo. Zachowałam się jak idiotka, a teraz mogłam tylko liczyć na to, że strażnikom uda się przywrócić porządek bez uciekania się do przemocy.

Jednak pomimo paniki i żalu coś przyszło mi do głowy. Mówiłam sobie, że to nonsens, próżne zachcianki, ale nie mogłam przestać o tym myśleć.

Kiedy wróciliśmy do Małego Pałacu, bliźnięta chciały odstawić mnie prosto do komnat Darklinga, lecz odmówiłam.

- Jestem już bezpieczna - powiedziałam. - Muszę coś zrobić.

Uparli się iść za mną do biblioteki.

Szybko znalazłam to, czego szukałam. W końcu byłam kartografką. Wsadziłam książkę pod pachę i wróciłam do siebie w obstawie moich ponurych strażników.

Ku mojemu zaskoczeniu w westybulu czekał Mal. Siedział przy stole ze szklanką herbaty.

- Gdzie... - zaczął Mal, lecz Tolia w okamgnieniu wyciągnął go z krzesła i walnął nim o ścianę.

- Gdzieś ty był? - warknął Malowi w twarz.

- Tolia! - krzyknęłam niespokojnie. Próbowałam odciągnąć jego dłoń z szyi Mala, ale równie dobrze mogłabym próbować zgiąć stalową obręcz. Odwróciłam się do Tamar, by prosić o pomoc, ale ona stała ze skrzyżowanymi ramionami, tak samo rozgniewana jak brat.

Mal zaczął się dławić. Od wczoraj się nie przebrał. Twarz pokrywał mu zarost, a woń krwi i kwasu spowijała go jak brudny płaszcz.

- Święci, Tolia! Odstawże go!

Przez chwilę Tolia wyglądał, jakby miał szczerzy zamiar zabić, ale potem rozluźnił palce i Mal osunął się po ścianie, kaszłąc i dysząc.

- Była twoja zmiana - zagrzmiał Tolia i wbił Malowi palec w pierś. - Powinieneś być z nią być.

- Przepraszam - wycharczał Mal, masując się po gardle. - Musiałem zasnąć. Byłem zaraz obok...

- Nurkowałeś w butelce - wycedził Tolia. - Czuć od ciebie kwas.

- Przepraszam - powtórzył Mal żałośnie.

- Przepraszasz? - Tolia zacisnął pięści. - Powiniennem rozerwać cię na strzępy.

- Rozczłonkujesz go później - powiedziałam. - Teraz musisz znaleźć Mikołaja i powiedzieć mu, żeby spotkał się ze mną w sali obrad. Idę się przebrać.

Przeszłam przez pokój i zamknęłam za sobą drzwi, starając się nad sobą zapanować. Tego dnia jak dotąd prawie zginęłam i możliwe, że roznieciłam bunt. Może przed śniadaniem jeszcze coś podpale.

Umyłam twarz i przebrałam się w keftę, a potem pośpieszyłam do komnaty wojennej. Mal tam był - siedział zgarbiony na krześle, chociaż go nie zapraszałam. Przebrał się, ale wciąż był wymiętoszony, a oczy miał przekrwione. Po ubiegłej nocy miał na twarzy świeże sińce. Kiedy weszłam, podniósł na mnie oczy w milczeniu. Czy kiedyś nastanie taki moment, że jego widok nie będzie sprawiał mi bólu?

Położyłam atlas na długim stole i podeszłam do starej mapy Ravki, która wisiała na przeciwległej ścianie. Ze wszystkich map w sali obrad ta była zdecydowanie najstarsza i najpiękniejsza. Dotknęłam palcami wzniesień Sikurzoja - łańcucha górskiego, który wyznaczał południową granicę Ravki z Szu - po czym przesunęłam je w dół na leżące na zachód pogórze. Dolina Dva Stołba była za mała, by znaleźć się na tej mapie.

- Pamiętasz coś? - zapytałam Mala, nie patrząc na niego. - Sprzed Keramzina?

Kiedy Mal trafił do sierocińca, był niewiele starszy ode mnie. Wciąż pamiętałam dzień jego przyjazdu. Słyszałam, że przybywa nowy uchodźca, i miałam nadzieję, iż będzie to dziewczynka, z którą będę mogła się bawić. Zamiast tego dostał mi się krępy, niebieskooki chłopak, który nie cofnie się przed żadną prowokacją.

- Nie. - Głos miał nadal chrapliwy po tym, jak Tolia go prawie udusił.

- Nic?

- Kiedyś śniła mi się czasami kobieta z długim, złotym warkoczem. Dyndała nim przede mną, jakby to była zabawka.

- Twoja matka?

- Matka, ciotka, sąsiadka. Skąd mam wiedzieć? Alina, to, co się stało...

- Coś jeszcze?

Przyglądał mi się dłuższą chwilę, potem westchnął i rzekł:

- Za każdym razem, gdy czuję zapach lukrecji, przypomina mi się, jak siedzę na ganku, a przede mną stoi czerwone krzesło. Tyle. Wszystko inne... - Urwał, wzruszając ramionami.

Nie musiał mi tłumaczyć. Wspomnienia stanowiły luksus dostępny dla innych dzieci, lecz nie dla sierot z Keramzina. „Bądźcie wdzięczni. Bądźcie wdzięczni”.

- Alina - podjął znów Mał - to, co mówiłaś o Darklingu...

W tej jednak chwili wszedł Mikołaj. Choć było wcześniej, jego wygląd był zaiste godzien księcia - blond włosy błyszcząły, buty wypolerowane na wysoki połysk. Zmierzył wzrokiem sińce oraz zarost Mała, uniósł brwi i rzekł:

- Pewnie nikt nie zadzwonił po herbatę?

Usiadł i wyciągnął przed sobą długie nogi. Tolia i Tamar zajęli stanowiska, ale poprosiłam ich, żeby zamknęły drzwi i do nas dołączyli.

Kiedy wszyscy zebraliśmy się wokół stołu, powiedziałam:

- Dziś rano poszłam do pielgrzymów.

Mikołaj uniósł głowę gwałtownie. W jednej chwili zniknął niefrasobliwy książę.

- Chyba się przesłyszałem.

- Nic mi nie jest.

- Prawie zginęła - powiedziała Tamar.

- Ale nie zginęłam - dodałam.

- Rozum ci odjęło? - spytał Mikołaj. - Ci ludzie to fanatycy. - Obrócił się do Tamar: - Jak mogłaś jej na coś takiego pozwolić?

- Nie pozwoliłam - odparła Tamar.

- Powiedz, że nie poszłaś sama - rzekł do mnie.

- Nie poszłam sama.

- Poszła sama.

- Tamar, przymknij się. Mikołaj, mówiłam, że nic mi nie jest.

- Tylko dzięki temu, że dotarliśmy na czas - wtrąciła Tamar.

- Jak tam dotarliście? - spytał Mał cicho. - Jak ją znaleźliście?

Tolia pociemniał na twarzy i walnął w stół wielką piąchą.

- Nie powinniśmy byli musieć jej szukać. Była twoja warta.

- Daj temu spokój, Tolia - powiedziałam ostro. - Mał był nie tam, gdzie powinien być, a mnie w pełni stać na głupotę we własnym zakresie.

Zrobiłam wdech. Mał wydawał się zdruzgotany. Tolia wyglądał, jakby zaraz miał zacząć rozwalać meble.

Tamar miała kamienną minę, a Mikołaja nigdy nie widziałam bardziej zagniewanym. Ale przynajmniej mnie słuchali. Przesunęłam adas na środek stołu.

- Pielgrzymi nazywają mnie czasem Córką Dwa Stołba.

- Dwóch Młynów? - spytał Mikołaj.

- To dolina, która zawdzięcza nazwę znajdującym się tam ruinom. - Otworzyłam adas na zaznaczonej stronie, na której widniała szczegółowa mapa pogranicza południowo-zachodniego.

- Mał i ja pochodzimy z tych okolic - przesunęłam palcem po mapie. - Osady rozciągają się po całym tym obszarze.

Przewróciłam kartkę na ilustrację przedstawiającą drogę w głąb doliny najeżonej miastami. Po każdej stronie drogi stał smukły kamienny słup.

- Miserne - mruknął Tolia.

- Otóż to - powiedziałam. - Te ruiny są bardzo stare. Kto wie, jak długo tam stoją albo czym kiedyś były? Dolina nosi nazwę Dwóch Młynów, ale mogły one być częścią stróżówki albo akweduktu. - Zakrzywiłam palec nad słupami. - Albo łuku.

W pomieszczeniu nagle zapanowała cisza. Kiedy łuk był na pierwszym planie, a w tle leżały góry, ruiny wyglądały dokładnie jak widok za Świętym Ilią w *Istorii Sanktja*. Brakowało tylko ognistego ptaka.

Mikołaj przyciągnął atlas do siebie.

- Widzimy to, co chcemy zobaczyć?

- Może - przyznałam. - Ale trudno uwierzyć, że to zbieg okoliczności.

- Wyślemy zwiadowców - zasugerował.

- Nie - odparłam. - Chcę jechać.

- Jeśli teraz wyjedziesz, cały postęp z Drugą Armią przepadnie. Ja pojedę. Skoro Wasyl może zwać do Kariewy kupować koniki, nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli ja się wybiorę na małe łowy.

Pokręciłam głową.

- To ja muszę zabić ognistego ptaka.

- Nie wiemy nawet, czy tam jest.

- Po co w ogóle o tym rozmawiamy? - zapytał Mal. - Wszyscy wiemy, że to ja pojedę.

Tamar i Tolia wymienili niespokojne spojrzenia. Mikołaj odkaszlnął.

- Z całym szacunkiem, Orecev, ale nie wydajesz się w szczytowej formie.

- Nic mi nie jest.

- A patrzyłeś ostatnio w lustro?

- Moim zdaniem ty patrzysz w nie dość często za nas dwóch - odparował Mal. Potem potarł dłonią twarz ze znużeniem. - Jestem zbyt zmęczony i skacowany, by się o to sprzeczać. Tylko ja znajdę ptaka. To muszę być ja.

- Jadę z tobą - oznajmiłam.

- Nie - odparł z zaskakującą siłą. - Wytropię go. Złapię. Przywiozę ci. Ale ty ze mną nie pojedziesz.

- To zbyt ryzykowne - zaprotestowałam. - Nawet jeśli go złapiesz, jak go tu sprowadzisz?

- Niech któryś z twoich Fabrykatorów coś dla mnie skonstruuje. Tak będzie dla wszystkich najlepiej. Ty dostaniesz ognistego ptaka, a ja się wydostanę z tego przekłętego miejsca.

- Nie możesz podróżować w pojedynkę. Musisz...

- To przydziel mi Tolię albo Tamar. Sami będziemy szybciej się przemieszczać i mniej zwracać na siebie uwagę. - Mał odsunął krzesło i wstał. - Wymyśl coś. Zorganizuj to, jak chcesz. - Nie patrząc na mnie, powiedział: - Powiedz tylko, kiedy mogę wyjechać.

Zanim znowu zaproponowałam, już go nie było.

Odwrociłam się, z wysiłkiem powstrzymując łzy. Za plecami słyszałam, jak pokój pustoszeje, a Mikołaj cicho instruuje bliźnięta.

Przyjrzałam się mapie. Policnaja, gdzie służyliśmy w wojsku. Rievost, gdzie rozpoczęliśmy podróż w Petrazoj. Cybeja, gdzie pierwszy raz mnie pocałował.

Mikołaj położył mi dłoń na ramieniu. Sama nie wiedziałam, czy mam ochotę ją stracić, czy odwrócić się i paść mu w ramiona. Jak by się zachował, gdybym tak zrobiła? Poklepał mnie po plecach? Pocałował? Oświadczył się?

- Tak będzie lepiej, Alino.

Zaśmiałam się gorzko.

- Zauważyłeś, że ludzie mówią tak tylko wtedy, gdy to nieprawda?

Opuścił rękę.

- Nie ma tu dla niego miejsca.

„Jego miejsce jest przy mnie” - chciałam zakrzyknąć. Wiedziałam jednak, że to nieprawda. Pomyślałam o posiniaczonej twarzy Mała, o tym, jak chodził tam i z powrotem jak zwierzę w klatce, jak pluł krwią i prowokował Eskila. „No dalej”. Pomyślałam o tym, jak mnie obejmował, kiedy przeprawialiśmy się przez Morze Prawdziwe. Mapa się rozmazała, a oczy wypełniły się łzami.

- Wypuść go - rzekł Mikołaj.

- Dokąd? Żeby się uganiał za jakimś mitycznym stworzeniem, które może nawet nie istnieć? Na poronionej misji w górach pełnych Szuhańczyków?

- Alino - powiedział Mikołaj łagodnie - tak to jest z bohaterami.

- Nie chcę, żeby był bohaterem!

- Nie zmieni tego, kim jest, tak samo jak ty nie możesz przestać być Griszą.

Jego słowa stanowiły echo tego, co sama powiedziałam kilka godzin temu, ale nie chciałam ich słuchać.

- Nie obchodzi cię, co się stanie z Malem - rzuciłam gniewnie. - Chcesz się go tylko pozbyć.

- Gdybym chciał, żebyś się odkochała, kazałbym Malowi zostać. Pozwoliłbym mu dalej topić smutki w kwasie i zachowywać się jak urażony osioł. Ale czy naprawdę chcesz dla niego takiego życia?

Zrobiłam drżący wdech. Nie, wiedziałam, że nie takiego życia dla niego chcę. Mał był tu nieszczęśliwy. Cierpiał od chwili przyjazdu, ale ja nie chciałam tego wcześniej widzieć. Skarżyłam się, że chce, bym była kimś, kim nie jestem, a tymczasem sama żądałam od niego tego samego. Otarłam łzy z policzków. Nie było sensu kłócić się z Mikołajem. Mał był kiedyś żołnierzem. Pragnął

mieć w życiu cel. Oto w zasięgu był cel, jeśli tylko zdobędę się na to, by dać mu po niego sięgnąć.

I czemu nie przyznać tego przed sobą? Mimo własnych głośnych protestów w moim wnętrzu rozbrzmiewał inny głos - chciwy, wstydlivy głód, który domagał się nasycenia, gardłował, by Mal jechał znaleźć ognistego ptaka, nalegał, by mi go przywiózł, nieważne jakim kosztem. Powiedziałam Malowi, że dziewczyna, którą znał, zniknęła. Lepiej, żeby wyjechał, zanim się przekona, ile w tym prawdy.

Musnęłam palcami ilustrację przedstawiającą Dwa Stołba. Dwa Młyny czy coś więcej? Jak to stwierdzić, skoro zostały same ruiny?

- Wiesz, jaki jest problem z bohaterami i świętymi, Mikołaju? - zamknęłam książkę i skierowałam się do drzwi. - Zawsze giną.

22.

Mal unikał mnie całe popołudnie, więc zdziwiłam się, kiedy pojawił się, by wraz z Tamar eskortować mnie na kolacji urodzinowej Mikołaja. Sądziłam, że skłoni Tolię, by ten go zastąpił, ale może starał się wynagrodzić to, że opuścił poprzednią wartę.

Sama poważnie się zastanawiałam, czy nie darować sobie kolacji, ale wydawało się to bezcelowe. Nie przychodziła mi do głowy żadna wiarygodna wymówka, a nieobecnością obraziłabym króla i królową.

Ubrałam się w lekką keftę wykonaną z błyszczących pasów czystego, złotego jedwabiu. Gorset był obszyty szafirami w

kolorze głębokiego błękitu Przyzywaczy, które pasowały do klejnotów, jakie miałam we włosach.

Mał zerknął na mnie, kiedy wchodziłam do westybulu, i przemknęło mi przez myśl, że w tych kolorach Zoi byłoby bardziej do twarzy. Potem sama się sobą zdziwiłam.

Zoja była wprawdzie przepiękna, ale to nie ona stanowiła problem. Mał odchodził. Ja mu na to pozwalałam. Nikt inny nie ponosił winy za rozdźwięk między nami.

Kolację urządzono w jednej z wystawnych jadalni Wielkiego Pałacu - sali znanej jako Orle Gniazdo ze względu na ogromne malowidło na suficie przedstawiające podwójnego orła w koronie, który w jednym szponie trzymał berło, a w drugim pęk czarnych strzał związanych czerwonymi, niebieskimi i błękitnymi wstążkami. Pióra wykonano ze szczerego złota i skojarzenie z ognistym ptakiem narzucało mi się samo.

Przy stole tłoczyli się najwyżej postawieni generałowie Pierwszej Armii wraz z małżonkami, jak również najznamienitsi wujowie, ciotki i kuzynowie z rodu Lancovów. Na jednym końcu stołu siedziała królowa. Wyglądała jak zmięty kwiat w bladoróżowym jedwabiu. Po przeciwnej stronie przy królu siedział Wasyl i udawał, że nie widzi, jak ojciec rozbiera wzrokiem młodą żonę oficera. Mikołaj brylował przy środkowym stole ze mną przy boku, czarujący jak zawsze.

Prosił, by nie urządzać na jego część balu. Wydawało się to niestosowne, skoro tylu uchodźców głoduje pod murami miasta. Były jednak Białe Noce i król oraz królowa najwyraźniej nie umieli się opanować. Posiłek składał się z trzynastu dań, w tym z całego prosięcia i naturalnej wielkości jelonka z galarety.

Kiedy przyszła pora na prezenty, ojciec obdarował Mikołaja ogromnym jadem emaliowanym na niebiesko. Po otwarciu ukazywał się dopracowany w najmniejszym szczególe,

miniaturowy okręcik na morzu z lapis lazuli. Na jednym z masztów powiewała bandera Sturmhonda z czerwonym psem, a małe działo strzelało z lekkim hukiem i emitowało odrobinę białego dymu.

Przez cały posiłek słuchałam rozmów jednym uchem, obserwując Mała. Królewska straż była rozstawiona w regularnych odstępach wzdłuż ścian. Wiedziałam, że Tamar stoi gdzieś za mną, ale Mał znajdował się na wprost mnie. Stał na baczność z rękoma za plecami, a w oczach miał wyraz beznamiętnego skupienia charakterystyczny dla wszystkich anonimowych sług. Obserwowanie go takim zakrawało na torturę. Dzielilo nas zaledwie parę metrów, lecz odległość wydawała się znacznie większa. Czy tak nie było od naszego przyjazdu do Os Alty? W piersi miałam węzeł, który zaciskał się coraz bardziej, ilekroć na niego patrzyłam. Ogolił się i dał się ostrzyć. Mundur miał schludnie wyprasowany. Wydawał się znużony i odległy, ale znów wyglądał jak Mał.

Arystokraci wzniesli toast za zdrowie Mikołaja. Generałowie wysławiali jego talenty przywódcze oraz odwagę. Spodziewałam się, że Wasyl będzie krzywo patrzył na te wszystkie pochwały pod adresem brata, ale wydawał się wręcz wesoły. Był zaczerwieniony od wina, a na ustach miał zdecydowanie zadowolony uśmiešek. Po wyprawie do Kariwy humor mu dopisywał.

Oczy znowu uciekły mi w stronę Mała. Nie wiedziałam, czy chcę płakać, czy wstać i zacząć ciskać naczyniami o ścianę. W sali było za ciepło, a rana na ramieniu znowu zaczęła swędzieć i drętwieć. Musiałam pohamować impuls, by się po niej nie podrapać.

„Cudownie” - pomyślałam z niesmakiem. „Może dostanę halucynacji na środku jadalni, a Darkling wylezie z wazy na zupę”.

Mikołaj przekrzywił głowę i szepnął:

- Wiem, że moje towarzystwo pozostawia nieco do życzenia, ale możesz się chociaż postarać? Wyglądasz, jakbyś miała się rozplakać.

- Przepraszam - mruknęłam. - Ja tylko...

- Wiem - ścisnął moją dłoń pod stołem. - Ale ten jeleń z galarety dla twojej rozrywki poświęcił życie.

Próbowałam się uśmiechnąć i rzeczywiście zaczęłam się starać. Śmiałam się oraz gawędziłam z krągłym, czerwonym na twarzy generałem po prawej i udawałam zainteresowanie, jak młody, piegowaty Lancov naprzeciwko opowiadał o remoncie daczy, którą odziedziczył.

Kiedy podano lody, Wasyl powstał i uniósł kieliszek z szampanem.

- Bracie - zabrał głos - dobrze jest móc dziś wypić toast za twoje urodziny i świętować z tobą razem, bo długi czas spędziłeś nad innymi morzami. Piję za twoje zdrowie i na twoją cześć. Zdrowie, braciszku!

- Ne žalost! - zakrzyknęli chórem goście, wychylili kielichy i wznowili rozmowy.

Vasyl jednak jeszcze nie skończył. Popukał w kieliszek widelcem, a brząk ściągnął na niego uwagę zgromadzonych.

- Dziś mamy jednak więcej powodów do radości niż szlachetne narodziny mojego brata. - Jak gdyby sam akcent nie wystarczał, Wasyl wyszczerzył się złośliwie. Mikołaj nadal uśmiechał się pogodnie. - Jak wiecie - ciągnął Wasyl - ostatnie tygodnie spędziłem w podróży.

- I pewnie sporo wydałeś - zarechotał czerwonolicy generał. - Podejrzewam, że niedługo będziesz musiał postawić sobie nową stajnię.

Vasyl zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

- Nie pojechałem do Kariewy. Zamiast tego udałem się północ z misją, którą powierzył mi nasz drogi ojciec.

Mikołaj zastygł.

- Po długich i żmudnych negocjacjach z przyjemnością mogę ogłosić, że Fjerda postanowiła wesprzeć nas w walce przeciwko Darklingowi. Zobowiązali się udzielić nam zarówno żołnierzy, jak i funduszy.

- Jak to możliwe? - spytał któryś z arystokratów.

Vasyl nadał się z dumy.

- Możliwe. Nareszcie - i dużym nakładem wysiłku - najzagorzalszy wróg został naszym najpotężniejszym sprzymierzeńcem.

Goście zaczęli rozprawiać z ekscytacją. Król uśmiechał się promiennie i obejmował najstarszego syna.

- Ne Ravka! - zakrzyknął, unosząc kieliszek szampana.

- Ne Ravka! - odpowiedzieli goście chórem.

Zdziwiłam się, że Mikołaj marszczy czoło. Mówił, że jego brat lubi chadzać na skróty, i wyglądało na to, że Vasyl właśnie takie skróty znalazł. Jednak okazywanie rozczarowania czy frustracji było do Mikołaja niepodobne.

- Nadzwyczajne osiągnięcie, bracie. Piję twoje zdrowie - rzekł Mikołaj, unosząc kieliszek. - Wolno spytać, czego chcieli w zamian za wsparcie?

- Rzeczywiście potrafia twardo się targować - odparł Vasyl z pobłażliwym śmiechem. - Jednak warunki nie są zbyt uciążliwe. Pragną dostępu do naszych portów w Ravce Zachodniej i poprosili o pomoc w ochronie szlaków handlowych na południu przez ziemczańskimi piratami. Wyobrażam sobie, że w tej materii przyda się twoja pomoc, bracie - powiedział i znów

zaśmiał się ciepło. - Chcieli, by otworzyć kilka leśnych duktów na północy, a kiedy pokonamy Darklinga, oczekują współpracy ze strony Przyzywaczki Słońca we wspólnych wysiłkach w celu odepchnięcia Fałdy.

Uśmiechnął się do mnie szeroko. Najeżyłam się trochę na jego arbitralną decyzję, ale było to oczywiste i rozsądne życzenie, a nawet przywódca Drugiej Armii był poddanym króla. Kiwnęłam głową - miałam nadzieję, że z godnością.

- Które dukty? - spytał Mikołaj. Vasyl zbył pytanie machnięciem ręki.

- Gdzieś na południe od Halmhend, na zachód od zmarzliny. Jest tam fort w Ulensku, więc mają wystarczającą obronę, na wypadek gdyby Fjerdanom coś głupiego wpadło do głowy.

Mikołaj wstał, szurając krzesłem głośno o parkiet.

- Kiedy zniosłeś blokady? Od kiedy drogi stoją otworem?

Vasyl zmarszczył brew.

- Co za różnica...

- Od kiedy?

Rana w moim ramieniu zatętniała.

- Od nieco ponad tygodnia - powiedział Vasyl. - Nie martwisz się chyba, że Fjerdanie chcą na nas ruszyć od Ulenska? Rzeki jeszcze długo nie zamrzną, a do tamtej pory...

- Nie zastanawiałeś się, dlaczego obchodzi ich jakiś dukt?

Vasyl znów machnął ręką bez zainteresowania.

- Zapewne dlatego, że potrzebują drewna - rzekł. - A może ten dukt jest święty, bo żyje tam któryś z ich niedorzecznych duszków leśnych.

Wokół stołu rozszedł się nerwowy śmiech.

- Broni go jeden fort - warknął Mikołaj.

- Bo przesmyk jest za wąski dla autentycznie silnego oddziału.
- Prowadzisz starą wojnę, bracie. Darkling nie potrzebuje batalionu piechoty ani ciężkich dział. Wystarczy mu jego Griszowie i niszczoje. Musimy natychmiast ewakuować pałac.

- Nie bądź śmieszny!

- Nasza jedyna przewaga tkwiła we wczesnej informacji, a zwiadowcy na tych blokadach stanowili naszą pierwszą linię obrony. Byli naszymi oczami, a ty nas oślepiłeś. Darkling może się znajdować ledwie parę kilometrów stąd.

Vasyl pokręcił głową ze smutkiem.

- Ośmieszasz się.

Mikołaj walnął dłońmi o stół. Naczynia podskoczyły w grzechotem.

- Dlaczego nie ma tu delegacji z Fjerdy, by uświetnić twój tryumf? By wypić za ten bezprecedensowy sojusz?

- Przysłali wyrazy ubolewania. Nie mogli od razu podróżować, gdyż...

- Nie ma ich tu, bo tu zaraz odbędzie się rzeź. Zawarli pakt z Darklingiem.

- Cały nasz wywiad twierdzi, że Darkling jest na południu u Szuhańczyków.

- Myślisz, że on nie ma szpiegów? Że nie ma własnych agentów w naszej sieci? Zastawił pułapkę, na której poznałoby się każde dziecko, a ty wlałeś prosto w nią.

Vasyl zrobił się purpurowy.

- Mikołaju, ależ... - zaproponowała jego matka.

- W forcie w Ulensku stacjonuje cały pułk - wtrącił jeden z generałów.

- Widzisz? - powiedział Vasyl. - To sianie paniki pierwszej wody, i ja na nie pozwolę.

- Pułk przeciwko armii niszczy? Wszyscy w tym forcie już nie żyją - rzekł Mikołaj. - Oddali życie za twoją dumę i tępotę.

Vasyl położył dłoń na rękojeści miecza.

- Za wiele sobie pozwalasz, ty mały bękarcie.

Królowa nabrała powietrza gwałtownie. Mikołaj zaśmiał się szorstko.

- Tak, wypomnij mi, bracie. Na niewiele ci to przyjdzie. Rozejrzyj się wokół stołu. Każdy generał, każdy wysoko postawiony arystokrata, większość linii Lancovów, a do tego Przyzywaczka Słońca. Wszyscy w tym samym miejscu i czasie.

Wokół stołu wiele twarzy poblądło. Piegowaty chłopak siedzący naprzeciw mnie się odezwał:

- Może powinniśmy rozważyć...

- Nie! - powiedział Vasyl drżącymi ustami. - Przemawia przez niego zazdrość i małostkowość. Nie może znieść, jak odnoszę sukces. On...

Rozdzwoniły się dzwony ostrzegawcze. Najpierw w oddali, potem przy murach miasta, jeden po drugim dołączały do narastającego chóru alarmu, który odbijał się echem od ulic Os Alty, przemierzał przez górne miasto i unosił się ponad murami Wielkiego Pałacu.

- Oddałeś mu Ravkę - rzekł Mikołaj.

Goście wstali, odchodząc od stołu spanikowaną gromadą. Mal natychmiast znalazł się przy moim boku z szablą w dłoni.

- Musimy się dostać do Małego Pałacu - powiedziałam, myśląc o lustrzanych naczyniach na dachu. - Gdzie Tamar?

Okna eksplodowały.

Obsypał nas deszcz szkła. Uniosłam ręce, by osłonić twarz, a goście zaczęli krzyczeć, kuląc się za sobą nawzajem.

Nisztoje wtargnęły do sali na skrzydłach z płynnego cienia, brzęcząc jak insekty.

- Wyprowadzić króla w bezpieczne miejsce! - krzyknął Mikołaj, dobywając miecza i biegnąc w stronę matki.

Straż pałacowa zastygła w bezruchu z przerażenia.

Cień podniósł piegowatego chłopca i rzucił nim o ścianę. Osunął się na ziemię ze skrzywionym karkiem.

Podniosłam ręce, ale w sali panował zbyt duży ścisk i nie mogłam ryzykować Cięcia.

Vasyl nadal stał przy stole. Król krył się za nim.

- To twoja sprawka! - wrzasnął na Mikołaja. - Twoja i tej wiedzy!

Unióś szablę wysoko i ruszył do ataku, rycząc z gniewu. Mal stanął przede mną i unióś broń, by zablokować cios. Nim jednak Vasyl się zamachnął, nisztoj złapał go i wyrwał mu rękę ze stawu, łącznie z szablą. Stał przez chwilę, chwiejąc się na nogach, a krew płynęła mu z rany, po czym padł na podłogę bez życia.

Królowa zaczęła krzyczeć przeraźliwie. Przepychała się w stronę ciała syna, ślizgając się w jego krwi. Mikołaj ją przytrzymał:

- Nie rób tego - prosił, obejmując ją. - Odszedł, madraja. Odszedł.

Kolejne stado nisztoj wleciało przez okna, przedzierało się w stronę Mikołaja i jego matki.

Musiałam zaryzykować. Uformowałam światło w dwa płonące łuki i przecinałam potwora po potworze. Cudem ominęłam jednego z generałów, który przykucnął lękliwie. Ludzie krzyczeli i łkali, atakowani przez nisztoje.

- Do mnie! - krzyknął Mikołaj, wiodąc matkę i ojca w stronę drzwi. Poszliśmy wraz ze strażą, wycofaliśmy się na korytarz i zaczęliśmy biec.

W Wielkim Pałacu wybuchł chaos. Na korytarzach tłoczyli się spanikowani służący i lokaje, niektórzy pędzili do wejścia, inni barykadowali się w pokojach. Usłyszałam zawodzenie, brzęk rozbijanego szkła. Gdzieś na zewnątrz rozległ się grzmot.

„Oby to byli Fabrykatorzy” - pomyślałam desperacko.

Razem z Małem wypadliśmy z pałacu i zlecieliśmy po marmurowych schodach. Powietrze rozdarł zgrzyt wyginanego metalu. Popatrzyłam na koniec ścieżki i zdążyłam zobaczyć, jak złote bramy Wielkiego Pałacu wypadają z zawiasów, niesione eterealnym wiatrem. Griszowie Darklinga wmaszerowali na teren majątku w swoich kolorowych keftach.

Pognaliśmy w stronę Małego Pałacu. Mikołaj i królewska straż byli za nami, bo spowalniał ich jego słabowity ojciec.

Na początku leśnego tunelu król zgiął się wpół i zaczął okropnie dyszeć. Królowa płakała i mocno trzymała go za ramię.

- Muszę ich zaprowadzić do „Zimorodka” - rzekł Mikołaj.

- Idź okrężną drogą - powiedziałam. - Darkling najpierw uda się do Małego Pałacu. Przyjdzie po mnie.

- Alina, jeżeli on cię pojmie...

- Idź. Ocal ich, ocal Baghrę. Nie opuszczę Griszów.

- Wydostanę ich stąd i wrócę. Obiecuję.

- Słowo zbira i pirata?

Dotknął przelotnie mojego policzka.

- Korsarza.

Kolejna eksplozja zatrzęsało dobrami.

- Chodźmy! - krzyknął Mal.

Kiedy pędziliśmy przez tunel, obejrzałam się za siebie i zobaczyłam podświetloną przez purpurowy zmierzch sylwetkę Mikołaja. Ciekawa byłam, czy jeszcze kiedyś go zobaczę.

Rana na moim barku paliła i pulsowała, więc pędziłam po ścieżce jeszcze szybciej. W głowie mi wirowało. „Jeśli udało im się zamknąć się w głównej sali, jeśli zdążyli obsłużyć broń na dachu, jeśli tylko dotrę do tych naczyń”. Wszystkie nasze plany legły w gruzach, zniszczone przez arogancję Vasyła.

Wypadłam na otwartą przestrzeń i stanęłam jak wryta, aż spod moich stóp posypał się żwir. Nie wiem, czy padłam na kolana przez impet, czy przez widok, jaki mnie powitał.

Mały Pałac był zasnuty tętniącymi cieniami. Trzaskały i furkotały, prześlizgiwały się po ścianach i pikowały na dach. Na schodach, na ziemi leżały ciała. Drzwi frontowe stały otworem.

Ścieżka wiodąca do schodów usiana była odłamkami zwierciadeł. Roztrzaskana skorupa jednego z naczyń Davida leżała na boku, przygniatając ciało dziewczyny z przekrzywionymi goglami. Paża. Dwa nisztroje kucaly przy naczyniu i patrzyły na swoje popękane odbicia.

Zawylałam z czystego gniewu i posłałam ogniste pasmo światła, które je przepaliło. Rozszczepiło się na krawędziach naczyń, a nisztroje znikły.

Z dachu usłyszałam strzały z broni palnej. Ktoś jeszcze żył. Ktoś jeszcze walczył. I zostało jedno naczynie. Niewiele, ale więcej nie mieliśmy.

- Tędy - rzekł Mal.

Przedarliśmy się przez trawnik i wbiegliśmy drzwiami wiodącymi do komnat Darklinga. U stóp schodów z piskiem

zaatakował nas nisztoj. Przewrócił mnie, a Mal przeciął go szablą. Zafalował i się odtworzył.

- Cofnij się! - krzyknęłam. Uchylił się, a ja posłałam Cięcie w żołnierza cienia. Wbiegłam po schodach, przeskakując po dwa naraz. Serce mi waliło, Mal był tuż za mną. Powietrze było gęste od woni krwi i wstrząsającego jazgotu broni palnej.

Kiedy wyszliśmy na dach, usłyszałam krzyk:

- Z drogi!

Zdążyliśmy się uchylić, kiedy granat eksplodował wysoko nad nami. Poraził nas ocy światłem, w uszach zaczęło nam dudnić. Korporalnicy strzelali z broni Mikołaja, ładując w chmurę cieni strumienie pocisków, a Fabrykatorzy podawali im amunicję. Ocalałe naczynie otaczali Griszowie, którzy próbowali powstrzymać nisztoje. Był tam David - niezdarnie trzymał strzelbę i próbował nie ustępować. Cisnęłam światłem na kształt płonącego bicia, który przeciął niebo i zyskał nam kilka cennych sekund.

- David!

David dmuchnął w gwizdek na szyi mocno, dwa razy. Nadia opuściła gogle, a Trwaliści obsługujący naczynie zajęli pozycje. Nie czekałam - uniosłam ręce i posłałam w stronę naczynia strumień światła. Rozległ się dźwięk gwizdka. Naczynie się przekrzywiło. Nawet w pojedynkę przeszło niebo, przecinając nisztoje, które spalały się doszczętnie.

Promień sunął przez powietrze jaśniejącym łukiem, rozbijał czarne ciała, przerzedzał hordę, aż znów widać było głęboki półmrok Białych Nocy. Griszowie zakrzyknęli radośnie, kiedy dojrzeliby gwiazdy, a w moje przerażenie wdarł się promyk nadziei.

Nagle jeden nisztoj się przedarł. Umknął przed promieniem i rzucił się na naczynie, które zachwiało się na stelażu.

Mal w jednej chwili zaatakował istotę, ciął ją i siekł. Grupka Griszów próbowała złapać ją za muskularne nogi, ale stwór się przesunął i uciekł im. Potem nisztroje zaczęły atakować ze wszech stron. Zobaczyłam, jak jeden prześlizguje się obok promienia i pikuje wprost na tył naczynia. Lustro się zachwiało. Światło przygasło, potem zgasło.

- Nadia! - krzyknęłam. Ona i Trwaliści odskoczyli od naczynia w samą porę. Przewróciło się na bok z przeraźliwym trzaskiem rozbijanego szkła, a nisztroje wznowiły atak.

Miotalam światło łuk po łuku.

- Do sali! - wołałam. - Zapieczętować drzwi!

Griszowie rzucili się do ucieczki, ale nie byli dość szybcy. Usłyszałam krzyk i mignęła mi twarz Fediora. Nisztroje uniosły go w powietrze i cisnęły z dachu. Osłaniałam nas zalewem światła, ale nisztroje nie ustawały w ataku. Gdybyśmy tylko mieli oba naczynia. Gdybyśmy tylko mieli nieco więcej czasu

Nagle przy moim boku stanął Mal. W ręku miał strzelbę.

- Nic z tego - powiedział. - Musimy się stąd wydostać.

Pokiwałam głową i wycofaliśmy się w stronę schodów. Niebo zgęstniało od roju kształtów. Trafiłam stopą w coś miękkiego za plecami i się potknęłam.

Siergiej siedział skulony przy kopule. W ramionach miał Marie. Rozdarto ją od szyi po pępek.

- Nikogo już nie ma - szlochał, zalewając się łzami. - Nikogo już nie ma. - Kołysał się tam i z powrotem, przytulając Marie mocniej. Nie mogłam znieść jej widoku. Niemądra, rozchichotana Marie ze ślicznymi, brązowymi włosami.

Nisztroje sunęły ku nam po dachu czarną falą.

- Mal, podnieś go! - krzyknęłam. Przecięłam sznur cieni pędzących w naszą stronę.

Mal złapał Siergieja i odciągnął go od Marie. Miotał się i opierał, ale wepchnęliśmy go do środka i zatrzasnęliśmy za sobą drzwi. Na poły go nieśliśmy, na poły spychaliśmy po schodach. Kiedy byliśmy na drugiej kondygnacji, usłyszeliśmy, jak drzwi wiodące na dach otwierają się z hukiem. Rzuciłam wzwyż ostry łuk światła w nadziei, że trafię w coś oprócz schodów, i zlecieliśmy z ostatniej kondygnacji.

Rzuciliśmy się do głównego hallu, a drzwi za nami zamknęły się z trzaskiem. Griszowie je zaryglowali. Usłyszeliśmy głośny łomot - nisztroje próbowały wyłamać drzwi.

- Alina! - krzyknął Mal. Odwróciłam się i zobaczyłam, że pozostałe drzwi były zabezpieczone, ale w środku były nisztroje. Zoja i młodszy brat Nadii, przyparci do ściany, za pomocą szkwalnickich wiatrów ciskali stoły, krzesła i połamane meble na nadciągający oddział żołnierzy cienia.

Uniosłam dłonie, a światło runęło do przodu skwierczącymi strumieniami i jeden po drugim rozdarło nisztroje, aż przepadły. Zoja opuściła ręce, a na ziemię z głośnym brzękiem spadł samowar.

Przy każdych drzwiach słyhać było dudnienie i drapanie. Nisztroje szponami atakowały drewno, próbując dostać się do środka, szukając szczeliny, przez którą mogłyby się wślizgnąć. Brzęczenie i furkot zdawały się dochodzić ze wszystkich stron. Ale Fabrykatorzy dobrze się spisali. Uszczelki wytrzymają - przynajmniej przez pewien czas.

Potem rozejrzałam się dookoła. Sala była skąpana we krwi. Ściany były nią wysmarowane, kamienna podłoga była od niej mokra. Ciała leżały wszędzie - małe kopczyki purpury, czerwieni oraz błękitu.

- Są jacyś inni? - zapytałam. Nie mogłam powstrzymać drżenia głosu.

Zoja pokręciła głową raz, z oszołomieniem. Policzek miała obryzgany krwią.

- Jedliśmy kolację - powiedziała. - Usłyszeliśmy dzwony. Nie zdążyliśmy zapieczętować drzwi. Były... wszędzie.

Siergiej płakał cicho. David był blady, ale spokojny. Nadia dotarła do sali. Obejmowała Adrika, który nadal miał uparty podbródek, chociaż cały się trząsł. Było troje Inferników i dwoje Korporalników - jeden Uzdrowiciel i jeden Sercodarca. Tyle zostało z Drugiej Armii.

- Czy ktoś widział Tolię i Tamar? - spytałam. Nikt ich jednak nie widział. Możliwe, że nie żyli. A może odegrali jakąś rolę w tej katastrofie. Równie dobrze mogli byli cały czas współpracować z Darklingiem.

- Może Mikołaj jeszcze nie wyleciał - rzekł Mal. - Możemy spróbować przedrzeć się do „Zimorodka”.

Pokręciłam głową. Jeśli Mikołaj nie wyleciał, to on i reszta jego rodziny nie żyli - możliwe, że Baghra też. Przed oczyma mignęła mi nagle wizja zwłok Mikołaja unoszących się twarzą do dołu po jeziorze, nieopodal roztrzaskanych fragmentów „Zimorodka”.

Nie. Nie będę tak myśleć. Pamiętałam, jak oceniłam Mikołaja, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Musiałam wierzyć, że szczywany lis wymknie się także i z tej pułapki.

- Darkling skupił siły tutaj - powiedziałam. - Możemy uciec do górnego miasta i próbować wywalczyć sobie przejście stamtąd.

- Nigdy się nam nie uda - powiedział Siergiej żałośnie. - Jest ich zbyt wiele. - Była to prawda. Wiedzieliśmy, że może do tego dojść, ale zakładaliśmy, że będzie nas więcej, i liczyliśmy na posiłki z Policnai.

Z dała dobiegł odgłos gromu.

- Nadchodzi - jęknął jeden z Inferników. - Święci, on nadchodzi.

- Wyzabija nas - szepnął Siergiej.
- Jeśli się nam poszczęści - odparła Zoja.

Nie było to pomocne, ale miała rację. W cienistych otchłaniach oczu jego matki widziałam, jak Darkling odnosi się do zdrajców, a podejrzewałam, że Zoję i pozostałych potraktuje surowiej.

Zoja próbowała zetrzeć krew z twarzy, ale udało jej się tylko rozsmarować ją po policzku.

- Moim zdaniem powinniśmy spróbować się dostać do górnego miasta. Wolę zaryzykować starcie z potworami na zewnątrz niż siedzieć tu i czekać na Darklinga.

- Szanse są kiepskie - uprzedziłam. Bolało mnie, że nie mogę im dać nadziei. - Nie mam dość sił, by powstrzymać je wszystkie.

- Przynajmniej z nisztojami pójdzie względnie szybko - powiedział David. - Nie poddawajmy się bez walki. - Wszyscy na niego spojrzeliśmy. Sam wydawał się lekko zdziwiony. Potem wzruszył ramionami. Popatrzył mi w oczy i rzekł: - Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Rozejrzałam się dookoła. Jedno po drugim skinęli głowami. Nabrałam powietrza:

- David, zostały ci jakieś grenatki?
- Te są ostatnie - wyjął z kefty dwa żelazne cylindry.
- Użyj jednego, drugi zachowaj na zapas. Dam znak. Kiedy otworzę drzwi, biegnijcie do bram pałacu.
- Zostaję z tobą - rzekł Mal.

Otworzyłam usta, by zaoponować, ale popatrzyłam na niego i wiedziałam, że nie ma po co.

- Nie czekajcie na nas - powiedziałam do pozostałych. - Osłonię was na tyle, na ile będę mogła.

Powietrze rozdarł kolejny grom.

Griszowie pozbierali strzelby z rąk nieżyjących i zebrali się wokół mnie przy drzwiach.

- Dobrze - powiedziałam. Obróciłam się i położyłam dłonie na rzeźbionych klamkach. Czułam uderzenia ciał nisztoidów, które rzucały się na drewno. Rana na ramieniu zapulsowała ogniem.

Skinęłam w stronę Zoi. Zamek się odblokował. Otworzyłam drzwi i krzyknęłam:

- Już!

David rzucił w półmrok granat błyskawicowo-hukowy, a Zoja machnęła rękami, wzbijając cylinder podmuchem szkwalniczego wiatru.

- Kryć się! - zawołał David. Odwróciliśmy się w stronę wnętrza z zaciśniętymi oczami, zasłaniając rękoma głowy, czekając na eksplozję.

Wybuch zatrzęsł kamienną posadzką pod naszymi stopami, a blask przebijał się przez powieki czerwoną łuną.

Zaczęliśmy biec. Nisztoje się rozproszyły, zaskoczone eksplozją światła i dźwięku, ale zaledwie parę sekund później już wirowały ku nam.

- Biegiem! - krzyknęłam. Uniosłam ręce i uformowałam światło w ogniste kosy, przecinałam fioletem nieba, kroiliśmy nisztoida po nisztoidu, podczas gdy Mal zaczął strzelać. Griszowie biegli do tunelu w lesie.

Wykorzystałam każdą cząstkę mocy jelenia, siły węża morskiego, każdą sztuczkę, jakiej nauczyła mnie Baghra. Ściągałam światło ku sobie i kształtowałam je w gorejące łuki, które zostawiały świetliste ślady w armii cienia.

Ale było ich po prostu zbyt wiele. Czym Darkling przypłacił stworzenie takiego mrowia? Napierały, ich ciała przemieniały się i wirowały jak błyszcząca chmara chrząszczy, wyciągały ręce,

obnażały ostre szpony. Odepchnęły Griszów od tunelu. Czarne skrzydła były w powietrze, szerokie, wykrzywione gęby już się rozdziawiały.

Nagle w powietrzu rozległy się strzały. Z lasu po mojej lewej wysypywali się żołnierze i strzelali w biegu. Usłyszałam ich okrzyk wojenny i dostałam gęsiej skórki. Sankta Alina.

Rzucili się na nisztaje, dobywając mieczy i szabel, siekąc potwory z przerażającą zajadłością. Niektórzy byli ubrani jak rolnicy, inni mieli podarte mundury Pierwszej Armii, ale każdy z nich miał identyczny tatuaż: moją glorię na policzku.

Tylko dwoje z nich nie było wytatuowanych. Na czele ataku biegli Tolia i Tamar. Oczywiście mieli dzikie, błyskali ostrzami, ryczeli moje imię.

23.

Żołnierze słońca runęli na horde cienia, cięli, siekli, spychali nisztaje. Strzelcy raz po raz oddawali salwy. Mimo swej zaciekłości byli jednak tylko ludźmi - ciało i stal w starciu z żywym cieniem. Stopniowo nisztaje ich wybijały.

- Do kaplicy! - krzyknęła Tamar.

Do kaplicy? Zamierzała rzucać w Darklinga hymnałami?

- Będziemy w potrzasku! - zawołał Siergiej, biegnąc w moją stronę.

- Już jesteśmy w potrzasku - odparł Mał, zarzucił strzelbę na plecy i złapał mnie za rękę. - Chodźmy!

Nie wiedziałam, co myśleć, ale nie mieliśmy alternatywy.

- David! - wrzasnęłam. - Druga bomba!

Cisnął granat w stronę nisztoid. Spudłował, ale Zoja go pokierowała.

Daliśmy nura w las. Żołnierze słońca biegli za nami. Białe światło eksplozji przedarło się przez drzewa.

W kaplicy zapalono lampy, a jej drzwi były otwarte. Wparowaliśmy do środka. Nasze kroki odbijały się echem od ławek i emaliowanej, błękitnej kopuły.

- Dokąd teraz? - zakrzyknął Siergiej w panice.

Już teraz z zewnątrz dobiegały furkotanie i chrzęst. Tolia zatrzaskał drzwi kaplicy i zamocował ciężką zasuwę. Żołnierze słońca obstawili okna ze strzelbami w rękach.

Tamar przeskoczyła ławkę i minęła mnie pędem wzdłuż nawy.

- Szybciej!

Przyglądałam się jej z konsternacją. Niby dokąd mieliśmy iść?

Przemknęła za ołtarz i schwyciła złożony róg tryptyku. Rozdziawiłam gębę, bo uszkodzony przez wodę panel się odchylił i ukazał ciemny korytarz. Właśnie wtedy żołnierze słońca dostali się na teren majątku. I wtedy Aparat uciekł z Wielkiego Pałacu.

- Dokąd to prowadzi? - spytał David.

- A co za różnica? - odparła Zoja.

Głośne dudnienie gromu rozdarło powietrze i budynek zatrzęsł się posadach. Drzwi kaplicy rozpadły się na kawałki. Tolia poszybował w tył i napłynęła ciemność.

Darkling wszedł niesiony falą cienia, podpierany przez potwory, które postawiły go na posadzce z niebywałą troską.

- Ognia! - krzyknęła Tamar.

Rozległy się strzały. Nisztoje zaroily się i zawirowały wokół Darklinga. Przekształcały się i wiły, trafiane pociskami, zastępując siebie nawzajem płynną falą cienia. On nawet nie zwolnił kroku.

Nisztoje wpływały przez drzwi kaplicy. Tolia już się podniósł i biegł ku mnie z pistoletami w gotowości. Tamar i Mał stali po moich bokach, Griszowie za nami. Uniosłam ręce, przyzywając światło i przygotowując się na atak.

- Poddaj się, Alino - rzekł Darkling. Jego chłodny głos odbił się echem po kaplicy, słyszalny wśród hałasu i chaosu. - Poddaj się, to ich oszczędzę.

W odpowiedzi Tamar potarła ostrza swoich labrysów z okropnym zgrzytaniem metalu o metal. Żołnierze słońca unieśli strzelby i usłyszałam krzesanie infernickich krzemieni.

- Rozejrzyj się, Alino - ciągnął Darkling. - Nie uda ci się zwyciężyć. Możesz tylko popatrzeć, jak giną. Jeśli teraz do mnie przyjdiesz, nie zrobię im krzywdy - ani twoim fanatycznym żołnierzom, ani nawet Griszom-zdrajcom.

Rozejrzałam się po kaplicy. To był koszmar. Nisztoje roily się wokół nas, tłoczyły przy kopule. Gromadziły się wokół Darklinga gęstą chmurą skrzydeł i ciał. Przez okna na de nieba widziałam ich więcej.

Na twarzach żołnierzy słońca malowała się determinacja, lecz ich szeregi poważnie przetrzebiono. Jeden z nich miał pryszcze na brodzie. Poza tatuażem wyglądał na niewiele więcej niż dwanaście lat. Potrzebowali od swojej Świętej cudu, a ja nie mogłam im go dać.

Tolia odbezpieczył pistolety.

- Wstrzymać się - powiedziałam.

- Alina - szepnęła Tamar - jeszcze możemy się stąd wydostać.

- Wstrzymać się - powtórzyłam.

Żołnierze słońca opuścili strzelby. Tamar przytroczyła toporki do bioder, lecz nadal trzymała je mocno.

- Jakie stawiasz warunki? - zapytałam.

Mal zmarszczył czoło. Tolia pokręcił głową. Nie obchodziło mnie to. Wiedziałam, że to może być podstęp, ale jeśli istniała szansa, by ocalić im życie, musiałam z niej skorzystać.

- Poddaj się - odparł Darkling. - A oni wszyscy będą wolni. Mogą sobie wejść w tę dziurę i zniknąć na zawsze.

- Wolni? - szepnął Siergiej.

- Kłamię - rzucił Mal. - Taki jest.

- Nie muszę kłamać - powiedział Darkling. - Alina chce ze mną pójść.

- Ona nic od ciebie nie chce - warknął Mal.

- Nie? - zapytał Darkling. Włosy lśniły mu w świetle płonących w kaplicy lamp. Przyzwanie armii cienia wiele go kosztowało. Był szczuplejszy i bledszy, ale ostre rysy jego twarzy tylko zyskały na pięknie. - Ostrzegałem cię, że twój otkazacja nigdy cię nie zrozumie, Alino. Mówiłem, że zacnie się ciebie lękać i nienawidzić twojej mocy. Powiedz mi, że się myliłem.

- Myliłeś się. - Głos miałam pewny, ale w sercu zaszemrało zwątpienie.

Darkling pokręcił głową.

- Nie możesz mnie okłamać. Myślisz, że mógłbym raz po razie do ciebie przychodzić, gdybyś czuła się mniej samotna? Wołałaś mnie, a ja odpowiadałem na zew.

Własnym uszom nie wierzyłam.

- Ty... ty tam byłeś?

- Na Faldzie. W pałacu. Wczorajszej nocy.

Zaczerwieniłam się na wspomnienie ciężaru jego ciała. Zalał mnie wstyd, ale wraz z nim obezwładniająca ulga. Nie uroiłam sobie tego wszystkiego.

- To niemożliwe - wycedził Mal.

- Nie masz pojęcia, co ja mogę umożliwić, tropicielu.

Zacisnęłam powieki.

- Alina...

- Widziałem, czym naprawdę jesteś - rzekł Darkling - i nigdy się nie odwróciłem. Nigdy się nie odwrócę. Czy on może powiedzieć to samo?

- Nic o niej nie wiesz - powiedział Mal zażarcie.

- Chodź ze mną teraz, a to wszystko się skończy - lęk, niepewność, rozlew krwi. Wypuść go, Alino. Wypuść ich wszystkich.

- Nie - powiedziałam. Ale nawet wtedy, gdy kręciłam głową przecząco, w głębi duszy coś wołało: „Tak”.

Darkling westchnął i obejrzał się przez ramię.

- Przeprowadźcie ją - powiedział.

Jakaś postać powlokła się do przodu, spowita w ciężki szal, zgarbiona, powolna - jak gdyby każdy krok sprawiał ból. Baghra.

Skręciło mnie w żołądku. „Dlaczego musiała się tak upierać? Dlaczego nie odleciała z Mikołajem?” Chyba że Mikołaj też nie odleciał.

Darkling położył dłoń na ramieniu Baghry. Wzdrygnęła się.

- Zostaw ją w spokoju - rzuciłam gniewnie.

- Pokaż im - powiedział.

Odwinęła szal. Zrobiłam raptowny wdech. Usłyszałam, jak ktoś za mną jęknął.

To nie była Baghra. Nie wiedziałam, kto to. Ślady ukąszeń były wszędzie. Czarne wzniesienia blizn, nierówne grudki tkanki, których nigdy nie uda się uleczyć - ani rękami Griszów, ani

nikogo. Niewątpliwe znaki nisztai. Potem ujrzałam spłowiałą barwę włosów, śliczny odcień jedyne go ocalałego oka.

- Genia - wychrypiałam.

Staliśmy w przeraźliwej ciszy. Zrobiłam krok w jej stronę. Nagle David przepchał się do przodu i zszedł po schodach ołtarza. Genia odsunęła się od niego, owinęła szalem, odwróciła, by ukryć twarz.

David zwolnił. Zawahał się. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia. Widziałam, jak jej plecy wznoszą się i opadają. Wiedziałam, że płacze.

Zakryłam usta, bo wyrwał mi się szloch.

Tego długiego dnia widziałam tysiąc potwornych rzeczy, lecz właśnie to mnie załamało: że Genia wzdraga się przed Davidem jak przestraszone zwierzę. Promienna Genia z alabastrową skórą i rękoma pełnymi gracji. Odporna Genia, która znosiła niezliczone upokorzenia oraz zniewagi, lecz zawsze trzymała głowę wysoko. Niemądra Genia, która próbowała być moją przyjaciółką, ośmieliła się okazać mi litość.

David objął Genię i powoli poprowadził ją nawą. Darkling ich nie zatrzymał.

- Toczyłem wojnę, którą mi narzuciłaś, Alino - powiedział Darkling. - Gdybyś mi nie uciekła, Druga Armia nie poniosłaby uszczerbku. Wszyscy ci Griszowie by żyli. Twój tropiciel byłby bezpieczny i szczęśliwy w swoim pułku. Kiedy będzie tego dość? Kiedy pozwolisz mi przestać?

„Nie da ci się pomóc. Twoją jedyną nadzieją była ucieczka”. Baghra miała rację. Głupia byłam, że myślałam, iż mogę z nim walczyć. Próbowałam, a niezliczeni ludzie przypłacili to życiem.

- Oplakujesz tych, którzy zginęli w Novokribirsku - ciągnął Darkling - których pochłonęła Fałda. Ale czy myślisz o tysiącach, którzy na długo przed nimi zginęli w niekończących się wojnach?

O tych, którzy obecnie giną na odległych brzegach? Razem możemy położyć temu kres.

Rozsądne. Logiczne. Chociaż raz przyjąłam jego słowa. Kres tego wszystkiego.

To koniec.

Na myśl o tym powinnam poczuć się pobita, pokonana, ale zamiast tego wypełniła mnie dziwna lekkość. Czy w głębi duszy od początku nie wiedziałam, że to się tak skończy?

Darkling wziął mnie w posiadanie w chwili, gdy tak dawno temu w pawilonie Griszów dotknął mojej ręki. Po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Dobrze - szepnęłam.

- Alina, nie! - rzekł Mal wściekle.

- Wypuścisz ich? - zapytałam. - Wszystkich?

- Potrzebujemy tropiciela, by zdobyć ognistego ptaka - powiedział Darkling.

- On ma być wolny. Nie możesz mieć nas obojga.

Po chwili namysłu Darkling skinął głową. Wiedziałam, że sądzi, iż znajdzie sposób, by zdobyć Mala. Niech sobie tak uważa. Ja nigdy do tego nie dopuszczę.

- Nigdzie się nie wybieram - wycedził Mal przez zaciśnięte zęby.

Odwróciłam się do Tolii i Tamar:

- Weźcie go stąd. Choćbyście mieli go wynieść.

- Alina...

- Nie zrobimy tego - rzekła Tamar. - Złożyliśmy przysięgę.

- Zrobicie.

Tolia pokręcił wielką głową.

- Ślubowaliśmy ci życie. Wszyscy.

Odwróciłam się do nich:

- Więc zróbcie, co rozkażę. Tolia Yul-Baatar, Tamar Kir-Baatar, wyprowadzicie tych ludzi w bezpieczne miejsce. - Przyzwałam światło, by spowiło mnie jaśniejącym nimbem. Tania, lecz niezła sztuczka. Mikołaj byłby dumny. - Nie zawiedźcie mnie.

Tamar miała łzy w oczach, ale wraz z bratem pochylili głowę.

Mal chwycił mnie za ramię i obrócił szorstko.

- Co ty wyprawiasz?

- Chcę tego. - „Potrzebuję tego”. Nie miało już znaczenia, czy to ofiara, czy samolubstwo.

- Nie wierzę ci.

- Nie mogę uciec od tego, czym jestem, Mal... od tego, czym się staję. Nie wskrzeszę Aliny, którą znałeś, ale mogę cię wyzwolić.

- Nie możesz... nie możesz wybrać jego.

- Nie ma żadnego wyboru. Tak miało być. - Była to prawda. Czułam ją w obroży, w ciężarce bransolety. Pierwszy raz od tygodni czułam się silna.

Pokręcił głową.

- Wszystko nie tak. - Wyraz jego twarzy prawie mnie zmiażdżył. Zagubiony, oszołomiony, jak mały chłopiec, który stoi sam w płonącej wiosce. - Proszę, Alino - powiedział łagodnie. - Proszę. To się nie może tak skończyć.

Położyłam dłoń na jego policzku w nadziei, że łączy nas jeszcze dość, by zrozumiał. Stałam na palcach i pocałowałam bliznę na jego brodzie.

- Całe życie cię kochałam, Mal - szepnęłam przez łzy. - Nasza historia się nie kończy.

Cofnęłam się, ucząc się na pamięć wszystkich rysów jego ukochanej twarzy. Potem odwróciłam się i przeszłam nawa pewnym krokiem. Mal będzie miał życie. Odnajdzie cel. Ja muszę

znaleźć swój. Mikołaj obiecał mi szansę na ocalenie Ravki, wyrównanie krzywd, które wyrządziłam. Próbował, lecz to Darkling dysponował tym darem.

- Alina! - krzyknął Mal. Usłyszałam za sobą szamotaninę i wiedziałam, że Tolia go złapał. - Alina! - Jego głos był jak surowe, białe drewno wydarte z serca drzewa. Nie odwróciłam się.

Darkling czekał. Jego cienista gwardia otaczała go i tętniła wokół niego.

Bałam się, lecz pod strachem czułam zapał.

- Jesteśmy podobni - rzekł - nikt inny taki nie jest, nikt inny taki nie będzie.

Prawda tych słów rozniosła się po mnie echem. „Podobne wzywa podobne”.

Wyciągnął rękę i zbliżyłam się do niego.

Objęłam go za szyję, czując na palcach jedwabiste muśnięcie jego włosów. Wiedziałam, że Mal patrzy. Potrzebowałam, by się odwrócił. Potrzebowałam, by sobie poszedł. Podniosłam twarz do Darklinga.

- Moja moc jest twoja - szepnęłam.

Ujrzałam w jego oczach uniesienie oraz tryumf, i pochylił się ku mnie. Nasze usta się zetknęły i otworzyła się między nami łączność. Nie tak dotykał mnie w moich wizjach, gdy przychodził pod postacią cienia. To działało się naprawdę, mogłabym w tym utonąć.

Zalała mnie moc - moc jelenia, jego silne serce, które biło w piersiach nas obojga, to życie, które on odebrał, a ja starałam się ocalić. Czułam jednak także moc Darklinga, moc Czarnego Heretyka, moc Fałdy.

„Podobne wzywa podobne”. Czułam to, kiedy „Koliber” wleciał na Niemorze, lecz za bardzo się bałam, by to zaakceptować. Tym razem nie opierałam się. Wyzwoliłam się z lęku, poczucia winy, wstydu. Tkwiła we mnie ciemność. On ją tam umieścił i dłużej nie będę się tego wypierać. Wilkry, nisztroje - wszystkie były moimi potworami. I on też był moim potworem.

- Moja moc jest twoja - powtórzyłam. Objął mnie mocniej. -
A twoja jest moja - szepnęłam mu w usta.

Moja. Słowo rozbrzmiało w moim ciele, w ciałach nas obojga.
Żołnierze cienia zafalowali i zawirowali.

Pamiętałam, jakie to było uczucie, gdy na zaśnieżonej polanie Darkling włożył mi obrożę na szyję i przejął kontrolę nad moją mocą. Sięgnęłam w głąb łączności między nami.

Odchylił się gwałtownie.

- Co ty robisz?

Wiedziałałam już, dlaczego nie miał zamiaru osobiście zabić węża morskiego - dlaczego nie chciał stworzyć drugiej więzi. Bał się.

Moja.

Sforsowałam połączenie ukute przez obrożę Morozova i schwyciłam moc Darkliga.

Wylała się z niego ciemność, czerń płynęła mu z dłoni, wzbierała i pełzała, formując kształt nisztroja, ręce, głowę, szpony, skrzydła. Pierwsza z moich abominacji.

Darkling próbował się ode mnie odsunąć, lecz trzymałam go kurczowo, przyzywając jego moc, przywołując ciemność, jak on niegdyś użył obroży, by przyzwać moje światło.

Zmaterializowała się kolejna istota, potem następna. Darkling krzyknął, gdy ją z niego wydarto. Ja też to poczułam - czułam, jak

ściska mi się serce, jak każdy żołnierz cienia wydziera cząstkę mnie, żądając ceny swojego stworzenia.

- Przestań - wychrypiał Darkling.

Nisztoje wirowały wokół nas nerwowo, furkotały, szemrały, coraz szybciej. Powoływałam moich mrocznych żołnierzy do istnienia, jednego po drugim. Moja armia wokół nas gęstniała.

Darkling jęknął, ja również. Osunęliśmy się na siebie nawzajem, lecz nie ustępowałam.

- Zabijesz nas oboje! - krzyknął.

- Tak - powiedziałam.

Pod Darklingiem ugięły się nogi i padliśmy na kolana.

To nie była Nauka Mała, lecz magia, coś prastarego, tworzenie w sercu świata. Przerazające, bezkresne. Nic dziwnego, że Darkling łaknął więcej.

Ciemność brzęczała i klekotała jak nieprzeliczone rzesze szarańczy, chrząszczy, głodnych much, które przebierały odnóżami, machały skrzydłami. Nisztoje falowały i odtwarzały się, wirowały opętańczo, napędzane jego gniewem i moim uniesieniem.

Kolejny potwór. Następny. Krew płynęła Darklingowi z nosa. Miałam wrażenie, że pomieszczenie zachybotało, i uświadomiłam sobie, że mam konwulsje.

Konałam kawałek po kawałku, z każdym potworem, który wrywał się na wolność.

„Troszkę dłużej” - pomyślałam. „Jeszcze tylko kilka. Żeby tylko wiedziała, że posłałam go na tamten świat, nim też tam pójde”.

- Alina! - wołanie Mała dobiegało jakby z wielkiej oddali. Szarpał mną, odciągał mnie.

- Nie! - krzyknęłam. - Pozwól mi dokończyć!

- Alina!

Mał złapał mnie za nadgarstek i przeszył mnie dreszcz. Przez mgłę krwi i cienia jak przez złote drzwi mignęło mi coś pięknego.

Wyszarpał mnie Darklingowi, ale zdążyłam wydać swym dzieciom ostatnie napomnienie: „Zburzcie to”.

Darkling osunął się na ziemię. Potwory otoczyły go tętniącą, czarną kolumną, po czym walnęły w ściany kaplicy, aż budynek zadygotał w posadach.

Mał trzymał mnie w ramionach i biegł nawą. Niszoje rzucały się na ściany kaplicy. Odłamy murów spadały na ziemię. Błękitna kopuła zachwiała się, bo podpierające ją ściany zaczęły się walić.

Mał przeskoczył za ołtarz i dał nura w przejście. Poczułam w nozdrzach woń mokrej ziemi i pleśni, zmieszanej ze słodkawym kadzidłem kaplicy. Biegł, uciekając przed katastrofą, którą rozpętałam.

Daleko za nami rozległ się łomot. Kaplica się zapadła. Echo uderzenia potoczyło się po przejściu. Chmura pyłu i odłamków walnęła w nas jak fala. Mał pofrunął w przód. Wypadłam mu z rąk i świat wokół nas się zawalił.

Najpierw usłyszałam dudnienie głosu Tolii. Nie mogłam mówić ani krzyczeć. Znałam tylko ból i nieustępliwy ciężar ziemi. Później miałam się dowiedzieć, że pracowali nade mną godzinami, wdychając mi powietrze w płuca, hamując upływ krwi, naprawiając najgorzej połamane kości.

Na przemian traciłam i odzyskiwałam przytomność. Usta miałam suche i spuchnięte. Byłam pewna, że pogryzłam się w język. Słyszałam, jak Tamar wydaje rozkazy.

- Zawalić resztę tunelu. Musimy jak najszybciej stąd uciec.

Mał.

Był tam? Pogrzebany pod gruzem? Nie mogłam pozwolić, by go zostawili. Zmusiłam usta, by ułożyły się w kształt jego imienia.

- Mal. - Czy oni mnie w ogóle słyszeli? Własny głos wydawał mi się przytłumiony i obcy.

- Boli ją. Może ją uspić? - spytała Tamar.

- Nie chcę ryzykować, że znów stanie jej serce - odparł Tolia.

- Mal - powtórzyłam.

- Przejście do zakonu zostawcie otwarte - powiedziała do kogoś Tamar. - Miejmy nadzieję, że uzna, iż tam poszliśmy.

Zakon. Święta Lizabeta. Ogrody przy rezydencji Grickiego. Nie mogłam zebrać myśli. Znowu próbowałam wypowiedzieć imię Mala, ale nie mogłam skłonić warg do pracy. Ból znów mnie atakował. A jeśli go straciłam? Gdybym miała siłę, to bym wrzeszczała, pomstowała. Zamiast tego zapadłam w ciemność.

Kiedy się ocknęłam, świat pode mną się kołysał. Pamiętałam przebudzenie na pokładzie wielorybnika i przez krótką, przerażającą chwilę sądziłam, że mogę być na pokładzie statku. Otworzyłam oczy, zobaczyłam wysoko nad sobą ziemię i skały. Przemieszczaliśmy się przez olbrzymią jaskinię. Leżałam na plecach na jakichś noszach, niesiona na barkach dwóch mężczyzn.

Trudno było zachować przytomność. Większość życia czułam się chora i słabowita, ale nigdy nie zaznałam takiego wyczerpania. Byłam jak skorupa, opróżniona do czysta. Gdyby tak głęboko pod ziemię sięgał jakikolwiek wietrzyk, zupełnie by mnie rozwiął.

Choć każda kość i każdy mięsień w moim ciele zawyły na znak protestu, udało mi się obrócić głowę.

Mal tam był. Leżał na drugich noszach, niesiony zaraz obok mnie. Przyglądał mi się, jak gdyby czekał, aż się przebudzę. Wyciągnął rękę.

Znalazłam jakieś pokłady siły i wysunęłam rękę nad krawędź noszy. Kiedy zetknęły się nasze palce, usłyszałam szloch i uzmysłowiłam sobie, że płaczę. Łkałam z ulgi, że nie będę musiała żyć z brzemieniem jego śmierci. Ale w mojej wdzięczności tkwił cień niechęci. Łkałam z gniewu, że w ogóle będę musiała żyć.

Przebyliśmy szmat drogi. Pokonywaliśmy przesmyki tak wąskie, że musieli opuszczać moje nosze na ziemię i przesuwac mnie wzdłuż skał, oraz tunele tak wysokie i rozległe, że przejechałoby nimi dziesięć wozów z sianem. Nie wiem, ile to trwało. Pod ziemią nie było dni ani nocy.

Mal doszedł do siebie przede mną i kuśtykał przy noszach. Kiedy tunel się zapadł, został ranny, ale Griszowie go uzdrowili. Nie mogli jednak uleczyć tego, co ja przetrwałam, na co się zdobyłam.

W którymś momencie zatrzymaliśmy się w jaskini pełnej stalaktytów. Jeden z moich tragarzy nazywał ją Robaczą Gębą. Kiedy mnie odstawili, Mal był przy mnie i z jego pomocą udało mi się oprzeć o ścianę oraz usiąść. Nawet od takiego wysiłku zakręciło mi się w głowie, a kiedy otarł mi nos swoim rękawem, zobaczyłam, że krew mi cieknie.

- Jak jest źle? - spytałam.

- Zdarzało ci się wyglądać lepiej - przyznał. - Pielgrzymi wspominali coś o Białym Soborze. Chyba tam się udajemy.

- Zabierają mnie do Apparata.

Rozejrzał się po jaskini.

- Tędy uciekł z Wielkiego Pałacu po zamachu stanu. Dzięki temu tak długo go nie schwytali.

- Tak też zjawił się i znikł na przyjęciu z wróżbami. Rezydencja stała obok monastynu Świętej Lizabety, pamiętasz? Tamar przyprowadziła go prosto do mnie, a potem pozwoliła mu uciec. - Usłyszałam gorycz w swoim słabym głosie.

Powoli poskładałam sobie to wszystko w zamroczonej głowie. Tylko Tolia oraz Tamar wiedzieli o przyjęciu, więc zorganizowali spotkanie z Apparatem. Tego ranka, kiedy niemal roznieciłam zamieszki, już byli na miejscu wśród pątników - przybyli obejrząc wschód słońca wraz z wiernymi. Dzięki temu właśnie tak szybko do mnie dotarli. A Tamar zniknęła z Orlego Gniazda, jak tylko zwęszyła zagrożenie. Wiedziałam, że Griszowie przeżyli tylko dzięki bliźniętom oraz żołnierzom słońca, ale ich kłamstwa mnie ubodły.

- Jak pozostali?

Mał popatrzył na obdartą grupkę Griszów kulącą się w cieniu.

- Wiedzą o bransolecie - powiedział. - Boją się.

- A o ptaku?

- Raczej nie - pokręcił głową.

- Wkrótce im powiem.

- Z Siergiejem jest kiepsko - ciągnął Mał. - Chyba nadal jest w szoku. Reszta jakoś się trzyma.

- Genia?

- Ona i David idą na tyłach. Ona nie może za szybko się przemieszczać. - Zawahał się. - Pielgrzymi nazywają ją Razrusza'ja.

Zrujnowana.

- Muszę się zobaczyć z Tolią i Tamar.

- Musisz odpocząć.

- Natychmiast - powiedziałam. - Proszę.

Wstał, lecz się zawahał. Kiedy znowu się odezwał, głos miał ochryply.

- Powinnaś była mi powiedzieć, co zamierzasz.

Odwrociłam wzrok. Dystans między nami wydawał się jeszcze głębszy niż wcześniej. „Próbowałam cię uwolnić, Mal. Od Darklinga. Ode mnie”.

- Powinieneś był dać mi go wykończyć - powiedziałam. - Powinieneś był dać mi skonać.

Kiedy ucichło echo jego kroków, opuściłam brodę. Słyszałam własne, płytkie oddechy. Kiedy zebrałam się w sobie, by podnieść oczy, Tolia i Tamar klęczeli przede mną z pochyłonymi czołami.

- Popatrzcie na mnie - powiedziałam.

Usłuchali. Tolia miał podwinięte rękawy i zobaczyłam, że na jego potężnych ramionach widnieją słońca.

- Czemu mi po prostu nie powiedzieliście?

- Nie pozwoliłabyś nam być tak blisko - odparła Tamar.

Była to prawda. Nawet teraz nie byłam pewna, co o nich myśleć.

- Skoro uważacie mnie za Świętą, dlaczego nie daliście mi umrzeć w kaplicy? A jeśli to miało być moje męczeństwo?

- To byś umarła - rzekł Tolia bez wahania. - Nie znaleźlibyśmy cię wśród gruzów i nie udałoby się nam cię ożywić.

- Pozwoliliście Malowi po mnie wrócić. Mimo że przysięgliście.

- Wyrwał się - powiedziała Tamar.

Uniosłam brew. Skoro Mal wyrwał się Tologii, zaiste był to dzień pełen cudów.

Tolia spuścił głowę i wzruszył wielkimi ramionami.

- Wybacz mi. Nie mogłbym go od ciebie rozdzielić.

Westchnęłam. Też mi święty wojownik.

- Służycie mi?

- Tak - powiedzieli zgodnie.

- Nie kapłanowi?

- Służymy tobie - rzekł Tolia zażarcie.

- Zobaczymy - mruknęłam i zbyłam ich machnięciem ręki.

Wstali, ale przywołałam ich z powrotem:

- Niektórzy z pielgrzymów zaczęli nazywać Genię Razrusza'ja. Dajcie im po jednym ostrzeżeniu. Jeśli jeszcze raz wypowiedzą to słowo, wytnijcie im języki.

Nie mrugnęli, nie wzdrygnęli się. Ukłonili się i poszli.

Biały Sobór była to alabastrowa jaskinia, tak wielka, że w jej jaśniejszej, kremowej otchłani zmieściłoby się całe miasto. Ściany miała wilgotne i porośłe grzybami - niektóre z nich były w kształcie gwiazdek - oraz pełne solnych wykwitów. Znajdowała się głęboko pod Ravką, gdzieś na północ od stolicy.

Chciałam się spotkać z kapłanem na stojąco, więc trzymałam się Mała kurczowo, kiedy mnie do niego przyprowadzili. Próbowalam zamaskować, ile mnie kosztuje pozycja stojąca, jak bardzo się trzęsę.

- Sankta Alina - rzekł Aparat - nareszcie do nas przybyłaś.

Potem padł na kolana w potarganych, brązowych szatach. Ucałował moją dłoń, rąbek mojego płaszcza. Zawołał do tysięcy wiernych zebranych we wnętrzu jaskini. Kiedy przemawiał, powietrze zdawało się wibrować:

- Powstaniemy i stworzymy nową Ravkę! - zaryczał. - Kraj wolny od tyranów i królów! Wyplniemy na powierzchnię ziemi i zepchniemy cienie fałszywości!

Pod nami pielgrzymi skandowali: Sankta Alina,

W skałach wyłobiono komory, których ściany jaśniały kremowo i migotały srebrnymi żyłkami. Mał zaprowadził mnie do mojej kwatery, zrobił mi trochę owsianki z zielonym groszkiem i przyniósł mi dzban wody do miednicy. W skale osadzono lustro, a kiedy się w nim ujrzałam, wyrwał mi się cichy okrzyk. Ciężki dzban roztrzaskał się o ziemię. Skórę miałam bladą, napiętą nad sterczącymi kośćmi. Oczy były zapadłe i podkrążone. Włosy zupełnie mi posiwiały. Przypominały kruchy śnieg.

Dotknęłam palcami szkła. Mał spojrzął mi w oczy w lustrze.

- Powinienem był cię uprzedzić - powiedział.

- Wyglądam jak potwór.

- Raczej jak khitka.

- Leśne duszki pożerają dzieci.

- Tylko kiedy są głodne.

Próbowałam się uśmiechnąć, podtrzymać przebłysk ciepła między nami. Zauważyłam jednak, jak daleko ode mnie stoi - z rękoma założonymi za plecami, jak strażnik stojący na bacność. Źle zinterpretował łzy w moich oczach.

- Będzie lepiej - powiedział. - Kiedy zaczniesz używać swojej mocy.

- Oczywiście - odparłam i odwróciłam się od zwierciadła. Czułam, jak znużenie wnika mi w kości.

Zawahałam się, potem spojrzałam znacząco na ludzi, których przy drzwiach do mojej komory wystawił Aparat. Mał się zbliżył. Chciałam przycisnąć policzek do jego piersi, poczuć wokół siebie jego ramiona, posłuchać miarowego, ludzkiego bicia jego serca. Nie zrobiłam tego.

Zamiast tego odezwałam się cicho, prawie nie poruszając wargami.

- Próbowałam - szepnęłam. - Coś jest nie tak.

Zmarszczył czoło.

- Nie możesz przyzywać? - zapytał z wahaniem. Co pobrzmiwało w jego głosie? Lęk? Nadzieja? Troska? Nie umiałam się rozeznąć. Wyczuwałam w nim jedynie ostrożność.

- Jestem zbyt słaba. Jesteśmy zbyt głęboko pod ziemią. Nie wiem.

Patrzyłam na jego twarz, wspominając kłótnię w brzozowym zagajniku, kiedy zapytał, czy zrezygnowałabym z bycia Griszą. „Nigdy” - powiedziałam wówczas. Nigdy.

Przytłoczył mnie brak nadziei, gęsty i czarny, ciężki jak brzemień gleby. Nie chciałam wypowiadać tych słów, nie chciałam wysławić strachu, który niosłam z sobą przez długie, mroczne mile pod ziemią, ale zmusiłam się, by to powiedzieć:

- Światło nie przyjdzie, Mal. Moja moc zniknęła.

POTEM.

Dziewczyna znów śniła o statkach, lecz tym razem sunęły one w powietrzu. Miały płócienne skrzydła, a za sterem stał lis o szczywanym oczach. Niekiedy lis przeistaczał się w księcia, który całował ją w usta i ofiarowywał wysadzaną klejnotami koronę. Niekiedy stawał się czerwonym ogarem piekielnym, który toczył pianę z pyska i kąsał ją w stopy, gdy uciekała.

Od czasu do czasu śniła o ognistym ptaku. Chwytał ją ognistymi skrzydłami i obejmował, gdy płonęła.

Na długo przed tym, kiedy dotarły do nich wieści, wiedziała, że Darkling przeżył i że znowu poniosła klęskę. Ocalili go jego Griszowie i teraz władał Ravką, siedząc na tronie spowitym w cieniu, w otoczeniu potwornej hordy. Nie wiedziała, czy osłabł przez to, co uczyniła w kaplicy. Był pradawny, a na potędzie znał się dużo lepiej niż ona. Jego oprycznicy maszerowali do monastyrów i cerkwi, zdzierali kafle, przekopywali podłogi w poszukiwaniu Przyzywaczki Słońca. Oferowano nagrody, grożono i znów polowano na dziewczynę.

Kapłan zarzekał się, że w rozległej sieci przejść przecinających Ravkę jak tajemna mapa była bezpieczna. Byli tacy, którzy utrzymywali, że tunele wyżłobiły zastępy wiernych, że trwało to setki lat, nim wyrzeźbili je kilofami i oskardami. Inni twierdzili, że były one dziełem potwora - wielkiego robaka, który połykał glebę, kamień, korzenie oraz żwir i wydrążył podziemne drogi wiodące do starych świętych miejsc, gdzie wciąż słychać było na poły zapomniane modlitwy. Dziewczyna wiedziała tylko, że nigdzie nie będą na długo bezpieczni.

Patrzyła w twarze swoich wyznawców - starców, młodych kobiet, dzieci, żołnierzy, rolników, skazańców. Widziała tylko trupy - ciała, które Darkling będzie mógł złożyć u jej stóp.

Apparat zawodził, krzykiem dając wyraz wdzięczności, że Przyzywaczka Słońca wciąż żyje, że kolejny raz ją oszczędzono. W jego dzikich czarnych oczach dostrzegała inną prawdę: z martwą męczennicą jest mniej zachodu niż z żywą Świętą.

Chłopaka i dziewczynę otaczały modlitwy wiernych. Zwielokrotniało je podziemne echo, odbijały się od wysokich ścian Białego Soboru. Apparat mówił, że to miejsce święte, ich schronienie, sanktuarium, dom.

Chłopak kręcił głową. Umiał rozpoznać celę więzienną.

Oczywiście się mylił. Dziewczyna o tym wiedziała, bo patrzyła, jak Apparat obserwuje jej wysiłek, by wstać. Słyszała, jak słabo bije jej serce. Nie było to więzienie, lecz grobowiec.

Dziewczyna jednak długie lata była niewidzialna. Wiodła już wcześniej życie ducha, ukryta przed światem oraz przed sobą samą. Jak nikt inny znała potęgę tego, co długo pozostawało pogrzebane.

Nocami słyszała, jak chłopak chodzi tam i z powrotem pod jej drzwiami, trzyma wartę wraz ze złotookimi bliźniętami. Leżała cicho w łóżku, odliczała oddechy, sięgała ku powierzchni, szukała światła. Myślała o złamanym skifie, o Novokribirsku, o czerwonych imionach na krzywej ścianie cerkwi. Pamiętała małe ludzkie kopczyki pod złotą kopułą, zarżnięte ciało Marie, Fediora, który ocalił jej niegdyś życie. Słyszała pieśni i napomnienia pielgrzymów. Myślała o wilkrach i o Genii kulającej się w mroku.

Dziewczyna dotykała obroży na szyi, bransolety na nadgarstku. Tylu ludzi chciało z niej zrobić królową. Teraz rozumiała, że ma się stać czymś znacznie więcej.

Darkling powiedział jej, że przeznaczone mu jest panować. Przejął na własność tron oraz część jej samej. Mógł sobie je zatrzymać. Ona rozliczy się za żywych i umarłych.

Powstanie.

PODZIĘKOWANIA.

Problem z podziękowaniami polega na tym, że bardzo łatwo zmieniają się one w długie listy nazwisk, które nieuważnie omiata się wzrokiem. Ale żeby książka powstała, potrzebnych jest wiele osób, i te osoby zasługują na wyrazy uznania, więc proszę dajcie mi chwilę. (Jeśli zrobi się nudno, zalecam głośne odśpiewanie. Albo niech ktoś Wam zrobi do tego beatbox. Poczekam).

Młody autor szybko się przekonuje, ile wymaga od swojej agentki. Taka agentka musi być dyplomatką, terapeutką, adwokatką, a niekiedy zakapiorem. Mam niebywale szczęście, że wszystkie te cechy uosabia niezwykła Joanna Volpe. Serdeczne dzięki całej ekipie New Leaf Literary and Media, w tym Poui Shahbazian, Kathleen Ortiz i Danielle Barthel.

Moja redaktorka Noa Wheeler to ewidentna mistrzyni Nauki Małej. Tu coś popchnie, tam coś naciśnie, zada jakieś niepożądane pytania, a ostatecznie widzisz, że twoja historia zmieniła się w coś niezrównanie lepszego. Przypomina to wręcz magię.

Chcę podziękować wszystkim w Macmillan Holt Children's. Uwielbiam to szacowne, odważne, genialne wydawnictwo i nie posiadam się z dumy, że jestem jego częścią. Szczególne podziękowania należą się Jean Feiweł i Laurze Godwin, które niejednemu raz zdobyły się dla tego cyklu na poświęcenia; oddanemu Angusowi Killickowi; olśniewającej Elizabeth Fithian; zawsze celnej Allison Verost oraz Jonowi Yagedowi, który wciąż jest punkiem. Współfanka Ksenia Winnicki nieustrudzenie nawiązywała kontakty z blogerami. Lizzy Mason i Kate Lied zorganizowały trasę Fierce Reads. Kathryn Bhirud i Karen Frangipane stworzyły piękny zwiastun *Cienia i kości* (tak się robi epikę, synku). Jestem wdzięczna Richowi Deasowi, April Ward, Ashley Halsey, Jen Wang i Keithowi Thompsonowi, którzy

przeistaczają książki w sztukę. Ponadto Markowi von Bagenowi, Vanessie Cronin i wszystkim cudownym ludziom w marketingu, którzy przyczyniają się do tego, że moja książka trafia do rąk czytelników.

Teraz pomówmy o mojej armii: dzielnej i pięknej Michelle Chihara z thisblueangel.com; Joshui Joy Kamensky, który podtrzymuje mnie przy życiu za pomocą muzyki, dowcipu i dobroci; Morgan Fahey, śmiałej kobiecie, co stawia śmiałe tezy, a jest też wspaniałomyślną czytelniczką i znakomitym doradcą wojennym; Sarah Mesie z sunsetandecho.com, która rozumie strukturę, fabułę i serce oraz to, jak one do siebie pasują; i Liz Hamilton (znanej jako Zenith Nadir of Darlings Are Dying), która sporządzi taki tekst i taki koktajl, że czapki z głów. Gamynne Guillote ożywiła griszaicki rozmach z cierpliwością i nieomylną spostrzegawczością. Wyrazy sympatii dla Petera Bibringa, Brandona Harveya, Dana Brauna, Jona Zerolnika, Michaela Pessaha, Heather Repenning, Coreya Ellisa, Williama Lexnera i Brotherhood Without Banners (zwłaszcza Andi i Bena Galushów, Lady Narcissy, Katie Rask, Lee i Rachel Greenbergów, Xraya Enforcera, Blackfyre, Adama Tesha i Górskiej Kozy), Ann Kingman z Books on the Nightstand, E. Arona Wilsona i Laury Recchi, Laurie Wheeler, Viviane Hebel z HebelDesing.com, Davida Petersona, Amana Chaudhary'ego, Tracey Taylor i Rommi Cortier. Ci ludzie wspierali mnie oraz *Trylogię Griszów* na każdym kroku. Nie sposób wyrazić, jak ich cenię i uwielbiam. Chcę szczególnie podziękować Rachel Tejadzie, Austinowi Wilkinowi oraz Rayowi Tejadzie, którzy z nieograniczoną kreatywnością pomogli mi rozwinąć universum Griszów.

Pewni mega-geniusze pomogli sprawić, że niemożliwe stało się nieprawdopodobne: cudna Heather Joy Kamensky, która przedyskutowała ze mną lustrzane naczynia Davida, John Williams pomógł zbudować „Kolibra”;; a Davey Krieger udzielał

mi porad w zakresie abordażu i budowy okrętów oraz innych spraw żeglarskich (choć pewnie przerazi się, widząc, na co sobie pozwoliłam).

Dziękuję inspirującym kobietom z Pub(lishing) Crawl - zwłaszcza Arnie Kaufman, Susan Dennard i Sarah J. Maas. Ponadto Jacobowi Cliftonowi, Jenn Rush, Erice O'Rourke, Lii Keyes, Claire Legrand, Annie Banks (jak *śmiesz*), Emmy Laybourne i Apocalypsies. Wielu nadzwyczajnych pisarzy wspierało tę trylogię wcześniej i dobitnie: Veronica Roth, Cinda Williams Chima, Seanan McGuire, Alyssa Rosenberg i niepowtarzalna Laini Taylor. Wreszcie dziękuję mojej ekipie z Los Angeles, szczególnie Jenn Bosworth, Abby McDonald, Gretchen McNeil, Jessice Morgan, Julii Collard, Sarah Wilson Etienne, Jean Reese i Kristen Kittscher. Drogie panie, bez Was wprost by mi odbiło. Dzięki Wam jestem zdrowa na umyśle (przeważnie).

Zadedykowałam tę książkę mojej matce, ale zasłużyła sobie ona na dodatkową wzmiankę w tym miejscu. Nie przebrnęłabym przez pierwszy szkic *Szturmu i gromu*, gdyby nie czytała na bieżąco, nie zachęcała mnie i nie zaopatrywała w smakołyki z algami. To wspaniała mama i jeszcze lepsza przyjaciółka. Drażliwa. Kłótniwa. Butna. To nasze słowa.

Mam wieczysty dług wobec niesamowitych dystrybutorów, bibliotekarzy i blogerów, którzy wychwalali *Cień i kość* oraz narzucali książkę przyjaciółom, klientom oraz Bogu ducha winnym przechodniom.

Wreszcie do moich cudownych Czytelników: dziękuję za każdego mejla, każdego tweeta, każdy dar. Co dzień jestem za Was wdzięczna.

...nie przypomina żadnej innej książki, jaką czytałam.
Veronica Roth, autorka bestselleru *Niezdolna*

Szturm i grom to drugi tom Trylogii Grisha i kontynuacja powieści Cień i kość, która zdobyła światowe listy bestsellerów i uznawana jest za jeden z najciekawszych cykli YA fantasy ostatnich lat.

Opowieść urzeka niezwykle barwnym światem, opartym na realiach Imperialnej Rosji i wciągającą miksturą przygód, magii i emocji.

Ciemność nie umiera

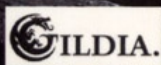
Pościg tropi ją przez Morze Prawdziwe, nękają duchy ludzi, których zabiła w Faldzie Cienia, a jej tożsamość Przyzywaczki Słońca nie może wyjść na jaw. Mimo to Alina próbuje ułożyć sobie życie w obcym kraju u boku Mala. Nie może jednak w nieskończoność uciekać przed swoją przeszłością – i przeznaczeniem.

Darkling wyłonił się z Faldy Cienia zbrojny w nową, potworną moc. Realizuje niebezpieczny plan, który może rozsadzić granice naturalnego świata. Z pomocą niesławnego korsarza Alina wraca do kraju, który porzuciła, by walczyć z siłami zagrażającymi Ravce. Jednak jej moc rośnie, a ona sama wikła się coraz głębiej w grę zakazanej magii, w którą wciąga ją Darkling. I odsuwa się od Mala.

Alina będzie musiała dokonać wyboru między swoim krajem, własną mocą a miłością, która miała zawsze ją prowadzić. W przeciwnym razie podejmuje ryzyko, że w nadciągającej burzy straci wszystko.

Uwielbiam! Takie fantasy lubię: barwne, rozkoszne i wspaniałe, podszyte ekscytującą akcją i idealnym wątkiem romansowym. Bohaterowie oraz ich przeciwnicy są wielowarstwowi i skomplikowani. Długo będę myśleć o tej książce.

Cinda Williams Chima, autorka cyklu *Siedem Królestw*



www.papierowyksiezyc.pl

PAPIER WYKSIEŻYC

ISBN: 978-83-61386-45-2



9 788361 386452

38,90 zł